[illegible]
1938 r.

ROMAN
DMOWSKI
PISMA

ROMAN DMOWSKI

PISMA

TOM V

POLITYKA POLSKA
I
ODBUDOWANIE PAŃSTWA

CZ. I

CZĘSTOCHOWA
ANTONI GMACHOWSKI I S-KA, SPÓŁKA WYDAWNICZA
1 9 3 7

ROMAN DMOWSKI

POLITYKA POLSKA
I
ODBUDOWANIE PAŃSTWA

CZ. I

PRZED WOJNĄ. WOJNA DO R. 1917

CZĘSTOCHOWA
ANTONI GMACHOWSKI I S-KA, SPÓŁKA WYDAWNICZA
1 9 3 7

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI „UDZIAŁOWEJ"
CZĘSTOCHOWA, UL. NAJŚW. MARJI PANNY 41.

W dziewięćsetną rocznicę
chwili dziejowej,
kiedy Wielki Król, Polityk i Wojownik,
umierając, zostawiał po sobie potężne państwo,
podwaliny pod rozwój wielkiego narodu
i wytyczne polityki polskiej,
które po dziś dzień zachowały
swą żywą wartość,
książkę tę poświęcam
tym wszystkim,
którzy noszą w duszach
i usiłują wykonywać
TESTAMENT CHROBREGO.

OD WYDAWCÓW

„Polityka polska i odbudowanie państwa" wraz z dokumentami, do niej dołączonemi, stanowi jedną, nierozdzielną całość. Tak się też ukazała w pierwszem i drugiem wydaniu. W zbiorowem wszakże wydaniu pism Dmowskiego względy techniczne nakazały rozbicie jej na dwa tomy. Dokonano tego w ten sposób, iż za słup graniczny między pierwszą a drugą połową pracy wzięto początek r. 1917.

Nie jest to podział czysto mechaniczny. Rok 1917 jest wielkim przedziałem w dziejach wielkiej wojny, a tem samem w najnowszej historji Europy wogóle. Dlatego stał się on momentem przełomowym w taktyce polityki polskiej podczas wojny, polityki skierowanej do odbudowy państwa.

PRZEDMOWA
DO PIERWSZEGO WYDANIA

Na historję odbudowania państwa polskiego, na historję we właściwem tego słowa znaczeniu, nierychło czas przyjdzie. Kilkadziesiąt lat upłynie, zanim archiwa państwowe czasu wielkiej wojny będą otwarte dla badaczów, a niewiadomo, które po nas pokolenie stanie się zdolnem do patrzenia na wypadki naszych czasów w perspektywie dziejowej.

Dotychczas nietylko wypadki porozbiorowe, ale nawet epoka rozbiorów, w obfitem piśmiennictwie, które do tych czasów posiadamy, są przedmiotem walki obozów, polem ścierania się tendencyj politycznych.

Książka też moja nie jest historją odbudowania Polski — jest to książka polityczna, napisana dla celu politycznego.

Przedewszystkiem, jest to komentarz do akcji politycznej, którą kierowałem, uzasadnienie jej, uwydatnienie myśli, która dyktowała te lub inne jej kroki.

Już w czasie ukazywania się tej pracy w dziennikach[1] odzywały się głosy, że jest to uzasadnienie *ex*

---

[1] Ukazywała się ona — w szeregu artykułów p. t. *Jak odbudowano Polskę?* — jednocześnie (luty — listopad r. 1924) w *Gazecie Warszawskiej, Kurjerze Poznańskim, Słowie Pomorskiem* (Toruń), *Słowie Polskiem* (Lwów) i *Głosie Lubelskim.* Przy redakcji wydania książkowego poczyniłem pewne drobne zmiany, miejscami tekst uzupełniłem, wreszcie dołączyłem dokumenty, a wśród nich przekład mego memorjału angielskiego z roku 1917 p. t. *Problems of Central and Eastern Europe.*

post; podawały one niejako w wątpliwość, czy myśl przewodnia, którą dziś wykładam, rzeczywiście istniała przedtem, czy ona dyktowała politykę, której przebieg jest tu przedstawiony. Te głosy byłyby się nie odezwały, gdyby ich autorowie umieli się wmyślić w to, com napisał, spostrzec, jak zwartą, logiczną całość, pomimo nieuniknionych, bardzo nikłych odchyleń u wykonawców, stanowi ta polityka od swych początków, i gdyby, co jeszcze ważniejsza, zechcieli się gruntownie zapoznać z naszą literaturą polityczną, przestudjować roczniki *Przeglądu wszechpolskiego* i *Przeglądu narodowego*, artykuły moje oraz moich przyjaciół i towarzyszy pracy, przedewszystkiem Popławskiego, Balickiego, Kozickiego, Wasiutyńskiego, wreszcie moją książkę: *Niemcy, Rosja i kwestja polska*. Ktoby umiał w te pisma z dobrą wolą się wmyślić, przekonałby się, że w tem, co mówię o przedwojennej przeszłości i o pierwszym okresie wojny, niema właściwie nic nowego, że to wszystko już było czy to przeze mnie, czy przez moich przyjaciół powiedziane, ma się rozumieć, w postaci mniej lub więcej oględnej, dyktowanej przez względy taktyki politycznej. Robiliśmy wszelkie możliwe wysiłki, żeby ogółowi polskiemu cel i drogi do niego prowadzące uświadomić. Szliśmy nieraz w tem nawet za daleko, zanadto odsłaniając nasze myśli przed wrogami: niestety, dla nieprzygotowanego politycznie społeczeństwa polskiego było to jeszcze za mało. Różnica między tem, cośmy pisali dawniej, a tem, co piszę w tej książce, jest tylko ta, że dziś, gdy mamy nareszcie własne państwo, gdy polityka prowadząca do wyzwolenia jest już zamkniętą kartą, mam pełną swobodę powiedzenia wszystkiego w postaci przystępnej nawet dla surowych politycznie umysłów.

Ten komentarz do polityki mojej i obozu, któremu przewodziłem, ma na celu coś o wiele większego, niż wykazanie, że ja i moi towarzysze pracy mieliśmy słusz-

ność, żeśmy znaleźli właściwą drogę, że nasza polityka doprowadziła do zjednoczenia Polski w niepodległem państwie. Celem tym jest uświadomienie ludziom, chcącym myśleć — położenia Polski w Europie, jej stosunku do innych narodów i wynikających stąd trwałych, niezmiennych, wiekowych zadań jej polityki. Zadania te stanęły przed naszem państwem od chwili zjawienia się jego na widowni dziejowej, stały przed niem zawsze, i zawsze drogośmy płacili, ilekroć na nie zamykaliśmy oczy.

Nie wdaję się w mej książce w rozstrząsanie odleglejszej przeszłości, w historjozofję polską. Mówię tylko o czasach nowszych, które ciągle są u nas przedmiotem sporu politycznego, polem ścierania się sprzecznych dążeń, mówię szczerze, z wyraźnym celem wpojenia w czytelnika przekonania mego, że działania porozbiorowe w Polsce, sprzeniewierzające się pod obcemi wpływami owym niezmiennym, wiekowym nakazom polityki polskiej, wynikającym z położenia kraju, gubiły Polskę i sprowadzały sprawę polską na coraz niższy poziom, że jeżeliśmy weszli w końcu na właściwą drogę, to dlatego, że znaleźliśmy w sobie siłę do przeciwstawienia się całej porozbiorowej przeszłości politycznej, żeśmy czerpali natchnienia z czasów odległych, kiedyśmy mieli państwo wielkie i wielką politykę polską.

Wpojenie tego przekonania w rodaków uważam za jedną z rzeczy najważniejszych, zarówno dla polityki polskiej, jak dla sprawy wychowania młodych pokoleń. Jest to tem ważniejsze, że dziś w dalszym ciągu trwa u nas zorganizowana praca, rozdmuchująca w młodych zwłaszcza pokoleniach kult powstań i tkwiącej w nich bezmyślności politycznej, starająca się uwięzić myśl polską w tym bolesnym naszych dziejów okresie, w którym Polska była w niejednem znaczeniu „służebnicą cudzą" i w którym niema nic, coby mogło wykarmić twórczą myśl państwową.

Rozwój wypadków w mej książce, która, jak powiedziałem, nie jest historją, przedstawiony jest szkicowo, w najogólniejszych linjach. W szczegóły się nie wdaję. Twierdzenia moje popieram bądź ogólnie znanemi faktami, bądź memi własnemi doświadczeniami, które, jako rzeczy dotychczas nieogłoszone, mogą mieć pewną wartość zarówno dla współczesnych, jak dla przyszłego historyka. Tu muszę zaznaczyć, że nigdy nie zapisywałem swych przeżyć, nie prowadziłem dziennika. Piszę z pamięci, ale pamięć mam dobrą, i rzadko mię ona zawodzi.

Zawiodła mię w jednym wypadku. Wydawało mi się, żem ów memorjał, tak wiele dyskutowany w naszej prasie, złożył ambasadorowi rosyjskiemu w Paryżu, Izwolskiemu, w kwietniu 1916 r., i tak też informowałem tych, którzy mię w tej sprawie zapytywali. Tymczasem, w trakcie pisania tej książki, jeden z mych współpracowników czasu wielkiej wojny, który prowadził dziennik osobisty, wykazał mi, że rozmowa z Izwolskim, która stała się treścią memorjału, odbyła się w końcu lutego 1916 r., a sam memorjał złożony został w marcu.

Pisząc o działaniach przeciwników naszej polityki w Polsce, zatrzymuję się tylko na tem, co miało znaczenie polityczne i co wypłynęło z takich czy innych politycznych pobudek. Nie zajmuję się wykroczeniami przeciw zwykłej etyce ludzkiej, nie wywlekam brudów, których ujawniło się wiele, jak to zresztą zazwyczaj podczas wojen bywa. Nie dlatego je przemilczam, iżbym o nich nie wiedział, tyko dlatego, że bardzo cenię metodę nowoczesnej asenizacji miast: brudy odrazu wpuszczać pod ziemię — niech spływają do kanału.

W aneksach podałem wszystkie, zwrócone do rządów memorjały i noty polityczne w okresie wielkiej wojny, pochodzące z tego ogniska politycznego, które reprezentowałem, i wyrażające naszą akcję polityczną. Nie

pominąłem ani jednego dokumentu z tego zakresu. Z małemi wyjątkami sam jestem ich autorem i biorę za wszystkie te akty całkowitą odpowiedzialność.

Miło mi w zakończeniu złożyć serdeczne podziękowanie prof. Ignacemu Chrzanowskiemu z Krakowa, który się podjął korekty książki, nie szczędząc swego cennego czasu i żmudnej pracy.

Warszawa, 7 stycznia 1925 r.

PRZEDMOWA
DO DRUGIEGO WYDANIA (R. 1926)

Oddając pod prasę drugie wydanie, nie uważałem za potrzebne nic w treści książki zmieniać. Można ją było dopełnić na wielu punktach, toby wszakże powiększyło jeszcze i tak dużą jej objętość, z drugiej zaś strony zmusiłoby mię do wracania myślą w tę niedawną przeszłość, do oderwania się od zagadnień doby teraźniejszej i bliskiej przyszłości, które mię całkowicie dziś zajmują. Zdało mi się właściwem patrzeć na tę książkę, jako na zamknięty rozdział, do którego się już nie powraca.

Poprzestałem tedy na drobnych zmianach stylowych i na poprawieniu omyłek druku, nielicznych, co prawda, ale czasami złośliwych.[1]

Wolny jestem od polemiki z krytykami. Gdy chodzi o książkę polityczną, polemika rzeczowa jest pożyteczna, przyczynia się bowiem do ustalenia faktów i wyjaśnienia motywów. Z obozów wszakże, przeciwstawiających się wyłożonej w mej książce polityce, nie wyszła żadna krytyka, nie mam więc z czem polemizować. Nieliczne głosy przeciwne, które się z powodu tej książki odezwały, nie usiłowały nawet wdawać się w poważną jej krytykę.

---

[1] Ze względu na te poprawki, tych, którzyby chcieli powoływać się na moją książkę, proszę o opieranie się na drugiem wydaniu.

Rad jestem, że wydawcy zrobili wysiłek, ażeby pomimo wysokich dziś kosztów papieru i druku, obniżyć znacznie cenę książki w drugiem wydaniu. Wysoka jej cena martwiła mię wielce. Nie przeszkodziła ona wprawdzie rozejściu się pierwszego wydania w ciągu półrocza, przy dzisiejszem wszakże położeniu materjalnem ludzi, czytających książki, drożyzna książek musi doprowadzić do upadku życia umysłowego.

Chludowo, 5 marca 1926 r.

Roman Dmowski

SPIS RZECZY

CZĘŚĆ PIERWSZA

NA PRZEŁOMIE DWÓCH STULECI

ODRODZENIE MYŚLI POLITYCZNEJ W POLSCE

I

SPRAWA POLSKA NA POCZĄTKU STULECIA

Polska przedrozbiorowa tak daleko trzymała się od Europy, tak pozbawiona była udziału w ówczesnej polityce europejskiej, że myśl polityczna polska mogła żyć w swoim zamkniętym świecie, chodziła swemi drogami, niezdolna zrozumieć otaczającej ją rzeczywistości. To też i potem, gdy katastrofa wyrzuciła sprawę polską na widownię międzynarodową, myśl polska nie umiała się zorjentować w polityce europejskiej: bądź grzęzła w pojęciach przeszłości, bądź robiła skok przez współczesną rzeczywistość i wpadała w marzenia o dalekiej lub niezniszczalnej przyszłości.

Taką też naogół była nasza myśl polityczna na początku obecnego stulecia, kiedy zmora klęski, poniesionej w ostatniem powstaniu, przestała ją dusić i kiedy już wytworzył się nowy układ politycznego życia.

Wśród szerokiego ogółu poziom pojęć politycznych był bardzo niski; nawet żywioły czynne, usiłujące kierować życiem politycznem narodu, bardzo dalekie były od rozumienia współczesnej polityki europejskiej: sfery zachowawcze żyły pojęciami przestarzałemi, sięgającemi w osiemnaste stulecie, przeceniały wartość jednych czynników, a nie doceniały innych, co je prowadziło do rezygnacji; koła zaś radykalne nie usiłowały nawet myśleć o polityce takiej, jaka jest, myślały tylko o takiej, jaką być powinna według ich doktryn.

Skutkiem tego myśl polska nie była zdolna zdać

sobie sprawy z właściwego położenia kwestji polskiej i z jej znaczenia w polityce europejskiej. Nie umiała oceniać rozwoju tej polityki z punktu widzenia własnej sprawy.

Zresztą tem się prawie nikt poważnie nie zajmował. Dla jednych, którzy uważali się za trzeźwych i realnych, polityka zamykała się w sprawach miejscowych, w sprawach danego zaboru; inni wypływali na szersze wody, ale nie próbowali się łamać z trudnościami skomplikowanej polityki międzynarodowej, znajdowali łatwiejsze wyjście w nadziei na nowy ład w świecie, na jeden przewrót, który wszystko zmieni.

Tymczasem sprawa polska, pomimo pokrycia jej milczeniem zagranicą, żyła, rozwijała się i przekształcała pod wpływem procesów dziejowych, zachodzących i w Polsce, i w całej Europie, oraz wypadków politycznych, następujących po sobie w szybkiem tempie. Gdyby myśl polska umiała była zdać sobie sprawę z tych procesów i ocenić te wypadki, odbudowanie zjednoczonej Polski nie byłoby dla większości Polaków tak nieoczekiwane, a przedewszystkiem ich zachowanie się podczas wojny światowej byłoby inne.

Spróbuję w krótkiej tylko na tem miejscu, konspektowej postaci wyliczyć fakty, które warunkowały stan sprawy polskiej i jej widoki na początku obecnego stulecia.

1. Przez całe dziewiętnaste stulecie posuwały się szybko naprzód w Europie dwa równoległe procesy wielkiego znaczenia dziejowego: z jednej strony ewolucja konstytucyjna państw, przenosząca środek ciężkości władzy od korony i biurokracji do narodu, z drugiej — postęp pojęć politycznych i świadomości narodowej w szerokich masach, a jednocześnie z tem szybki w nich przyrost energji politycznej. Wynikiem tych dwóch procesów było, że państwo stawało się coraz więcej organizacją

polityczną narodu, że granice jego musiały coraz bardziej odpowiadać granicom narodu, że każdy naród szukał swego politycznego wyrazu w odpowiedniem własnem państwie, i umiał ten wyraz znaleźć, i że państwo, za którem nie stał mocny, świadomy siebie naród, traciło podstawy bytu. To też w ciągu dziewiętnastego stulecia dwa wielkie, rozczłonkowane narody, Niemcy i Włosi, zjednoczyły się w narodowych państwach, szereg mniejszych zdobył byt państwowy, którego przedtem nie posiadał, a wielkie państwo, nie oparte na wielkim narodzie, Austrja, owa mozaika ludów, musiała się przepołowić i czynić coraz większe ustępstwa narodowe swym ludom, zbliżając się wyraźnie do całkowitego rozpadnięcia.

Ta ewolucja konstytucyjna państw i ten rozwój polityczny narodów obejmowały coraz większy obszar Europy, posuwały się coraz bardziej ku wschodowi, wciągnęły już w swą sferę część ziem polskich, mianowicie zabór pruski i austrjacki. Na początku stulecia zjawiły się oznaki, że wkrótce zacznie się wyłom i w ustroju państwa, posiadającego lwią część ziem polskich, w ustroju Rosji, która, położona najdalej na wschód, różna bardzo od Europy w swym charakterze społecznym i w swej cywilizacji, przez całe dziewiętnaste stulecie skutecznie się broniła przed konstytucyjnym przewrotem. Przekształcenie zaś Rosji na państwo konstytucyjne i przeniesienie środka ciężkości władzy do ludności państwa, przy jej niejednolitym składzie, musiało wysunąć odrazu na widownię kwestję polską, a przy liczbie Polaków w państwie rosyjskiem i przy różnicy cywilizacyjnej między Polską a Rosją, musiało doprowadzić Rosję do niemożności rządzenia Polską. W tych warunkach, przy równolegle posuwającym się rozkładzie państwa austrjackiego, odbudowanie Polski było prędzej czy później nieuniknione.

2. Polska, której ustrój społeczny w ciągu dwóch stuleci przedrozbiorowych uległ uwstecznieniu przez zanik mieszczaństwa, znajdowała się teraz w okresie szybkiego przekształcania, w trudnym okresie przejściowym, w którym jedne siły społeczne szybko zanikały, inne zaś powstawały i rosły. Warstwa szlachecka, stanowiąca jeszcze doniedawna właściwy naród polityczny, w którym polska myśl polityczna ześrodkowywała się — skutkiem ogromnego zredukowania ziemi, pozostającej w jej rękach, przez uwłaszczenie włościan, i dalsze, szybko postępujące wyzbywanie się jej na rzecz tychże włościan, skutkiem zmiany warunków gospodarczych, zmuszających ją do przekształcania się na zawodowych rolników, a w konsekwencji obniżenia się jej zainteresowania sprawami publicznemi — szybko traciła znaczenie, które dawniej posiadała. Warstwa włościańska, coraz silniejsza gospodarczo i zaczynająca zdobywać oświatę, wysuwała się na widownię, jako samodzielny czynnik życia narodowego. Jednocześnie rozwój przemysłu i handlu pociągnął za sobą wzrost miast i ośrodków fabrycznych, wytwarzał warstwę handlową i przemysłową, inteligencję zawodową i liczną klasę robotniczą.

Ta ewolucja społeczna Polski, zapóźniona w znacznej mierze wskutek warunków politycznych, szła teraz w bardzo szybkiem tempie, wywołując przewrót w ustroju społeczeństwa. Z punktu widzenia politycznego ten konieczny przewrót przedstawiał przez swoją nagłość niebezpieczeństwa, groził w pewnej mierze przerwaniem ciągłości życia duchowego narodu, jego myśli i jego aspiracyj, obniżeniem na pewien czas kultury; natomiast wnosił nowoczesne, jakkolwiek bardzo jeszcze surowe, czynniki w życie narodowe, robił naród zdolniejszym do życia w dwudziestym wieku oraz do walki o swe istnienie i o swe dobro.

Jako skutek ewolucji społecznej następowały zmia-

ny w polskiej myśli politycznej. Pozbywała się ona pojęć przestarzałych, a z niemi wrzekomo trzeźwej rezygnacji i nietrzeźwego romantyzmu; za surowa wszakże była jeszcze, na zbyt niskim znajdowała się poziomie, nie była dostępna dla pojęć nowoczesnych, które z ogromną trudnością wyłamywały sobie do niej drogę. Nadto w dwóch zaborach, rosyjskim i austrjackim, liczny udział żydów w życiu polskiem, świadomie lub nieświadomie narzucających swoje pojęcia, sprowadzał myśl polską z naturalnej drogi rozwojowej, wykolejał ją w sposób dla przyszłości polskiej niebezpieczny.

Polska we wszystkich trzech zaborach stawała się narodem nowoczesnym, ze świadomością narodową przenikającą w szerokie masy, z rozwijającą się w nich energją polityczną, narodem, który nie będzie biernie znosił gwałcenia swych praw najistotniejszych i będzie umiał o nie walczyć sposobami, odpowiadającemi warunkom współczesnym, który będzie umiał skorzystać z wytwarzającego się położenia, by dojść prędzej czy później do zjednoczenia i niepodległości.

3. Państwa, które rozebrały Polskę, przeszły głęboką ewolucję swego ustroju wewnętrznego i swej polityki zewnętrznej.

Prusy, umiejętnie korzystając z ducha czasu i zużytkowując wytwarzające się w masach dążenia, zjednoczyły naród niemiecki, stworzyły Cesarstwo, wielkie państwo narodowe, które stało się jedną z największych potęg gospodarczych i politycznych świata. Związane ściśle swemi dziejami z Polską, w tym sensie, że kosztem jej wyrosły, mające granicę narodową między polskością a niemczyzną bezprzykładnie zawikłaną, posunięte w dwóch kierunkach, w Prusiech Wschodnich i na Śląsku, daleko w głąb ziem polskich, gdy w środku, w Poznańskiem, ludność polska sięgała daleko na zachód, w kierunku Berlina — uważały zawsze kwestję polską, jako całość,

za kwestję pierwszorzędnego dla siebie znaczenia, co zresztą pruscy mężowie stanu otwarcie wypowiadali.

Wyciągnęły one w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia z kwestji polskiej nieobliczone korzyści: wyzyskały ostatnie powstanie polskie dla oddalenia Rosji od Francji, związania się z nią formalnie przeciw poczynaniom polskim, co im dało życzliwą neutralność Rosji w ich akcji zewnętrznej, umożliwiło rozbicie Austrji i Francji. Rozumiały dobrze, że gdyby nie było roku 63, nie byłoby ani 66, ani 71. Widziały też, jak ważną dla nich rzeczą jest trzymać rękę na całej kwestji polskiej, kontrolować ją nietylko u siebie, ale i u swych sąsiadów. Korzystając z rozrostu swej potęgi, która zaciążyła nietylko nad Austrją, ale i nad Rosją, zdobyły one sobie wpływ na sprawy polskie i w Wiedniu, i w Petersburgu, i bieg ich w znacznej mierze kierowały w pożądane dla siebie łożysko.

Wzrost potęgi Niemiec i ich wpływu na politykę sąsiadów utrzymywał kwestję polską w martwym punkcie, i widoczne było, że nie ruszy ona z tego martwego punktu, dopóki się potęga Niemiec nie załamie i ekspansja ich wpływu nie cofnie.

Austrja ze współzawodniczki Prus zamieniła się w ich sojuszniczkę. Niemało wpłynęło na to jej położenie wewnętrzne: Niemcy w austrjackiej połowie monarchji, a Madjarzy w węgierskiej, zagrożeni w swem panowaniu przez inne ludy, przeważnie słowiańskie, oglądające się nadto na Rosję, widzieli wzmocnienie swe w oparciu o Berlin. I nietyle różnica siły zewnętrznej dwóch mocarstw, ile właśnie te racje położenia wewnętrznego, nakazującego żywiołom rządzącym jednego z nich szukać oparcia w drugiem, sprawiły, że Austro-Węgry z sojusznika Niemiec szybko stawały się ich wasalem, a przymierze zamieniło się w nierozerwalną unję, podporządkowującą jedno państwo polityce drugiego.

Polacy w Austrji dostali wprawdzie politycznie i narodowo więcej, niż inne narodowości, dlatego, że dla nich było niemożliwością grawitować ku Rosji, że widząc swój interes w utrzymaniu Austrji, nie współdziałali z rozsadzającemi ją żywiołami, podtrzymywali równowagę wewnętrzną państwa i pomagali do tworzenia większości rządowej. Wkrótce wszakże spostrzegli, że nadzieje na wzrost ich wpływu zawodzą, że wpływ ten maleje, że grozi mu upadek na skutek popierania przez Wiedeń Rusinów, przemianowanych w następstwie nie bez myśli na Ukraińców. Dopiero później zaczęli się orjentować, że w kwestji ruskiej znaczną rolę odgrywa akcja, idąca z Berlina.

Rosja, zręcznie związana przez Bismarcka z Prusami konwencją Alvenslebena w r. 1862, rychło po rozbiciu Austrji i Francji spostrzegła, że główną groźbą dla rozwoju, a nawet utrzymania jej mocarstwowej roli, stały się Niemcy. Na kongresie berlińskim Bismarck wspólnie z Beaconsfieldem pozbawił ją owoców zwycięstwa nad Turcją, a wkrótce okazało się, że miejsce wrogich jej wpływów angielskich w Konstantynopolu zajęły wpływy niemieckie, o wiele dla niej niebezpieczniejsze, bo bliższe, wyrażające energiczną ekspansję Niemiec na południowy wschód po wygodnym moście austro-węgierskim, ekspansję, która następnie znalazła swój wyraz w terminie Berlin - Bagdad. Przez Turcję wpływy te wdzierały się dalej do Persji, a jednocześnie szła przez Pacyfik penetracja Niemiec do Chin, budując sobie ufortyfikowaną bazę na Szantungu. Tworzyło się dokoła Rosji półkole wpływów niemieckich, zaczynające się w Szwecji, a kończące w Chinach, zamykające jej drogę we wszystkie strony, z wyjątkiem Oceanu Lodowatego.

W tych warunkach zawarty pod koniec ubiegłego stulecia aljans z Francją coraz większe miał dla Rosji znaczenie, stawał się jedyną dla niej nadzieją. Aljans

ten, pomimo powtarzanych nieustannie zapewnień pokojowych, wobec silnie agresywnej polityki niemieckiej, oznaczał prędzej czy później wojnę. Była ona nieunikniona, zwłaszcza po nieudałych próbach Wittego skombinowania aljansu francusko-rosyjskiego z Niemcami przeciwko Anglji i po zawarciu na początku stulecia porozumienia Francji z Anglją, która coraz silniej odczuwała na własnych interesach zaborczość gospodarczą i polityczną Niemiec, a której tyle zawdzięczał zarówno Bismarck, jak Fryderyk Wielki.

Na gruncie przymierza z Francją zjawiła się przed Rosją perspektywa wojny z Niemcami, pierwszej właściwie wojny pomiędzy państwami, które rozebrały Polskę, a więc wojny, w której kwestja polska w takiej czy innej postaci musiała wypłynąć. Jak mało to rozumiano w Polsce, świadczy fakt, że jeszcze na początku stulecia opinja polska reagowała na przymierze francusko - rosyjskie jedynie żalem do Francji za to, że się związała z ciemięzcą Polski.

Zdawałoby się, że przy takim kierunku swej polityki zewnętrznej Rosja powinna była poczynić kroki, ażeby sobie zapewnić, jeżeli nie współdziałanie, to przynajmniej życzliwość Polaków w wojnie, która musiałaby się rozegrać przedewszystkiem na ziemi polskiej. To dyktowała logika polityczna, i toby może nawet tak wiele nie kosztowało, wobec tego, że polityka rezygnacyjna wówczas miała w Polsce wpływ duży, że aspiracje Polaków nie sięgały daleko, że zadowoliłyby ich poważniejsze ustępstwa, ograniczone do Królestwa Kongresowego, o którego zruszczeniu Rosja i tak marzyć nie mogła.

Jednakże wejście na tę drogę było dla Rosji niemożliwe. Z jednej strony opinja rosyjska nie odznaczała się nigdy trzeźwością w ocenie położenia państwa i przeceniała jego potęgę, a Polska była zbyt łakomym kęsem dla ludzi, którzy reprezentowali w niej sprawę rosyjską,

co podtrzymywało interesowny, chciwy, nieprzejednany nacjonalizm rosyjski wobec Polski; z drugiej — w Rosji rząd coraz mniej był jednolity, coraz mniej zharmonizowany w swych działaniach, i gdy jej polityka zagraniczna była w walce z polityką niemiecką, w polityce wewnętrznej wpływy niemieckie były bardzo silne. Nawet podczas ostatniej wojny, gdy armja rosyjska walczyła z Niemcami, rząd składał się przeważnie z ludzi niechętnych dla wojny, dobrze usposobionych do Niemiec, a nawet pozostających pod wpływami niemieckiemi. Te właśnie wpływy, zawsze silne w Rosji, starały się o to, żeby polityka rosyjska tamowała wszelkiemi sposobami rozwój polskości i żeby Polacy zawsze widzieli głównego wroga w Rosji.

Przy powierzchownem też porównaniu polityki dwóch państw, Prus i Rosji, wobec Polaków, polityka pruska zyskiwała. Wprawdzie w zaborze pruskim konsekwentnie, planowo, z wielkim wysiłkiem i z wielkim nakładem środków niszczono polskość i szczepiono niemczyznę, ale czyniono to zawsze ustawowo, z zachowaniem form: obywatel polski wiedział, co go oczekuje, czemu musi się poddać, a czemu może stawiać opór. Natomiast w zaborze rosyjskim niebezpieczeństwo dla polskości było znacznie mniejsze, nawet szacunek dla niej ze strony Rosjan znacznie większy, ale była samowola administracyjna, poniżanie godności ludzkiej, brak poczucia prawa i cywilizowanego szacunku dla człowieka: Polak pod panowaniem rosyjskiem ciągle był drażniony, obrażany, ciągle miał powód do oburzenia.

U ludzi, nie przywykłych do głębszego zastanawiania się nad zagadnieniami politycznemi, zazwyczaj ich przejścia osobiste decydują o ich sposobie politycznego myślenia. Było też niemało takich Polaków, którzy więcej myśleli o tem, żeby Rosja zginęła, niż żeby Polska powstała.

Jeżeli ewolucja polityczna Europy od początku XIX wieku wskazywała, że powstanie na nowo państwa polskiego w szeregu innych państw narodowych jest prędzej czy później nieuniknione, to położenie międzynarodowe na początku obecnego stulecia pozwalało przewidywać w niedalekim czasie konflikt zbrojny między państwami, które rozebrały Polskę, a tem samem wystąpienie na widownię kwestji polskiej, ruszenie jej z martwego punktu, na którym ją ciążąca nad całą środkową i wschodnią Europą potęga Niemiec utrzymywała. Z tych widoków Polski nie zdawano sobie sprawy ani w Europie, ani w Polsce samej: w Europie dlatego, że Polska się niczem uwadze polityków nie przypominała, nikt się też nią nie interesował i nad jej możliwemi losami nie zastanawiał; w Polsce — bo tu albo nie umiano myśleć politycznie, albo myśl nie wychodziła poza granice danej dzielnicy i państwa, do którego ta dzielnica należała.

Jedynem bodaj miejscem, w którem zastanawiano się poważnie nad sprawą polską jako całością — z myślą o umiejętnem jej zlikwidowaniu — był Berlin.

II

POCZĄTKI NOWEJ POLITYKI POLSKIEJ

Zdarza się czytać u nas polemiki na temat, kto pierwszy wymówił w ostatnich czasach wyraz „niepodległość", który obóz pierwszy powiedział głośno, że chce niepodległości. Jest to spór dziecinny, niedorzeczny... Niepodległość nie dlatego mamy, że ktoś powiedział głośno, iż jej chce, jeno dlatego, że byli ludzie, zmierzający planowo do jej odzyskania, orjentujący się mniej więcej w warunkach do tego niezbędnych i umiejący te warunki dla postawionego sobie celu wyzyskać.

Zadawalać się chceniem może przeciętny obywatel kraju, nie działający politycznie, ludzie wszakże, mający pretensję do kierowania losami narodu, muszą wiedzieć nietylko, co chcą mieć, ale co mają robić, jaką drogą dojść do upragnionego celu. Programy chceń — to tylko jałowe, puste hasła.

Grzeszył takiemi programami nawet obóz, do którego sam należałem. Za błąd uważałem i sprzeciwiałem się temu, gdy w programie, nakreślonym z poczuciem odpowiedzialności (Program stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze rosyjskim. Rok 1903), postawiono jako cel dążeń obozu niepodległość Polski, nie umiejąc wskazać dróg, które mają do niej doprowadzić. Uczyniono to ze względów polityczno-wychowawczych: uważałem i uważam, że do wychowywania myśli politycznej służyć winny książki, artykuły, wykłady; programy zaś oficjalne, gdy wskazują cele, winny obok nich wskazywać środki.

Zresztą osiągnięciu celu niezawsze pomaga głośne jego zawczasu deklarowanie.

Nigdy nie było takiej chwili w naszych dziejach porozbiorowych, żeby nie było ludzi, chcących niepodległości. Nawet w okresie popowstaniowym, w okresie ogólnego przygnębienia i upadku nadziei, ideę niepodległości w głębi duszy pielęgnował każdy Polak, mający świadomość narodową i politycznie nie wynarodowiony. Co prawda, nie śmiał myśleć o niej jako o rzeczy realnej. Żywioły czynne politycznie ograniczały swe zadania do spraw miejscowych każdego z trzech zaborów, poruszanie zaś sprawy zjednoczenia i niepodległości Ojczyzny uważały przeważnie za rzecz zdrożną, bo przeszkadzającą ich zabiegom.

Pamiętam, kiedy *Przegląd Wszechpolski* w r. 1895, w setną rocznicę ostatniego rozbioru Polski, wyszedł z żałobną obwódką i w słowie wstępnem powiedział, że za cel swej pracy stawia odzyskanie niepodległości — bądź nie chciano tego zauważyć, bądź wzruszano ramionami, patrząc na to jako na nieodpowiedzialny, młodzieńczy wybryk.

Niepodległość, jako hasło, zjawia się w naszem życiu politycznem nanowo już na kilkanaście lat przed końcem ubiegłego stulecia. W r. 1886 powstaje tajna organizacja, Liga Polska, przekształcona potem, w r. 1893, na Ligę Narodową, stawiająca sobie w swej ustawie za cel — odzyskanie niepodległości. Grupuje ona koło siebie prawie wyłącznie żywioły młode, wstępujące dopiero w życie lub do tego się przygotowujące: przeciwstawiały się one z jednej strony t. zw. polityce ugodowej, z drugiej — międzynarodowemu socjalizmowi, mającemu naówczas silny wpływ wśród młodych pokoleń. Z tych to młodych kół wyszły naówczas manifestacje narodowe w Warszawie ku upamiętnieniu historycznych rocznic 3 maja 1891 i 17 kwietnia 1894 r.

Sam byłem inicjatorem i kierownikiem pierwszej z tych manifestacyj, i pamiętam, jak sfery poważne, kierownicze w kraju były niemi zastraszone. Nie mogły się one opędzić analogjom z tem, co poprzedzało r. 63, i bały się podobnego dalszego ciągu. Jednakże dalszy ciąg był całkiem inny...

Te młode koła były dziećmi epoki względnie trzeźwej, społeczeństwa, przekształcającego się w kierunku nowożytnym, miały zaczątki rozumienia rzeczywistości polskiej i miały wśród siebie człowieka o dziesiątek lat od swych współpracowników starszego, który tę rzeczywistość ogromnie jasno widział i o Polsce szerszą, niż ktokolwiek wówczas, wiedzę posiadał. Był nim nieżyjący od lat kilkunastu publicysta, Jan Popławski. Był to duchowy ojciec nowoczesnej polityki polskiej. Pod jego wpływem myśl tego nowego pokolenia skierowała się do zagadnień bieżących bytu narodowego, do ujmowania ich z punktu widzenia całości sprawy polskiej, do szukania w położeniu współczesnem Polski i w rozwoju politycznej sytuacji Europy dróg ku odbudowaniu państwa polskiego.

Ten kierunek myśli młodszego pokolenia wyraził się w założeniu *Przeglądu Wszechpolskiego*[1], pisma, które postawiło sobie za zadanie — jednoczenie myśli politycznej trzech dzielnic Polski, zwracanie jej ku sprawie polskiej, jako całości, oraz kształcenie jej, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, gdzie cenzura zmuszała prasę do milczenia w zakresie zagadnień polityki polskiej i dokąd *Przegląd* dochodził drogą kontrabandy.

Pomimo krótkiego okresu swego istnienia

[1] *Przegląd Wszechpolski*, założony przeze mnie we Lwowie w r. 1895, od początku r. 1896 pozostawał pod wspólną redakcją Jana Popławskiego i moją; w latach 1898 — 1900 redagował go sam Popławski; w r. 1901 przeszedł pod moją redakcję, pod którą pozostał do końca (1905). W r. 1902 został przeniesiony do Krakowa.

(1895—1905) *Przegląd Wszechpolski* wywarł decydujący wpływ na ukształtowanie nowoczesnej myśli politycznej polskiej. Wychowało się na nim we wszystkich trzech dzielnicach całe pokolenie ludzi, umiejących myśleć politycznie nietylko o sprawach tego czy innego zaboru, ale o sprawie polskiej jako całości, ludzi, którzy wiedzieli dużo o całej Polsce i między sobą rozumieli się tak, jak synowie jednego narodu rozumieć się powinni. Myśl wszystkich tych ludzi była skierowana ku zjednoczeniu politycznemu Ojczyzny, ku odbudowaniu własnego państwa. Gdyby dzisiejsi polemiści, piszący o początkach polityki „niepodległościowej" — że użyję ich ciężkiego przymiotnika — umieli uczciwie i inteligentnie przestudjować dziesięć roczników *Przeglądu Wszechpolskiego*, wielu sporówby uniknęli i wiele fałszów nie ujrzałoby światła dziennego.

Początki rzucającego hasło niepodległości ruchu narodowego wśród młodszych pokoleń, datujące, jak to wspomniałem, od r. 1886, wywarły swój wpływ i na obóz socjalistyczny. Tam jedni, kierowani współzawodnictwem w walce o dusze młodego pokolenia i mas robotniczych, inni dlatego, że się w nich obudziły zgłuszone aspiracje polskie, postanowili połączyć socjalizm z patrjotyzmem polskim. Stąd na jakieś osiem lat przed końcem stulecia powstała Polska Partja Socjalistyczna, występująca z programem niepodległej Polski socjalistycznej, którą ma dać powstanie, będące zarazem walką o niepodległość i rewolucją społeczną. Organem tej myśli był *Przedświt* londyński. Rozwijano ją w dwóch kierunkach: w artykułach napół wojskowych, wykazujących możliwość ruchu zbrojnego, próbujących formułować jego strategję, i w artykułach politycznych, czerpiących pełną garścią z literatury emigracyjnej pierwszej połowy zeszłego stulecia, z jej najradykalniejszych kierunków. Był w tem anachronizm, robiło to często wrażenie,

przedrukowywania starych szpargałów; była kombinacja zamkniętej już przeszłości z nieotwartą jeszcze i nie wiadomo czy mającą się kiedykolwiek otworzyć przyszłością. Pomiędzy jedną a drugą była pustka, bo nie rozumiano współczesnej rzeczywistości i nie umiano stanąć na jej gruncie. Widoczne było, że nie umiano wykonać pracy myśli, któraby z hasła niepodległości zrobiła z czasem program realny.

Niemniej przeto ruch ten miał duże znaczenie dla przyszłości. Wywierał on silny wpływ na młode umysły, na młodzież zwłaszcza z wschodnich ziem Polski, bardziej oddaloną od europejskiego sposobu myślenia, więcej zbliżoną w swej psychologji do młodzieży rosyjskiej, bardziej prymitywną, bujniejszą temperamentami, mniej przywiązaną do nowoczesnego życia kulturalnego, skłonniejszą do wystawiania się na osobiste niebezpieczeństwo i szukającą łatwych, prostych rozwiązań dla kwestyj trudnych i skomplikowanych. Trafiał on do jej tradycyjnych instynktów, dając jej niejako ideę polską, i do nowych, w zetknięciu z Rosją wytworzonych potrzeb jej duszy, dając jej rewolucję społeczną. Dla sprawy polskiej przedstawiał on raczej poważne niebezpieczeństwo, nietylko przez swą rewolucyjność i hasła walki społecznej, rozbijające naród nawewnątrz, ale także i to przedewszystkiem dlatego, że ruchy takie, nie oparte na rozumieniu współczesnej rzeczywistości, idą naprzód jak człowiek z zawiązanemi oczyma, łatwo dają się użyć do celów, wręcz przeciwnych ich założeniom, stają się narzędziem w obcych rękach.

Tym dwu obozom, na które dzieliły się u nas na przełomie dwóch stuleci czynne politycznie żywioły młodszego pokolenia, sądzona była rola obozów przyszłości, stojących przeciw sobie w chwili, gdy sprawa polska weszła na drogę, prowadzącą do jej rozstrzygnięcia. Tak musiało być nietylko dlatego, że obejmowały one lwią

część młodszego pokolenia, ale także, i to przedewszystkiem dlatego, że myśl ich operowała nie w sprawach tej czy innej dzielnicy, ale w sprawach Polski. Inne, poważne naówczas stronnictwa w sprawach Polski jako całości nie miały wiele do powiedzenia, rozwiązanie kwestji polskiej zaskoczyło ich myśl nieprzygotowaną, zastało je niezdolnemi do odegrania ważniejszej roli. Rozwijający się zaś naówczas młody ruch ludowy, czyniący szybkie podboje wśród mas włościańskich, znajdował się jeszcze w stadjum walki wyłącznie społecznej, klasowej i nie wybiegał dążeniami swemi w dziedzinę zagadnień szerszych, obejmujących przyszłość całej Ojczyzny.

III

SKONKRETYZOWANIE CELU

Trudność kwestji polskiej tkwila nietylko w tem, że odbudowanie państwa polskiego miało przeciw sobie trzy zainteresowane mocarstwa, ale także i w tem, że niewiadomo było, co można i co należy uważać za Polskę w dziewiętnastem i dwudziestem stuleciu.

Gdyby byl istnial jakiś trybunal międzynarodowy, któryby mógł w sprawie naszej wyrok wydać, i gdyby miał siłę do wykonania tego wyroku; gdyby ten trybunal byl wezwał Polaków, żeby przedstawili swą sprawę, powiedzieli, czego żądają, znaleźlibyśmy się w wielkim klopocie. Trzebaby bylo powiedzieć nietylko, że się żąda niepodleglości, ale na jakim obszarze, w jakich granicach chce się mieć państwo polskie.

Okazaloby się, że Polacy do odpowiedzi na to pytanie nie są wcale przygotowani.

Wieluby odpowiedzialo, że żądają przywrócenia granic z 1772 roku. Mniejsza już o to, iż wskazanoby im, że granice te obejmowaly ziemie, ciążące handlowo bądź ku Odesie, bądź ku Rydze, ku portom, o które Rzeczpospolita szlachecka, ignorująca interesy handlowe, nie dbała i do których nie możemy mieć żadnej pretensji. Mniejsza także, iż granica z Niemcami bylaby bardzo nienormalna (co prawda i dziś ona bardzo normalna nie jest) i niebezpieczna, że wreszcie oznaczaloby to pozostawienie w rękach niemieckich polskiego Śląska—groźnej placówki, wrzynającej się głęboko w ziemie polskie: ale coby odpowiedzieli, gdyby zapytano, jak sobie wyo-

brażają funkcjonowanie parlamentu polskiego przy istnieniu państwa na tym obszarze i z tym składem ludności?... Bo przecie w dzisiejszych czasach nie można było myśleć o odbudowaniu Polski z konstytucją XVIII wieku.

Znalazłoby się wielu — boć się przecie później znaleźli — którzy byodpowiedzieli, że ta Polska nie będzie miała parlamentu centralnego, bo się będzie składała ze sfederowanych krajów, z których każdy sam się będzie rządził. Dosyć popatrzeć na dzisiejsze postępowanie Litwinów i Rusinów, żeby sobie przedstawić, jakby wyglądala taka federacja, i przewidzieć, jak długoby istniała.

Zresztą trzeba było nic nie rozumieć ewolucji Europy XIX stulecia i położenia, w jakiem na jej skutek znalazła się Austrja, żeby myśleć o tworzeniu państwa różnonarodowego, jak Niemcy mówią — *Nationalitaetenstaat*'u w dzisiejszych czasach. Tylko wrogowie Polski, Niemcy, mogli przez pewien czas o takim projekcie państwa polskiego mówić. Jeżeli w Polsce podczas wielkiej wojny i po wojnie byli ludzie, którzy podobne projekty piastowali i nawet nazewnątrz z niemi występowali, to tylko świadczy, do jakiego stopnia nie przemyśleli sprawy polskiej, nie byli w umysłach swoich przygotowani do konkretnego jej rozwiązania.

Byłoby również wielu, którzyby wystąpili z żądaniem państwa niepodległego na obszarze Polski entograficznej. Pokazanoby im wtedy mapę i przekonanoby ich, że Polska entograficzna, t. j. złożona wyłącznie z okręgów, w których ludność językowo polska liczebnie przeważa, nie stanowi nawet jednego ciągłego obszaru, że w pewnych miejscach rysunek jej wytworzyłby wprost koronkę, że zatem ściśle entograficzna granica, jako granica państwa, okazuje się niemożliwą. Zaproponowanoby im niezawodnie wyrównanie tej granicy z pozostawieniem wielkiej liczby Polaków, nawet w zwartych ma-

sach żyjących, poza graniacmi państwa. I niezawodnie znalazłoby się sporo takich, coby i to przyjęli, coby się zgodzili na najmniejszą nawet Polskę, byle miała tytuł niepodległej.

Wielu byłoby takich, którym w głowie nigdy nie postało, że to bylby tylko tytuł, że taka miniaturowa Polska, położona obok wielkich Niemiec, będzie siedziala pod ich butem, jednego kroku niezdolna zrobić, któryby się Niemcom nie podobał. Przecie niemało było u nas ludzi, którzy się uważali za polityków, a którzy znajdowali się jeszcze w tem stadjum politycznego myślenia, w którem niepodległość państwowa wyraża się tylko w oznakach zewnętrznych, w orle jednogłowym na sztandarach i gmachach państwowych, w widoku maszerujących polskich żołnierzy, a dla niektórych — przedewszystkiem w tem, że oni byliby dygnitarzami państwowymi.

Znaleźliby się w sporej liczbie i tacy — boć znaleźli się później w dobie wojennej — których nie odstraszałoby wcale to, że mała, słaba Polska będzie wisiała przy wielkich, potężnych Niemcach; którzy nie śmieliby nawet pomyśleć o Polsce naprawdę niezawisłej, mogącej się obyć bez opieki jednego z sąsiadów i odgrywającej samodzielną rolę w Europie; dla których myśl o takiej Polsce była fantazją, szaleństwem...

Gdybyśmy dalej poszukali, to znaleźlibyśmy jeszcze innych, którzyby z innemi projektami granic Polski wystąpili, którzyby zrzekli się Poznania na rzecz Niemiec, Lwowa na rzecz niepodleglej Ukrainy i t. d.

Słowem trybunał, któryby chciał na początku obecnego stulecia rozstrzygnąć sprawę polską, dowiedziałby się przedewszystkiem, że Polacy sami nie wiedzą, co to jest Polska, że nie umieją jej granic zakreślić. A trudno przecież wydać wyrok, przysądzający komuś jego własność, gdy on sam nie wie, gdzie ta własność się zaczyna, a gdzie się kończy.

Dopóki też nie wyjaśniliśmy sobie tej sprawy, nie odpowiedzieli na pytanie, co to jest Polska XX wieku, w jakich granicach chcemy mieć państwo polskie, dopóty niepodległość pozostawała w naszych umysłach abstrakcją i dopóty nie można było mówić, że na serjo do niej dążymy.

A kto szukał tej odpowiedzi, kto pracował poważnie nad wykreśleniem sobie na mapie granic Polski, odpowiadających faktycznemu stanowi sił narodu, takiej Polski, któraby naprawdę mogła być Polską, niezawisłem i silnem państwem polskiem? Tem zajmowali się jedynie ludzie, grupujący się koło *Przeglądu Wszechpolskiego*, a postępy tej pracy znajdowały odbicie w samem piśmie. Program terytorjalny Polski, z którym wystąpił podczas wojny Komitet Narodowy w Paryżu i delegacja polska na konferencji pokojowej — to nie była improwizacja, ale owoc pracy całego życia ludzi, którzy żyli myślą o odbudowaniu państwa i temu celowi życie poświęcili. Jeżeli ten program się ostał — z wyjątkiem punktów, na których przegraliśmy sprawę w walce z przeciwieństwami zewnętrznemi — jeżeli wszelkie pomysły ze strony polskiej przeciwstawienia mu czegoś innego poszły *ad acta*, to dlatego właśnie, że to były niedojrzałe, nieprzetrawione pomysły, improwizacje ludzi, którzy nigdy poważnie o przyszłej Polsce nie myśleli, gdy on był wynikiem rzetelnej, długo zdobywanej wiedzy o Polsce i gruntownego jej przemyślenia.

Dla zrozumienia całej polityki polskiej podczas wojny europejskiej konieczną jest rzeczą w ten właśnie program terytorjalny głębiej się wmyśleć, dowiedzieć się, z jakich założeń wyrósł, jakie względy w szczegółach go podyktowały. Dopiero znając dobrze i rozumiejąc należycie konkretny cel, do którego ta polityka dążyła, można ocenić drogi, jakie wybierała, by dojść do celu. Wtedy dopiero można zrozumieć, że polityka polska, która

losy sprawy polskiej związała ze zwycięstwem państw *entente'y* i która doprowadziła do odbudowania Polski traktatem wersalskim, wynikała z jasnego, zgóry nakreślonego planu, że nie zmieniała celów od wypadku do wypadku, że szła po swej linji bez wahań, że była logiczną, konsekwentną całością, i to nietylko podczas wojny i konferencji pokojowej, ale już na długi szereg lat przed wybuchem wojny.

Pojęcie państwa polskiego, któreśmy chcieli nanowo zbudować, musiało wyjść z jednej strony z oceny wartości i sił narodu polskiego, z drugiej — z oceny położenia geograficznego kraju i warunków zewnętrznych, w jakich się to państwo znajdzie.

Wartości narodu nie mierzy się wyłącznie jego stanem w danej chwili, w danem, jednem pokoleniu. Stan ten może być przejściowy, pokolenie z tych czy innych przyczyn wyjątkowo liche. Historja wszystkich narodów uczy nas, jak często po pokoleniach marnych, moralnie słabych, niedołężnych przychodziły pokolenia dzielne, z szerokiemi aspiracjami, które wielkich dzieł dokonywały. Naród trzeba brać jako całość, w ciągu całych jego dziejów — to dopiero może dać istotne pojęcie o jego wartości.

Cokolwiek możemy w zakresie krytyki naszej przeszłości powiedzieć, musimy stwierdzić, że nasza rola dziejowa była rolą narodu wielkiego, który dokonał wielkich dzieł historycznych. Zaczął on od stworzenia silnego państwa, które położyło tamę wschodnim podbojom największej potęgi średniowiecznej — Cesarstwa, powstrzymał postępy kultury niemieckiej na wschodzie Europy i wytworzył własną cywilizację, na łacińskich opartą podstawach; w następstwie zagrodził drogę zalewowi Europy ze wschodu i zaszczepił cywilizację zachodnią na rozległych obszarach wschodnich; wreszcie nawet po upadku państwa wykazał ogromne bogactwo

duchowe i wydał z siebie jedną z największych poezyj świata.

Do narodów wielkich, twórczych politycznie i cywilizacyjnie, nie stosuje się tej miary, co do drobnych narodków, dążących do emancypacji politycznej; ich obszaru narodowego nie utożsamia się z obszarem etnograficznym, językowym. Wystarczy porównanie mapy politycznej Europy z mapą etnograficzną. Świeżo pokój wersalski zwrócił Francji Alzację, która przecie nie jest ziemią etnograficznie francuską, ale cywilizacyjnie, moralnie należy do obszaru narodowego francuskiego.

Niestety, nasza Alzacja jest większa od naszego obszaru etnograficznego i pozostawała w obcych rękach nie pięćdziesiąt lat, ale przeszło dwa, w znacznej zaś części trzy razy tyle czasu. Nie wszędzie w niej wpływ nasz był tak głęboki, jak francuski w Alzacji, i, co gorsza, późniejszym jej panom udało go się w znacznej mierze wykorzenić. Geograficznie też część jej słabo się wiąże z Polską.

Niemniej przeto znaczna część ziem dawnej Rzeczypospolitej, leżących poza granicami naszego obszaru etnograficznego, pozostała częścią polskiego obszaru narodowego, w tem znaczeniu, że polskość jest tam dominującą siłą cywilizacyjną, jedyną zdolną do politycznego zorganizowania kraju, że ziemie te wreszcie geograficznie nie dadzą się z Polski wyłączyć. Naród, który politycznie i cywilizacyjnie nie zwyrodniał, który moralnie nie zmarniał, takich ziem wyrzec się nie może.

Stąd wynikał wniosek, że przyszłe państwo polskie nie mogło sięgać do granic z przed pierwszego rozbioru, z r. 1772, ale musiało i miało prawo wyjść swemi granicami poza obszar etnograficzny polski, wyjść w takiej mierze, zakreślić sobie taki obszar państwowy, żeby odpowiadał wartości dziejowej Polski, umożliwił jej rolę polityczną i twórczość cywilizacyjną wielkiego na-

rodu. Odegranie przez nas tej roli w przyszłości jest nietylko dla nas potrzebne.

Dla każdego, kto choć cokolwiek rozumiał geografję polityczną Europy, musiało być jasnem, że na tej ziemi, na której się kończy Europa zachodnia i która stanowi wyjście na rozległe równiny Wschodu, nadto, jak w ostatnich czasach, położonej między dwoma wielkiemi państwami, Niemcami a Rosją, miejsca na małe, słabe państewko niema. Tu może istnieć tylko państwo wielkie.

Trzeba zdać sobie sprawę z tego, co rozumiemy przez wielkie państwa, czem się one różnią od małych. Różnica ta nie sprowadza się jedynie do obszaru, ludności i zasobów gospodarczych państw. Na konferencji pokojowej w Paryżu Chiny miały miejsce wśród państw małych. Państwo wielkie — to państwo, które ma dostateczne siły i środki, dość wysoką i sprawną organizację, wreszcie myśl kierującą, zdolną objąć dość szerokie widnokręgi, ażeby polityka jego mogła wywierać wpływ nietylko na sprawy najbliższe, bezpośrednio go dotyczące, ale brać udział w regulowaniu spraw ogólnoeuropejskich, a jak dziś, ogólnoświatowych. Państwami małemi są te, które zmuszone są ograniczać się do obrony tylko swych bezpośrednich interesów, które i w ich zakresie są od wielkich państw zależne, które często są wciągane w orbitę jednego z wielkich państw i, przy formalnej niezawisłości, mają jednak nad sobą zwierzchnią władzę. Różnicę tę wyraża termin, którego używano nawet oficjalnie podczas organizowania konferencji pokojowej w Paryżu: państwa z interesami ogólnemi i państwa z interesami ograniczonemi (*puissances aux intérêts généraux, puissances aux intérêts limités*)

Świadomość tego, że Polska musi być wielkiem państwem, istniała od okresu Bolesławów, który ją postawił jako potęgę sięgającą swemi wpływami, swą in-

terwencją daleko poza swe granice. Gdy po Krzywoustym okres podziałów rozłożył tę potęgę, gdy Polska Łokietkowa i Kaźmierzowa wyszła z niego znacznie mniejsza, z gorszemi granicami, ta sama świadomość zrodziła politykę, która dała Unję z Litwą i powrót do wielkiej, mocarstwowej roli. Ta świadomość nigdy potem całkiem nie zanikła; poszło naprzód związanie w jedną całość rozległych obszarów państwa, połączone z wielkiem dziełem cywilizacyjnem, ale wewnętrzna ewolucja polityczna Rzeczypospolitej szlacheckiej uwsteczniła państwo społecznie i gospodarczo, osłabiła niepomiernie jego organizację, odebrała szersze widnokręgi myśli kierującej. Pomimo rozpaczliwych wysiłków zjawiających się od czasu do czasu jednostek, które chciały w Ojczyźnie mieć potęgę, chciały zachować jej dawną rolę w stosunku do sąsiadów, Rzeczpospolita, przy rozległym swym obszarze, przy znacznej liczbie ludności została państwem, nie wywierającym żadnego wpływu na to, co się naokoło niej działo, państwem małem. I dlatego znikła z karty Europy. Bo na tej ziemi, na której się rozsiadła, miejsca na małe państwo nie było.

Kto tedy myślał naprawdę o odzyskaniu niepodległości i kto rozumiał, co to jest niepodległość, ten musiał myśleć o odbudowaniu Polski w takich warunkach, z takim obszarem, żeby mogła stać się państwem silnem, od sąsiadów niezależnem, zdolnem do wielkopaństwowej polityki.

Te słowa można dziś pisać i nie wywoływać wzruszenia ramionami u czytelników. Gdy podobne rzeczy pisano w swoim czasie w *Przeglądzie Wszechpolskim*[1],

---

[1]) W artykułach Popławskiego i moich. Sprawę odbudowania państwa ująłem był ogólnie w obszernym artykule: Rzut oka na kwestję Polską w *Kwartalniku naukowo-politycznym i społecznym* (Rok 1898, kwart. II), który wychodził przez krótki czas przy *Przeglądzie Wszechpolskim.*

trafiały one do duszy paru tysięcy jego, przeważnie młodych zwolenników, ale dla szerszego ogółu, zwłaszcza dla ówczesnych polityków polskich rozmaitych obozów, były one czemś niepojętem, fantastycznem... Bo istotnie mogła się wydać fantastyczną myśl budowania wielkiej, silnej Polski dla tego pokolenia, z którem naród nasz wchodził w dwudzieste stulecie, które samo miało świadomość, że nie wiedziałoby, co z nią zrobić, którego jedna część zlękłaby się tak wielkiej odpowiedzialności, inna skoczyłaby w tę Polskę śmiało, ale po to tylko, żeby znaleźć w niej żer dla swych ambicyj i dla swych kieszeni, inna wreszcie traktowałaby ją jak *Kindergarten*, w którym odbywa się zabawa w dorosłych ludzi.

Ale państwa nie buduje się dla jednego pokolenia i jednem pokoleniem, jak to już powiedziałem, nie mierzy się wartości narodu. Żyć myślą o odbudowaniu państwa, pracować na serjo dla tego celu, mogli tylko ludzie, nie żyjący wyłącznie dniem dzisiejszym, moralnie nie związani zanadto ze współczesnem pokoleniem, nie budujący całych swych nadziei na tem pokoleniu.

Myśląc o Polsce silnej, istotnie niezawisłej, zarówno gospodarczo, jak politycznie, niepodobna było jej sobie wyobrazić odgrodzoną od morza nieprzerwanym pasem posiadłości niemieckich. Wprawdzie znaleźli się u nas ludzie, którzy ją sobie taką wyobrażali, którzy podczas wojny nietylko Niemcom, ale nawet rządom państw zachodnich w imieniu Polski deklarowali, że posiadanie wybrzeża bałtyckiego i Gdańska nie jest dla niej konieczne. Krótki wszakże okres istnienia naszego odbudowanego państwa chyba nam unaocznił, jak olbrzymie znaczenie dla naszej niezawisłości i dla naszego rozwoju gospodarczego ma ten skrawek wybrzeża morskiego, który posiadamy, jak wielką trudność dla nas stanowi to, że Gdańsk nie należy całkowicie do państwa polskiego.

Odzyskanie też naszej ziemi nadbałtyckiej, odzyskanie Pomorza i Gdańska stało się osią naszego planu odbudowania państwa.

Dla przyszłego państwa polskiego główne, podstawowe znaczenie miały ziemie etnograficznie polskie, w których prastara ludność miejscowa jest polską z języka, z tradycji, z uczuć i myśli. Celem ludzi, dążących do odbudowania Polski, musiało być nic z tych ziem nie uronić, nic nie pozostawić poza granicami naszego państwa. Musiało tak być nietylko dlatego, że one przedewszystkiem stanowią Polskę, nietylko ze względu na wartość i znaczenie tych ziem samych w sobie, ale także dlatego, że od nich zależy charakter narodowy państwa, że im większy jest ich obszar, im większa w państwie liczba tej ludności rdzennie polskiej, tem mniejszą dla niego trudność stanowi ludność językowo niepolska, którą państwo w swych granicach posiadać musi. Im więcej państwo ma ludności rdzennie polskiej, tem więcej może mieć niepolskiej. Gdyby Polska posunęła się znacznie na wschód, na ziemie językowo niepolskie, a nie objęła swemi granicami na zachodzie ziem rdzennie polskich, przestałaby być państwem narodowem i, zważywszy ewolucję polityczną Europy, o której była wyżej mowa, wkrótce przestałaby wogóle być państwem.

Te ziemie rdzennie polskie — to było Królestwo kongresowe z częścią t. zw. Kraju Zabranego, Galicja zachodnia, Poznańskie, Prusy zachodnie, Warmja, obok tego zaś oba Śląski. Górny Śląsk pruski i Księstwo Cieszyńskie, wreszcie językowo polskie Mazury w Prusiech Wschodnich, które, włączone do państwa polskiego, w jednem pokoleniu całkowicieby się z resztą narodu zespoliły.

Otóż, jeżeli o Królestwie kongresowem i zachodniej Galicji można było powiedzieć, że od rozbiorów zostały w polskości swej nienaruszone, jeżeli, przy naj-

skromniej nawet, z największą rezygnacją kreślonym planie państwa polskiego, nie było ono bez tych ziem do pomyślenia — to na ziemiach, należących do Prus, kolonizacja niemiecka, przez rząd ogromnym kosztem prowadzona i wszelkiemi sposobami popierana, zrobiła już tak wielkie postępy, odsetek ludności niemieckiej, nawet w Poznańskiem, był tak znaczny, a obok tego niemiecka organizacja kraju tak głęboko sięgała w życie społeczeństwa, że wielu ludzi nie miało już odwagi myśleć o nich, jako o ziemiach przyszłego państwa polskiego.

Tymczasem była to ta część naszego obszaru narodowego, z której wyszło państwo polskie i cywilizacja polska, która najdłużej ze wszystkich naszych ziem była polską i najdłużej w cywilizacji polskiej się wychowywała, najstarsza kulturą i najkulturalniejsza, z najbardziej oświeconą i najgłębiej uświadomioną narodowo masą ludności, wreszcie pod względem swej budowy społecznej najbardziej europejska, najsilniejsza, ziemia, w której, przy nikłej liczbie ludności żydowskiej, rozwinęło się i zorganizowało liczne, żywotne mieszczaństwo polskie. Była to ziemia z ludnością polską najbardziej wyćwiczoną w życiu politycznem i w walce o byt narodu, z ludnością najzdolniejszą do wykazywania czynnego patrjotyzmu.

Dla przyszłej Polski strata ziem zaboru pruskiego oznaczała: 1) oddalenie od Europy zachodniej, 2) odcięcie od morza, 3) pozostawienie w rękach groźnego sąsiada głęboko wrzynającej się w obszar polski placówki śląskiej, a z nią olbrzymich bogactw w węglu i metalach, 4) niższy o wiele przeciętny poziom kultury w przyszłym państwie, 5) granicę z Niemcami, otaczającą nas nieprzerwanem półkolem, przy której bylibyśmy na ich łasce i niełasce, wreszcie 6) ogromne uszczuplenie obszaru i umniejszenie przeszło o piątą część ludności

rdzennie polskiej, co musiałoby pociągnąć skurczenie się granic tak osłabionego państwa i na wschodzie.

To znaczyło, że bez ziem zaboru pruskiego niema Polski naprawdę niepodległej. „Głupia Polska bez Poznania" — jak mówiono po drugim rozbiorze.

A jednak groźba utraty raz na zawsze tych ziem wisiała nad nami od dłuższego czasu. Z niepokojem i trwogą śledziliśmy postępy roboty, pruskiej, która, pomimo wytrwałego, zorganizowanego oporu Polaków, ostatniemi czasy robiła coraz nowe wyłomy, coraz nowe zdobywała placówki. Głębsi znawcy położenia mówili: jeszcze pięćdziesiąt, a może tylko trzydzieści lat trwania rządów pruskich i pruskiego systemu, a będziemy złamani.

Myśmy widzieli niebezpieczeństwo nietylko w tym systemie. Rządy pruskie walczyły z narodowością Polaków, ale będąc jednocześnie rządami agrarjuszów, ochraniały interesy rolników, co dawało polskości wielką siłę gospodarczą. Koniec wszakże dominującego wpływu agrarjuszów w Niemczech szybko się zbliżał, a z nim musiało nastąpić nagłe pogorszenie położenia rolników w państwie pruskiem. Wtedy utrzymanie ziemi w rękach polskich stałoby się o wiele trudniejszem i zdobycze niemczyzny poszłyby w szybszem o wiele tempie.

Z utratą ziem zaboru pruskiego groziła nam utrata raz na zawsze widoków na zbudowanie silnego państwa, zdolnego stać na własnych nogach, niezawisłego od sąsiadów.

Zrozumieliśmy tedy, że odbudowanie Polski musi się zacząć od odzyskania, od wyrwania z rąk niemieckich ziem zaboru pruskiego; że wyzwolenie ich, wydobycie z niebezpieczeństwa, w jakim się znajdują, to sprawa najpilniejsza, od której cała przyszłość Polski zależy.

Z drugiej strony, było widoczne dla każdego, kto znał życie tych ziem, że jeszcze w tym stanie rzeczy, jaki tam panował w początku stulecia wyzwolone raz z pod

rządów pruskich, otrząsną się one bardzo szybko z niemczyzny. Życie to potwierdziło: Poznań, ze względu na skład swej ludności i na ducha politycznego, który w nim panuje, jest dziś najbardziej polskiem ze wszystkich większych miast naszych.

Człowiekiem, który otworzył oczy naszemu pokoleniu na znaczenie ziem zaboru pruskiego dla przyszłości Polski, który jasno widział, że bez tych ziem możemy być tylko słabym, uzależnionym od sąsiadów, stopniowo topniejącym narodkiem, w którego nieocenionych i po dziś dzień niedocenionych pismach politycznych ta myśl przewija się nieustannie — był Popławski. Do mnie już tylko należało wyciągnąć z tego założenia konsekwencje dla polityki polskiej. I to, żem postanowił pójść w tych konsekwencjach do końca, żem uczynił to wbrew wszelkim zakorzenionym w psychologji naszego społeczeństwa przesądom, wstrętom i histerjom, wbrew silnym wpływom obcym, działającym na naszą myśl polityczną, żem osiągnął to, iż wyrwanie naszych ziem zachodnich z rąk niemieckich stanęło na pierwszem miejscu w planie odbudowania Polski, że do tego celu udało mi się nagiąć naszą politykę — uważam za najlepszą rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

Odbudowanie państwa polskiego, jak to już powiedziałem, było nieuniknione, i po oderwaniu naszych ziem zachodnich od Prus inne rozwiązanie kwestji polskiej, niż ustanowienie niezawisłego państwa, było niemożliwe. Ale było możliwe stworzenie państwa bez tych ziem, państwa zaprzężonego z konieczności do służby potężnym Niemcom, nie mającego żadnych widoków na odzyskanie tych ziem, w których polskość byłaby w dalszym ciągu szybko likwidowana, dopókiby nie straciły one ostatecznie tytułu ziem polskich? A wtedy co?...

Nawet ludzie, nie posiadający zbyt bogatej wyobraźni politycznej, niech spróbują dziś — gdy mamy zjed-

noczoną, niepodległą Polskę — pomyśleć, jakby państwo nasze wyglądało bez Poznańskiego, Pomorza i tej części Śląska, która nam się dostała, jakie byłoby jego położenie polityczne, gospodarcze i finansowe, z jakim skutkiem odpierałoby najazd nieprzyjaciela, choćby podobny do tego, któryśmy mieli w r. 1920...

W świetle dzisiejszego położenia państwa polskiego, ludzie nareszcie powinni zrozumieć całkowicie, dlaczego taką wagę przykładaliśmy do tej sprawy. Zrozumienie to ma znaczenie i dla przyszłości.

Kto się zrzekał ziem zaboru pruskiego, ten się w istocie zrzekał niepodległej Polski.

Jeżelibyśmy w przyszłości z tych ziem co utracili, znaczyłoby to, że odbudowane państwo polskie zaczyna znów upadać.

Dopiero, gdy w planie przyszłego państwa polskiego znalazły się wszystkie ziemie rdzennie polskie, można było myśleć o objęciu nim ziem wschodnich, które zaliczamy do naszego obszaru narodowego, a których ludność w większości nie jest z języka polską.

Ktokolwiek starał się konkretnie sobie przedstawić przyszłe państwo polskie, kto obszar ziem polskich dobrze znał i miał cokolwiek politycznej wyobraźni — nie mógł marzyć o sięgnięciu do granic 1772 r.

Trzeba było myśleć o Polsce możliwie największej, ale tylko do tych granic, w których mogła ona zachować spójność wewnętrzną. Więcej jest warte i większą ma przyszłość państwo mniejsze, a mocno nawewnątrz związane, niż rozsypujący się olbrzym. Dlatego to, jakkolwiek nie czyni się tych rzeczy z lekkiem sercem, jakkolwiek bolesnem jest pozostawianie poza granicami państwa ziem, na których tyle pokoleń polskich pracowało dla Ojczyzny i broniło polskości do ostatniej chwili, na których pozostaje tyle, nawet w dużych skupieniach, ludności polskiej i tyle dobra polskiego — trzeba się

było zrzec granicy historycznej i cofnąć ku zachodowi.

Polska historyczna miała bardzo złe granice, ale złe one były przedewszystkiem dlatego, że ustrój Rzeczypospolitej szlacheckiej nie pozwalał na planową, konsekwentną politykę zewnętrzną, któraby mogła osiągnąć granice lepsze. Skutkiem braku tej polityki Prusy Książące nietylko zachowały swe odrębne istnienie, ale połączyły się z Brandenburgją w Królestwo Pruskie, na wschodzie zaś, gdzie granica państwa daleko była posunięta w głąb lądu, nie umieliśmy dotrzeć do mórz i na ich brzegu mocno stanąć. Z chwilą, kiedy Piotr Wielki złamał siłę szwedzką i usadowił się mocno na Bałtyku, a Turcję osłabił na Morzu Czarnem, kiedy Katarzyna II skolonizowała jego brzegi i założyła Odesę, nasza granica wschodnia stała się niemożliwą do utrzymania, i znaczna część naszych ziem wschodnich została skazana na przejście w ręce Rosji.

Dlatego to, niezależnie od względów na spójność państwa, w rozumnym planie odbudowania Polski nie mogło być mowy o powrocie do dawnej granicy na wschodzie. Trzeba też było z ziem wschodnich, zwanych Krajem Zabranym, zachować tylko tę ich część, w której żywioł polski jest dostatecznie silny, ażeby ją można było zaliczać do naszego obszaru narodowego, wcielając do państwa polskiego tylko taką ilość ludności językowo niepolskiej, przy której będzie ono zdolne zachować charakter narodowego państwa polskiego.

Niestety, wpływ polski na tych ziemach nie posuwał się w ciągu dziejów równomiernie: mamy daleko na wschodzie okręgi, gdzie polskość jest wcale silna, gdy na samej granicy Polski etnograficznej, w niektórych okręgach odsetek ludności polskiej jest słaby. Trzeba więc było względy kulturalno - polityczne skombinować z geograficzno-politycznemi. Tą drogą powstało pojęcie granicy wschodniej, nie wykreślonej wyraźnie, ale mniej

więcej zbliżonej do tej, którą podczas wojny zaprojektował Komitet Narodowy w Paryżu.

Tak się już na początku stulecia konkretyzowała w naszych umysłach przyszła Polska, ta Polska, do której należało dążyć, o którą mieliśmy kiedyś walczyć.

Nikt sobie nie przedstawiał, kiedy i w jakich warunkach zjawią się widoki zrealizowania tego planu. Możliwe było, że żaden z nas tej chwili nie dożyje, jak istotnie nie dożył niejeden z tych, co brali udział w tej pracy. Aleśmy rozumieli, że nawet jeżeli jest ona bardzo daleka, trzeba wiedzieć ściśle, czego się chce, do czego się dąży. Wtedy dopiero polityka polska mogła stać się polityką celową, działającą konsekwentnie, nie marnującą sił na rzeczy niepotrzebne, nie idącą naoślep i nie robiącą kroków, wręcz przeciwnych sprawie polskiej, a pożądanych dla jej wrogów.

IV

NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI A INTERESY PAŃSTW ROZBIORCZYCH

Ujęty konkretnie program niepodległej Polski w różny sposób zwracał się przeciw interesom trzech państw, posiadających ziemie polskie.

Nie trzeba zbyt głębokiej analizy położenia i celów politycznych tych państw, ażeby zrozumieć, że zwracał się on przedewszystkiem przeciw Niemcom.

Oderwanie od nich ziem polskich oznaczało dla nich nietylko stratę pewnej ilości kilometrów kwadratowych ziemi, i to ziemi, takiemi wysiłkami i takim kosztem przygotowanej do tego, żeby w krótkim czasie stała się niemiecką; nietylko odcięcie ogniska niemieckiego, skupionego dokoła Królewca; i nietylko, w razie odebrania Górnego Śląska, stratę bogatego okręgu górniczo-przemysłowego — ale przecięcie drogi do planowanego na przyszłość dalszego posuwania się ku wschodowi, do dalszego, stopniowego pożerania ziem polskich. Odbudowanie Polski silnej z jej ziemiami zachodniemi uniemożliwiało Niemcom ciążenie nad Rosją i ekspansję na południowy wschód, ku Azji Mniejszej.

Nasz program terytorjalny godził w rolę Prus w Rzeszy, całą politykę wschodnią Niemiec, rozwiniętą pod hegemonją pruską, w całą wielką rolę Cesarstwa, taką, jaką widzieli wszyscy prawie Niemcy bez względu na odcienie polityczne.

Realizacja tego programu była możliwa tylko w ra-

zie zgniecenia potęgi niemieckiej. Wyrosła ta potęga kosztem Polski, dalszy jej wzrost oznaczał dalsze niszczenie Polski—odbudowanie Polski, nie jako słabego manekina, ale jako państwa istotnie niezawisłego, musiało być połączone z upadkiem potęgi, do jakiej Niemcy doszły.

Można powiedzieć, że program ten jeszcze silniej godził w Austrję, bo z jego urzeczywistnieniem koniec jej był nieuniniknięty. Dalsze istnienie Austrji, będącej już pod koniec zeszłego stulecia anachronizmem, było możliwe tylko przy oparciu o Niemcy, którym była ona potrzebna. Była ona narzędziem Niemiec do hamowania rozwoju sił mniejszych narodów Europy środkowej, przy jej pomocy te narody były wciągnięte w system niemiecki i służyły niemieckiej potędze; była potrzebnym mostem dla lądowej ekspansji niemieckiej przez Bałkany do Azji zachodniej.

Dalsze istnienienie Austrji po odbudowaniu Polski i osłabieniu Niemiec było niemożliwe, bo nie miała ona nazewnątrz oparcia przeciw rozsadzającej sile swych narodów, dążących do wyzwolenia się z pod supremacji niemieckiej.

Dla władców drugiej połowy monarchji habsburskiej, Węgrów, odbudowanie silnej Polski, połączone z osłabieniem Niemiec, przedstawiało również wielkie niebezpieczeństwo. Zachowanie państwa węgierskiego w jego granicach historycznych, dalsze panowanie Madjarów nad Słowakami, Rumunami i Serbami, nad ludami, które coraz silniej ciążyły nazewnątrz, ku ośrodkom swego narodowego życia, było już możliwe tylko pod protekcją wielkiej potęgi niemieckiej, dla której wyzwolenie i zjednoczenie tych narodów było niepożądane, i której Węgrzy stali się najpewniejszymi sojusznikami. Zdawali sobie Węgrzy sprawę z tego, że, przy osłabieniu Niemiec i rozkładzie Austrji, zredukowanie ich obszaru

do Węgier etnograficznych będzie nieuniknione; rozumieli również, że dla Polski ważny będzie rozwój sił tych ludów, które przeciwstawiają się Niemcom, nie zaś panowanie nad niemi Madjarów, którym interesy dyktują sojusz z Niemcami i szukanie w nich oparcia.

Zresztą, od dłuższego już czasu byłem zdania, że w sprawach polityki międzynarodowej nie należy się za wiele liczyć z państwem austro-węgierskiem, jako czynnikiem samodzielnym. Jak już wyżej powiedziałem, sojusz z Niemcami stał się dla Austrji czemś więcej niż sojuszem, stał się związkiem ściślejszym, uzależniającym Austrję od Niemiec. Było do przewidzenia, że gdy na porządku dziennym stanie sprawa tak doniosłego dla Niemiec znaczenia, jak sprawa polska, Austrja, idąca razem z Niemcami, może mieć tylko zachcianki, ale wolę i siłę decyzji będą miały tylko Niemcy, i Austrja będzie musiała pójść za niemi.

Stąd kwestja stanowiska Austro-Węgier wobec programu polskiego była kwestją drugorzędną. Wystarczało rozumieć stanowisko Niemiec i wiedzieć, że narzucą je one swemu podwładnemu sojusznikowi.

Nieszczęściem było, że politycy polscy w Austrji tego położenia państwa Habsburgów nie widzieli lub nie chcieli rozumieć. Inaczej, rozwój polityki polskiej w początku obecnego stulecia byłby poszedł o wiele prostszą drogą i naród nasz inaczej byłby się przygotował do wielkich wypadków, które się zbliżały.

Odbudowanie Polski musiało się odbyć z natury rzeczy przedewszystkiem kosztem terytorjum, należącego do państwa rosyjskiego. Rosja posiadała główną część obszaru dawnej Rzeczypospolitej: to, co pozostało przy Prusiech i Austrji po kongresie wiedeńskim, na którym Aleksander I wziął na siebie rolę „wskrzesiciela Polski", było pod względem ilości ziemi tylko okrawkami tego obszaru.

Aleksander w swej roli nie wytrzymał, a za jego następców rząd rosyjski usiłował nie ustępować pruskiemu w niszczeniu polskości. Jednakże politycy rosyjscy zdawali sobie sprawę z tego, że kwestji polskiej tą drogą nie rozwiążą, że o zruszczeniu ziem polskich, zwłaszcza Królestwa Kongresowego, niema mowy. O tem mogli marzyć tylko ciemni barbarzyńcy typu apuchtinowskiego. Rozumniejsi Rosjanie patrzyli na panowanie Rosji w Królestwie jako na czasowe tylko, i myśl pozbycia się go, lub przynajmniej jego części, nieraz w polityce rosyjskiej powracała. Nawet wśród skrajnych nacjonalistów ostatniej doby, o ile nie byli zainteresowani osobiście w Polsce, tej myśli nie odrzucano, a myślano natomiast o zagarnięciu wschodniej Galicji jako ziemi ruskiej, co w ich języku było jednoznaczne z rosyjską.

My wszakże nietylko wschodnią Galicję, ale i znaczną część ziem, leżących na wschód od Królestwa, zaliczaliśmy do naszego obszaru narodowego i bez nich Polski prawdziwie niezawisłej nie uważaliśmy za możliwą. Nasz plan przyszłej Polski zwracał się tedy i przeciw ambicjom rosyjskim, i wątpię, czyby się znalazło jednego Rosjanina, któryby się godził na niepodległą Polskę taką, jak myśmy ją pojmowali.

Jednakże, gdyby Rosjanie byli na chłodno oceniali wewwnętrzne i zewnętrzne położenie swego państwa, gdyby patrzyli na kwestję polską nie już z punktu widzenia sprawiedliwości, ale ze stanowiska czystych interesów rosyjskich, gdyby tam, gdzie nie mogli swej polityki rozumnie pojętemi interesami uzasadnić, nie byli się hypnotyzowali formułą „godności narodowej", która nie pozwala się cofać — byliby mogli zrozumieć, że na odbudowaniu takiej Polski Rosja niewiele traci, że nawet, po zrobieniu dokładnego rachunku zysków i strat, mogłoby to się okazać dla niej bardzo korzystnem.

Poza niemałemi zyskami osobistemi, jakie wycią-

gali z Polski działający tam przedstawiciele „sprawy rosyjskiej", korzyści jej z panowania na ziemiach polskich były dość problematyczne. Rozumiemy, że posiadając Kraje Baltyckie z Rygą i brzeg Morza Czarnego z Odesą, Rosja nie mogła się zgodzić z granicą 1772 r., że chcąc mocno stać na tych dwóch morzach, co do jej polityki należało, musiała posiadać nietylko brzeg morski, ale i *hinterland*. Ale na co jej były ziemie, w głębi lądu leżące, daleko na zachód wysunięte, których posiadanie dawało jej granicę niemożliwą do obronienia? Prawda, te ziemie zwiększały materjalną potęgę państwa, ich udział w życiu państwa podnosił jego poziom gospodarczy, dawały pewien dochód skarbowi i sporo materjału ludzkiego do armji, którego zresztą w Rosji nigdy nie brakowało... Tak, ale ileż było ujemnych stron tego panowania w Polsce...

Przedewszystkiem wspólnictwo z Niemcami w sprawie polskiej wzmacniało i tak za silny wpływ niemiecki w Rosji i paraliżowało swobodę ruchów jej tam, gdzie musiała występować przeciw Niemcom. Tylko wyzyskując te swoje wpływy wewnątrz Rosji, Niemcy mogli w ciągu paru dziesięcioleci, poprzedzających ostatnią wojnę, tak wielkie zrobić postępy w swej polityce zewnętrznej, tak paraliżować politykę Rosji i tak osłabiać jej stanowisko mocarstwowe. Najjaskrawiej wykazało się fatalne znaczenie tych wpływów podczas wielkiej wojny, kiedy spostrzeżono, że w służbie rosyjskiej jest wielu ludzi, na których lojalność nie można liczyć wtedy, gdy trzeba iść przeciw Niemcom.

Należenie Polski do państwa rosyjskiego uniemożliwiało normalny jego postęp polityczny, konieczny ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo z krajami cywilizacji zachodniej i na coraz ściślejsze stosunki z Europą. Ilekroć Rosja wchodziła na drogę rozumnych, umiarkowanych reform, czy to za Alekrandra I, czy za Aleksan-

dra II, czy nawet już w ostatnich czasach, w czasach ustanowienia Dumy, zawsze się z tej drogi potem cofała, a głównym motywem reakcji był wzgląd na Polaków, obawa, że z nowych praw oni skorzystają dla wzmocnienia się i rozsadzenia państwa. Rosja zmian politycznych uniknąć nie mogła, jeno miała do wyboru drogę ewolucyjną lub rewolucyjną: obawiając się ewolucji ze względu na Polaków, została skazana na rewolucję. Jeżeli Rosja w ostatnich latach drogo zapłaciła, to kto wie, czy przedewszystkiem nie zapłaciła za panowanie nad Polską.

Już w pierwszych latach obecnego stulecia, w latach poprzedzających wojnę japońską i idące za nią wstrząśnienie rewolucyjne, wzmógl się ruch umyslów w Rosji, zaznaczać się zaczęła coraz silniejsza opozycja i to ze strony żywiołów umiarkowanych i patrjotycznych, przeciw systemowi rządzenia państwem. Widoczne było, że zbliża się moment, kiedy wprowadzenie cial ustawodawczych będzie nieuniknione. Ogół w głębi Rosji nie zastanawial się nad tem, jak po takiej reformie będzie wyglądała rola Polaków w Państwie; ale ludzie rządzący, którzy z Polską wiele mieli do czynienia i z których niejeden w swej karjerze służbowej przez Polskę przechodził, rozumieli niebezpieczeństwo z tej strony, i dla wielu z nich był to jeden z głównych powodów do opierania się reformie. Zdawali sobie oni sprawę z tego, że jeżeli parlamentaryzm ma się utrwalić w Rosji, trzeba będzie stracić Polskę; że inaczej, przy różnorodnym rasowo składzie państwa, Polacy staną na czele odśrodkowych ruchów narodowych i doprowadzą Rosję stopniowo do rozkładu. Niedaleka przyszłość to okazała: kiedy w drugiej Dumie Polacy wystąpili z wnioskiem autonomji Królestwa Polskiego, zaraz w parlamencie rosyjskim zorganizowało się parę innych autonomicznych grup narodowych. Usiłowano sparaliżować akcję polską przez zaprowadzenie w Królestwie na całe

lata stanu wyjątkowego i przez okrojenie liczebne jego przedstawicielstwa, ale ludzie, mający pewną wiedzę polityczną, zdawali sobie sprawę z tego, że takie środki na długo nie starczą. I myśl pożegnania się z panowaniem w Królestwie znów powracać zaczęła.

Ci Rosjanie, którzy rozumieli, że w Rosji samowładztwo i rządy policyjne długo utrzymać się nie dadzą — a takich było coraz więcej — musieli byli stopniowo dochodzić do rozumienia, że nie da się utrzymać także i panowania rosyjskiego w Polsce. Chodziłoby tylko o to, co należało rozumieć przez Polskę. Tu myśl rosyjska u ogromnej większości poszła w kierunku *minimum*. Nawet Królestwa Kongresowego było za wiele — trzeba było odciąć gubernję chełmską.

Aczkolwiek zdawano sobie sprawę z tego, że Rosja i w Kraju Zabranym ma za wiele Polaków, ażeby móc sobie z nimi poradzić, ażeby móc ten kraj uważać za rosyjski — nie wahano się myśleć o przyłączeniu takiej „ziemi rosyjskiej", jak owa gubernja chełmska, a nawet myślano o aneksji wschodniej Galicji, z jej znaczną liczbą ludności polskiej, nowej, nie nagiętej do rosyjskich form rządzenia, a nadto z gniazdem ukrainizmu, który dla Rosji jest o wiele niebezpieczniejszy, niż dla Polski.

Wielu było Rosjan, którzy myśląc o możliwości utraty Królestwa, woleli, żeby przeszło ono pod panowanie niemieckie, niż żeby powstała niepodległa Polska. Nie zastanawiali się nad tem, że zwiększenie tym sposobem potęgi, zajętej niszczeniem mocarstwowego stanowiska Rosji, byłoby dla niej wprost fatalne. Tego rodzaju koncepcje świadczyły najlepiej, jak myśl rosyjska w stosunku do sprawy polskiej urabiała się pod wpływami niemieckiemi. Na pocieszenie swoje mogli mieć Rosjanie tylko to, że myśl polską w stosunku do Rosji urabiały także w znacznej mierze wpływy niemieckie.

Ci Rosjanie, z którymi można było poważnie dy-

skutować sprawę niepodległej Polski, wyrażali zwykle obawę, że ta Polska może w przyszłości wespół z Niemcami zwrócić się przeciwko Rosji. Obawa ta nie była wcale płonna. Bo gdyby Polska była odbudowana w tak szczupłych granicach, jak oni to sobie przedstawiali, nie mogłaby być w pełni niezawisłem państwem, musiałaby zostać wasalem Niemiec, a wtedy, czyby chciała, czy nie chciała, musiałaby im służyć do walki z Rosją. Tylko Polska silna, a więc z dość znacznym obszarem i odpowiednią liczbą ludności, mogła stać się prawdziwie niezależną, a będąc niezależną, nie poszłaby na służbę interesom niemieckim, czy to przeciw Rosji, czy przeciw komukolwiek. I dla Rosji tedy lepiej, żeby państwo Polskie było silne, żeby nie było małem państewkiem.

Dla państwa z niezmierzonemi obszarami Rosji kilka czy nawet kilkanaście powiatów na zachodzie, i to powiatów, nie posiadających żadnych szczególnych bogactw, nie ma poważnego znaczenia. Ale dla Polski, tak zmniejszonej w porównaniu ze swym obszarem historycznym, a położonej w sąsiedztwie Niemiec, dla Polski, będącej nadto krajem mocno przeludnionym, każda piędź ziemi ma znaczenie ogromne.

Tak się przedstawiał właściwie stosunek naszego programu terytorjalnego do interesów Rosji. Musieliśmy walczyć z polityką rosyjską względem Polski, ale nasz cel — odbudowanie Polski — w istotne interesy Rosji nie godził, a przy głębszem zanalizowaniu sprawy był dla niej właściwie korzystny.

Istniała tedy głęboka różnica w stosunku naszego programu do interesów Niemiec i Austrji z jednej strony, z drugiej zaś — do interesów Rosji. I różnica naszej polityki w stosunku do tych dwóch państw i narodów nie była dyktowana jedynie względami strategji politycznej, względami chwili, ale wypływała z założeń głębszych i trwalszych, które i w przyszłości niemałą rolę w polityce polskiej odegrają.

V

DROGA DO NIEPODLEGŁOŚCI

Zbudowanie programu polityki polskiej nie przyszło odrazu. Był to wynik studjów nad Polską, nad państwami rozbiorczemi i nad współczesną polityką międzynarodową, pracy myśli w ciągu lat szeregu. Ta praca była prowadzona nie przypadkowo, nie dorywczo, ale planowo, z wyraźnym, od początku postawionym celem zorganizowania polityki nie miejscowej, nie dzielnicowej, ale mającej za przedmiot całą Polskę i zaprzęgającej do służby wspólnej sprawie Polaków wszystkich trzech dzielnic. W tym celu został założony *Przegląd Wszechpolski;* dla tego celu istniała tajna organizacja w trzech zaborach, L i g a n a r o d o w a, która powstała w r. 1893 z rozbicia wspomnianej poprzednio L i g i P o l s k i e j, gdy ta okazała się niezdatną do twórczej pracy; w tym wreszcie celu założono we wszystkich trzech zaborach S t r o n n i c t w o d e m o k r a t y c z n o - n a r o d o w e, jedno na całą Polskę, jakkolwiek posiadające, ze względów prawnych, odrębną organizację w każdem państwie. Stronnictwo jawne, legalne nie mogło wystawić programu, który byłby zakwalifikowany jako zdrada państwa i któryby uniemożliwił całą działalność obozu. Również nie mogło się popisywać publicznie swemi zjazdami trójzaborowemi, które się często odbywały i na których krok za krokiem kladziono podstawy polityki ogólno-polskiej.

Nie można było czerpać wiele nauki z działań poli-

tycznych poprzednich pokoleń. Położenie Polski i sprawy polskiej bardzo się zmieniło, i Europa była inna — bismarkowska.

W miarę też zagłębiania się w zagadnienia polityki polskiej, stawał przed oczyma fakt, że polityki zewnętrznej, zasługującej na to miano, oddawna już nie mieliśmy. Rzeczpospolita na długo już przed rozbiorami zatraciła zdolność do posiadania i wykonywania jakiegokolwiek planu politycznego; nie widzi się też jasnego, logicznie obmyślanego planu w naszych działaniach porozbiorowych; nasze walki o niepodległość — to walki o wolność, zbrojne protesty przeciw niewoli, nie zaś wyraz jakiejś akcji planowej, mającej przed oczami cel konkretny. Nikt z tych, którzy je wywoływali i niemi kierowali, nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, w jakiej postaci Polska będzie odbudowana w razie powodzenia.

Trzeba tedy było wykonać pracę nową, trzeba było tworzyć, a nie można powiedzieć, żebyśmy do tego byli należycie przygotowani. To też w tej pracy trzeba było przedewszystkiem wiele się nauczyć. Jeżeli dała ona wyniki, to dlatego tylko, że ci, co ją prowadzili, nie bali się wysiłku myśli. Jeżeli nie znajdowała ona szerszego odgłosu w naszem społeczeństwie, w jego kołach politycznych, to dlatego, że jednym z największych, najniebezpieczniejszych braków tego społeczeństwa w polityce jest lenistwo umysłowe.

Gdy ta praca doprowadziła do skonkretyzowania celu, do wyjaśnienia sobie, jaką Polskę mieć chcemy i jaki jest stosunek tego celu do interesów poszczególnych państw, posiadających ziemie polskie — tem samem zaczęły się przed naszemi oczami zarysowywać drogi, które do tego celu mogły doprowadzić.

Co mogło sprawę polską ruszyć z miejsca?

Trzy przedewszystkiem fakty — wszystkie trzy możliwe w bliskim czasie.

Pierwszy — to wewnętrzne przekształcenie państwa rosyjskiego, stwarzające warunki do uruchomienia politycznego głównej części Polski.

Drugi — to ostateczny rozkład Austrji.

Trzeci wreszcie — to wojna między państwami, które podzieliły się ziemią polską, wojna między Rosją a Niemcami, która jeżeli nie doprowadzi odrazu do odbudowania państwa polskiego, to może dać rzecz dla tego przyszłego państwa najważniejszą, mianowicie oderwanie ziem zaboru pruskiego od Niemiec i ocalenie ich zagrożonej polskości.

Tych trzech faktów należało czekać, do nich się przygotowywać, ażeby móc z nich skorzystać, wreszcie zbliżać je, o ile to leżało w naszej mocy.

Dla człowieka, który się zagłębił nieco w sprawę polską i w jej położenie w Europie, nie było już wątpliwości, że państwo polskie w niedalekim czasie musi się zjawić na nowo na karcie Europy. Tej wątpliwości nie miałem. Ale miałem inną, która, jak zmora na piersiach, ciążyła na naszej myśli: czy do tego czasu nie uda się Niemcom złamać oporu polskiego w zaborze pruskim i odebrać nam raz na zawsze widoków na stworzenie państwa silnego?

Kto z tego strasznego niebezpieczeństwa zdawał sobie sprawę, kto myślał o Polsce poważnej, naprawdę niepodległej, nie o jakimś wiechciu pod niemiecką stopą, ten miał jedną tylko przed sobą drogę: *złączyć sprawę polską z przymierzem francusko-rosyjskiem, szukać zbliżenia z Rosją, wpoić w nią świadomość, że w walce z Niemcami może liczyć na Polaków.*

Rosję dzieliły z Niemcami szerokie interesy polityki mocarstwowej i przeciwieństwo tych interesów prowadziło do starcia. Jednocześnie sprawa polska była węzłem, który ją z Niemcami łączył. Nasza polityka porozbiorowa

ten węzeł zacieśniała, a powstanie 63 r. nawiązało go wtedy, kiedy się już zrywał, i zdobyło sobie wielkie znaczenie historyczne, sprowadzając dla Europy okres bismarkowski, dla Polski zaś dobę najstraszniejszego ucisku i poniżenia. Trzeba było teraz skorzystać z nowego zaostrzenia stosunków rosyjsko-niemieckich i przestać być tym węzłem, a tem samem zbliżyć chwilę rozprawy. Bo tylko rozprawa między Rosją a Niemcami mogła przyszłość naszą uratować.

Wiedziałem zgóry, co nas będzie kosztowało wejście na tę drogę. Wiedziałem, z czem trzeba będzie walczyć, jaki ciężar bierzemy na swe barki, postanawiając politykę polską na tych jedynych rozumnych podstawach zorganizować. Tyle było przeszkód i w Polsce, i w Rosji.

Cała tradycja porozbiorowa, święcona stale w obchodach listopadowych i styczniowych, była przeciw tej polityce. Była to, co prawda, tradycja klęsk, tradycja stopniowego likwidowania sprawy polskiej, myśmy wszakże tak odbiegli od innych narodów, że święcimy klęski, gdy tamte święcą zwycięstwa. Gorsza, że autorowie klęski umieją przemawiać jak mistrze.

Pamiętam, raz w gronie emigrantów z 63 r. zagranicą ostro napadano na mnie za kierunek mojej polityki. Jeden z nich, szanowny zresztą antykwarjusz, Bukowski ze Sztokholmu, zawołał:

— Myśmy inaczej działali w 62 roku, innemi drogami szliśmy do niepodległości! —

— Aleście nie doszli, odpowiedziałem. Ten, kto przegrał, nie ma prawa żądać, żeby go naśladowano.

Przeciw tej polityce była psychologja szerokich kół społeczeństwa, ich wstręt, ich nienawiść do Rosjan. Zwłaszcza każdy z nas, którzyśmy przechodzili szkołę apuchtinowską, o ile wyniósł z rodziny tradycję polską i podstawy polskiej kultury, wchodził w życie z „chorobą na Moskala", jak to Żeromski nazwał w jednym ze swych

wcześniejszych utworów. Był to rodzaj psychozy, rozwiniętej pod wpływem cierpień moralnych w szkole, w której na każdym kroku poniżano godność ludzką, obrażano uczucia narodowe, plwano na to, co dla nas było święte.

W miarę wszakże, jak człowiek mężniał, jak charakter jego krzepł, otrząsał się z choroby. I musiał z niej wyrosnąć, jeżeli chciał o położeniu Polski logicznie myśleć, z zimną krwią działać, jeżeli chciał dawać rodakom wskazania polityczne.

Niewola wychowuje niewolników. Niewolnicy bywają albo ulegli i posłuszni, albo zbuntowani. Zbuntowani umieją tylko szukać zemsty na swych panach, ale ani walczyć o wolność, ani żyć w wolności nie umieją; pozostają zawsze niewolnikami. W naszym kraju niewola tak długo trwała i tak była ciężka, że wytworzyła liczne zastępy niewolników, i uległych, i zbuntowanych. Iluż to mieliśmy ludzi, co umieli się tylko kłaniać, tylko szukać łaski, czy to u jednego pana, czy u innego, który na jego miejsce przyszedł! Ilu takich, co się zaprzęgali do służby innemu panu, żeby się zemścić na poprzednim! Ilu wreszcie, którzy nie umieli myśleć o Polsce, jeno o tem, jakby Moskalom zaszkodzić! Wszystko to niewolnicy, mniejsza o to, że w połowie zbuntowani. I jako niewolnicy nie byli zdolni do tworzenia wolnej Polski.

Nie lekceważyłem sobie tej psychologji, wiedziałem, że walka z nią będzie bardzo ciężka. Przewidywałem, że i na swoich, na towarzyszy pracy, niezawsze można będzie liczyć, że w chwilach większej próby zabraknie im odwagi do przeciwstawienia się psychice środowiska. Ale trzeba było iść naprzód, bo czasu do stracenia nie było. Trzeba było krok za krokiem robić wyłomy w zakorzenionym sposobie politycznego myślenia, o ile je można było nazwać politycznem, trzeba było po zdobyciu jednej pozycji sięgać natychmiast po drugą, bo życie nie czekało, wypadki zaczęły iść szybko jedne po

drugich. Wywoływało to niezadowolenie nawet wielu ludzi we własnych szeregach, którzy narzekali, że niema czasu należycie przetrawić jednego, a już się im coś nowego podaje, że w tym pędzie naprzód niema chwili odpoczynku. Wywoływało też odszczepieństwa, i ze zwolenników robili się najzaciętsi przeciwnicy.

Walkę o organizację myśli politycznej kraju zaostrzał niepomiernie udział w niej żydów, zwłaszcza tych żydów, którzy przemawiali jako Polacy. Żydzi mieli swoje porachunki z Rosją i pragnęli przedewszystkiem jej zniszczenia, co nas zresztą wcale nie dziwiło. Ale te porachunki nas nie obchodziły — myśmy mieli przed oczyma sprawę polską, a nie żydowską. Oni wszakże nie chcieli dopuścić do tego, żeby Polacy mieli swoją politykę polską, nie liczącą się z celami żydowskiemi, i używali wszystkich swoich wpływów — a mieli niemałe w różnych obozach polskich — żeby nas zwalczyć, żeby plany nasze unicestwić. Widzieliśmy, że jeżeli się wpływu żydowskiego na myśl polską nie złamie, będziemy musieli przegrać — jeszcze raz przegrać Polskę. To nas zmusiło do uzupełnienia naszej polityki akcją przeciwżydowską, jakkolwiek zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co to znaczy w dzisiejszych czasach: nietrudno było widzieć, że to prostuje naszą politykę nawewnątrz, ale ją nazewnątrz komplikuje. Jednak bez tego bylibyśmy nie zdołali polityki naszej zorganizować i nie mielibyśmy dziś Polski, a przynajmniej takiej, jaką mamy.

Był jeszcze jeden czynnik, z naszą polityką walczący, potężny, jakkolwiek dla szerokiego ogółu niewidoczny. Były to wpływy niemieckie w Polsce, nie tak silne jak w Rosji, niemniej przeto trudne do zwalczenia, nie dające się usunąć.

Wreszcie, do największych przeszkód, jakie ta nowa myśl polityczna spotykała na swej drodze, należał kierunek polityczny, który w okresie popowstaniowym

nabrał w Polsce dużego wpływu, kierunek, nazwany „ugodowym". Skupiał on ludzi, posiadających pewną kulturę polityczną, rozporządzających sporemi środkami i mających stosunki poza krajem, ludzi, mogących oddać niemałe usługi polityce polskiej. Ale kierunek ten wyrzekał się polityki ogólnopolskiej. Usiłując być trzeźwym, dalekim od wszelkich mrzonek, a nie rozumiejąc nowych czasów i nie zdając sobie sprawy z istotnego położenia sprawy polskiej, nie widział on w dziedzinie politycznej nic innego do zrobienia, jak tylko stanąć w każdym zaborze na gruncie lojalności wobec państwa, starać się o dobre stosunki z Koroną i z rządem, i tą drogą osiągać stopniową poprawę położenia Polaków. Gdyby kierownicy tego obozu byli rozumieli, że to jest rola skromna, drugorzędna,, w której można pewne usługi oddać krajowi, ale że poza tem jest coś o wiele większego, mianowicie sprawa polska jako całość i polityka, która tą sprawą musi kierować — nie byliby narobili tyle szkody. Ale oni zarówno w Krakowie, jak w Warszawie, bili w wielki dzwon, ogłaszali wyrzeczenie się wszelkich szerszych celów, a swoje wskazania podawali jako jedyne, mające się stać naczelnemi regułami kierowniczemi dla całego narodu. A nie była to tylko taktyka przybrana ze względu na obce rządy: nikt tyle wysiłków nie użył, żeby zwalczyć rodzącą się myśl polityczną w Polsce, żeby ją przedstawić jako niebezpieczne szaleństwo, nietylko przed swoimi, ale i przed obcymi. I trzeba stwierdzić, że z żadnej strony nasza polityka nie spotkała tyle przeszkód do ugruntowania się w społeczeństwie i do rozwinięcia skutecznej akcji nazewnątrz. W końcu, gdy wybuchła wojna, obóz ten do dna się rozszczepił: jedni zachowali lojalność względem Austrji, inni względem Rosji, pierwsi weszli w sojusz z organizatorami legjonów, drudzy zaś z nami. Ten obóz właśnie ponosi główną odpowiedzialność za to, że gdy

rozwój wypadków przyniósł warunki dla szerokiej akcji polskiej, skierowanej do odbudowania państwa, Polska na tę chwilę była tak słabo przygotowana. On jest odpowiedzialny za to, że dla wielu Polaków, i to w sferze kulturalnej, oświeconej, dla tych właśnie, którzy ulegali wpływowi jego nauk, odbudowanie Polski było faktem całkiem nieoczekiwanym.

Jeszcze jedno słowo.

Mówiąc o początkach nowoczesnej polityki polskiej, o założeniach, z jakich wyszła, o wysiłkach myśli i pracy organizacyjnej, które do niej doprowadziły, nie mam zamiaru sugestjonować czytelnika, że jest ona wytworem jakiegoś szczególnego politycznego genjuszu. Nie — jest ona tylko owocem bezinteresownej miłości Ojczyzny, zdrowego rozsądku, no, i trochy energji. I może najważniejszą rzeczą była tu bezinteresowność. Nakreślić sobie plan na dużą odległość i wykonywać go konsekwentnie, bez względu na to, że owocu wysiłków może się nie będzie za życia oglądało, mogli tylko ludzie, myślący nie o tem, czem oni będą, jakie stanowiska zajmą, jaką karjerę zrobią, jeno o tem, co będzie z Polską. Tej pracy, w której trzeba było zwalczać tyle przeszkód we własnem społeczeństwie, mogli się oddać tylko ludzie, nie dbający o popularność, o zaszczyty, o hołdy...

Ze wzruszeniem dziś wspominam ten długi okres pracy i ten zastęp ludzi cichych, nie rozpieranych żadnemi ambicjami, z zaparciem się siebie, często z poświęceniem dobra swych rodzin, z niebezpieczeństwem osobistem pracujących i walczących na swych placówkach, z jedyną, ale wielką nagrodą za swe wysiłki — z poczuciem, że spełniają swój obowiązek.

CZĘŚC DRUGA

OD WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ DO WOJNY ŚWIATOWEJ (1904–1914)

ROZWÓJ POLITYKI POLSKIEJ I WALKA O JEJ SAMOISTNOŚĆ

I

WOJNA JAPOŃSKA I KRYZYS ROSYJSKI

Już pod koniec 1903 roku wojnę rosyjsko-japońską uważano za nieuniknioną. Dla nas oznaczało to początek nowego okresu, otwierało widoki wznowienia kwestji polskiej.

Nie mam tu na myśli samej wojny. Dla ludzi, mających jakie takie rozumienie rzeczy politycznych, było jasnem, że wojna na Dalekim Wschodzie nie może podnieść kwestji polskiej, nie może wywrzeć na nią żadnego bezpośredniego wpływu. Wojna wszakże w owej chwili, zwłaszcza zakończona niepowodzeniem, oznaczała dla Rosji wewnętrzny kryzys polityczny, prowadzący za sobą zmianę ustroju państwa.

Już na kilka lat przed wojną absolutyzm rosyjski ujawniał silne oznaki degeneracji. Ustrój państwa psuł się szybko od samej góry. Rząd właściwie jako całość nie istniał. Istnieli poszczególni ministrowie, rywalizujący o wpływy, wydzierający sobie nawzajem władzę, intrygujący, podkopujący się jeden pod drugiego. Polityka rosyjska była wypadkową tych walk i tych intryg. Stąd brakowało jej jednolitości i konsekwencji.

Temu stanowi rzeczy sprzyjały jeszcze właściwości charakteru Mikołaja II.

Trzeba było, żeby właśnie ta krytyczna dla Rosji doba zastała na jej tronie człowieka, najmniej stworzonego na monarchę. Czuły mąż i ojciec, zajęty więcej

rodziną, niż państwem, arystokrata do szpiku kości, nawet w lepszem znaczeniu tego słowa, bo posiadający poczucie honoru i potrzeby uczciwości w polityce, ale mający wyraźny wstręt do ludzi nowych, słaby i nieśmiały, ulegający łatwo wpływom, a jednocześnie nieufny, bojący się ludzi mocnych, bo mu działali na nerwy — nie był zdolny do wytknięcia sobie jakiejkolwiek linji politycznej, a nie umiał się oddać w ręce jakiegoś jednego męża stanu, któryby tę linję mógł dać Rosji. Uginal się pod ciężarem swego fikcyjnego samowładztwa, ale uważał je za dziedzictwo, które miał obowiązek nienaruszone przekazać swemu następcy. Postawiony pomiędzy dwa śmiertelne niebezpieczeństwa, jedno idące od ulicy, drugie czyhające z wnętrza pałacu, gdyby się chciał do ulicy zbliżyć, jedno gotujące mu koniec Ludwika XVI, drugie grożące losem jego własnego prapradziadka, Pawła — żył w nieustannym strachu, nie tyle może o siebie, ile o swą rodzinę, co robiło go zamkniętym w sobie mistykiem, religijnym, a bardziej jeszcze przesądnym, kazało mu szukać oparcia poza światem widzialnym i dawało łatwy dostęp do niego szarlatanom. Jedna z najtragiczniejszych postaci na tronie — nie będąc ani złym, ani głupim, stał się Mikołaj II nieszczęściem Rosji.

Przy takim rządzie i przy takim monarsze, Rosja miała osiągnąć to, co w polityce możnaby nazwać rozwiązaniem kwadratury koła: dokładano wszelkich wysiłków, i to z niemałem powodzeniem dzięki talentowi Wittego, ażeby zrobić Rosję wielką potęgą przemysłową i handlową, jednocześnie zaś chciano zachować nietkniętym jej ustrój autokratyczny.

Chcąc obudzić i zorganizować siły gospodarcze państwa, rząd sam musiał robić rzeczy, podkopujące autokratyzm, jak np. powołanie do życia przez Wittego komitetów rolniczych w całem państwie i zażądanie od nich opinji o potrzebach gospodarczych Rosji. Właśnie te

komitety ośmieliły koła umiarkowane społeczeństwa rosyjskiego i zorganizowały ich opozycję przeciw systemowi rządzenia.

Na krótko przed wybuchem wojny ruch rewolucyjny, dążący do radykalnego przewrotu społecznego i politycznego, po względnej ciszy wzmógł się znowu, zaczęły się znów zjawiać zamachy na dygnitarzy państwowych. W tych warunkach było rzeczą niewątpliwą, że Rosja przez tę wojnę nie przebrnie bez wewnętrznych wstrząśnień i przekształceń.

Przewidując to, trzeba było mieć plan polityki polskiej, wiedzieć czego z tych zmian dla sprawy polskiej oczekiwać można, do czego się dąży, jakie drogi działania przed nami się otworzą.

Łatwo było zdać sobie sprawę z tego, że przekształcenie ustroju politycznego Rosji, zbliżające go do ustrojów zachodnich, otwiera przed nami nowe stadjum polityki polskiej, mianowicie możność uruchomienia i zorganizowania politycznego głównej części narodu, wyprowadzenia jej na widownię polityczną, zaprawienia w walce o prawa narodu i, przy niejednolitym składzie państwa rosyjskiego i wyższości cywilizacyjnej Polski nad Rosją, stopniowego uniemożliwienia, doprowadzenia do absurdu rządów rosyjskich w Polsce. Rozumieliśmy, że im prędzej to będzie szło, tem rychlej przyjdzie wznowienie kwestji odbudowania państwa polskiego.

To była jedyna droga do przebycia, droga, jedynie prowadząca do celu, o ile odbudowania Polski nie miał przyśpieszyć niezależny od nas rozwój wypadków polityki międzynarodowej.

Tak patrząc na rzecz, byliśmy zainteresowani w tem, żeby zmiana ustroju Rosji poszła jak najdalej, sięgnęła jak najgłębiej — nie w sensie przewrotu społecznego, jeno w sensie zasadniczej reformy politycznej; z drugiej zaś strony, żeby społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim

od początku tego okresu wykazało jak największą spójność, samoistność i odrębność od Rosji, żeby wreszcie zorganizowało się należycie do wydobycia z siebie po zmianie ustroju państwa jak największej energji w walce o swe prawa narodowe.

Z tego punktu widzenia najkorzystniejszą dla sprawy polskiej była w momencie przewrotu postawa wyczekująca. Przedewszystkiem dlatego, żeśmy nie biorąc udziału w ruchu rosyjskim nie wciągali się w głąb Rosji, odcinali od niej, wyodrębniali Polskę; powtóre, że pozostawiając ruchowi rosyjskiemu jego charakter wyłącznie rosyjski, zwiększaliśmy szanse jego zwycięstwa, udział bowiem Polaków w tym ruchu nieuchronnie musiał prowadzić do obudzenia i zorganizowania największej siły politycznej w Rosji — nacjonalizmu, który wzmocniłby niepomiernie rząd, broniący dawnego ustroju; potrzecie wreszcie, że ruch rewolucyjny w Polsce musiał pociągnąć za sobą represje o wiele silniejsze, niż w Rosji, represje, zwrócone nie przeciw rewolucjonistom wyłącznie, ale przeciw całemu krajowi. Przy wypróbowanej po latach 31 i 64 psychologji społeczeństwa takie represje pociągały za sobą upadek ducha, ogólne przygnębienie i bezwład na szereg lat, gdy właśnie w okresie, który się zbliżał, który miał nam otworzyć pole do politycznego czynu, trzeba było, ażeby kraj był zdolny do wykazania jak największej energji.

Jednakże, kto znał jako tako stan umysłów w Polsce, ten musiał mieć duże wątpliwości, czy tę postawę wyczekującą uda się zachować. Istniał cały szereg czynników różnego charakteru i różnej siły, który ją mógł uniemożliwić. Braliśmy je w rachubę, ale muszę przyznać, żeśmy ich siły nie docenili. Póki nasz kocioł polski stał pod przykrywą, nie widziało się dobrze, co zawiera. Gdy przykrywa spadła, zawartość jego ujawniła tyle niespodzianek, iż ludzie, którym się zdawało, że najlepiej znają społeczeństwo, szeroko otworzyli oczy. Mnie oso-

biście przyniosło to jedną z najsmutniejszych chwil w mojem życiu: musiałem nagle i o wiele obniżyć moje pojęcie o współczesnej wartości naszej jako narodu.

Królestwo Kongresowe w dobie popowstaniowej stało się przedmiotem jedynego w swoim rodzaju eksperymentu w dziejach. Przeprowadzał ten eksperyment rząd rosyjski, który zresztą nie całkiem zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Kraj z gęstością zaludnienia wyższą od Francji, przechodzący szybką ewolucję społeczną, wytwarzający całe nowe warstwy ludności, rozwijający wielki przemysł i handel — poddany został rządom ściśle policyjnym, bez cienia jakiegokolwiek samorządu miejscowego, poza gminą wiejską, bez możności tworzenia jakiejkolwiek organizacji społecznej. Niezdolni zrozumieć położenia kraju, bo sami wyrośli w stosunkach bez porównania pierwotniejszych, administratorowie kraju przeprowadzali bezwzględny zakaz stowarzyszeń, nawet naukowych, niesłychanie surową cenzurę prasy, zakaz współdziałania obywateli w jakiejkolwiek postaci, wymiany myśli w najważniejszych, najbardziej palących sprawach społecznych.

Pomijając już obniżenie pojęć, zdolności do realnego rozważania spraw politycznych i społecznych — co niezawodnie leżało w celach rządu — wynikiem tego eksperymentu musiało być silne zanarchizowanie społeczeństwa. Widzieliśmy to w pewnej mierze, dużo miejsca temu przedmiotowi poświęcaliśmy w swoim czasie na łamach *Przeglądu Wszechpolskiego*, to wszakże, co się ujawniło w czasie kryzysu rosyjskiego, przewyższało w ogromnej mierze wszystkie nasze przewidywania i obawy.

W zarysie polityki polskiej nowej doby pomijać tego nie można, bo tu właśnie tkwi źródło wielu rzeczy, które zdecydowały o charakterze naszego życia politycznego i o jego ustosunkowaniu się do głównego zagadnienia polityki polskiej — do sprawy niepodległości.

Kryzys rewolucyjny w Rosji wybuchł w całej pełni dopiero po zakończeniu przegranej wojny i po zawarciu pokoju w Portsmouth. Dopiero wtedy rząd się zachwiał i władza jego w całem państwie tak osłabła, że nie była zdolna zapanować nad sytuacją wewnętrzną. Dopiero wtedy i w Polsce wyszły na wierzch wszystkie siły do owego czasu ukryte, ujawniając rzeczywisty stan społeczeństwa.

W czasie wojny jeszcze nikt istotnego stanu rzeczy naprawdę nie znał, nikt nie wiedział, jakiemi siłami przyjdzie operować, z jakiemi się zmagać. To też, jeżeli w tym pierwszym okresie zjawiły się przeszkody do zachowania wobec wypadków postawy wyczekującej, były to przeszkody tradycyjne, wypływające z dwóch starych kierunków porozbiorowej myśli politycznej, którym przeciwstawiała się nasza polityka, pierwsza oddawna próba polityki p o l s k i e j. Jeden z nich szedł po linji powstań, drugi — po linji aktów wiernopoddańczych, zmierzających do zjednania sobie Korony i rządu obcego państwa.

Oba te kierunki, trzymające się jeszcze na powierzchni skutkiem tak powszechnego w Polsce lenistwa myśli, skutkiem niezdolności czy też niechęci do głębszego wejrzenia w stan kraju, w politykę państw rozbiorczych, wreszcie w położenie międzynarodowe, polegały na niezdawaniu sobie sprawy ze współczesnej rzeczywistości, a stąd na operowaniu fałszywemi przesłankami, na karmieniu się fikcjami.

Głównem źródłem odwagi i otuchy polityki wiernopoddańczej w Polsce było uznane za pewnik jej wielkie powodzenie w państwie austrjackiem. Ludzie, myślący jeszcze pojęciami XVIII wieku, nie rozumieli należycie źródeł ewolucji państwa Habsburgów po r. 1848, nie widzieli, że przekształcenia jego wewnętrzne były koniecznością, że z drugiej strony ustosunkowanie sił wewnętrznych w jednej połowie monarchji, grożące rozsadzeniem

państwa, zmuszało do szukania czynnika równowagi w Polakach i uprzywilejowania ich w porównaniu z innemi ludami nieniemieckiemi. To wyjątkowo korzystne położenie Polaków mogło im niezawodnie przynieść więcej, niż dostali, gdyby się byli dobrze orjentowali w położeniu i umieli organizować odpowiednią akcję polityczną. Nie licząc się nawet bardzo z chronologją wypadków, wszystkie zdobycze narodowe w Galicji wyprowadzono z przestarzałej w stylu i treści deklaracji: „Przy Tobie, Panie, stoimy i stać chcemy”. Tymczasem te zdobycze przyniosły czynniki nowe, niezależne ani od Pana, ani od stania przy nim: zostały one osiągnięte wcale nie dzięki wysiłkom polskim, bez zasługi właściwie ze strony polskiej. Jedyny w owym momencie dziejowym, a właściwie nazajutrz po nim, wielki wysiłek polski — to był wysiłek Stronnictwa Krakowskiego, jego praca nad wmówieniem całemu ogółowi polskiemu, że to wszystko jest jego zasługą. I to się w znacznej mierze udało, trzeba stwierdzić, z ogromną szkodą dla myśli politycznej polskiej.

Uczniowie i naśladowcy Stronnictwa Krakowskiego w Warszawie — od wstąpienia na tron Mikolaja II zgrupowani w obóz polityczny, mający już za sobą dziesięcioletnią akcję, która zrazu zdawała się mieć pewne, blade widoki powodzenia, która doszła do najwyższego napięcia w chwili pobytu pary carskiej w Warszawie w r. 1897 i która wtedy właśnie doznala największego niepowodzenia — sądzili, że niepomyślna wojna Rosji na Dalekim Wschodzie i początek doniosłego kryzysu konstytucyjnego w państwie, to tylko moment, w którym łatwiej będą zrozumiane oświadczenia wiernopoddańcze, łacniej spotkają się z wiarą w ich szczerość, i będą mogły pociągnąć za sobą ustępstwa dla Polaków, a może nawet początek zmiany całego systemu polityki rosyjskiej w Polsce. Fałszywie, pod wpływem nauk kra-

kowskich, rozumiejąc ostatnie pięćdziesięciolecie dziejów austrjackich i galicyjskich, nie zdawali sobie sprawy z tego, że tylko głęboka zmiana w ustroju politycznym Rosji może zasadniczo zmienić położenie Polski, że zatem zadaniem polityki polskiej jest rozumnie dążyć do tego, żeby ta zmiana jak najdalej zaszła, nie zaś stawać od początku kryzysu przy rządzie i dawać mu moralne podtrzymanie. Nietylko nie brali w rachubę względów na sprawę polską jako całość, ale błędnie rozumowali nawet z punktu widzenia polityki miejscowej, dążącej jedynie do poprawy położenia polskości w zaborze rosyjskim. Nadto od początku grzeszyli tem, iż zapominali, że wszelka akcja budzi reakcję, że ich akty wywołają w społeczeństwie o wiele silniejsze akty w kierunku przeciwnym. Prawda, że polityk, mający wiarę w swój plan działania, nie powinien się cofać z obawy przed reakcją ze strony przeciwników, ale może śmiało iść naprzód tylko wtedy, gdy obmyślił środki zwalczenia tej reakcji. Inaczej, działanie jego daje skutki odwrotne do zamierzonych i wytwarza w społeczeństwie chaos polityczny. Polityka zaś, zwana „ugodową", stała zawsze słabo ze środkami zwalczania reakcji, jaką budziła—zwalczanie to brały na siebie władze rosyjskie. To zaś ani nie było skuteczne, ani nie dodawało polityce „ugodowej" moralnej mocy.

To też głównym skutkiem wystąpień polityki wiernopoddańczej w czasie wojny japońskiej było to, że zmuszały jej przeciwników w Polsce do porzucenia postawy wyczekującej, która była w owej chwili dla sprawy naszej najkorzystniejsza.

Drugi kierunek myśli porozbiorowej, kierunek powstańczy, jakkolwiek po 64 roku ogłoszono ostateczne jego bankructwo, nie zamarł całkowicie. Idea powstania przeciw Moskalom miała zawsze dostęp do pewnego typu umysłów. Właściwie, każdy z nas, wychowanych

w uczciwej rodzinie polskiej, od jakiegoś dziesiątego roku życia był materjałem na powstańca. Tylko że ludzie bardzo rychło, w miarę jak się uczyli patrzeć i myśleć, z tego wyrastali.

Teraz, kiedy Polska wydobyla się z niewoli, kiedy istnieje państwo polskie, kiedy przestała istnieć kwestja, jak postępować względem zaborców, jak reagować na ucisk — i myśl nasza o czasach niewoli powinna się wyzwolić, wydobyć z pod ucisku. Czas już, ażeby literatura nasza o czasach porozbiorowych przestała być zbiorem namiętnych pamfletów, żeby oceniono spokojnie znaczenie historyczne i wartość polityczną naszych powstań.

Niema tu miejsca na wszechstronny rozbiór tego przedmiotu: miałbym sporo o nim do powiedzenia, bom wiele czasu i pracy myśli poświęcił na zrozumienie, czem były nasze powstania. Ograniczę się tylko do sumarycznego stwierdzenia najważniejszych punktów.

Powstania nasze były zbrojnemi protestami przeciw uciskowi, nie zaś walką o odbudowanie państwa polskiego. Żadne z nich nie miało planu tego państwa, kierownicy ich nie zastanawiali się nawet poważnie nad tem, coby zrobili w razie powodzenia.

Autorzy powstań nie liczyli się wcale z położeniem zewnętrznem i wybierali na wybuch najnieodpowiedniejsze momenty polityczne.

Wybuchały powstania wbrew woli ogromnej większości społeczeństwa, narzucane mu przez garść, przeważnie młodzieży.

Dwa główne powstania, 30 i 63 roku, przyniosły korzyść — naszym wielkim kosztem — interesom nie naszym. Pierwsze było dywersją, która ocaliła rewolucyjny Zachód od zbrojnej interwencji rosyjsko-pruskiej— tu przynajmniej nie służyło sprawie wrogów; drugie gorzej, bo umożliwiło Prusom oddalenie Rosji od Francji i związanie jej z sobą na naszą zgubę.

Skutkiem powstań położenie polityczne ziem polskich pogarszało się olbrzymiemi skokami, więzy niewoli zacieśniały się z niemożliwą w innych warunkach szybkością.

Po powstaniach następował upadek sił fizycznych i moralnych narodu, przychodziła apatja i bierność, ułatwiając wrogom niszczenie polskości. W szczególności wpływ polski na ziemiach wschodnich został skutkiem powstań w przeważnej części zniszczony.

Powstania likwidowały sprawę polską w Europie: po 63 roku została ona wykreślona z porządku dziennego spraw międzynarodowych i pokryta całkowitem milczeniem.

Wyrobiły nam one wreszcie w świecie reputację narodu, dla którego nic zrobić nie można, bo on sam dla siebie nic zrobić nie umie. Ta reputacja narodu, nie umiejącego rozumnie bronić swojej sprawy, prowadzić swoich interesów, narodu, potrzebującego obcej kurateli, była jedną z największych przeszkód teraz, w ostatniej dobie, kiedyśmy już szli naprawdę do odbudowania Polski. I dziś jeszcze, odświeżana ze złą wolą przez naszych wrogów, wiele nam ona szkodzi.

Opinja publiczna w Europie dawała nam od czasu do czasu jałmużnę sympatji lub politowania, o ile nie uważała nas za naród umarły; kierownicy polityczni postawili na nas krzyż zapomnienia; w niektórych zaś gabinetach dyplomatycznych pamiętano, że umiemy swoim kosztem oddawać usługi obcym, i regestrowano nas jako bezmózgą hołotę polityczną, którą w razie potrzeby można wyzyskać nietylko dla obcych, ale nawet dla wrogich Polsce interesów.

To też i w dobie, kiedy zdawało się, że okres powstań w Polsce należy już do przeszłości, próby wyzyskania nas ponawiały się. W czasie wojny rosyjsko-tureckiej 1877—8 roku zaczęto przygotowania powstańcze;

istniala już organizacja, tylko została przez wladze rosyjskie wykryta. Nawet później, na kilkanaście lat przed końcem stulecia, gdy się zanosiło na konflikt zbrojny Rosji z Anglją na tle rywalizacji w Azji Środkowej, zjawili się w Warszawie jacyś nieznani ludzie, przepytujący, czy nie dałoby się zrobić powstania... Tym razem żadnego już materjału na powstanie nie było. Społeczeństwo już otrząsnęło się radykalnie z dawnych form myślenia, przekształcało się szybko na nowoczesne społeczeństwo europejskie. W atmosferze zagadnień spolecznych i kulturalnych, ku którym umysły wyłącznie, nawet zbyt wyłącznie się zwróciły, idea powstańcza wygasla. Wygasla ona wszakże w ośrodkach życia polskiego, tam gdzie się nowa tworzyła Polska. W odleglejszych zakątkach coś się jeszcze tliło. Zresztą materjał na powstańców zawsze siedział na ławach gimnazjalnych — byle znalazł się kto, coby zechciał organizować. Wkrótce, w ostatnim dziesiątku stulecia zjawiła się myśl powstańcza na nowo, na łamach londyńskiego *Przedświtu*, tym razem na podłożu socjalistycznem: program powstania połączonego z rewolucją spoleczną.

Nie wiem, jakiemi drogami myśl towarzyszy z Polskiej Partji Socjalistycznej doszła do programu powstańczego, pod jakiemi wpływami to nastąpilo. Dla dziejów doby poprzedzającej odbudowanie państwa, wiadomość ta byłaby bardzo cenna, i zasłużyłby się wielce ten z nich, któryby dziś to opowiedział. To jest faktem, że program ten rozwijano, jako całkiem realny, i że po wybuchu wojny japońskiej zanosiło się najwidoczniej na to, iż partja ma zamiar przejść od slowa do czynu.

Przewidywanie tej próby czynu z jej strony było głównym powodem mej podróży do Japonji wiosną roku 1904. Byla obawa, żeby rządowi japońskiemu, wchodzącemu pewnym krokiem w sferę wielkiej polityki światowej, ale nie stojącemu blisko miejscowych spraw euro-

pejskich, ktoś z Europy nie podszepnął planu wyzyskania Polaków do zrobienia Rosji dywersji na zachodzie. Trzeba go było poinformować o istotnem położeniu Polski, o stanie sprawy naszej i o tem, jak pojmujemy zadania naszej polityki, wskazać mu, że próby w tym kierunku Polskę bardzoby drogo kosztowały, a Japonji nicby nie przyniosły. Obawy nie były płonne. Podczas mego pobytu w Tokio przybyli tam dwaj przedstawiciele Polskiej Partji Socjalistycznej w celu pozyskania Japonji dla swych planów powstańczych. Szczęściem okazało się, że rząd japoński był lepiej poinformowany o stanie rzeczy w Polsce, niżby tego można było oczekiwać, lepiej, niż niejeden rząd europejski.

Próbowałem dowiedzieć się od kierowników P.P.S., co mają zamiar osiągnąć przez ruch powstańczy w Królestwie, jak im się przedstawiają widoki jego powodzenia, jak sobie wyobrażają realne jego skutki. Usiłowałem ich przekonać, że to, co chcą zrobić, jest nonsensem i zbrodnią wobec Polski. Ani jedno, ani drugie mi się nie udało. W odpowiedzi dostałem procesję mętnych frazesów, wygłoszonych z ogromną pewnością siebie.

Ma się rozumieć, ogół nasz ani myślał o podobnych przedsięwzięciach. P. P. S. postanowiła powstanie mu narzucić przy pomocy starych, wypróbowanych metod — prowokowania władz rosyjskich i teroru, wywieranego na własnem społeczeństwie. Ani jedno, ani drugie nie było trudne: miejscowe władze rosyjskie tylko czekały, żeby je sprowokowano, ogół zaś polski w Królestwie chyba w żadnem pokoleniu nie był tak tchórzliwy, jak w tem, któremu zaczęła świtać zorza lepszej przyszłości. To ogromnie dodawało odwagi towarzyszom z P. P. S.

Od słynnego zajścia na placu Grzybowskim w Warszawie, gdzie sprowokowane wojsko strzelało do niewinnego tłumu, wychodzącego z kościoła, wypadki zaczęły iść szybko po sobie. Nie udało się wszakże nadać

ruchowi charakteru ogólnego, wszystko sprowadziło się do wystąpień partji, przedsiębranych na jej wyłączną odpowiedzialność. Społeczeństwo już nie było tak naiwne, jak w dawniejszych pokoleniach. Zresztą, firma socjalistyczna, pod którą działano, nie dodawała ruchowi popularności.

Jednakże ten ruch nie był bez korzyści, nie dla Polski, ma się rozumieć.

Rosja, mając wojnę na Dalekim Wschodzie, wojnę, jak się okazało, bardzo ciężką przy fatalnym stanie organizacji rządu i armji, przy groźnem położeniu wewnętrznem, znajdowała się niejako na łasce swego zachodniego sąsiada. Dawano jej do zrozumienia, że Niemcy mogłyby z jej kłopotów skorzystać i zapłacić jej za przymierze z Francją. To zmuszało ją do zabiegów w Berlinie o przyjazną neutralność, którą Niemcy gotowe były każdej chwili ofiarować i tanim kosztem swój wpływ w Petersburgu wzmocnić. Skończyło się tem, że Berlin dał rządowi carskiemu zapewnienie co do bezpieczeństwa na zachodniej granicy, i znów uniezależnienie się Rosji od Niemiec zostało o kilka kroków cofnięte. Ma się rozumieć, dużem dla Niemiec ułatwieniem w tej operacji były początki ruchu powstańczego w Królestwie. Powtarzała się na mniejszą skalę historja konwencji Alvenslebena.

Znów dla Niemiec! Rok 63 pracował dla Prus. Jeżeli się zważy politykę Bismarcka na kongresie berlińskim, w której zarysowały się już plany Berlina względem Turcji i Bałkanów, to powstanie podczas wojny rosyjsko-tureckiej 1877—78 roku, gdyby było doszło do skutku, także przysłużyłoby się interesom niemieckim. Teraz znów, podczas wojny japońskiej, korzyść z ruchawki w Królestwie wyciągnęły Niemcy. Więc wszelkie próby powstańcze, zaczynając od r. 63, były już tylko z korzyścią dla Niemiec. Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy to może być tylko

zbieg okoliczności—za wiele w tem było prawidłowości, za wiele konsekwencji. A nie przychodziło mi wtedy jeszcze do głowy, że będę kiedyś patrzył na legjony polskie, maszerujące obok pułków pruskich w braterstwie broni...

Tu muszę zastrzec, że nie mam zamiaru uderzać w ton jakiegoś świętego oburzenia i narzucać go czytelnikowi. Chodzi mi o to, ażeby czytający te słowa Polak nie przestał ani na chwilę chłodno, logicznie rozumować.

Głównym autorem rozbioru Polski były Prusy, i one to, jedyne z pośród trzech państw rozbiorczych, były naprawdę zainteresowane w całkowitem zniszczeniu Polski. Tej prawdy żadna sofistyka nie zatrze. Rozszerzenie się Austrji na północny wschód od Karpat nie było podyktowane żadną potrzebą państwa. Rosji były potrzebne wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, stanowiące *hinterland* jej mocnych stanowisk na brzegach morza Czarnego i Bałtyku; do dorzecza Warty, Wisły, a nawet Niemna, żadne poważne interesy państwowe jej nie pchały. Prusy swą karjerę dziejową budowały na rozszerzaniu się na ziemie rdzennie polskie, i zniszczenie całkowite Polski było głównem celem ich polityki. Był to ten z wrogów, z którym kompromis był nie do pomyślenia. On się mógł pogodzić tylko z ostatecznym pogrzebem Polski. I właśnie temu wrogowi zaczęła od pół wieku służyć myśl powstańcza, operująca hasłem niepodległości...

Zbudowawszy, w znacznej mierze dzięki brakowi mózgu politycznego w Polsce, nowe Cesarstwo Niemieckie pod swoją hegemonją, Prusy wyrosły na pierwszorzędną potęgę światową i zaciążyły nad całą środkową i wschodnią Europą, co tylko mogło im ułatwić dokończenie ostatecznej likwidacji kwesji polskiej. Przeszkodzić temu mogła tylko emancypacja Rosji z pod ich wpływów, prowadząca do nieuniknionego starcia zbrojnego między dwoma mocarstwami. I właśnie w tym okresie rozparcia się potęgi niemieckiej odgrzewana z trudnością myśl

powstańcza w Polsce pracuje konsekwentnie nad tem, żeby oddalającą się od Niemiec Rosję napowrót do nich zbliżać, jak najsilniej ją od Niemiec uzależniać.

Powtarzam pytanie: czyżby to był tylko prosty zbieg okoliczności?...

Przychodzi mi refleksja.

Mówiąc o naszych dawniejszych powstaniach i o nowszych próbach w tym kierunku, staram się oceniać ich znaczenie ze stanowiska logiki politycznej. Zapominam, że wielu ludzi u nas nie umie o tym przedmiocie myśleć spokojnie i logicznie, że na jego poruszenie reagują przedewszystkiem uczuciowo.

— Jakto, więc tyle bohaterstwa, tyle ofiarności i poświęcenia, tyle cierpień dla ojczyzny — wszystko to spotyka się z potępieniem!...

Przedewszystkiem są uczucia i uczucia.

Iluż to ludzi w trzech pokoleniach słuchało z rozrzewnieniem patrjotycznem słów pieśni:

Powstań, Polsko, skrusz kajdany —
Dziś twój triumf albo skon...

Co do mnie, to te słowa obrażają moje najgłębsze uczucia, mój zmysł moralny. Człowiek, który w tym wypadku myśli to, co śpiewa, jest przestępcą. Sama myśl o tem, że Polska może skonać, jest zbrodnią.

Wolno każdemu, może być obowiązkiem zaryzykować wszystko, co jest jego osobistą własnością, oddać majątek, przynieść życie w ofierze. Ale bytu Polski ryzykować, jej przyszłości przegrywać nie wolno ani jednostce, ani organizacji jakiejkolwiek, ani nawet całemu pokoleniu. Bo Polska nie jest własnością tego czy innego Polaka, tego czy innego obozu, ani nawet jednego pokolenia. Należy ona do całego łańcucha pokoleń, wszystkich tych, które były i które będą. Człowiek, który ryzykuje byt narodu, jest jak gracz, który siada do zielonego stołu z cudzemi pieniędzmi.

Dalej, mówię o powstaniach, jako o czynach politycznych, mówię o czynach ludzi, którzy robili politykę powstańczą. Nie mówię o tych, co się bili: to żołnierze, do których polityka nie należy. Z chwilą, kiedy poszli za wezwaniem do walki o wolność czy o niepodległość Polski, za wezwaniem tych, którym zaufali, ich rzeczą było dobrze bić się, być dobrymi żołnierzami, nic więcej. Ich nieszczęście, jeżeli źle umieścili swoje zaufanie.

Pamiętam, w początku wielkiej wojny przybył do Warszawy pułkownik rosyjski, przysłany przez szefa sztabu armji południowo-zachodniej, generała Aleksiejewa, dla rozmowy z nami w sprawie legjonu polskiego, formowanego przy armji rosyjskiej.

W trakcie konferencji, którą kilku z nas z nim odbywało, zapytałem go mimochodem:

— Panowie macie na swoim froncie legjony polskie po stronie austrjackiej. Czy aby się dobrze biją?

— Dobrze — odpowiedział pułkownik.

— To mię bardzo cieszy.

Rosjanin spojrzał na mnie zdziwiony.

— Pułkowniku — rzekłem — chciałbym, żeby Polacy zawsze się bili tylko za dobrą sprawę, ale kiedy się już biją za złą, to chcę, żeby się przynajmniej dobrze bili.

Żołnierz jest odpowiedzialny za to tylko, czy jest dobrym żołnierzem, za swą odwagę, wierność, obowiązkowość. Dowódca jest odpowiedzialny za to, jak tym żołnierzem kieruje. Polityk jest odpowiedzialny za samo użycie wojska. Mnie tu obchodzą tylko politycy, tylko organizatorowie zbrojnych poczynań. I od początku tylko nimi się zajmuję.

Czasem się mówi: „Ależ ci ludzie jak najlepiej chcieli"! Wchodzenie w intencje czynów może należeć do sądu, gdyby ta sprawa mogła przed sądem stanąć, może należeć wreszcie do księdza w konfesjonale, gdy-

by autorowie danych czynów chcieli się z nich spowiadać. Ja nie sądzę ludzi, nie mam zamiaru nakładać im pokuty, ani dawać rozgrzeszenia. Mnie obchodzą same czyny, ich wartość polityczna, to, jak sprawa polska na nich wychodziła. To przedewszystkiem musi obchodzić każdego Polaka, który ma choć trochę polskiego sumienia. I te rzeczy trzeba dobrze zrozumieć, jeżeli chcemy się na przyszłość zabezpieczyć przed gubieniem Polski przez samych Polaków.

Pewien człowiek ze starszego pokolenia opowiedział mi scenę, której był świadkiem w roku 63 na ulicy w Warszawie.

Do idącego chodnikiem mężczyzny podbiegł z tyłu młody człowiek i wbił mu nóż między łopatki. Nieszczęśliwy padł nawznak. Tamtem odwrócił się, spojrzał mu w twarz i wykrzyknął:

— Ach, przepraszam pana, omyliłem się, myślałem, że to Dąbrowski.

I pobiegł dalej, zostawiając biedaka we krwi broczącego.

Nie wiem, jak ów ugodzony przyjął te przeprosiny; to wiem wszakże, że Polska nieraz w swych dziejach porozbiorowych dostawała przez omyłkę taki nóż w plecy od samych Polaków, z tą różnicą, iż jej nie przepraszano, ale nawet kazano sobie dziękować.

W polityce trzeba nie żałować wysiłku, trzeba wszystko zrobić, żeby się nie omylić. Bo omyłka często bywa zbrodnią. Ludzie chcą kierować losami Polski, a nie mogą się zdobyć dla niej na tyle poświęcenia, żeby się czegoś nauczyć, żeby jej położenie zrozumieć, żeby głębiej zastanowić się nad wartością tego, co jej starają się narzucić. I później mówi się: „Ależ oni jak najlepiej chcieli!..."

Nie wchodzę też w intencje, ludzi którzy próbowali organizować powstanie w Królestwie w roku 1904, nie

zastanawiam się nad ich psychologją, jakkolwiek dałoby się tu sporo powiedzieć. Zajmują mię same poczynania i ich polityczny bilans. Nie jest też próżną ciekawością stawiać sobie pytanie: jakie wpływy podyktowały wejście na tę drogę? Jeżeli słuszne jest powiedzenie *is fecit, cui prodest*, jeżeli była w tem ręka niemiecka, to jaką drogą wpływy niemieckie penetrowały do Polski tak silnie? Gdybyśmy na te pytania mogli znaleźć odpowiedź, dużoby nam to pomogło i w polityce dzisiejszej, i na przyszłość.

Niestety, muszę te pytania pozostawić otwartemi, bo w przypuszczenia, nie oparte na dostatecznych danych, wdawać się nie chcę.

Zwrócę tylko uwagę na jedno.

Polska Partja Socjalistyczna należała do partyj socjalistycznych prawowiernych. Tak jak prawowierność rzymskiego katolika zewnętrznie się poznaje po tem, że uznaje on papieża za głowę Kościoła, prawowierne partje socjalistyczne uznawały za głowę Socjalną Demokrację niemiecką. Do tych należała Polska Partja Socjalistyczna, i w Berlinie uznawano jej prawowierność. Jej delegaci brali urzędowy udział w kongresach socjalno-demokratycznych. Jeżeli sobie dobrze przypominam, to był nawet jakiś proces o to. Konkurenci P. P. S. w Polsce, zdaje się, Socjalna Demokracja Król. Polskiego i Litwy, oskarżyli ją przed socjalistycznym Rzymem, t. j. przed towarzyszami niemieckiemi, o brak prawowierności, o „socjal-patrjotyzm". Oskarżenie pozostało bez skutku— towarzysze niemieccy w programie powstańczym nie widzieli dowodu braku prawowierności. Socjalna Demokracja galicyjska, tak już bez kwestji prawowierna, że pobierała subwencje od Socjalnej Demokracji niemieckiej na swój organ partyjny, krakowski *Naprzód*, ściśle związała się z P. P. S., tworząc z nią właściwie jedną partję w dwóch państwach.

Z drugiej strony, nie można było odmówić socjalnym domokratom niemieckim, że byli wcale niezłymi Niemcami: podczas wojny europejskiej wykazali oni wiele niemieckiego patrjotyzmu. Umieli nawet rozwijać akcję polityczną nazewnątrz w interesie wojującego cesarstwa, niewątpliwie w ścisłem porozumieniu z rządem. Taką wielką akcją była np. ofensywa pokojowa niemiecka w początku r. 1917 pod hasłem „pokój bez aneksyj", robota, wcale dobrze świadcząca o zmyśle politycznym socjalnych demokratow niemieckich, o ich zdolności zużytkowania swych wpływów zagranicą na korzyść państwa niemieckiego.

Socjalna demokracja niemiecka, posiadając pozycję Rzymu socjalistycznego, będąc najwyższym autorytetem w rzeczach dogmatów, miała nie formalne, ale faktyczne zwierzchnictwo nad partjami socjalno-demokratycznemi różnych krajów i była nawet dla nich rodzajem sztabu generalnego, kreślącego plany kampanji. W jej łonie realizm polityczny coraz bardziej brał górę nad doktrynerstwem, a w miarę tego postępu polityka jej stawała się coraz bardziej niemiecką. Niepodobna wymierzyć, ile owego wpływu nazewnątrz zużytkowała ona na rzecz sprawy socjalistycznej, a ile na rzecz Niemiec; to wszakże było dla mnie oddawna widoczne, że interesy niemieckie, interesy państwa niemieckiego niemałe miejsce w jej polityce zajmują.

Dużoby to wyjaśniło, gdybyśmy mogli zdać sobie sprawę, w jakiej mierze jej stosunek do socjalistów polskish, a w szczególności do Polskiej Partji Socjalistycznej, był podyktowany interesami niemieckiemi. Mielibyśmy wtedy jasno przed oczyma jeden przynajmniej z kanałów, któremi wpływ niemiecki do Polski przenikał. Czy i w jakiej mierze oddziałał on tą drogą na wydobycie złożonej już do archiwum polityki powstańczej — na to pytanie odpowiedziećby mogli tylko

kierownicy Polskiej Partji Socjalistycznej, działający w owych czasach.

Próba powstania w czasie wojny japońskiej nie udała się. Cała rzecz była tak sztuczna, tak widocznie narzucona z zewnątrz, takim była anachronizmem, że w żadnej grupie ludności nie znalazła poparcia. Nawet w łonie samej partji, która tej próby dokonała, opozycja przeciw niej stała się tak silna, że dalsze jej trwanie okazało się niemożliwe. Powstańcza prawica Polskiej Partji Socjalistycznej szybko straciła wpływ, który przechodził do lewicy, czysto socjalistycznej, stojącej na gruncie ogólnie rewolucyjnym i żądającej połączenia się z ruchem rosyjskim. Wtedy ci sami ludzie, którzy wywiesili byli sztandar niepodległości, oderwania się od Rosji, poprowadzili robotę rowolucyjną, wiażącą kraj z Rosją, czyniącą Polskę tylko jedną z gubernji rewolucyjnej Rosji i zacierającą nazewnątrz wszelką jej odrębność. Po dziś dzień pozostaje dla mnie tajemnicą, jak to jedno z drugiem kleiło się w ich umysłach.

Robota rewolucyjna w Polsce, prowadzona odtąd pod temi samemi hasłami i temi samemi metodami, co robota rosyjska, prowadzona zgodnie przez trzy partje socjalistyczne, P. P. S., Socjalną Demokrację i czysto żydowski *Bund*, miała jednak w Polsce swoje specjalne znaczenie. Rewolucja rosyjska walczyla przeciw rządowi i popierającej rząd części społeczeństwa rosyjskiego rewolucja zaś polska, a raczej polsko-żydowska w Polsce— przeciw rządowi rosyjskiemu i przeciw społeczeństwu polskiemu, które z rządem nic wspólnego nie miało, którego rząd ten był wrogiem. Niepodobna było pojąć, żeby w takiej robocie mogli brać udział ludzie, mający choć cokolwiek polskiego sumienia.

Działając w kraju z o wiele gęstszem od Rosji zaludnieniem, znacznie więcej przemysłowym i handlowym, tem samem w kraju bogatszym, ruch rewolucyjny w Polsce

wyrządzał bez porównania większe szkody gospodarcze i społeczne, niszczył przemysł i handel jak gdyby planowo, anarchizował życie, co dla życia naszego, bardziej skomplikowanego niż rosyjskie, było większem bez porównania niebezpieczeństwem. Był wtedy głos powszechny, że to jest robota dla Niemców, subwencjonowana przez Niemców, którym chodzi o zniszczenie przemysłu w Królestwie, by opanować nasz rynek i usunąć sobie współzawodnika z rynku rosyjskiego. Podcinała ta robota byt gospodarczy kraju i groziła wygłodzeniem naszej warstwy robotniczej. Dodać trzeba, że nawet autorzy socjalistyczni sami później oskarżali robotę rewolucyjną w Królestwie, w szczególności robotę Socjalnej Demokracji, że planowo niszczyła handel polski na rzecz handlu żydowskiego, który wprowadzano na miejsce handlu polskiego niesłychanie łotrowskiemi sposobami.

Wielka to szkoda, że ten moment naszych najnowszych dziejów nie znalazł dotychczas swego historyka. Za żywej jeszcze pamięci wypadków należałoby je opisać. Odsłoniły się wówczas tak ciekawe rzeczy w naszem życiu, tak ważne, takie mające znaczenie dla zrozumienia stosunków w kraju, że następne pokolenia, które tych wypadków nie były świadkami, będą wielce skrzywdzone, nie mając żadnego źródła do zapoznania się z niemi.

W owym dopiero momencie, kiedy ruch rewolucyjny w Królestwie wezbral silnie, okazało się, jak straszne skutki dla społeczeństwa polskiego pociągnęły za sobą rządy, sprawowane przez Rosjan, przez ludzi obcych, wrogo dla tego społeczeństwa usposobionych, wychowanych w całkiem odmiennej, a niższej kulturze. Moglo się wówczas zdawać, żeśmy całkiem przestali należeć do zachodniej Europy.

Nigdy w przeszłości nie było, i mam nadzieję, że nigdy przyszłość nie będzie już widziała w Polsce takiego zamętu pojęć moralnych, takich objawów moral-

nego zdziczenia, jak w owym krótkim okresie.

Granica między aktem walki politycznej a zwyczajną, ordynarną zbrodnią, między rewolucją a bandytyzmem nie istniała. To, do czego robienia w imię celów rewolucji żywioły, prowadzące akcję rewolucyjną, uważały się za upoważnione (nikt zresztą nigdy jasno nie powiedział, bo napewno nie umiałby powiedzieć, jakie były te cele), te morderstwa partyjne, te rabunki pociągów i kas, połączone z mordowaniem ludzi, uczciwie pełniących służbę, te mordy masowe zwykłych, skromnych policjantów, strzegących porządku na rogach ulic,— w oczach ludzi, którzy nie zatracili polskiej, zachodniej kultury moralnej, były poprostu czynami kryminalnemi. Okazało się, że w kraju istnieją już dwa światy moralne, pomiędzy któremi wytworzyła się głęboka przepaść pojęć.

W pierwszych chwilach wolności, kiedy można było pisać i gadać, co się komu podobało, kiedy ustała kontrola rządowa, a koła społeczne, tworzące opinję publiczną, bądź wystraszone zamilkły, bądź zgłuszone były przez wrzask, zapełniający nasze zażydzone miasta, a zwłaszcza Warszawę — tyle wylazło na wierzch zwyrodnienia moralnego, idącego w parze z pretensjonalną ciemnotą, że dziś jeszcze rumieniec wstydu za Polskę występuje na twarzy, gdy się te czasy wspomni. Te „wiece uświadamiajace", na których *minorum gentium* literaci i literatki, pół-warjaci, pół-przestępcy, razem z przedwcześnie dojrzałemi, moralnie wykoszlawionemi dziećmi, promenowali publicznie swój bezwstyd, były czemś, wobec czego ludzie zdrowi i przytomni przecierali oczy, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się w Polsce. Równolegle z tem — orgja nonsensów politycznych, wylewanych na wiecach, w artykułach i broszurach: bukiet kwiatów wolności polskich i rosyjskich, związanych razem nitką żydowską...

Uczuciem ludzi cywilizowanych, czy to wykształco-

nych, czy prostych, była rozpacz, zwątpienie o naszej wartości, jako społeczeństwa zdolnego do życia. I powszechna była świadomość, że to wynik osłabienia polskiej samoistności cywilizacyjnej, wynik działania wpływów żydowskich i rosyjskich.

Jednakże społeczeństwo w głównej swojej masie okazało się niezniszczonem moralnie, zdrowem i zdolnem do reakcji na to wszystko. Nawet w klasie robotniczej, która wyrastała w kraju w najniezdrowszych warunkach, bo żyjąc w wielkich ogniskach przemysłowych, pod wszystkiemi ich nieprzyjaznemi wpływami, pozbawiona była najelementarniejszych instytucyj, które w krajach przemysłowych istnieją i te nieprzyjazne wpływy w mniejszej lub większej mierze paraliżują — ruch rewolucyjny nie zdołał zagarnąć większości. Większość, przeciwnie, do walki z nim się zszeregowała.

A przedewszystkiem chłop, ten wielki rezerwoar sił narodu, najmniej wystawiony na wpływy czy to obcych rządów, czy żydowstwa, zalewającego miasta — pozostawał nietknięty w swym ustroju moralnym, z nienaruszoną swą tradycyjną równowagą, idąc powoli, ale równomiernie naprzód w przystosowywaniu się do nowoczesnego życia, w rozszerzaniu swych pojęć i uświadamianiu sobie swych obowiązków obywatelskich.

Zaznaczył on się w dwóch czynach, do których powołaliśmy go w owej przełomowej dobie: z początku w walce o język polski w gminie, do której poszedł z ogromną gotowością i spokojem, a która objęła większą część gmin w Królestwie; następnie, w momencie największego rozpasania orgji rewolucyjnej w r. 1905 — na pierwszym ogólnym zjeździe włościan Królestwa Polskiego w Warszawie, na którym wyraził stanowczo swe przywiązanie do Polski, do ładu społecznego, gotowość do obrony praw narodu. Te dwa fakty miały ogromne znaczenie, bo przyczyniły się bardzo do wzmocnienia

w społeczeństwie poczucia wiary w siebie, w przyszłość Polski, podniosły jego energję w walce przeciw anarchji, przeciw czynnikom rozkładu.

Dzięki tej walce, której kierownictwo główne ująłem był w swoje ręce, a która była trudna, bo prowadzona jednocześnie przeciw rządowi i przeciw rewolucji, gdyż ludzie, którzy jej służyli, byli z jednej strony mordowani przez agentów rewolucji, z drugiej — zamykani w więzieniach przez władze rządowe, dzięki tej walce, powtarzam, naród prędko wziął górę nad przeciwnarodowemi czynnikami rozkładu, i poczuliśmy się wreszcie w Polsce.

Można było już mieć nadzieję, że z rozpoczęciem nowego okresu w państwie rosyjskiem, po wprowadzeniu w niem instytucyj, zbliżających je do Europy zachodniej, nie będziemy mieli potrzeby mozolnego, powolnego wydobywania polskiej myśli politycznej z mętów rewolucji ogólno-rosyjskiej, ale że od pierwszej chwili staniemy jako naród polski, mający swe własne drogi dziejowe i ze świadomością idący do swych odrębnych celów. I już widzieliśmy, że jakkolwiek kraj od ruchu rewolucyjnego wiele ucierpiał, to jednak zachował podstawy siły gospodarczej i moralnej, a z niemi zdolność do walki o swe prawa, o sprawę polską, zdolność, ma się rozumieć, uwarunkowaną poziomem jego kultury politycznej.

Organizacja polityki polskiej, jak ją rozumiałem, polityki, która miała skorzystać z przewrotu w Rosji dla sprawy polskiej, jako całości, która, nie wiążąc się niczem z polityką obozów rosyjskich, idąc śmiało naprzód, miała przygotować grunt do przeniesienia kwestji polskiej na teren międzynarodowy — napotkała na ogromne przeszkody w samym stanie umysłów społeczeństwa.

Pomijając już anarchję, o której wyżej była mowa i nad którą w dużej mierze udało się zapanować, i we-

wnętrzne rozbicie moralne na dwa odrębne światy pojęć, które zdawały się nie mieć nic z sobą wspólnego — trzeba stwierdzić, że rządy rosyjskie bezwzględnego ucisku cofnęły to społeczeństwo w pojęciach, i przy braku wszelkiego ćwiczenia, nie pozwoliły na wyrobienie się energji politycznej, którą w innych wyrunkach to społeczeństwo niezawodnie umiałoby w sobie wykształcić.

Jednocześnie, pomyślne życie gospodarcze, rozwój przemysłu i handlu, odbywających się w dzikich warunkach politycznych, nie dających w najmniejszej mierze szkoły życia obywatelskiego, nie nakładających żadnych obowiązków obywatelskich, wytworzył ogarniającą szerokie koła atmosferę cynicznego materjalizmu, obojętnego całkiem na sprawy publiczne, zdolnego tylko wtedy niemi się zainteresować, gdy otwiera się pole do zrobienia osobistej karjery.

Najlepsze moralnie koła warstwy oświeconej, z nielicznemi wyjątkami, stały na bardzo niskim poziomie pojęć politycznych, posiadały niesłychanie małą znajomość rzeczy politycznych wogóle, a polskich w szczególności. Położenie kraju tak je zatrzymało, a nawet cofnęło w rozwoju politycznym, że gdy nastąpił kryzys rosyjski, ogromna cześć naszej inteligencji przeszła recydywę „wiosny ludów" ze wszystkiemi jej naiwnemi złudzeniami. Wyidealizowała sobie ona liberalny ruch rosyjski tak, że trudno było jej umysły i serca od niego oderwać. Dotknęło to nawet wielu ludzi z silnem poczuciem polskiem. Była to bardzo poważna przeszkoda dla organizacji samoistnej polityki polskiej.

Ciążenie szerokich kół ku ruchowi rosyjskiemu stało się tem silniejsze, że partja konstytucyjna rosyjska rzuciła hasło autonomji Królestwa Polskiego, które podchwycone zostało u nas w całym kraju, które i nasz obóz wysunął jako postulat polski w owej dobie, aczkolwiek nie był on właściwą odpowiedzią na nasze aspiracje i nie

wszyscy wierzyliśmy w jego urzeczywistnienie. Należało je wszakże wystawić: był to jedyny sztandar do walki prawnej o sprawę polską w państwie, zaczynającem się na państwo prawne przekształcać.

Warunki również, w których żył kraj, sprawiły, że w umyslach społeczeństwa, zupełnie pod tym względem surowego, z ogromnym trudem przyjmowalo się zrozumienie metod politycznego działania. Nigdym przedtem nie przypuszczał, żeby w tym względzie postęp był tak trudny. Pomimo wytężonej w tym kierunku pracy, najelementarniejsze pojęcia o taktyce walki politycznej nie przyjmowały się. To społeczeństwo znało tylko dwie metody: albo protest przeciw krzywdom, albo pozyskiwanie sobie względów tych czynników, od których można coś dostać. Bo tylko tych dwóch metod można się nauczyć w szkole niewoli.

Wreszcie, dla nadania powagi wystąpieniom politycznym polskim, na dowód, że za niemi stoi społeczeństwo, jego koła wpływowe, trzeba było czasami wysuwać na front ludzi z nazwiskami, starszych, zajmujących znaczące stanowiska w życiu kraju. Tymczasem, ci ludzie starsi, wyniesieni na stanowiska w życiu, w którem politycznie nic się nie działo, ani w umysłach swoich, ani tem bardziej w charakterach, nie mieli naogół nic, coby ich uzdalniało do działania politycznego. Trzeba było wybierać między dwiema drogami: albo polityka czynna, reprezentowana przez ludzi bez stanowisk, bez głośnych nazwisk, a przeto okrzykiwana za samozwańczą, albo polityka zewnętrznie autoryzowana, oparta na ludziach z poważnemi stanowiskami, ale bezwładna.

Następujący epizod z owych czasów najlepiej zilustruje te trudności.

W roku 1905, po znanym manifeście październikowym, którym rządy autokratyczno-policyjne zostały poważnie nadłamane, zorganizowaliśmy deputację od kraju

do prezesa ministrów, Wittego, w celu zrobienia wyłomu w rządach rosyjskich w Królestwie. Do deputacji tej powołaliśmy ludzi z możliwie poważnemi znanemi nazwiskami. Mieliśmy zażądać spolszczenia szkoły państwowej wszystkich stopni.

Zaczęło się od tego, że liczne zgromadzenie, z najbardziej znanych ludzi w kraju złożone, które nas miało do działania upoważnić, uznało proponowany program deputacji za zbyt skromny, i na wniosek pewnego ziemianina, kazało nam żądać dla Królestwa konstytuanty z powszechnem, równem, tajnem i bezpośredniem głosowaniem. Owe powagi, z których składała się deputacja, nie umiały się oprzeć temu nierealnemu całkiem w owej chwili nakazowi, brakowało im do tego odwagi cywilnej; w opozycji przeciw niemu byłem odosobniony.

Z tym więc nakazem pojechaliśmy, postanawiając go wykonać formalnie, ale w duszy sobie mówiąc, że będziemy to uważali za wielki sukces, jeżeli wyrwiemy rządowi na razie szkołę.

Na jednej ze stacyj przed Petersburgiem przyniesiono ranne gazety, z których dowiedzieliśmy się, że rząd zaprowadził w Królestwie stan oblężenia. Tak rząd rosyjski skorzystał z ruchu rewolucyjnego w Królestwie, żeby nas na wstępie nowego okresu w działaniu politycznem sparaliżować. Nawiasem mówiąc, ten stan oblężenia w złagodzonej postaci trwał aż do wybuchu wielkiej wojny. Bez niego rządów w Polsce sobie nie wyobrażano.

W deputacji zapanował popłoch. Powstało pytanie, czy możemy wobec tego iść do Wittego. Napróżno ja i moi przyjaciele polityczni przekładaliśmy, że tem bardziej iść trzeba, że naszym obowiązkiem jest mu powiedzieć, co o tym kroku rządu myślimy. Całe trzy dni siedzieliśmy w Petersburgu i dyskutowaliśmy, pójść czy nie pójść; w końcu większością głosów zdecydowano wracać do Warszawy bez widzenia Wittego.

Najciekawsze było to, że Witte na deputację czekał, miał bowiem wątpliwości, czy rząd w Królestwie idzie właściwą drogą, i chciał z miarodajnych ust polskich usłyszeć zdanie w tej sprawie, zdanie, które mógłby odpowiednio zużytkować. Notable kraju wszakże nie mieli odwagi stanąć przed głową rządu rosyjskiego w warunkach, w których trzeba było mówić rzeczy dla rządu nieprzyjemne.

Gdy ktoś wskazał Wittemu mnie, jako człowieka, który mu wypowie otwarcie pogląd na położenie w Królestwie, i gdy mi zaproponowano, żebym do niego nieoficjalnie poszedł, zgodziłem się bez wahania. Odbyła się bardzo ciekawa rozmowa, znakomicie charakteryzująca stan kwestji polskiej w państwie rosyjskiem.

— Co, zdaniem pańskiem, trzeba zrobić — zapytał na wstępie Witte — żeby zapanował spokój w Królestwie Polskiem?

—Oddać władzę w ręce Polaków—odpowiedziałem.

—Dlaczego?

—Bo tylko rząd, oparty o społeczeństwo i korzystający z jego współdziałania, może zaprowadzić istotny ład w kraju.

Witte wtedy zaczął mi dowodzić, że oddanie rządu w Królestwie w ręce polskie jest niemożliwe. Niemożliwe jest oddać władzę nad wojskiem w najważniejszym okręgu na zachodniej granicy w ręce nierosyjskie, a zresztą nawet Polaka z tak wysokiemi kwalifikacjami wojskowemi armja rosyjska nie posiada. Jeżeli zaś oddzielić władzę cywilną od wojskowej i pierwszą oddać w ręce polskie, to, przy znanej psychologji Polaków i Rosjan, nazajutrz wybuchnie konflikt pomiędzy władzą cywilną, a wojskową.

Nie można zaprzeczyć, że było to rozumowanie wcale logiczne. Nie podjąłbym się dowodzenia, żeby mogło być inaczej, tem bardziej, że sam byłem scepty-

kiem co do możliwości autonomicznego ustroju Królestwa w państwie rosyjskiem.

W odpowiedzi tedy poddałem ostrej krytyce rządy Królestwa, sprawowane przez Rosjan, starając się wykazać, że muszą one nieuchronnie prowadzić do katastrof. Wittemu ta krytyka widocznie trafiała do przekonania, o czem zresztą świadczy sposób, w jaki znaczną jej część przytoczył w swych pamiętnikach, które niedawno ukazały się w druku (tom II). Z rozmowy naszej przytoczył on tylko tę krytykę, ale muszę stwierdzić, że powtórzył ją wcale ściśle — jeżeli znalazłem w paru punktach pewne przeinaczenie mej myśli, to niezawodnie mimowolne.[1]

Konkluzją tej rozmowy, konkluzją zamilczoną było, że ani rządy rosyjskie, ani rządy polskie w kraju polskim, należącym do Rosji, nie są możliwe, że zatem o rozwiązaniu kwestji polskiej w granicach państwa rosyjskiego nie może być mowy. Nie mógł takiej konkluzji zrobić rosyjski prezes ministrów, ja zaś uważałem, że jeszcze nie przyszedł czas na jej wypowiedzenie.

A teraz epilog.

[1] Około tej rozmowy z Wittem lewica nasza usiłowała wytworzyć legendę. Powracała ona do niej od czasu do czasu w swej prasie aż do wybuchu wielkiej wojny. Stale powtarzano, żem popierwsze obiecał Wittemu wyrznąć socjalistów w Polsce, powtóre zaś, że Witte nie traktował tej rozmowy na serjo i żartował sobie z niej. Podczas wielkiej wojny nawet w zagranicznej prasie socjalistycznej znalazły się echa tej legendy. Nie odpowiadałem na to, bo mię niewiele obchodziło, co o mnie piszą. Dziś, gdy ukazały się pamiętniki Wittego, każdy może widzieć, że nie byłem u niego ani w celu kupienia sobie władzy, ani w celu zapłacenia za nią wyrznięciem socjalistów, że wreszcie byłem jedynym z Polaków, który, jak sam Witte to przyznaje, powiedział mu w owym momencie coś sensownego, i że cała legenda była złośliwem kłamstwem. Dodać trzeba, że po tej rozmowie Witte, jak sam to mówi w pamiętnikach, chciał znieść stan oblężenia w Królestwie, ale generał-gubernator warszawski się temu sprzeciwił.

Wracając z Petersburga z kolegami z niedoszlej do skutku deputacji, siedziałem w przedziale w towarzystwie, złożonem głównie z członków t. zw. grupy ugodowej, która się wówczas przygotowywała do wystąpienia jako stronnictwo polityki realnej.

Streszczałem im swą rozmowę z Wittem. Jeden z głównych przedstawicieli tej grupy, który później zajął bardzo wysokie stanowisko w kraju, zapytał mię:

— A gdyby rząd zgodził się oddać władzę w ręce Polaków, to któżby ją wziął?

— Najlepiejby było — odpowiedziałem — gdybyście wy ją wzięli, jako posiadający zaufanie rządu. Mybyśmy z wami współdziałali przez swój wpływ na społeczeństwo.

—Mybyśmy nie wzięli. To za duża odpowiedzialność.

Do rozmaitych tedy osobliwości życia polskiego należało i to, że była w Polsce taka polityka, która się uważała za jedyną realną, która silnie zwalczała przeciwników, ale która, z obawy przed odpowiedzialnością, wyłączała wzięcie władzy. Godziła się tedy nietylko na należenie Polski do Rosji, ale nawet na to, że władza w Polsce pozostanie w rękach Rosjan.

II

POCZĄTKI PARLAMENTU ROSYJSKIEGO

Dla szybkiego rozwoju sprawy polskiej w tej nowej fazie, w którą ją wprowadził przełom konstytucyjny w Rosji, potrzebne było, żeby nowe instytucje parlamentarne jak najprędzej swój byt utrwaliły i żeby polityka polska możliwie mało czasu straciła na zorjentowanie się w położeniu i na wybór dróg działania.

Pierwsze zależało od Rosji, drugie od nas.

Warunki w Rosji dla utrwalenia się nowego ustroju nie były przyjazne. Reformy były dane niechętnie, były wymuszone. Najliberalniejszy z ludzi rządzących Rosją, właściwy autor manifestu październikowego, Witte, wkrótce został odsunięty od władzy i czekano tylko sposobności, żeby poczynione ustępstwa zredukować. Przeszkodą do tego mogła być mądra polityka obozu liberalnego, który miał w państwie ogromną siłę. Gdyby ten obóz był posiadał jasny cel, gdyby był wiedział dobrze, dokąd chce iść i gdzie się chce zatrzymać, gdyby był w obronie swego stanowiska umiał stworzyć front nietylko na prawo, ale i na lewo, gdyby był umiał go bronić nietylko przeciw reakcji, ale i przeciw nie znającej kresu swych dążeń rewolucji, gdyby był wreszcie zadokumentował należycie swój patrjotyzm — zwycięstwo parlamentaryzmu byłoby niezawodne.

Niestety, partja konstytucyjno-demokratyczna, która w następstwie przybrała nazwę partji „wolności ludu", a którą popularnie zwano „kadetami", była partją inte-

ligencji, nie umiała się nigdy starać o bezpośredni wpływ na masy i wpływu tego nie posiadała. Należał ten wpływ do partyj, przedstawiających daleko idący, nie zdający sobie sprawy z granic możliwości radykalizm społeczny. „Kadeci" znajdowali się na łasce tych partyj; gdyby się im chcieli należycie przeciwstawić, byliby zmieceni. Musieli tedy z niemi politykować, podtrzymywać swe stanowisko demagogją w samej Dumie.

Partja „kadetów" była uzależniona finansowo, a niezawodnie i na innych drogach, od żydów. Uzależnienia tego nie starała się nawet ukrywać, wysuwała osobistości żydowskie na czoło i żydzi w znacznej mierze dyktowali jej linję postępowania. Żydzi zaś byli zawsze i wszędzie bardzo złymi politykami. Ilekroć w jakimkolwiek kraju dochodzili do wielkich wpływów, zawsze błędami swego postępowania doprowadzali do tego, że wszyscy się przeciw nim zwracali i karjera ich kończyła się katastrofą. Oni przedewszystkiem byli zainteresowani w gruntownem przekształceniu ustroju politycznego Rosji i powinni byli dbać o to, żeby nie budzić w społeczeństwie rosyjskiem sił, które doprowadzą do reakcji. Wiedzieli z doświadczenia, jak łatwo jest z tego społeczeństwa wydobyć antysemityzm i skrajny nacjonalizm. W ich interesie tedy było pozostawać w cieniu, oddając front samym Rosjanom. Tymczasem oni nietylko sami się na front wysunęli, ale swą chełpliwością i prowokowaniem rosyjskich uczuć narodowych robili, co można, żeby jak najsilniejszą reakcję wywołać. Dzięki też nim partja „kadecka" zdobyła sobie reputację partji niepatrjotycznej.

Wreszcie, Rosja liberalna, reformistyczna, nie miała człowieka. Byli wśród niej ludzie i bardzo inteligentni, i utalentowani, zasobni w wiedzę polityczną, ale nie znalazł się do stanięcia na czele duży charakter, człowiek mocny, z odwagą, zdolny wziąć na siebie odpowie-

dzialność, z uporem i konsekwencją idący do celu. W tych warunkach partja „wolności ludu" okazała się niezdolną do utrwalenia parlamentaryzmu rosyjskiego, do pokierowania Dumą, i jej wielka karjera bardzo prędko się skończyła. Po rozwiązaniu pierwszej Dumy, istotnie niezdolnej do życia, po ogłoszeniu lekkomyślnej odezwy wyborskiej, pachnącej zdradą stanu, utrzymała się ona jeszcze niejako w drugiej Dumie; po rychłem zaś rozwiązaniu i tej, miejsce jej w kierownictwie parlamentu zajęła partja „październikowców", idąca na duże kompromisy z żywiołami reakcyjnemi w celu umożliwienia sobie współpracy z rządem. Jakkolwiek najkulturalniejsza z partyj rosyjskich w metodach postępowania, dla sprawy polskiej, biorąc z szerszego stanowiska, była ta partja największą przeszkodą. W niej się skoncentrowali wszyscy Niemcy, działający jako Rosjanie, i do niej grawitowali otwarci politycy niemieccy w Rosji. Kierownictwo październikowców oznaczało dążenie do umiejętnego, możliwie poprawnego likwidowania sprawy polskiej, z drugiej zaś strony — do poprawnych stosunków z sąsiadem niemieckim. Jednakże i wśród znacznej części ludzi, do tej partji należących, pod wpływem rozwoju wypadków zewnętrznych, odbyła się w następstwie ewolucja w kierunku przeciwniemieckim.

Na tym to ruchomym terenie Polacy mieli rozwinąć swoją akcję polityczną. Zadanie to było trudne, tem bardziej, że od początku niepodobna było tej akcji poprowadzić jednolicie, według określonego planu, ze względu na różnorodność żywiołów, składających się na naszą armję polityczną.

Rząd widział, ma się rozumieć, niebezpieczeństwo wynikające dla jednolitości państwa z udziału Polaków w parlamencie rosyjskim. Zaraz też w pierwszych projektach ustawy o Dumie i ordynacji wyborczej dał Królestwu Polskiemu przedstawicielstwo nieproporcjonalnie małe

w stosunku do jego ludności. W ustawie definitywnej zostało ono znacznie powiększone, jakkolwiek pokrzywdzenie Królestwa w tym względzie, w porównaniu z resztą państwa, nie zostało całkowicie usunięte. Powiększenie to było wyłącznie wynikiem starań Polaków, mających osobisty dostęp do cesarza, w szczególności Władysława Wielopolskiego. Królestwo dostało 36 mandatów, z których dwa odpadały na rzecz Litwinów w gubernji suwalskiej. Poza tem była możność wyboru pewnej liczby Polaków w Krajach Zabranych; w szczególności gubernja wileńska była pewna; od początku do końca całe jej przedstawicielstwo (z wyjątkiem specjalnych mandatów kurjalnych, zastrzeżonych ustawą dla Rosjan, po jednym pośle od gubernji i od miasta Wilna) składało się z Polaków. Kładę na to nacisk, bo to jest najlepszy plebiscyt. Jeżeli taki wynik dawały wybory pod nieprzyjaznym rządem rosyjskim, który czynił wszystko, co można, żeby tej ziemi odebrać oblicze polskie, to czyż można znaleźć lepszy dowód, że to jest ziemia najniewątpliwiej polska?...

W Królestwie obrona kraju przed anarchją i walka o jego polskość w okresie rewolucji dała taką popularność obozowi demokratyczno-narodowemu, że na wybory stał się on niepodzielnym panem sytuacji we wszstkich okręgach. Jeżeli przeszło kilku posłów, do tego obozu nie należących, to tylko dlatego, że stronnictwo demokratyczno-narodowe dobrowolnie ich kandydatury postawiło i przeprowadziło. Opozycja ze strony obozu „postępowego", będącego niejako ekspozyturą stronnictwa „kadetów", wystąpiła tylko w miastach, w Warszawie i Łodzi, co było możliwe jedynie dzięki większej liczbie ludności żydowskiej w tych okręgach; jednak opozycja ta została pobita.

Zdawałoby się, że taka jednolitość przedstawicielstwa, złożonego z jednego właściwie stronnictwa, była idealnym warunkiem do poprowadzenia jednolitej, konsekwentnej

polityki. Jednolitość ta wszakże była tylko pozorna. Stronnictwo demokratyczno-narodowe zbyt szybko urosło. Z niewielkiej grupy kilkuset ludzi, prowadzących tajną pracę polityczną przed wybuchem wojny japońskiej, zamieniło się ono w ciągu dwóch lat, a właściwie nawet w ciągu ostatniego półrocza, w tłumny obóz, tak panujący w kraju, że wszelka opozycja przeciw niemu stanowiła znikomą siłę. Trzeba zaś pamiętać, że i w tej pierwotnej grupie ludzi tylko pewien odsetek głębiej rozumiał myśl polityczną *Przeglądu Wszechpolskiego*. Ludzie nowi, którzy zapełnili kadry stronnictwa, byli to ludzie najlepszych chęci, gotowi do bezinteresownej służby ojczyźnie, często zdolni, ale ludzie surowi, nie pogłębieni w pojęciach politycznych, ludzie, którzy nie przemyśleli wespół z nami zagadnień polityki polskiej, którzy dróg naszych zrozumieć nie byli zdolni. Przyjmowali oni nasz program bez przetrawienia, instynktownie szli często we wręcz przeciwnym kierunku. Wielu z nich przechodziło wówczas spóźnioną gorączkę „wiosny ludów" i idealizowało sobie liberalną Rosję. W metodach postępowania politycznego mieli tylko to, co dała szkoła niewoli. W owej chwili we własnym obozie poczułem się człowiekiem prawie obcym.

A nie trzeba zapominać, że do stronnictwa, któremu nagle się powiodło, przystaje zawsze pewna liczba ludzi, szukających karjer: było też niemało takich, co sobie obiecywali, że kraj zdobędzie autonomję, że stronnictwo będzie obsadzało urzędy i porobi ich dygnitarzami. Ci byli najsurowsi w ekskluzywności partyjnej, żądali najściślejszego bojkotu przeciwników politycznych.

Ludzie, reprezentujący myśl polityczną obozu, musieli nadludzkich wprost wysiłków używać, żeby ta myśl na skutek zbytniego powodzenia stronnictwa nie zatonęła.

Pierwsze próby akcji polskiej na terenie odnowionego państwa rosyjskiego przyniosły wielki zawód — i społeczeństwu, włącznie z szerszemi kołami stronnictwa

demokratyczno-narodowego, i nam, którzyśmy usiłowali tą akcją kierować.

Społeczeństwo oczekiwało natychmiastowych realizacyj: liczyło ono na autonomję Królestwa i spodziewało się ją każdej chwili dostać. Myśmy w autonomję nie wierzyli, a jeżeli niektórzy z nas przypuszczali możliwość jej osiągnięcia, to bardzo rychło, przyjrzawszy się nowej Rosji, zrozumieli, że tej możliwości niema. Naszym celem było stworzenie poważnego przedstawicielstwa polskiego w państwie rosyjskiem, któreby swem postępowaniem zmusiło Rosję do liczenia się z Polską i któreby dla Polski zdobyło stopniowo nazewnątrz znaczenie czynnika polityki europejskiej. Wytrwałą walką polityczną w państwie rosyjskiem spodziewaliśmy się odzyskać dla kwestji polskiej utracone po roku 64 miejsce na terenie międzynarodowym.

Społeczeństwo musiał spotkać zawód przedewszystkiem z dwóch przyczyn. Przełom w państwie carów doprowadził do poważnych zmian prawno-politycznych, ale nie wyrwał władzy z rąk tych sfer, które Rosją przedtem rządziły, skutkiem czego cele polityki państwowej pozostały bez zmiany. Powtóre, nowe siły polityczne, które wtargnęły do parlamentu i w nim zapanowały, nie interesowały się wcale kwestją polską, raz dlatego, że jej nie rozumiały, i że była im ona na ogół obojętna, powtóre, że były całkowicie pochłonięte palącemi zagadnieniami czysto rosyjskiemi, z któremi rady dać sobie nie umiały. Wprawdzie „kadeci" wprowadzili do swego programu autonomję Królestwa Polskiego, ale był to z ich strony jedynie krok taktyczny, uczyniony w celu pozyskania sobie Polaków do wspólnej walki przeciw rządowi. Mieli oni nawet nadzieję, że przedstawicielstwo polskie wprost pomnoży szeregi ich stronnictwa w Dumie. Jedną z ich wielkich abmicyj było wykazać, że są zdolniejsi od reakcyjnych rządców państwa do scen-

tralizowania Rosji i podporządkowania wszystkich grup narodowych panującemu narodowi rosyjskiemu.

Nas spotkał zawód nie od Rosji, bośmy od niej niczego nie oczekiwali, ale od samego społeczeństwa polskiego. Okazało się, że niema w niem materjału na stworzenie takiego przedstawicielstwa w państwie, jakieśmy chcieli widzieć, że trzeba długo czekać, aż się odpowiednie siły wyrobią, i wiele napracować, ażeby dla polityki takiej, jak ją pojmowaliśmy, wykształcić w społeczeństwie zrozumienie.

Polityka Koła Polskiego w pierwszej Dumie da się streścić w jednem zdaniu: pozyskiwanie sobie „kadetów" w celu dostania od nich autonomji. Pod względem metody nie różniła się ona niczem od polityki t. zw. „ugodowców". Różnica tylko była w przedmiocie zabiegów, który tu był większy od tego, o co zabiegali „ugodowcy", i w tem, że tam zabiegano u rządu, a tu u „kadetów". Słowem, w charakterze swoim była to ta sama polityka „ugodowa", że już pozostaniemy przy tym, niezupełnie udatnym terminie. Bo, jak już powiedziałem, szkoła niewoli innych metod nauczyć nie mogła.

Dla naszej nielicznej garści, przy naszych zamiarach, ta polityka w pierwszej Dumie była ogromną degradacją przedstawicielstwa polskiego. Nie mogliśmy się jej publicznie wypierać, bo toby nie prowadziło do żadnego celu. Chcąc nie stracić możności zrobienia czegoś na przyszłość, trzeba było nawet jej bronić.

Najwięcej gryzł się tem twórca pierwszych podstaw nowoczesnej polityki polskiej, Popławski. Żałował, że opuścił Lwów, że razem ze mną i Balickim przeniósł się do Warszawy. Dowodził, że dla smutnych wyników, jakie tu osiągamy, poświęciliśmy za wiele: zamknęliśmy *Przegląd Wszechpolski*, który przez dziesięć lat swego istnienia zdołał tyle zrobić dla pogłębienia myśli politycznej polskiej i dla wytworzenia we wszystkich trzech zaborach zastępu

ludzi, związanych wspólnem pojmowaniem zadań polityki polskiej; oddaliliśmy się od terenu działania w dzielnicach zachodnich, gdzie już widzieliśmy dotykalne skutki naszej pracy: w Galicji — w znacznem już odaustrjaczeniu życia politycznego, w podniesieniu jego tonu narodowego, w szczególności we wschodniej części kraju; w zaborze zaś pruskim — przedewszystkiem w wyzwoleniu Górnego Śląska z pod komendy niemieckiego centrum, oraz w obaleniu przestarzałej zasady, według której organizacja polityczna Polaków winna obejmować tylko ziemie, zagarnięte w ciągu rozbiorów, tylko Poznańskie, Prusy Zachodnie i Warmję; to pociągnęło za sobą objęcie organizacją wszystkich Polaków w państwie pruskiem: Górny Śląsk wszedł do wspólnego komitetu wyborczego i do Koła Polskiego w Berlinie[1].

Jednakże klucz do kwestji polskiej leżał w państwie rosyjskiem; polityka, prowadząca do jej rozwiązania, musiała się przedewszystkiem oprzeć na dzielnicy, obejmującej główną część narodu. Błąkający się po pewnych głowach pogląd na Galicję, jako na Piemont polski, był absurdem. Bez należytego zorganizowania polityki polskiej w państwie rosyjskiem o polityce ogólno-polskiej nie mogło być mowy. Nie wolno więc było zrażać się niepowodzeniami i pozostawiać tego terenu żywiołom, które z zadań polityki polskiej nie zdawały sobie sprawy.

Jeżeli Koło Polskie w pierwszej Dumie nie umiało zająć stanowiska, należnego przedstawicielstwu narodu polskiego, to przyczyny tego były wcale zrozumiałe. Przedewszystkiem teren był bardzo trudny. Ta Duma nie była jeszcze parlamentem: to był raczej wielki wiec rewolucyjny, opanowany psychologją tłumu. „Kadeci" i ich sprzymierzeńcy z lewej strony panowali w niej niepo-

[1] Ta zmiana, na którą już wielki był czas, później, po wybuchu wojny europejskiej, umożliwiła nam właściwe postawienie kwestji polskiej i programu granic zachodnich.

dzielnie: innym grupom pozostawało podporządkowanie się lub protesty. Przedstawicielstwo polskie składało się przeważnie z nowicjuszów w polityce. W części byli to ludzie, wyrośli w pracy tajnej i do wystąpień publicznych nie mający ani przygotowania, ani temperamentu. Ci, mając silne poczucie polskie i świadomość odrębnych zadań polityki polskiej, nie umieli znaleźć wyrazu dla tego stanowiska. Druga część — to byli ludzie całkiem nowi, nie przywykli do zorganizowanego działania, do dyscypliny, łatwo poddający się atmosferze zgromadzenia. Silniejsze wśród nich temperamenty, niecierpliwe, chcące natychmiast przywieźć krajowi autonomję, łudzące się, że „kadeci" chcą i mogą ją dać, pchały Koło Polskie do ich orszaku.

Można było przewidywać, że po rozwiązaniu pierwszej Dumy ludzie ochłoną, nadzieje zbledną, wiara w liberalną Rosję osłabnie; wobec braku widoków na przywiezienie krajowi łatwych zdobyczy, zapał do posłowania zmniejszy się, pozostaną w przedstswicielstwie lub wejdą do niego ludzie poważniejsi, bardziej kierowani poczuciem obowiązku, niż nadzieją odznaczenia się; będzie pewna możność naprawienia tego, co się w pierwszej Dumie popsuło. To było konieczne, jeżeli się nie chciało nowego położenia w Rosji dla sprawy polskiej zmarnować.

Zdecydowałem się pójść do drugiej Dumy i wziąć na siebie przewodnictwo Koła Polskiego. Rolę tę przyjąłem bez entuzjazmu. Wiedziałem, że to, co dla mnie jest tylko podjęciem trudnego obowiązku, dla niejednego byłoby słodkiem zaspokojeniem ambicji. Wiedziałem, że to, co będę robił, nie będzie przez długi czas rozumiane, nawet wśród większej części ludzi mego obozu, że będę musiał używać ogromnych wysiłków, żeby nie stracić wpływu i możności działania; jedni będą żądali ode mnie natychmiastowych zdobyczy, inni nie wierzący w te zdobycze, będą wymagali polityki protestów, ostrej krytyki,

napadania na rząd przy każdej sposobności, nie dlatego, żeby spodziewali się stąd jakich skutków, jeno żeby mieć moralną satysfakcję; to zaś, co ja będę uważał za najważniejsze, za pozytywną politykę polską, bądź nie będzie zwracało uwagi, bądź przyjmowane będzie przez opinję z niechęcią i oporem...

Druga Duma już miała większe podobieństwo do parlamentu. Były już w niej dwa stojące przeciw sobie obozy, i to w równej niemal sile, był obecny rząd, z którym już rozmawiano. Ustosunkowanie sił dało nawet dużą rolę Kołu Polskiemu, jego głosy bardzo często decydowały o wyniku głosowań.

Zacząłem swą pracę od tego, żem Kołu Polskiemu dal silną organizację, zaprowadziłem ścisłą dyscyplinę: wszelkie indywidualne wystąpienia posłów polskich zostały wyłączone, przemawialo tylko Koło Polskie przez usta tego czy innego swego członka. Byliśmy jedyną należycie dyscyplinowaną grupą w całej Dumie: to dało nam powagę, wzbudziło dla nas respekt. Polacy rzadko przemawiali, ale zato gdy poseł polski glos zabierał, wiedziano, że wyraża stanowisko całego przedstawicielstwa polskiego, i schodzono się z kuluarów, by go wysłuchać. Praca w Kole Polskiem była duża, każdy krok był możliwie obmyślony i przygotowany.

To zrobilo z Koła Polskiego całość zdolną do działania i pomogło mu do zdobycia znaczenia większego, niżby mogla dać liczba głosów, któremi rozporządzało.

Po ukazaniu się w roku 1908 mej książki: *Niemcy, Rosja i kwestja polska*, jeden z cieszących się wielką powagą profesorów krakowskich miał powiedzieć:

— Pan Dmowski zapomniał, że jest prezesem Kola Polskiego w Petersburgu: zdaje mu się, że jest polskim ministrem spraw zagranicznych.

Jeżeli to miało być zapomnienie, to ja z niem wszedłem już do Dumy w r. 1907. Uważałem właśnie, że

głównem zadaniem prezesa Koła Polskiego jest spełniać obowiązki nieistniejącego ministra spraw zagranicznych Polski. I nie wolno było inaczej patrzeć człowiekowi, który był przekonany, że odbudowanie Polski jest nietylko możliwe, ale nieuniknione, i to w niezbyt odległym czasie.

Koło Polskie w Petersburgu zwracało na siebie większą uwagę w Europie, niż nasze przedstawicielstwa w Wiedniu i Berlinie, dlatego przedewszystkiem, że reprezentowało główną część narodu, powtóre zaś, że zabór rosyjski miał do owego czasu zamknięte usta i nie wiedziano, co jego społeczeństwo myśli. A to, co ono myśli, interesowało Europę Zachodnią ze względu na położenie Rosji względem Niemiec. Uważałem, że przez nasz posterunek w Petersburgu prowadzi droga z powrotem do Europy, z której sprawa polska została wyrzucona po roku 1864.

Jednem z przykazań politycznych szkoły krakowskiej, przyjętem przez jej wszystkich uczniów, było nietylko pogodzić się z usunięciem sprawy polskiej z terenu międzynarodowego, ale poczytywać za szkodliwe, za niebezpieczne dla kraju wszelkie usiłowanie wejścia na ten teren z powrotem. Dla nich sprawa polska istniała już tylko jako sprawa wewnętrzna trzech państw rozbiorczych: Polacy tylko w granicach tych państw, jako lojalni ich poddani, mogli coś zyskać. Wszelkie zaś usiłowanie zdobycia sobie pozycji poza granicami tych państw rzucało cień na lojalność polską i przeszkadzało jedynej rozumnej polityce.

Pamiętam, w początkach mego posłowania, rozmawiając w liczniejszem gronie w jednym z salonów polskich w Petersburgu, stary przyjaciel Edwarda VII, Mackenzie Wallace, który pracował nad zbliżeniem Rosji z Anglją, powiedział:

— Nie znam dzisiejszej Polski, nie wiem, co pano-

wie myślą i do czego dążą. Niegdyś, po roku 63, spotykałem się z Polakami z Krakowa, z Tarnowskim, Koźmianem i innymi, i to mi się u nich podobało, że się wyrzekli niepodległości dla zachowania narodowości.

Odpowiedziałem mu ostrożnie:

— My, nowe pokolenie, mamy pojęcia inne. My uważamy, że zachowanie narodowości nie jest możliwe bez takiego czy innego stopnia niezawisłości politycznej.

Nie brakowało u nas ludzi, którzy uważali za konieczne zwracać uwagę Europy na Polskę i na jej położenie. Naogół wszakże rozumieli to fałszywie, niepolitycznie. Rozumieli, iż całe zadanie sprowadza się do tego, żeby przekonywać świat, iż nam się krzywda dzieje. Byli tacy, co pisali artykuły pełne skarg do pism zagranicznych i gniewali się, że tych skarg nikt ogłaszać nie chce, a jeżeli nawet od czasu do czasu z grzeczności coś ogłoszą, to niema na to żadnej reakcji. Wyobrażali sobie opinję europejską jako trybunał sprawiedliwości międzynarodowej i oburzali się, że ten trybunał w naszej sprawie nie działa...

Tego rodzaju wchodzenia do Europy nie poczytywałem za rzecz poważną. Rozumiałem, że żadne skargi, żadne protesty sprawy polskiej nie podźwigną, że mogą one budzić w najlepszym razie współczucie, litość, ale na budzeniu litości nikt nigdy nie zrobił karjery. Nie sądziłem też, żeby można było podnieść nasze znaczenie szumnemi frazesami, rozdymaniem naszej wartości, zapowiedziami wielkich czynów. Współczesna Europa miała rozmaite wady, ale naiwną nie była, do Polski zaś po doświadczeniach XIX wieku odnosiła się sceptycznie, więcej niż sceptycznie. Nadto żyła ona szybko i nie miała czasu na głębsze myślenie, zwłaszcza o rzeczach, leżących dość daleko od przedmiotów jej bezpośrednich zainteresowań. Chcąc zwrócić jej uwagę na sprawę polską, zmusić ją do poważnego jej traktowania, trzeba było

związać sprawę naszą z bezpośredniemi interesami narodów, związać w sposób praktyczny, niezbyt skomplikowany, łatwy do zrozumienia.

Zrobienie tego było rzeczą bardzo pilną.

Wykreślenie kwestji polskiej z porządku dziennego spraw, któremi się w Europie zajmowano, łączyło się z ogromnem dla nas niebezpieczeństwem. Tylko takie ogłupienie polityczne, jakie nastąpiło u nas po ostatnim powstaniu, mogło sprawić, że w najpoważniejszych kołach politycznych kraju tego nie widziano. Przecież to zapomnienie o Polsce w Europie dawało całkowicie wolną rękę państwom rozbiorczym w ich polityce polskiej. Z tych państw Niemcy wiedziały dobrze, dokąd idą i którędy iść mają. Znana tępość polityków austrjackich i zacietrzewienie Rosjan, przy zależności obu tych państw od Niemiec, sprawiały, że ani jedno, ani drugie w polityce Niemcom się nie przeciwstawiało, że oba raczej wykonywały ich plany. Polityka tedy berlińska, dążąca do stopniowego, możliwie szybkiego zniszczenia Polski, nie spotykała na swej drodze żadnych przeszkód, prócz oporu samych Polaków.

Nikt w Europie tego nie rozumiał, że wszystko, co Polska traci, nie jest zyskiem ani Rosji, ani Austrji, tylko Niemiec. Otóż niewiele było narodów w Europie i nawet poza Europą, zainteresowanych w tem, żeby Niemcy stały się jeszcze potężniejszemi, niż były. Gdyby widziały one istotne położenie sprawy polskiej i jej stosunek do Niemiec zrozumiałyby, że sprawa nasza łączy się z najżywotniejszemi ich interesami.

Dotyczyło to przedewszystkiem Francji.

Potrzebując silnego sprzymierzeńca na wschód od Niemiec i zmuszona do zrezygnowania w tym względzie z Polski, która przestała być siłą, Francja pragnęła, żeby Rosja była jak najpotężniejsza. Nie szkodziłoby też interesom francuskim, nawet pożądane byłoby to dla nich,

gdyby Rosja mogła całą Polskę pochłonąć, strawić, na kraj rosyjski zamienić. Byłaby wtedy i silniejsza, i pewniejsza jako sojuszniczka przeciw Niemcom. Ale rzecz się zupełnie inaczej przedstawiała z chwilą, gdy Francuz zaczynał rozumieć, że Rosja nie jest zdolna połknąć Polski, że nigdy tego nie dokona, że jeżeli Polska będzie pożarta, to tylko przez Niemcy. Niemcy, któreby połknęły i strawiły Polskę, stałyby się taką już potęgą bez rywala, że pożarłyby i Francję.

Był tedy związek między interesami francuskiemi i polskiemi, tylko trzeba go było odsłonić. Jednakże polityka nie może żyć samą muzyką przyszłości. Nie można było żądać od Francji, żeby, dla zapobieżenia wielkiemu niebezpieczeństwu na przyszłość, wyrzekała się w teraźniejszości jedynego środka obrony przeciw Niemcom, jakim było dla niej przymierze z Rosją. Jedyny tedy sposób zrobienia sprawy polskiej nanowo jednym z przedmiotów polityki francuskiej — co dla naszego bezpieczeństwa narodowego było konieczne — musiał polegać nietylko na wykazaniu znaczenia Polski dla przyszłości Francji, ale także na związaniu sprawy polskiej z interesami przymierza francusko-rosyjskiego. To przecie łatwo było zrozumieć. Tylko trzeba było zrobić dla Polski jedno poświęcenie: myśleć o niej i dla niej. I trzeba było znać Europę, trzeba było się uczyć.

Wyniesienie nanowo sprawy polskiej na widownię międzynarodową było rzeczą niesłychanie pilną ze względów najelementarniejszych, ze względu wprost na bezpieczeństwo naszego bytu narodowego, którego broniliśmy wyłącznie swemi siłami. Przy tak potężnym naporze, jaki szedł na nas w zaborze pruskim, te siły, nie znalazłszy poparcia z zewnątrz, na długoby już nie starczyły.

A cóż dopiero było mówić o znaczeniu dla nas terenu międzynarodowego, gdy się traktowało sprawę od-

budowania państwa polskiego jako sprawę realną... Im bliżej się widziało możność urzeczywistnienia tego celu, tem pilniejsze było wprowadzenie sprawy polskiej w zakres polityki europejskiej.

To są powody, dla których, wchodząc do Dumy, pojąłem swą rolę przedewszystkiem jako rolę polskiego ministra spraw zagranicznych. Co prawda, nikt mi poza moimi najbliższymi przyjaciółmi politycznymi nie dał do tego upoważnienia. Znalazłem wszakże największe upoważnienie w swem sumieniu, i to mi pozwoliło wziąć na siebie odpowiedzialność.

Była ta odpowiedzialność wcale ciężka. Nie przywiozłem krajowi z Petersburga ani jednej zdobyczy, ani jednej ustawy, którąby można było uważać za zysk polski. Natomiast, polityka moja wywołała nowe ciosy, nowe ataki na Polskę. Zato, gdyby nie ta polityka, grunt pod naszą akcję podczas wojny europejskiej byłby nieprzygotowany, i ta akcja byłaby niemożliwa. Dziś, gdy państwo polskie istnieje, gdy byt jego opiera się na traktacie wersalskim, gdy obejmuje ono swemi granicami ziemie zaboru pruskiego, o których polskiej przyszłości nasze powagi polityczne nie śmiały marzyć — może ludzie zrozumieją wiele kroków tej polityki, których w swoim czasie zrozumieć nie mogli.

Ogólne wytyczne polityki, ktorą postanowiłem przeprowadzić w Dumie, były następujące:

1. Na Rosję trzeba patrzeć jako na przyszłego sojusznika w walce z Niemcami. Stąd nie można wypowiadać walki ani państwu, ani narodowi rosyjskiemu, nie można dążyć do obniżenia potęgi zewnętrznej Rosji.

2. Rząd aktualny w Rosji uzależnia ją od Niemiec i współdziała z Niemcami w dziele niszczenia Polski. Powstrzymując rozwój cywilizacyjny Polski, rozwój naszych sił narodowych, przygotowuje on nasz kraj na przyszły łup dla Niemiec. Dlatego rządowi temu, a w

szczególności jego polityce polskiej, trzeba wypowiedzieć stanowczą walkę i wytrwale ją prowadzić, utrudniać mu wszelkiemi dostępnemi dla nas środkami jego sytuację i jego politykę polską. Celem tej walki jest z jednej strony zmuszenie rządu prędzej czy później do zejścia ze stanowiska, traktującego Polskę jako część Rosji, z drugiej — uruchomienie i organizacja naszych sił narodowych, zaprawienie ich w walce o prawa Polski. Należy zauważyć, że przy nieścisłości politycznego myślenia w naszem społeczeństwie to rozdzielenie naszego stanowiska względem rządu i jego polityki a względem państwa nie było łatwem do przeprowadzenia. Pojęcia się ciągle mieszały, co utrudniało ogółowi należyte rozumienie naszej linji politycznej.

3. Trzeba korzystać z każdej sposobności dla zwrócenia uwagi opinji zagranicznej na kwestję polską i stopniowo zdobyć dla Polski rolę czynnika w polityce europejskiej.

Nie miałem tak daleko idącego wpływu ani w swojem stronnictwie, ani w szczególności w Kole Polskiem, ażebym mógł tę linję polityczną utrzymać bez odchyleń i przeprowadzić z bezwzględną konsekwencją. Jednakże w głównych zarysach polityka polska po niej poszła. Przeszkody, jakie napotykałem, pochodziły głównie z niezdolności do szybkiego pozbywania się pojęć przestarzałych i utrwalonych nałogów, z niedostatecznej pracy myśli, wreszcie z braku odwagi cywilnej u ludzi najlepszej zresztą woli. Przechodząc do zdeklarowanych przeciwników politycznych, to z nich najwięcej było zdolne przeszkadzać Stronnictwo Polityki Realnej wespół ze swymi przyjaciółmi z kresów wschodnich, przez to, że prowadząc politykę polską w Radzie Państwa i utrzymując pewne stosunki z rządem, działało w duchu całkiem przeciwnym i tem zachęcało rząd do mniejszego liczenia się z naszą polityką, budziło w nim nadzieję, że ją rychło złamie.

Od początku do końca miałem to poczucie, że naszą linję polityczną najlepiej rozumieją w Berlinie. Bo tam najściślej myślano o kwestji polskiej i bacznie jej rozwój śledzono.

Dla uplastycznienia rozwoju naszej polityki muszę tu przypomnieć parę najważniejszych momentów z działalności przedstawicielstwa polskiego w drugiej Dumie.

W spadku po Kole Polskiem pierwszej Dumy pozostał nam wniosek o autonomji Królestwa Polskiego, który Koło postanowiło wykończyć i wnieść do Izby. Uważałem ten wniosek za nierealny, za manifestację jedynie: w tym wszakże charakterze miał on swoją wartość w walce przeciw polityce rządu.

Przy dążeniu rządu do ignorowania kwetji polskiej i przy obojętności opozycji dla naszej sprawy, narzucało nam się poruszenie żywiołów nierosyjskich w państwie i wyprowadzenie ich do walki równoległej z naszą. Przedstawiciele tych żywiołów w Dumie: Litwini, Łotysze, Estowie, Tatarzy, Gruzini, Ormianie — wszystko to tonęło w szeregach „kadetów" lub innych stronnictw lewicy, zachowując jedynie dla swych grup pewną, zresztą nikłą naogół odrębność. Samo istnienie Koła Polskiego było już dla nich zachętą do wyodrębnienia się; wniosek zaś autonomiczny Koła stał się silnym bodźcem, pod którego wpływem zaczęły się organizować grupy narodowe z programem autonomicznym, wśród tych ukraińska w liczbie czterdziestu posłów. Posłowie z tych grup zaczęli się zbliżać do Polaków w poszukiwaniu rad i wskazówek. Było to dla rządu ostrzeżenie: musiał on zrozumieć, że ignorowanie kwestji polskiej doprowadzi do wytworzenia szeregu innych kwestyj narodowych. Podniósł się alarm, zaczęto mówić o „rozczłonkowaniu państwa". Dla polityki rządu był to punkt najboleśniejszy, i łatwo było przewidzieć, że ucieknie się on w walce do środków heroicznych, że uderzy przedewszystkiem

w Polaków. Można było wszakże być pewnym, że o ile się te pierwsze uderzenia dobrze wytrzyma, to środki, niezgodne z duchem nowych czasów i nowego ustroju Rosji, na długo nie starczą, i rząd będzie zmuszony nowych dróg szukać.

Drugim dużym wnioskiem prawodawczym, z którym wystąpiliśmy w drugiej Dumie, był wniosek o spolszczeniu szkolnictwa państwowego wszystkich stopni w Królestwie Polskiem. Ten postanowiliśmy traktować realnie, wydać na jego gruncie walkę rządowi, przyprzeć go, o ile możności do muru. Bardzo było rzeczą znamienną, że wniosek ten wywarł w Niemczech o wiele silniejsze wrażenie, niż wniosek autonomiczny. Cała półurzędowa prasa niemiecka poświęciła mu artykuły identyczne co do treści: we wszystkich grożono, że spolszczenie szkolnictwa państwowego w Królestwie będzie przez Niemcy uważane za prowokację ze strony Rosji.

Rząd wszedł do Izby z projektem ustawy o kontyngensie rekruta. Było możliwe, że bez głosów polskich ustawa nie przejdzie. Znaczna część członków Koła miała chęć głosować przeciw, inni byli za tem, żeby się z rządem potargować. Ja uważałem, że sprawy armji są najdrażliwsze i do targów najmniej się nadają, a przedewszystkiem, że trzeba możliwie i konsekwentnie iść po linji własnej polityki. Polityka zaś, która uważała za potrzebną dla Polski wojnę między Rosją a Niemcami i klęskę Niemiec, nie mogła państwu rosyjskiemu odmawiać rekruta. Uważałem to za wielki postęp myśli politycznej, że całe Koło do tego stanowiska się skłoniło i że przyjęło mój wniosek, ażeby przy uzasadnieniu głosowania w Izbie oświadczyć między innemi, iż pragniemy, ażeby państwo rosyjskie było silne i tem samem w swej polityce niezawisłe, bo nie chcemy, ażeby położenie nasze w tem państwie zależało od sąsiada.

Wygłoszona w imieniu Koła przy głosowaniu kon-

tyngensu rekruta mowa posła Konica rozległa się szerokiem echem po Europie. W Paryżu zwłaszcza i Londynie silnie ją podkreślono. Po raz pierwszy usłyszano, w postaci nie krzykliwej, nie wiecowej, ale w języku powściągliwym, choć stanowczym, z ust urzędowego przedstawicielstwa największej części narodu, że Polska chce być czynnikiem przeciwniemieckim w polityce europejskiej.

Rząd rosyjski był z tej deklaracji bardzo niezadowołony: zrozumiał naszą taktykę, widział, że Dumę traktujemy, jako wrota, prowadzące na teren międzynarodowy.

Wreszcie akt ostatni.

Rząd rosyjski poszukiwał pożyczki we Francji. Tam mu wszakże postawiono za warunek, żeby budżet został uchwalony przez Dumę. Tymczasem, większości za budżetem nie było bez głosów polskich. Przychodzili posłowie od Stołypina do mnie, żebyśmy dali swe głosy. Odpowiedziałem: dobrze, ale pod warunkiem, że rząd uzna nasz wniosek szkolny za swój. Przez pewien czas rząd się wahał. Naraz przyszła wiadomość, że pożyczkę obiecał Mendelsohn w Berlinie. Duma została rozwiązana.

Znów Berlin...

Jedynym namacalnym rezultatem działalności naszej w drugiej Dumie był słynny ukaz czerwcowy 1907 r., rozwiązujący Dumę i przynoszący nową ustawę wyborczą, która zmniejszała o $^2/_3$ przedstawicielstwo Królestwa Polskiego: 12 posłów zamiast 36. Zrobiono to, jak mówił ukaz, ażeby obcoplemieńcy nie mogli decydować o losach państwa rosyjskiego. Zwiększono tą ustawą i w innych częściach państwa liczbę posłów rosyjskich kosztem żywiołów miejscowych.

Odpowiedzialność za tę klęskę spadła na mnie, i długo mi ją wypominano. Ta odpowiedzialność mi się należała, bo jeżeli nawet cios miał prędzej czy później nastąpić, to moja polityka niezawodnie go przyśpieszyła.

Być bardzo może, że gdyby Stronnictwo Polityki Realnej reprezentowało kraj w Dumie, ten cios nie byłby w nas wymierzony, a możeby nawet dało się osiągnąć pewne skromne ustępstwa, np. wprowadzenie samorządu miejscowego.

Ja wszakże byłem przekonany, że przy rozwoju sytuacji międzynarodowej tak, jak mnie się ona przedstawiała, ani samorząd, ani liczba głosów polskich w Dumie nie są rzeczami najważniejszemi, że o wiele realniejszą i pilniejszą sprawą jest przygotowanie gruntu do postawienia kwestji polskiej w całości i do zdobycia dla Polski pozycji czynnika w polityce europejskiej.

I w tym kierunku polityka polska w drugiej Dumie zrobiła więcej, niż ludzie myśleli.

III

ROK PRZEŁOMOWY

Kto chce naprawdę wiedzieć, jaką drogą doszliśmy do niepodległości, ten musi dobrze zrozumieć, czem był w polityce rok 1907.

W tym roku zaszły wielkie, brzemienne następstwami zmiany w położeniu międzynarodowem, w szczególności zaś w polityce rosyjskiej i niemieckiej. W tym roku również, w zrozumieniu zaszłych zmian, ukształtowała się ostatecznie w umysłach naszych polityka polska, która już poszła konsekwentnie po wytkniętej linji aż do chwili, kiedy kwestja odbudowania państwa została rozstrzygnięta.

Przegrana wojna japońska w połączeniu z ciężkim kryzysem wewnętrznym osłabiła ogromnie Rosję nazewnątrz, a tem samem wzmocniła pozycję Niemiec. W przewidywaniu tego skutku wojny dyplomacja Francji i Anglji doprowadziła już w jej początku, w r. 1904, do porozumienia angielsko-francuskiego, które uregulowało wszystkie sporne między temi państwami kwestje kolonjalne i dało Francji wolną rękę w Maroku. Tym sposobem Niemcy pozostały w interesującej je bardzo kwestji marokańskiej poza nawiasem. Po ostatecznej wszakże klęsce rosyjskiej na Dalekim Wschodzie, gdy Rosja na swej granicy zachodniej znalazła się na ich łasce, Niemcy poczuły się tak silne, że dokonały niesłychanie gwałtownego ataku dyplomatycznego na Francję, przed którym ta się musiała ugiąć. Główny organizator polityki

przeciwniemieckiej, Delcassé, musiał ustąpić ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, i Francja zgodziła się na konferencję międzynarodową w sprawach marokańskich. W Algeciras wszakże francusko-angielska *entente cordiale* okazała się budową trwałą, a nadto zrobiono tam początki zbliżenia między Anglją a Rosją. W dalszym ciągu, w r. 1907 podpisane zostało porozumienie angielsko-rosyjskie w sprawach środkowo - azjatyckich, usuwające wszystkie powody do konfliktu między dwoma państwami. Zarysowało się potrójne porozumienie angielsko-francusko-rosyjskie, które w miarę zacieśniania się węzłów między trzema mocarstwami musiało coraz bardziej redukować rolę Niemiec w polityce światowej.

Europa dzieliła się na dwa wielkie, stojące przeciw sobie obozy. Z jednej strony trójprzymierze: Niemcy, Austro-Węgry i Włochy, ostatnie bardzo niepewne w tej kombinacji, bo przy długości linji swego brzegu morskiego niezdolne do przeciwstawienia się potędze morskiej Anglji i Francji, mające zresztą z temi mocarstwami porozumienie w sprawach śródziemnomorskich; z drugiej — Anglja, Francja i Rosja.

Rosja w r. 1907 zdołała się już uporać ze swym kryzysem wewnętrznym. W trzeciej Dumie rząd już był zwycięzcą, a kierownictwo Dumą znajdowało się w rękach umiarkowanego stronnictwa „październikowców", którzy wespół z nacjonalistami i skrajną prawicą stanowili dwie trzecie Izby. We współpracownictwie z Dumą, a głównie z *leaderem* październikowców, Guczkowem, rozpoczęto wielkie dzieło reorganizacji, a poniekąd organizowania nanowo armji. Praca ta, korzystająca z doświadczeń świeżo przegranej wojny, szła szybko naprzód, a z jej postępem odradzała się potęga zewnętrzna Rosji.

Polityka zewnętrzna państwa carów zaczęła nabierać pewności siebie, otrząsać się ze zwiększonej podczas wojny zależności od Niemiec, do czego nowe porozu-

mienie z Anglją stało się dla niej niemałą zachętą.

Niemcy, zatrzymane przez nową kombinację mocarstw w swym rozpędzie na szerokich drogach polityki światowej, zwróciły szczególnie swą energję w kierunku najmniejszego oporu, w kierunku Bałkanów i Azji Zachodniej, kreśląc sobie wielkie plany ekspansji kontynentalnej po linji Berlin-Bagdad, zagrażające przedewszystkiem interesom Rosji.

Już w r. 1907 było widoczne, że wielka wojna, w której Rosja zetrze się z Niemcami, jest tylko kwestją czasu.

Tak, było to widoczne, pomimo że w Rosji usposobienie wojownicze względem Niemiec nie istniało. Wprawdzie po otwarciu trzeciej Dumy ogromnie wzrósł nastrój patrjotyczny, wyrażający się nietylko w reakcji przeciw rewolucji i w atakach na „obcoplemieńców", ale także w ambicji do ekspansji wpływów Rosji nazewnątrz i do wzmocnienia jej roli mocarstwowej; świadomość, że na drodze Rosji w tym względzie stoją przedewszystkiem Niemcy, jeszcze nie była jasna. Przeciwnie, czuć było silne wpływy niemieckie nawewnątrz państwa, które tę świadomość zacierały i uwagę od niebezpezpieczeństwa niemieckiego starały się odwrócić. Było jasnem, że gdy polityka zewnętrzna Rosji coraz wyraźniej rozwija się w kierunku przeciwniemieckim, nawewnątrz panuje germanofilstwo, popieranie Niemców, równoległe ze szczuciem na Polaków, oraz uleganie w polityce wewnętrznej podszeptom czy też naciskowi z Berlina. Bliżej wtajemniczonym znany był memorjał wybitnego ministra Durnowo, wykazujący, że Rosja na wojnę z Niemcami nie może sobie wogóle pozwolić, że taka wojna byłaby jej zgubą.

Rosyjska opinja publiczna widziała głównego wroga w Austro-Węgrach. Nie zdając sobie sprawy z charakteru i siły węzłów łączących Austrję z Niemcami, oddzielała

zanadto politykę austrjacką od niemieckiej i widziała możliwość starcia z Austrją bez wojny z Niemcami. Niedaleka przyszłość pokazała, że Rosjanie byli w błędzie.

Świadomość wszakże, iż wojna między Rosją a Niemcami zbliża się szybkiemi kroki i że w tej wojnie wypłynie kwestja polska, gdzieś po wrogiej nam stronie istniała, i to tam, skąd wypływały natchnienia do polityki polskiej trzech mocarstw rozbiorczych.

Świadczyło o tem nagłe w owym czasie ożywienie się inicjatywy w stosunku do Polski we wszystkich trzech państwach. Wyrażała się ona:

w Prusiech w niesłychanie szybkim postępie ustawodawstwa przeciwpolskiego, w łożeniu olbrzymich sum na umocnienie niemczyzny na ziemiach polskich i w coraz intensywniejszej działalności *Ostmarkenvereinu*;

w Austrji — w bezceremonjalnem już organizowaniu i otaczaniu opieką Rusinów, przemianowanych na Ukraińców, z wyraźnym dążeniem do wyrwania z rąk polskich wschodniej Galicji;

w Rosji — w podniesieniu projektu utworzenia gubernji chemskiej i oderwania jej od Królestwa, oraz w nieoficjalnem proklamowaniu apetytów na wschodnią Galicję.

Cel we wszystkich państwach jeden — sprowadzenie do *minimum* obszaru polskiego; energja i pośpiech jednoczesne wszędzie. Czyż to mógł być jedynie zbieg okoliczności?...

Dla mnie przynajmniej było niewątpliwem, że to wszystko jest jeden plan, z jednego wychodzący źródła. Jeżeliby ktoś miał wątpliwości co do tego źródła, to powinien był je ostatecznie rozwiać pokój brzeski podczas wielkiej wojny, który byl taką przykrą niespodzianką dla pewnego gatunku „mężów stanu” w Polsce. Przecież ten pokój był tylko ukoronowaniem całej tej akcji trzech państw, ożywionej od r. 1907 i prowadzonej z takim

pośpiechem, żeby na czas zdążyć. Projekt pokoju brzeskiego, jako jeden z możliwych sposobów załatwienia się z kwestją polską w razie wojny z Rosją, musiał być przynajmniej w ogólnych zarysach już dość dawno opracowany i musiał leżeć gotowy w Berlinie już w roku 1907. Ma się rozumieć, były i inne plany, o których później będzie mowa. Ten był najdalej idący, najwięcej dawał Polakom, bo uznawał kawałek ziemi za Polskę.

Od roku 1907 rozwój wypadków w Europie poszedł z ogromną szybkością: aneksja Bośni i Hercegowiny, pierwsza wojna bałkańska, druga wojna bałkańska — wszystko to potwierdzało przewidywanie, że ostateczne starcie jest już bardzo bliskie. Od roku też 1907, jak to już wskazałem, objawia się po stronie naszych wrogów widoczny pośpiech w polityce polskiej, zmierzający do tego, ażeby kwestja polska, gdy stanie siłą rzeczy na porządku dziennym, była już tylko kwestją niewielkiego obszaru, kwestją niecałego nawet Królestwa Kongresowego i co najwyżej zachodniej Galicji: ziemie zaboru pruskiego — to już niewątpliwe Niemcy, wszystko zaś, co leży na wschód od Rzeszowa, Lublina i Siedlec — to Ukraina lub Rosja, zależnie od tego, jak się złożą okoliczności.

W roku też 1907 ludzie, widzący, co się dzieje i orjentujący się choć cokolwiek w położeniu, musieli zrozumieć, że i my nie mamy ani chwili do stracenia. Jeżeliśmy nie chcieli, ażeby plany naszych wrogów się ziściły, żeby, w chwili starcia między Rosją a Niemcami, kwestja polska wypłynęła w sensie berlińskim a nie w naszym, trzeba było działać i działać szybko.

Garść ludzi, z którymi pracowałem od początku lub którzy pod naszym wpływem wyrośli i szeregi pracowników pomnożyli, którzy mieli ciągle przed oczami przyszłe państwo polskie i plan jego konkretny — była jedynem w Polsce środowiskiem, w którem bieg wypad-

ków z punktu widzenia sprawy polskiej bacznie śledzono i w którem potrzebę szybkiego działania w owej chwili zrozumiano.

Od roku 1907 zaczyna się głucha, ale z wielkiem napięciem prowadzona walka między dwiema bardzo nierównemi siłami: po jednej stronie polityka wielkiego mocarstwa, ciążącego nad całą środkową i wschodnią Europą, polityka berlińska, wywierająca silny wpływ na losy sprawy polskiej nietylko w Wiedniu, ale i w Petersburgu, mająca swych czynnych agentów w całym świecie, mająca ich i w samej Polsce; po drugiej — organizująca się dopiero polityka polska, świadoma całkowicie swych celów i dróg tylko w nielicznych mózgach, popierana przez szersze koła raczej instynktownie, raczej tylko przez wiarę w ludzi, którzy wzięli sprawę polską w swe ręce, polityka, rozporządzająca niesłychanie skromnemi środkami, napotykająca we własnym kraju na ogromne przeszkody w nałogach z przeszłości porozbiorowej, w płytkości myśli, w fałszywych ambicjach, wreszcie w złej woli, świadomie służącej obcym celom.

Przebieg tej walki, dotychczas nieznany i nierozumiany, nawet dla ludzi, których Polska nie obchodzi, może być bardzo interesującym dramatem.

W roku 1907, grunt dla akcji politycznej, któryśmy znaleźli w Dumie, z pod nóg nam usunięto. Po ukazie czerwcowym należało oczekiwać, iż rząd będzie panem sytuacji w Izbie, że znaczna jej większość będzie za rządem, a przeciw Polakom, że wreszcie my sami, zredukowani do niewielkiej garstki posłów, nie będziemy zdolni odegrać poważniejszej roli.

Pomimo to poszedłem do trzeciej Dumy. Była to, po pierwsze, kwestja honoru: nie mogłem się cofać po wymierzonym w Polskę ciosie, będącym odpowiedzią na politykę, której byłem głównym przedstawicielem. Powtóre, stanowisko posła stolicy i prezesa Koła Polskiego dawało

mi oficjalny tytuł do przemawiania i działania w imieniu Polski, co mi właśnie w owym momencie było bardzo potrzebne.

Trzeba było wszakże przenieść poza ściany Dumy środek ciężkości naszego działania nawewnątrz, jeżeliśmy chcieli przygotować sprawę polską na chwilę wybuchu wojny między Niemcami a Rosją.

Myśmy tej wojny chcieli i, w położeniu, w jakiem znajdowała się Polska, nikt nam tego za złe brać nie ma prawa. Myśmy musieli pragnąć upadku potęgi niemieckiej, która nas przygniatała, która konsekwentnie szła do całkowitego zniszczenia naszego narodowego bytu, która w każdym swoim względem nas kroku, czy to nawewnątrz państwa niemieckiego, czy poza jego granicami, rzucała nam swoje brutalne *ausrotten!*.

„Jesteśmy w walce nietylko z naszymi Polakami, ale z całym narodem polskim" — mówił kanclerz Bülow w parlamencie. Jedyną na to uczciwą i logiczną odpowiedzią była walka całego narodu polskiego przeciw Niemcom i pragnienie ich upadku.

Chodziło wszakże o to, żeby Rosja nietylko miała wojnę z Niemcami, ale żeby była zdolna ją prowadzić, żeby ta wojna zakończyła się klęską Niemiec.

Do tego niewystarczała praca nad organizacją armji, którą zaczęto dobrze prowadzić — potrzebne było niemniej przygotowanie polityczne Rosji, zniszczenie niemieckich wpływów wewnątrz państwa.

Nie było napewno w dziejach państwa, któreby się znajdowało w tak dziwnem, potwornem wprost położeniu, jak Rosja. Jej polityka zewnętrzna była, bo musiała być, przeciwniemiecką, natomiast nawewnątrz królowało germanofilstwo. Tylko w tak nieskoordynowanym rządzie, jak rosyjski, było możliwe podobne przeciwieństwo między ministrem spraw zagranicznych a resztą rządu. Ten stan rzeczy miał głębokie swoje korzenie w prze-

szłości, i na nim zrobiły swoją karjerę mocarstwową Prusy.

Już Fryderyk Wielki rozumiał, jak olbrzymie dla Prus znaczenie będzie miało związanie z niemi Rosji przez wspólne spożycie „eucharystycznego ciała Polski" — jak się cynicznie wyrażał. Już Fryderyk miał wrogie w stosunku do Rosji plany w zakresie kwestji wschodniej, będącej najżywotniejszym punktem jej polityki zewnętrznej. Bismarck tę podwójną politykę wykończył, ujął w doskonały system. Związał mocno Rosję z Prusami na gruncie kwestji polskiej, a jednocześnie pracował nad zniszczeniem jej pozycji mocarstwowej, dążył przedewszystkiem do tego, żeby Niemcy zajęły jej miejsce na Bliskim Wschodzie. Skutkiem rozrostu wpływów niemieckich wewnątrz Rosji wytworzyło się takie położenie, że Rosja w polityce zagranicznej była stale bita przez Niemcy, a jednocześnie Durnowo nie bez słuszności pisał, że na wojnę z Niemcami nie może sobie ona pozwolić, bo ta wojna będzie jej zgubą. Jeżeli ten stan rzeczy miał trwać dalej, to Niemcom nic nie groziło: nawet w razie wybuchu wojny między dwoma państwami, można było być pewnym, że zakończy się ona całkowitem już uzależnieniem Rosji od Niemiec, co oznaczałoby złożenie na długi czas kwestji polskiej do grobu i zlikwidowanie nas raz na zawsze jako wielkiego narodu.

Pierwszem tedy zadaniem była walka z niemieckiemi wpływami wewnątrz Rosji, prowadząca do ich zniszczenia. Było to zadanie przedewszystkiem dla polityki polskiej.

Związek Rosji z Prusami powstał na gruncie rozbioru Polski. Gdy ten związek się rozluźnił pod wpływem antagonizmu w polityce zewnętrznej, gdy Rosja szła do zerwania z Prusami, Polacy przez powstanie r. 63 umożliwili Bismarckowi zacieśnienie przyjaźni na nowo. Gdy przymierze francusko-rosyjskie dało Rosji pozycję międzynarodową, od Niemiec niezależną, wojna japońska i kryzys

wewnętrzny w Rosji tę pozycję osłabiły, uzależnienie Rosji od Niemiec znów się zwiększyło, a polscy rewolucjoniści znów do tego trochę pomogli.

Jeżeli tedy Polacy tak dużą rolę odgrywali w uzależnieniu Rosji od Niemiec, to niemniejszą mogła odegrać odpowiednia polityka polska w jej wyzwoleniu z pod wpływów niemieckich. I gdy nasze zbawienie tego wyzwolenia najoczywiściej wymagało, rozum i sumienie nakazywały pójść po tej drodze i zdobyć się na największe wysiłki, żeby ten cel osiągnąć.

Tą drogą poszła nasza polityka, poszła szybko, bez ociągania się, bez wahań, bo jak powiedziałem, nie było ani chwili do stracenia.

Nie wystarczało tu demaskowanie zależności rządu rosyjskiego od Niemiec, stawianie go w trudne położenia, w którychby musiał albo do tej zależności się przyznać, albo stanowisko swe zmienić — trzeba było wpoić w Rosję świadomość, że w walce z Niemcami Polska będzie po jej stronie, nietylko słowem, ale i czynem pokazać, że nie chcemy być narzędziem Niemiec przeciw niej i, organizować opinję rosyjską przeciw polityce, która czyni Rosję narzędziem Niemiec do niszczenia Polski.

Bliska przyszłość okazała, że wysiłki na tej drodze nie były bezowocne, że polityka polska miała tu bardzo dużo do zrobienia.

Równolegle z tem zadaniem i w ścisłym z niem związku, stanęło przed nami drugie: z pośpiechem zdobywać dla sprawy polskiej miejsce na terenie międzynarodowym, przygotować postawienie, gdy przyjdzie na to chwila, kwestji polskiej w całej pełni, jednocześnie przeciwdziałać w miarę naszych sił i środków polityce niemieckiej, podcinać wpływy Niemiec w dostępnej dla nas sferze.

Oto dwa główne punkty, na których postanowiliśmy od roku 1907 ześrodkować swe wysiłki nazewnątrz.

Do tego przybywało wielkie zadanie wewnętrzne— wytężona praca nad polską opinją publiczną, żeby wpoić w nią rozumienie naszej polityki i przygotować odpowiednie zachowanie się narodu na czas wielkiego rozstrzygnięcia. Od powodzenia tej pracy zależało wszystko. Żadna, najlepsza polityka nie osiągnie celu, jeżeli naród za nią nie stanie, jeżeli jej swą postawą nie poprze.

Niedawne widoki odnowienia kwestji polskiej przez rozwój stosunków wewnętrznych w państwie rosyjskiem — w r. 1907 oddaliły się. Nie sytuacja wewnętrzna w Rosji, ale sytuacja międzynarodowa widoki teraz otwierała. Niedawne plany odegrania roli nawewnątrz państwa rosyjskiego i przybliżenie tą drogą chwili rozwiązania kwestji polskiej trzeba było zarzucić; znalazła się droga szybciej prowadząca do celu, droga, na której w krótkim czasie moglibyśmy wszystko wygrać, gdybyśmy umieli podążyć za wypadkami i dorosnąć do położenia naszem rozumem politycznym i energją, i na której moglibyśmy wszystko przegrać, gdybyśmy zadań polityki polskiej nie zrozumieli lub gdyby nam zabrakło odwagi i energji do wykonania.

Niewielka grupka posłów polskich w trzeciej Dumie już liczbą swych głosów żadnej roli odegrać nie mogła. Miała ona swoje znaczenie, bo miała znaczenie Polska, którą reprezentowała. I postawa jej w naszej polityce niemałą odegrała rolę. Zgodnie z tą polityką postawa ta wyrażała się w popieraniu tego wszystkiego, co się przyczynia do wzmocnienia państwa, do podniesienia jego roli nazewnątrz i w ostrej krytyce polityki polskiej rządu. Jednakże teren działania w Dumie już się znalazł w akcji naszej na drugim planie. Akcja ta zaczęła szukać innego terenu, na którym szybciej mogłaby się posuwać naprzód.

IV

AKCJA PRZECIW NIEMCOM

Polityka niemiecka w Europie środkowej i wschodniej robiła szybkie postępy, głównie dzięki temu, że tu nie napotykała na żadne poważne przeszkody. Istotnie, była to akcja w kierunku najmniejszego oporu. Gdy działania Niemiec poza Europą bacznie śledzono, gdy ich poważniejsze posunięcia, czy gdzieś w Venezueli, czy w Maroku, spotykały się z natychmiastową reakcją — tu pracowały one swobodnie, kładąc fundamenty pod wielką konstrukcję polityczną: *Mittel-Europa* i Berlin-Bagdad. Nikt, poza kierownikami polityki niemieckiej, dobrze nie widział, co się tu święci, i planów niemieckich nie rozumiał.

Nawet we Francji, dla której wzrost potęgi niemieckiej był największem niebezpieczeństwem i w której młodsze pokolenie pisarzy politycznych i publicystów zabrało się od początku stulecia do studjów nad ekspansją niemiecką w środkowej i wschodniej Europie — nie obejmowano całości celów tej polityki i nie wszystkie drogi, któremi szła, widziano.

Przyczyna tego była bardzo prosta. Nikt nie rozumiał kwestji polskiej i nikt nie zdawał sobie sprawy z roli, jaką odgrywa ona w polityce niemieckiej.

Z trzech członków przeciwniemieckiego porozumienia, Anglja nigdy szczególnie nie interesowała się Europą środkową, i wszystkie części świata lepiej tam znano, niż środek Europy. Przez półtora stulecia — od połowy XVIII do końca XIX w. — Anglja interesami swemi czuła

się związana z Prusami, popierała je i ich oczami uczyła się patrzeć na kwestję polską. Nie było to dobre przygotowanie do orjentowania się w nowem położeniu, w którem potęga niemiecka, gospodarcza i polityczna, stała się dla niej groźną i w którem trzeba było patrzeć na politykę berlińską z odwrotnego punktu widzenia. Polityka w kwestji polskiej była ostatnim z działów polityki niemieckiej, do których poznania i zrozumienia myśl angielska była przygotowana.

Jednym ze skutków powstania 63 roku, które było strasznym ciosem, wymierzonym pośrednio we Francję — co prawda, całkiem nieświadomie z naszej strony i nie bez udziału mętnej polityki Napoleona III — było to, że Francja przestała się całkiem sprawą polską interesować. Nie zachęcał jej do tego i aljans z Rosją. Dopiero od otwarcia Dumy rosyjskiej zaczęto się we Francji nanowo przyglądać Polsce, czyniono to wszakże bardzo ostrożnie, licząc się z podejrzliwością Rosji względem wszelkiego interesowania się Polską. Śmiało poruszano i nawet wcale poważnie studjowano walkę polsko-niemiecką w zaborze pruskim. Całości kwestji polskiej nie rozumiano i nie widziano, jak wielką rolę odgrywa ona w polityce niemieckiej.

Rosja, zahypnotyzowana niebezpieczeństwem polskiem, widziała kwestję polską tylko z jednej strony, ze swego frontu, traktowała ją z zaślepieniem, nie pozwalającem innych, ważniejszych jej stron dojrzeć. W tem zaślepieniu utrzymywali ją Niemcy, a nie potrzebowali wiele się wysilać, bo za nich robotę robiła łakoma sfora „patrjotycznych" działaczy rosyjskich, którym się ich partjotyzm sowicie w rublach opłacał.

Najgorsza, że tej polityki niemieckiej i roli w niej kwestji polskiej nie rozumieli i sami Polacy.

Ogół polski, nietylko w zaborze rosyjskim, gdzie przez długi okres polityka, w najskromniejszym nawet

zakresie, była zakazana, ale nawet w dwóch pozostałych dzielnicach, był w rozwoju pojęć politycznych bardzo zacofany. W zaborze pruskim i austrjackim nauczył się on jako tako rozumieć swoje sprawy dzielnicowe, ale spraw ojczyzny jako całości nie obejmował, w zaborze zaś rosyjskim nawet o sprawach miejscowych realnie myśleć nie umiał. Interesowano się polityką międzynarodową, szukano nawet poomacku związku między nią a położeniem Polski, ale prasa, która dziś wszędzie służy za przewodnika myśli politycznej ogółu, tu swego zadania spełnić nie była zdolna. Publicyści, piszący przeglądy polityki zagranicznej w naszych dziennikach, czerpali swą wiedzę i swe natchnienia z pism zagranicznych, najwcześniej do Polski dochodzących, z *Berliner Tageblatt*'u, ze *Schlesische Zeitung* i z *Neue Freie Presse*. Z tych źródeł niewiele mogli się dowiedzieć o znaczeniu kwestji polskiej i w szczególności o roli jej w polityce Niemiec, myśleli zaś niedość samodzielnie, żeby z dostarczanego przez nie materjalu umiejętnie korzystać.

Dla ludzi, którzy stali u steru spraw krajowych w każdym zaborze, widnokrąg polityczny zamykał się przeważnie w Wiedniu, Berlinie lub Petersburgu. Ci zaś, poza naszym obozem, którzy poza ten widnokrąg wybiegali, którzy mówili i pisali o Polsce, o idei polskiej, o celach i aspiracjach narodu, nie umieli przedmiotu brać konkretnie, realnie, traktowali go czysto po literacku, papierowo.

Nie rozumiano u nas i sprawy zależności Rosji od Niemiec. O wpływach niemieckich w Rosji wiele mówiono, zwłaszcza wśród ludzi, którzy z Rosją bliższą mieli styczność, przedmiot ten był ciągle na końcu języka, ale przypisywano te wpływy prawie wyłącznie wielkiej ilości Niemców w Rosji i stanowiskom przez nich zajmowanym. Nie umiano ocenić czynników szerszej natury politycznej, które dawały Berlinowi wielkie atuty w stosunku do Petersburga.

Również nie zdawano sobie sprawy ze stopnia ujarzmienia Austro-Węgier przez Berlin, nie rozumiano, że od czasu dymisji Gołuchowskiego[1]) polityka zewnętrzna Austrji zatraciła już resztę swej samodzielności. Ciekawa rzecz, że najmniej wiedzieli o tem politycy polscy w Austrji. Dowiadywali się stopniowo dopiero podczas wielkiej wojny, a jak długo trwali w złudzeniach co do niezawisłości polityki austrjackiej, wnosić można z tego, jak mocno się obrazili na Czernina po pokoju brzeskim.

Można powiedzieć, że wielka akcja polityczna Niemiec w środkowej i wschodniej Europie, przygotowująca między innemi głęboki grób dla Polski, szła naprzód w niesłychanie przyjaznych dla siebie warunkach, bo ani państwa trójporozumienia, ani nawet sami Polacy nie zdawali sobie sprawy z jej rozmiarów i z jej doniosłości.

Naszym obowiązkiem było rozmiary tej akcji odsłonić, doniosłość jej uwydatnić nietylko ogółowi polskiemu, ale także, i to przedewszystkiem, opinji publicznej państw najbardziej zainteresowanych w powstrzymaniu rozwoju potęgi niemieckiej.

Aczkolwiek w swej skromnej roli politycznej nie miałem dostępu do tajemnic dyplomacji europejskiej, dotykałem się osobiście tylko spraw polskich, i to przecie nie wszystkich bezpośrednio, aczkolwiek wiedza moja nie sięgała przeważnie poza to, co było dostępne dla przeciętnego czytelnika książek i dzienników, i przedstawiała wielkie luki, które musiałem zapełniać dedukcjami z ułamkowych faktów, postanowiłem wziąć na siebie spełnienie tego obowiązku.

W roku 1907 zabrałem się do napisania książki, przeznaczonej przedewszystkiem dla czytelnika rosyjskiego i francuskiego, książki, która miała spełnić następujące zadania:

---

[1]) Ministra spraw zagranicznych Monarch i Austro-Węgierskiej.

przedstawić plany polityki berlińskiej i rozrost wpływów niemieckich w Europie środkowej i wschodniej i wykazać ich znaczenie dla rozwoju potęgi Niemiec;

dać obraz współczesnego stanu kwestji polskiej, uwydatnić jej znaczenie dla Niemiec i jej rolę w polityce berlińskiej;

odsłonić ujarzmienie Austro-Węgier przez Niemcy i uzależnienie Rosji od nich, w szczególności uwydatnić siłę wpływów niemieckich w Petersburgu; wreszcie

wykazać, że cała polityka Rosji względem Polski jest robotą dla Niemiec, umożliwiającą powodzenie ich wielkich planów.

Tą drogą zamierzałem:

zainteresować państwa zachodnie kwestją polską, pokazać im w nowo wytworzonem położeniu międzynarodowem Polskę, jako czynnik polityki europejskiej, którego lekceważenie jest bardzo niebezpieczne; obudzić ich czujność względem polityki niemieckiej na naszym i sąsiadującym z nami terenie, oraz wywołać ich przyjazne oddziaływanie na Rosję w sprawie polskiej;

uświadomić opinji rosyjskiej grozę położenia Rosji i niebezpieczeństwo polityki rządu, który zwłaszcza w sprawie polskiej pracuje dla Niemiec i zbliża całkowity upadek mocarstwowego stanowiska Rosji; tą drogą przyczynić się do zorganizowania w Rosji silnego obozu opinji, możliwie przyjaznego dla Polski, a wypowiadającego walkę wpływom niemieckim;

wzmocnić przeciwniemiecki kierunek rosyjskiej polityki zewnętrznej, przez obudzenie pewności, że w walce przeciw Niemcom Rosja będzie miała Polskę po swojej stronie; wreszcie

uświadomić opinję polską co do położenia naszej sprawy we współczesnym układzie stosunków międzynarodowych, co do roli Niemiec w kwestji polskiej i co do zadań naszej polityki.

Ma się rozumieć, zdawałem sobie sprawę z tego, że jedna książka nie wywoła nagłego przewrotu w pojęciach i głębokich zmian w polityce. Uważałem ją wszakże za konieczny początek akcji politycznej, którą należało rozwinąć na wszystkich dostępnych dla nas polach. Książka *Niemcy, Rosja i kwestja polska* to zadanie spełniła w większej nawet, niż się spodziewałem, mierze. Zwłaszcza w Rosji i we Francji zainteresowała ona szerokie koła polityczne sprawą polską, zjawiającą się w nowej fazie, i zwróciła uwagę na te strony polityki niemieckiej, o których uwydatnienie nam chodziło[1].

Książka moja milczała o wielkim celu polityki polskiej: nie było w niej deklaracji o naszem dążeniu do odbudowania państwa.

Ma się rozumieć, przeciwnicy polityczni w kraju na tej zasadzie oskarżyli mnie i cały obóz polityczny o to, żeśmy się wyrzekli niepodległości.

Tymczasem każdy, kto przeczytał inteligentnie i uczciwie książkę, w której kwestja polska jest przedstawiona jako jedna, integralna całość we wszystkich trzech zaborach, musiał widzieć, że jedynym sposobem celowego i trwałego rozwiązania kwestji, jaki z jej przedstawienia wynikał, było zjednoczenie ziem polskich i odbudowanie państwa. Były w niej wszystkie przesłanki do niepodległości, tylko nie wypowiedziano wniosku.

Dlaczego?...

Dla bardzo prostej przyczyny. W czasie, kiedy pisałem tę książkę, byłem w wieku dojrzałym, kiedy w polityce robi się to, co prowadzi do celu, a unika się tego, co od celu oddala.

---

[1] Ukazała się ona we Lwowie w r. 1908. Prawie jednocześnie wyszedł w Petersburgu jej przekład rosyjski p. t. *Giermanija, Rossija, i polskij wopros*. W następnym roku wyszedł uzupełniony przekład francuski p. t. *La Question polonaise* (Paris, Armand Colin), z przedmową Anatola Leroy Beaulieu. Oprócz tego wydano w Helsingforsie przekład fiński.

Tradycja naszych powstań i polityki powstańczej nie sprzyjała dojrzewaniu politycznemu ludzi, i ci, co na tej tradycji kształcili swe pojęcia, nie mogli rozumieć polityki jako czynności celowej, czynności, która sobie stawia jasny, konkretny cel i wybiera do niego odpowiednie drogi. W ich pojęciach polityka polska polegała na uroczystem deklarowaniu tego, czego się chce, i na protestowaniu, czynnem, lub słownem, przeciw temu, czego się nie chce. Wszystko, co w zakresie sprawy polskiej wyrastało ponad ten prymitywny poziom pojęć, było dla ich umysłów niedościgłe; nie dlatego, żeby byli wogóle dziećmi, bo umieli nieraz zupełnie celowo postępować w innych sprawach, tylko dlatego, że sprawy polskiej, sprawy niepodległości nie pojmowali realnie, konkretnie — była to w ich umysłach sprawa oderwana od życia, do której się logika czynu nie stosuje.

Chwila, w której się moja książka ukazała, nie była chwilą realizacji, i nie wymagała wyraźnego określenia naszych celów i żądań. Byliśmy w okresie przygotowania, kiedy potrzebne było oddziaływanie na sytuację w sposób dla nas korzystny, umożliwiający nam, gdy na to czas przyjdzie, postawienie programu i urzeczywistnienie celu naszych dążeń.

Dziecinną byłaby polityka, któraby, uważając za konieczne dla sprawy polskiej podcięcie niemieckich wpływów w Rosji, zaczęła od wywieszenia programu niepodległości, od dania broni w ręce Niemcom, którzy swój wpływ w Rosji opierali zawsze na straszeniu jej niebezpieczeństwem polskiem. I trzeba było nie mieć najmniejszego pojęcia o współczesnym sposobie myślenia politycznego na Zachodzie, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, iż wystąpienie w owej chwili z programem odbudowania państwa polskiego byłoby przyjęte jako fantazja, nie licząca się wcale z rzeczywistością, a oprócz tego jako dążenie do popsucia stosunków państw za-

chodnich z Rosją, i zniechęciłoby tylko do jakiegokolwiek zainteresowania się nanowo kwestją polską. Do takiego nonsensu ani ja, ani towarzysze moi w pracy politycznej nie bylibyśmy zdolni. I dlatego właśnie zdołaliśmy zorganizować, w zakresie naszych sił i środków, politykę polską, po długim okresie, w którym Polska polityki istotnej, zasługującej na to miano, nie miała.

Muszę to stwierdzić, że w kraju, w stosunkowo szerokich kołach społeczeństwa, zaczęto nas i naszą politykę rozumieć, że zarówno w naszym obozie, jak poza nim, szybko rosła liczba ludzi, widzących dobrze, dokąd idziemy, i podzielających nasze stanowisko w wyborze dróg działania. Było już widoczne, że gdy przyjdzie chwila rozstrzygająca, nie znajdziemy się w położeniu nie rozumianej przez ogół garstki ludzi, ale że będziemy mieli za sobą większość narodu.

I moją książkę naogół w Polsce zrozumiano nietylko w tem, com powiedział, ale i w tem, czegom nie dopowiedział. Nie przeszkodziło to, że wywołała ona, jak to zaznaczyłem, liczne napaści, ba, nawet szyderstwa[1].

Książka, jako czyn polityczny, nie wystarczała i, pisząc ją, szukałem jednocześnie terenu, na którym moglibyśmy rozwinąć akcję, paraliżującą politykę Niemiec, dającą Polsce rolę czynnika polityki europejskiej, a jednocześnie utrudniającą rządowi rosyjskiemu jego przeciwpolską politykę i pomagającą do wytworzenia w Rosji obozu, któryby się z nami przeciw Niemcom i przeciw polityce rządu sprzymierzył.

---

[1] W warszawskiem *Słowie*, organie stronnictwa „polityki realnej", wybitny publicysta tego obozu, Ludwik Straszewicz, analizując książkę moją, porównał mię z Rzeckim, starym subjektem z *Lalki* Bolesława Prusa — takiem majaczeniem wydało mu się traktowanie sprawy polskiej na tle sytuacji międzynarodowej. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że i w tym obozie nie wszyscy tak myśleli, jak Straszewicz.

Nietrudno było spostrzec, że najpodatniejszym i najdostępniejszym dla nas terenem do takiej akcji jest świat słowiański Austro-Węgier i Bałkanów, tej właśnie części Europy, w której Niemcy najenergiczniej pracowały, największe robiły postępy i najmniej ze strony mocarstw trójporozumienia spotykały przeszkód.

Panslawizm, tak energicznie swego czasu propagowany przez Rosję, należał już właściwie do przeszłości. Zadała mu cios ewolucja narodowa ludów słowiańskich. Rosnące szybko poczucie samoistności narodowej tych ludów sprowadzilo do absurdu idee „zlania strumieni słowiańskich w morzu rosyjskiem". Solidarność słowiańska mogła się już oprzeć tylko na uznaniu samoistności każdego z narodów słowiańskich, na jej poszanowaniu przez innych Słowian i na współdziałaniu tych narodów zarówno w ich rozwoju cywilizacyjnym, jak w obronie przeciw wspólnym wrogom. Zrozumienie tego sprawiło, że słowianofilstwo w samej Rosji szybko zanikalo, że Rosja dla Słowian znacznie ochłodła i przestała podsycać propagandę słowianofilską.

Jednakże wobec szybkich postępów ekspansji niemieckiej w kierunku Bliskiego Wschodu, poprzez Austro-Węgry i Bałkany, postępów, zagrażających silnie mocarstwowemu stanowisku państwa carów, zdawano sobie sprawę w Rosji ze znaczenia dla niej narodów słowiańskich i ich zachowania się politycznego. Polityka zagraniczna Rosji tych narodów nie lekceważyła, starała się mieć w nich sojuszników i nawet, jak w Serbji, robiła to z dużem powodzeniem.

Ten, kto zdawał sobie sprawę z tych zmian w świecie słowiańskim — a to przecie nie było tak trudne — musiał zrozumieć, że wytworzyły one sytuację dla nas korzystną. Dawny panslawizm, który patrzył na Słowian jako na potencjalnych Rosjan, mógł ogłaszać nas za zdrajców Słowiańszczyzny, bo jako naród z bogatą prze-

szłością dziejową, z opartą na niej wybitną indywidualnością narodową i odrębnem a bogatem życiem duchowem, związany przez swą religję i cywilizację ze światem łacińskim, a nie bizantyńskim — najmniej ze wszystkich Słowian mieliśmy kwalifikacji do tego, żeby się stać Rosjanami. Wszelkie też wysiłki, zwrócone ku zrobieniu z nas Rosjan, były beznadziejne. W nowem położeniu, kiedy rozwój narodowy Słowian zachodnich i południowych zrobił ogromne postępy, kiedy Czesi, Serbowie, Bułgarzy poczuli się odrębnemi, samoistnemi narodami i ta samoistność stała się im drogą, kiedy solidarność słowiańska mogła się tylko na uznaniu tej samoistności każdego z narodów oprzeć — zarzut zdrady sprawy słowiańskiej można było zwrócić tylko do Rosji, która wespół z Niemcami pracowała nad zniszczeniem bytu wielkiego narodu słowiańskiego, Polski.

Podniesienie tedy nanowo idei słowiańskiej, niedogodne dla Rosji z jej przeciwpolską polityką, dla Polski przedstawiało ogromne korzyści. O ileby się dało postawić sprawę szczerze, uczciwie w świadomości ludów słowiańskich, a to przy należytej pracy z naszej strony było możliwe, przed Rosją stawała alternatywa: albo zerwać współpracę z Niemcami przeciw Polsce, zmienić swą politykę polską, albo wyrzec się poważniejszego wpływu na Słowian zachodnich i południowych.

Już w r. 1907 zdecydowałem się zużytkować teren słowiański do akcji przeciw Niemcom. Pozostawała tylko kwestja sposobu wykonania.

Podniesienie sprawy solidarności słowiańskiej i rozwinięcie na tem tle poważnej akcji nie mogło być zrobione z inicjatywy polskiej. Stojąc oddawna poza nawiasem ruchu słowiańskiego ze względu na kierunek, jaki mu nadał wpływ rosyjski, nie byliśmy dostatecznie zbliżeni ze światem słowiańskim i nie mieliśmy odpowiednich stosunków w tym świecie. Z drugiej strony,

ruch słowiański, odradzający się z inicjatywy polskiej, powitany byłby w całej Rosji z nieufnością, któraby rozwój jego sparaliżowała. Inicjatywa tedy musiała wyjść z innej strony.

Że wszystkich narodów Czesi byli zawsze najgorliwszymi propagatorami idei słowiańskiej i mieli najmocniejsze stanowisko w świecie słowiańskim. Na czele polityki czeskiej stał Kramarz, przekonany słowianofil, człowiek, odznaczający się wielkim talentem i energją. Wysoko nosząc sztandar czeskiej niezawisłości narodowej, co go oddalało od dawnego panslawizmu, był on jednocześnie wielkim przyjacielem Rosji i przyjaźń swą dla niej głośno manifestował. Ciesząc się wielką powagą zarówno w Rosji, jak w krajach słowiańskich Austro-Węgier i Bałkanów, był on niejako przeznaczony na inicjatora nowego ruchu. Od niego też postanowiłem zacząć.

Uprosiłem jednego z ludzi, stojących poza naszym obozem, ażeby pojechał do Kramarza i zapewnił go, iż gdyby chciał dać inicjatywę do zbliżenia się i porozumienia narodów słowiańskich w celu współdziałania w pracy cywilizacyjnej i gospodarczej i wspólnej obrony przeciw postępom wpływów niemieckich — my weźmiemy żywy udział w tej akcji. Zrobiłem to, naturalnie, po uprzedniem zawiadomieniu kierowników Koła Polskiego w Wiedniu, uważając, że byłoby nielojalnością z naszej strony, gdybyśmy bez ich wiedzy rozpoczynali akcję, mogącą się silnie odbić na stosunkach wewnętrznych państwa austrjackiego. I tu muszę stwierdzić, że jakkolwiek politycy nasi w Austrji nie przyjęli naszych planów ze szczególnem entuzjazmem, jakkolwiek widzieli, że nasza akcja może im nawet w pewnej mierze być niedogodną, ze względu zwłaszcza na ich stosunek do Czechów, to jednak nie uważali za możliwe naszym próbom się sprzeciwiać, z racji znaczenia, jakie mogą

one mieć dla naszej polityki w zaborze rosyjskim. Dodam, że z rozmów, jakie miałem wówczas nawet z konserwatywnymi przedstawicielami Galicji, wyniosłem wrażenie, że zaufanie ich do państwa austrjackiego jest słabe, że nie budują oni przyszłości naszego narodu na trwałem związku z polityką tego państwa. Dlatego też i później, po wybuchu wielkiej wojny, wiedziałem dobrze, iż to, co wystąpiło w Krakowie pod zuchwałą nazwą Naczelnego (!) Komitetu Narodowego, reprezentowało słabą mniejszość nietylko Polski, wziętej jako całość, ale nawet naszej dzielnicy austrjackiej.

Kramarz bez wahania zdecydował się dać inicjatywę i stanąć na czele akcji. I to był początek neoslawizmu.

Polityk czeski przybył w maju 1908 roku do Petersburga na przedwstępną konferencję, na której odrazu odgrodził się od dawnego panslawizmu. Nie przychodzimy tu — zwrócił się do Rosjan — jako ubodzy krewni z prośbą o pomoc, bo w dzisiejszych warunkach my bodaj możemy dać wam więcej, niż wy nam; chcemy iść z wami, jako równi z równymi, i wspólnie pracować dla dobra wszystkich narodów słowiańskich. Odrazu też na tej konferencji wysunęła się na czoło kwestja polsko-rosyjska: stwierdzono, że polityka rosyjska względem Polski jest największem niebezpieczeństwem dla przyszłości Słowiańszczyzny.

Postanowiono zwołać do Pragi na lipiec 1908 r. przygotowawczy zjazd słowiański.

Określenie charakteru nowej akcji słowiańskiej, dane na konferencji w Petersburgu, zdecydowało odrazu o udziale w niej Rosjan.

Resztki słowianofilów dawnego typu, które się zjawiły na przyjęcie Kramarza, usunęły się. Szczerze i uczciwie przystąpili do współpracy ludzie umiarkowanie liberalni, a zarazem gorący patrjoci rosyjscy, jak Mikołaj Lwow, Makłakow, prezes Dumy Chomiakow i inni.

Wszystko, co było związane bliżej z Niemcami lub żydami, zostało na boku. Było do przewidzenia, że rząd, zaskoczony tą akcją, bardzo dla niego niedogodną, nie pozostanie względem niej biernym. Nie mógł on przeciw niej otwarcie wystąpić, bo toby zdyskredytowało Rosję w świecie słowiańskim. Musiał więc szukać możliwie zręcznego sposobu paraliżowania jej, bez ujawniania swej nieżyczliwości. Tego zadania podjęli się ludzie z obozu najbardziej zbliżonego do Stołypina, z obozu nacjonalistów, a przedewszystkiem głośny ze swych wystąpień w Dumie Włodzimierz hr. Bobrinskij.

Przyłączenie się jego i jego towarzyszy do akcji było dla niej wielkiem niebezpieczeństwem, które my, Polacy, widzieliśmy od początku, ale któremuśmy nie mogli zapobiec, ile że inni uczestnicy akcji widzieli w tem ogromną zdobycz i wierzyli, że Bobrinskij i jemu podobni ulegną wpływowi nowego kierunku i zasymilują się. Nie wierzyli, że Bobrinskij rozbije całą pracę.

Dla społeczeństwa polskiego, któremu Bobrinskij ze swej fizjognomji politycznej był dobrze znany, udział jego był odstraszający.

Niemniej przeto w szerokich kołach u nas dobrze już rozumiano nasze cele i naszą politykę; jakkolwiek terenu dla neoslawizmu nie mieliśmy czasu należycie w kraju przygotować, poczynania nasze w tym kierunku przyjęte zostały z zaufaniem i spotkały się z poważnem poparciem ze strony ogółu. Ja osobiście miałem pozycję w kraju mocną; świeżo jeszcze wzmocniłem ją paru przemówieniami w Dumie, w których poddałem ostrej krytyce rządy rosyjskie w Polsce.

Zjazd w Pradze odbył się przy udziale delegacji polskiej ze wszystkich trzech zaborów, a atmosfera, panująca na nim, zapowiadała pomyślną dla całej akcji przyszłość. Nastąpiło też poważne zbliżenie polsko-czeskie, które się wyraziło następnie w wielkich zbiorowych

wizytach — czeskiej w Warszawie i polskiej w Pradze.

Od zjazdu praskiego Bobrinskij zaczął wykonywać swój, czy też poddany mu plan, najskuteczniejszy, o ile chodziło o rozbicie neosławizmu od wewnątrz. Uderzył on w punkt, na którym panowała najgłębsza różnica pojęć pomiędzy nami a mniejszemi narodami słowiańskiemi, i na którym najłatwiej było wywołać nieporozumienia.

Myśmy nigdy nie utonęli w morzu obcej cywilizacji — niemieckiej, węgierskiej, czy tureckiej, jak to było z naszymi współbraćmi słowiańskimi na zachodzie i na południu — ale przeciwnie, szerzyliśmy swoją na przyległych do Polski ziemiach. Stąd naturalną całkiem rzeczą była głęboka różnica między nami a nimi w pojęciu tego, co się nazywa obszarem narodowym.

Wyzwalając się z pod wpływów obcych, budowali oni swój byt narodowy nanowo na podstawie wyłącznie językowej, na obszarze, na którym język macierzysty się zachował. Stąd obszar narodowy w ich pojęciu utożsamiał się z obszarem etnograficznym, językowym.

My zaś mieliśmy pojęcie obszaru narodowego, właściwe wszystkim większym narodom, których samoistny byt cywilizacyjny nigdy nie został przerwany, których cywilizacja nigdy nie ustąpiła miejsca innej. W tem pojęciu obszar narodowy nie kończy się na granicach obszaru etnograficznego, ale tam, gdzie się kończy panowanie, przewaga cywilizacji narodowej. Zrozumienie naszego stanowiska było dla innych Słowian bardzo trudne, zwłaszcza gdy chodziło o naród, nie posiadający swego państwa, nie będący potężnem mocarstwem.

Tę właśnie różnicę pojęć usiłował wyzyskać Bobrinskij i, manifestując głośno swe uczucia słowiańskie, a nawet swą miłość dla Polski, zrobił sobie specjalność z przeprowadzania granicy między Polską a Rosją w ten sposób, że Rosja rozciągała się na zachód wszędzie, dokądkolwiek sięgała mowa ruska, równoznaczna w jego

pojęciu z rosyjską. Wiedział, że na tej drodze dojdzie na pewno do konfliktu z Polakami, przyczem miał duże widoki, że większość Słowian stanie po jego stronie.

My ten spór staraliśmy się jak najbardziej oddalać, a natomiast przypieraliśmy nacjonalistów rosyjskich do muru w sprawie ich stosunku do rdzennej Polski. Wiedzieliśmy, że nie zdobędą się oni na wyraźne wystąpienie przeciw polityce rządu: chcieliśmy tym sposobem zdemaskować ich nieszczerość i zdyskwalifikować ich jako polityków słowiańskich.

Na naradach polsko-rosyjskich w Petersburgu, będących następstwem zjazdu praskiego, nie doszliśmy do określonego wyniku, w znacznej mierze skutkiem niezdecydowanego stanowiska przewodniczącego na nich Kramarza. W następstwie wszakże Bobrinskij nie znalazł dla siebie innego wyjścia, jak oświadczyć w memorjale, złożonym przezeń przedstawicielowi jednego z krajów słowiańskich, który próbował pośredniczyć między Polakami a Rosjanami, że Rosja nie może pozwolić na swobodny rozwój cywilizacji polskiej w rdzennej Polsce, dopóki ta cywilizacja nie przestanie panować na ziemiach ruskich, które dawniej do Polski należały.

W tych warunkach niemożliwość współdziałania naszego z nacjonalistami rosyjskimi okazała się dla wszystkich innych Słowian widoczną, i nowa akcja słowiańska, po drugim zjeździe, w Sofji, który się odbył już bez urzędowego udziału Polaków, ucichła.

Niemniej przeto ruch neoslawistyczny, pomimo krótkiego trwania, miał duże znaczenie. Poruszył on umysły w krajach słowiańskich, wzmocnił czujność na niebezpieczeństwo niemieckie, zmusił państwa zachodnie do zwrócenia baczniejszej uwagi na robotę Niemców w Europie środkowej i na znaczenie barjery, jaką na drodze ekspansji niemieckiej stawiają narody słowiańskie, zaczynając od Polski, a kończąc na Serbji, wreszcie, co

najważniejsza, dał początek organizacji nowego obozu przeciwniemieckiego w Rosji, obozu, całkowicie zdającego sobie sprawę z zależności Rosji od Niemiec i stawiającego sobie za zadanie z tej zależności się wyzwolić. Niewątpliwie też odegrał on niemałą rolę w przygotowaniu związku narodów bałkańskich, który przeprowadził wojnę z Turcją i gruntownie zmienił kartę polityczną półwyspu Bałkańskiego.

Przez ogłoszenie książki *Niemcy, Rosja i kwestja polska*, oraz przez akcję na terenie słowiańskim, wykroczyliśmy poza ramy polityki miejscowej, dzielnicowej, wystąpiliśmy jako jeden, niepodzielny naród z jedną, obejmującą całość Polski polityką, i jako tacy stanęliśmy niedwuznacznie w obozie przeciwniemieckim. Pomimo skromnego zakresu tej akcji — bo na szerszy środki nasze nam nie dozwalały — był to krok wielkiej doniosłości. Gdy w sześć lat potem przyszła dla Polski chwila rozstrzygająca, gdy wybuchła wielka wojna, posiadaliśmy już w polityce europejskiej pozycję przygotowaną, nie mieliśmy już potrzeby legitymować się, wyjaśniać naszych motywów i dowodzić szczerości naszego stosunku do stron walczących. Od pierwszej chwili w obozie państw sprzymierzonych uznano nas za swoich, okazano nam zaufanie, co nam dało względną swobodę działania. Gdyby nie to stanowisko nasze, proklamowane głośno już w roku 1908, nie wiem, czyby nam się udało zdobyć tę pozycję wobec takich faktów, jak legjony Piłsudskiego, jak hałaśliwe manifestacje „Naczelnego Komitetu Narodowego", jak wreszcie późniejsze działania t. zw. aktywistów — tem bardziej, że i na terenie państw sprzymierzonych przez cały ciąg wojny nie ustawały intrygi, dążące do podkopania naszego stanowiska, do zniszczenia tego zaufania, z któregośmy korzystali.

Dziś jeszcze zdarza się słyszeć głosy, z przekonania nawet płynące: tak, oni coś tam zrobili dla Polski na

konferencji pokojowej, ale mają w przeszłości takie grzechy, jak np. neoslawizm...

To mi przypomina jednego z Polaków, który mówił do Francuza: my mamy głęboką wdzięczność dla Francji za to, co zrobiła dla nas podczas wojny i konferencji pokojowej, bardzo ją kochamy i zapominamy jej to, że zawarła przedtem aljans z Rosją... Jak gdyby Francja bez aljansu z Rosją mogła była dojść do wielkiej wojny, zwyciężyć i wespół z sojusznikami dyktować pokój wersalski, który ustanowił państwo polskie.

Są ludzie, którzy w polityce uznają tylko żniwo: nawożenie, orka i siew są niepotrzebne. Są tacy, którzy podczas pierwszych robót w polu już pytają o plon, a gdy go nie widzą, zniechęcają się i odchodzą...

Polska bez żadnej wątpliwości ma o wiele więcej takich ludzi, niż inne kraje. Wynika to niezawodnie stąd, żeśmy przez długi czas żyli bez polityki we właściwem tego słowa znaczeniu: to, co się nazywało polityką, to nie były ruchy celowe, jeno odruchy.

Ta właśnie psychologja polityczna narodu wytwarzała dla nas największą trudność w naszej pracy. Mieliśmy zaufanie ogromnej większości kraju, wierzono w uczciwość naszych poczynań, nawet w nasz rozum polityczny, ale gdy ta praca żadnych natychmiastowych korzyści nie dawała, gdy przeciwnie, spadały na kraj na razie tylko polityczne klęski, najszczersi zwolennicy, jeżeli nie obojętnieli całkiem, to zachowywali jedynie platoniczne sympatje, pozostawiając nielicznej garści ludzi naprawdę czynnych walkę z piętrzącemi się coraz bardziej przeciwnościami.

A iluż było w tym okresie po r. 1907 ludzi „rozsądnych”, którzy mówili, że wobec tak trudnego dla nas położenia, takiej bezowocności naszych wysiłków politycznych, lepiej na dłuższy czas działalność polityczną całkiem zawiesić, a oddać się wyłącznie pracy gospo-

darczej i kulturalnej! W ich oczach polityka w owym okresie była manjactwem, niepotrzebnem sił marnowaniem. I to wtedy właśnie, kiedyśmy widzieli, że położenie międzynarodowe zmienia się z zawrotną szybkością, że chwila wielkich rozstrzygnięć jest bliska, i kiedy ogarniała nas rozpacz, żeśmy tak mało zdołali Polskę do niej przygotować.

Od czasu, kiedyśmy rozpoczęli tę naszą akcję przeciw Niemcom, skromną jak powiedziałem, ale po raz pierwszy wykraczającą poza bezpośrednią obronę zagrożonej polskości pod panowaniem pruskiem, akcję w pewnej mierze zaczepną, bo dążącą do podcięcia wpływów niemieckich w Rosji oraz w środkowej i południowo-wschodniej Europie — zaczął się dla nas okres najtrudniejszy.

We wszystkich trzech państwach rozbiorczych polityka rządów, dążąca, jak już powiedziałem, do okrojenia w skróconem tempie naszego obszaru narodowego, zaostrzała się coraz widoczniej, wyrażała się w aktach, coraz bardziej prowokujących. Stanowisko przedstawicielstw polskich w Berlinie, Petersburgu i nawet Wiedniu stawało się coraz słabsze, rządy coraz wyraźniej je lekceważyły; prawodawstwo przeciwpolskie w Prusiech nabrało już charakteru aktów szału tępicielskiego; rząd rosyjski przystąpił już do przeprowadzenia swego projektu chełmskiego, jednocześnie zaś skupił ostatnią w Polsce kolej prywatną i wyrugował ze służby mnóstwo Polaków, ba, nawet zaczął kupować w Królestwie własność ziemską, jak gdyby na kolonizację, a w Krajach Zabranych przy wprowadzeniu samorządu ziemskiego stworzył kurję narodową polską w celu usunięcia Polaków od wpływu; w Austrji nie kończyło się na protegowaniu ukrainizmu z Wiednia — z jednej strony grasował we Lwowie konsul niemiecki, prowadzący intrygi z Rusinami, z drugiej zaś, nawiedzał Galicję Wschodnią hr. Bobrinskij,

który, występując w roli naszego przyjaciela i sojusznika słowiańskiego, przygotowywał oderwanie kraju i przyłączenie go do Rosji.

Tak się przedstawiało położenie Polski we wszystkich trzech zaborach, a jak przeciwnicy mówili, takie były owoce polityki Dmowskiego.

Jeżeliśmy ten okres przetrwali i nie byli zmuszeni do zlikwidowania naszej polityki, to tylko dlatego, żeśmy jasno widzieli cel, do któregośmy szli, i wierzyli, że dojdziemy; dlatego również, że społeczeństwo polskie ma zdrowe instynkty i, wbrew temu, co się o niem mówi, nie jest tak zmienne w swym stosunku do kierowników politycznych. Prawda, bardzo często człowiek u nas bywa podnoszony wysoko przez opinję publiczną i nagle spuszczany na dół, ale to zwykle własna jego wina: nie trzeba sobie sztucznie robić popularności i nie trzeba doznawać zawrotu głowy na wyżynach, to wtedy się nie spadnie.

Myśmy mogli się skarżyć na brak energji i wytrwałości u naszych zwolenników, często na brak odwagi cywilnej w obronie swego stanowiska, na bierność dla miłego spokoju — ale musimy przyznać, że w najcięższych chwilach, kiedy z zewnątrz i z wewnątrz atakowano nas z wściekłością, kiedyśmy mieli bardzo słabe środki propagandy, kiedy prawie cała prasa warszawska szła przeciw nam ławą, ogół polski w swej większości od nas się nie odwrócił i wierzyć nam nie przestał.

Jednakże straciliśmy w tym okresie wiele ze swej świetnej pozycji, zdobytej w walce z ruchem rewolucyjnym w r. 1905.

Narodowy Związek Robotniczy, będący główną naszą armją w walce z rewolucją, stał się naszym otwartym przeciwnikiem. Dla tych ludzi, nie zagłębiających się zanadto w zagadnienia polityczne, potrzebujących w polityce mocnego frazesu, nasza akcja to było

zaprzaństwo, ordynarna ugoda z Moskalami. Oddaliwszy się od nas, związek ten popadł pod wpływy socjalizmu, z którym poprzednio walczył.

Popularny dziennik, któryśmy oddali w ręce swoich ludzi, zdradził nas, poszedł z furją przeciw nam i zajął stanowisko wyraźnie germanofilskie.

W szeregach stronnictwa zaczęło się odszczepieństwo, zjawiły się „frondy", „secesje"... Cała połać kraju, Lubelskie, odpadła od naszej organizacji, pozostali tylko oddzielni ludzie.

Zmuszony zostałem do ustąpienia ze swego stanowiska w Dumie z powodu drobnej pozornie sprawy, ale mającej dla naszej polityki zasadnicze znaczenie.

Rząd wniósł do Dumy projekt do prawa, zamykającego wstęp do armji osobom, pozostającym pod śledztwem za przestępstwa polityczne. Było to zabezpieczenie się przed propagandą rewolucyjną w szeregach.

Myśmy budowali przyszłość sprawy polskiej na wojnie między Rosją a Niemcami i na klęsce Niemiec. Nie mogliśmy tedy pragnąć rozkładu armji rosyjskiej przez propagandę rewolucyjną. Z naszego stanowiska jedynie logicznem było głosowanie za projektem do prawa. Zdarzyło się, że ten wniosek przez niedopatrzenie pozostał wśród innnych drobnych wniosków natury czysto formalnej, których na posiedzeniach Koła nie dyskutowano. Gdy się znalazł na porządku dziennym w Izbie, dałem komendę do głosowania za wnioskiem na swoją osobistą odpowiedzialność.

To głosowanie Koła wywołało przedewszystkiem burzę w Rosji. Cała lewica z „kadetami" włącznie, cała będąca w rękach żydów prasa rzuciła się ze wściekłością na Koło Polskie za jego „reakcyjność"[1]. Wtórował

[1] Po przewrocie bolszewickim w Rosji, który był wynikiem zrewolucjonizowania wojska, myślałem sobie, jak wielu „kadetów" musi dziś żałować, że sprzyjali propagandzie rewolucyjnej w armji. A ilu z nich życiem to przypłaciło!...

temu atakowi chór wrogów „reakcji" w Warszawie. Atak był tak gwałtowny, że zachwiał szeregami naszego obozu. Na ogólnym zjeździe stronnictwa demokratyczno-narodowego, który się wkrótce odbył, zapadła uchwała, żebym na stanowisku pozostał, ale politykę w Dumie zmienił. Odpowiedziałem, że inna polityka wymaga innego człowieka, złożyłem mandat i wróciłem do pracy w kraju. A była ona bardzo potrzebna wobec sporego rozprzężenia w obozie.

Najważniejszem zadaniem stała się już nie akcja polityczna nazewnątrz, ale organizacja opinji publicznej w kraju, któremu zaczął zagrażać chaos pojęć i zupełna dezorjentacja polityczna.

Tem bardziej to było potrzebne, że po aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry, w przewidywaniu nieuniknionej wojny, zaczęto szerzyć w Królestwie propagandę austrofilską, forsując ją z niemałym wysiłkiem.

V

POD ZNAKIEM NADCHODZĄCEJ WOJNY

W tym samym roku 1908, w którym przedstawiciele wszystkich narodów słowiańskich zjechali się w Pradze, by zapoczątkować w stosunkach wzajemnych nową erę — polityka bałkańska Austro-Węgier zaczęła wykazywać niezwykłą inicjatywę i energję.

Rosja, która zaledwie była rozpoczęła dzieło reorganizacji swej armji, była jeszcze militarnie bezwładna i na jakąś mocniejszą politykę pozwolić sobie nie mogła. Niemniej przeto ówczesny jej minister spraw zagranicznych, Izwolskij, powziął ambitny zamiar osiągnięcia na drodze dyplomatycznej wielkiej zdobyczy — otwarcia dla Rosji Dardanelów. Liczył w tem na poparcie sojusznika francuskiego, miał nadzieję, że Anglja, związana porozumieniem z Rosją, tym razem nie będzie stawiała przeszkód, i wszedł w rozmowy z kierownikiem polityki Austro-Węgier, baronem Aerenthalem, w celu pozyskania dla swych planów monarchji habsburskiej, państwa, głównie obok Rosji zainteresowanego na Bałkanach. Nieostrożnie dał on zapewnienie Aerenthalowi, że Rosja, wzamian za życzliwe stanowisko Austro-Węgier w sprawie cieśnin, nic nie będzie miała przeciw definitywnej aneksji Bośni i Hercegowiny.

Wkrótce potem, jesienią 1908 r., całkiem niespodzianie dla wszystkich gabinetów, Ferdynand bułgarski, formalny do owego czasu lennik sułtana, ogłosił się niezależnym monarchą, z tytułem króla, a następnego

dnia Franciszek Józef proklamował wcielenie do monarchji habsburskiej okupowanych na mocy traktatu berlińskiego prowincyj tureckich — Bośni i Hercegowiny.

Rosja, zaskoczona temi faktami, nie mogła na nie reagować. Krępowało ją zobowiązanie, dane przez Izwolskiego, który zrozumiał, że go oszukano; jeszcze więcej wszakże gniew jej hamowała własna niemoc. Izwolskij próbował potem osiągnąć zgodę mocarstw na otwarcie cieśnin, to mu się wszakże nie udało, ile że napotkał przedewszystkiem na opór Anglji. Dowiedział się również, jeżeli tego nie wiedział przedtem, że, w razie jakichkolwiek kroków wrogich względem Austrji, Rosja miałaby do czynienia również i z Niemcami. Trzeba było, mówiąc językiem pospolitym, schować obrazę do kieszeni.

Powszechnie uważano to posunięcie Austrji, dokonane na współkę z Ferdynandem Koburskim, za jej krok, zrobiony na jej wyłączną odpowiedzialność, bez porozumienia z sojusznikiem niemieckim. W Berlinie nawet jakby okazywano pewne niezadowolenie ze zbytniej ruchliwości i samodzielności polityki austrjackiej. Nie trzeba wszakże zapominać, że dla Niemiec, uprawiających przyjaźń z Turcją, umacniających tą drogą swój wpływ w Konstantynopolu i robiących szybkie postępy w Azji Mniejszej, jawne łączenie się z polityką austrjacką na Bałkanach było niedogodne. Narzucał się więc podział ról między dwoma państwami, które były związane węzłami ściślejszemi, niż zwykłe przymierze: jedno było gorącym przyjacielem Turcji, starającym się stopniowo zamieniać przyjaźń na protektorat, drugie zaś ograbiało ją otwarcie niby bez porozumienia z tamtem. Gdyby wszakże ktoś to drugie chciał pohamować w zaborczości, przypomnianoby mu, że sojusz istnieje i że będzie miał z obu sojusznikami do czynienia.

Aneksja Bośni i Hercegowiny sprawiła duże zamie-

szanie w polityce międzynarodowej. Pośrednio, wprowadziwszy na porządek dzienny sprawę cieśnin, wywołała ona czasowe ochłodzenie stosunków między Rosją a Anglją. Uprzytomniła ona Rosji jej słabość, a co za tem idzie, zależność od Niemiec i dała broń w ręce żywiołom germanofilskim w państwie carów, które zaczęły wywierać silny nacisk w kierunku zbliżenia się z Niemcami, a oddalenia od państw zachodnich. Zdawało się nawet przez pewien czas, że Rosja nawróci do ścisłego związku z Niemcami, płacąc za to swą mocarstwową rolą. Wytworzyła też ona pewne rozdźwięki w świecie słowiańskim: podrażniła Serbję, wzmacniając tam nastrój antyaustrjacki, podczas gdy Słowianie w Austrji radzi byli z niej, widząc w niej wzmocnienie żywiołu słowiańskiego w monarchji habsburskiej: Chorwaci żywili nadzieję stworzenia pod berłem Habsburgów wielkiego państwa chorwackiego, gdy tacy politycy, jak Kramarz, obiecywali sobie przerobienie Austrji na państwo, rządzone przez Słowian.

Przyglądając się polityce mocarstw europejskich w latach, które potem nastąpiły, można było mieć wrażenie, że odbywa się jakieś wielkie ich przegrupowanie, że istniejące przymierza i porozumienia rozluźniają się i że nadchodzi utworzenie nowych. Logika wszakże wypadków jest o wiele silniejsza od logiki dyplomatów. I nas, organizatorów polityki polskiej, ocaliło od dezorjentacji to, żeśmy daleko stali od właściwej dyplomacji państw europejskich, a zato bacznie śledzili rozwój wypadków i starali się przewidzieć ich nieuniknione konsekwencje. Wszystko nam wskazywało na zbliżanie się wielkiej wojny europejskiej, w której trójporozumienie zmierzy się z sojuszem dwóch mocarstw Europy środkowej. Niezawodne źródło konfliktu leżało na Bałkanach.

Aneksja Bośni i Hercegowiny stała się bodźcem dla państewek bałkańskich, pobudzającym ich energję

i zmuszającym je do szukania nowych dróg ku zabezpieczeniu swej niezawisłości i urzeczywistnieniu swych aspiracyj. Na miejsce dawnej grawitacji jednych ku Rosji, drugich ku Austrji, zjawia się dążność do zbliżenia się, do porozumienia między sobą. Świeżo mianowany ambasador rosyjski w Konstantynopolu, Czarikow, człowiek z reputacją wroga Niemiec, właściwie zaś tylko zacięty wróg Austrji, sympatyzujący z nowym ruchem słowiańskim, zaczyna pracować nad wytworzeniem związku państw bałkańskich, do którego miałaby wejść i Turcja. System ten miał zniszczyć wpływy austrjacko-niemieckie na Bałkanach i położyć tamę ekspansji państw centralnych — nie potęgą rosyjską, ale przez połączenie samoistnych sił na miejscu.

Polityka angielska na Bliskim Wschodzie zaczyna powracać do dawnej swej aktywności.

Jednocześnie w trzeciem państwie trójprzymierza, we Włoszech rozwija się silny ruch umysłów w postaci prądu nacjonalistycznego, którego głównym twórcą i organizatorem jest Enrico Corradini. Kierunek ten, nie odgrywający roli w parlamencie, zdobywa sobie wielką siłę w kraju, i nie tyle ilością, co jakością swych ludzi, ich zapałem i energją zaczyna wywierać nacisk na politykę państwa. Pobudza on Włochy do energji w dzialaniu nazewnątrz, wiąże się z włoską irredentą w Austrji, szuka dróg ekspansji narodowej, wreszcie zmusza państwo do wojny libijskiej, wojny z Turcją o Tripolis.

Mocarstwa europejskie, w swem dążeniu do utrzymania pokoju za wszelką cenę, starają się umiejscowić tę wojnę w Afryce, jednakże Włochy zajmują niektóre wyspy egejskie: teren wojny zbliża się ku Bałkanom, co sprowadza wybuch powstania albańskiego.

Nagle, niespodzianie całkiem dla gabinetów dyplomatycznych, zjawia się na widowni związek państw bałkańskich nie z Turcją, ale przeciw Turcji: Bułgarja,

Serbja, Czarnogórze i Grecja, związane pomiędzy sobą konwencją wojskową, pod jesień r. 1912 wypowiadają wojnę Turcji i w ciągu miesiąca oczyszczają z wojsk tureckich prawie cały półwysep bałkański aż po Czataldżę, zagradzającą wejście do Konstantynopola.

Zaskoczone temi nagłemi a wielkiemi wypadkami, gabinety europejskie zapewniają zrazu, że nie pozwolą zmienić *status quo* na Bałkanach, ale okazuje się w krótkim czasie, że to czcze zapewnienia. Po takich wynikach wojny nikt nie mógł marzyć o przywróceniu dawnych granic.

Ta wojna wykazała większą o wiele, niż powszechnie przypuszczano, siłę państewek bałkańskich, a dodać trzeba, że nieco skompromitowała i Niemcy, boć armja turecka była organizowana i ćwiczona przez instruktorów niemieckich, którzy nawet brali w niej udział i kierowali ogniem z dział, dostarczonych przez Niemcy.

Dała ta wojna poważną lekcję dyplomacji wielkich mocarstw, wykazując jej, że nie jest ona całkowitą panią położenia międzynarodowego, że małe państwa zdolne są bez jej udziału gruntownie to położenie zmienić.

Nadewszystko zaś uczyniła ona wojnę europejską nieuniknioną w bardzo bliskim czasie.

Jednocześnie z niekorzystną dla Austrji zmianą sytuacji na Bałkanach, ze zjawieniem się związku państw bałkańskich — w Wiedniu słusznie uznano to za przechylenie się szali na stronę Rosji — zjawia się w Galicji silna agitacja polityczna pod hasłem „walki o niepodległość". Odbywają się liczne zebrania, wychodzą broszury, odezwy, prowadzone są ćwiczenia wojskowe młodzieży w „związku strzeleckim".

Władze austrjackie ruch ten nietylko tolerują, ale mu sprzyjają, sztab udziela pomocy w ćwiczeniach wojskowych. Austrja widocznie gotuje się do wojny z Rosją i postanawia w tej wojnie wygrać kwestję polską.

Ludziom, którzy nie wierzyli w samodzielność Austrji, którzy zdawali sobie sprawę z jej uzależnienia od Niemiec, musiało się nasuwać przedewszystkiem pytanie: jak na tę sprawę zapatruje się Berlin?

Z trzech państw rozbiorczych najsilniej zainteresowane w kwestji polskiej, jak już mówiłem, były Prusy. Cała ich karjera dziejowa była z losami kwestji polskiej najsilniej związana. Czyż można przypuścić, ażeby Austrja, ich napół sprzymierzeniec, napół klient, mogła wysuwać na porządek dzienny tę tak systematycznie tłumioną oddawna, tak żywotną dla Prus kwestję polską bez porozumienia się z niemi, bez otrzymania na to ich zgody? Przypuszczenie takie byłoby przeciwne wszelkiej logice politycznej. Niema wątpliwości, że gdyby Austrja chciała podnieść sprawę polską wbrew intencjom Prus, istnienie całego przymierza między dwoma państwami stanęłoby pod znakiem zapytania.

Jeżeli zaś to było zrobione za zgodą Berlina, to, znając surową konsekwencję polityki pruskiej, która w żadnej dziedzinie tak się nie uwydatniała, jak w kwestji polskiej, możemy być pewni, że ta zgoda nie była dana lekkomyślnie, bez należytego zważenia wszystkich możliwych skutków robionego przez Austrję kroku. Bez względu na to, co myślano, jakie plany sobie kreślono w Wiedniu, Berlin tę sprawę na pewno rozważył ze swego punktu widzenia i musiał uznać, że poruszenie na nowo kwestji polskiej w danych warunkach jest w zgodzie z linją jego polityki.

Jeżeli mówimy o uzależnieniu Austrji od Niemiec, to nie chcemy przez to powiedzieć, żeby w Wiedniu jedynie wykonywano rozkazy, idące z Berlina. Austrja miała swoje ambicje i swoje plany. Cele jej polityki bałkańskiej rodziły się w Wiedniu i tam były kreślone jej drogi. W szczegółach ta polityka robiła czasami posunięcia, które wprawiały Berlin w kłopotliwe położenie,

ale w ogólnych linjach odpowiadała ona niemieckim planom ekspansji na Bliskim Wschodzie, dla której Austro-Węgry były pomostem. W miarę, jak zaczynał odgrywać w polityce austrjackiej rolę następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, polityka ta nabierała nawet niemałej samodzielności, i zjawiały się w niej szersze plany. Jednak plany te nie szły wpoprzek zasadniczym założeniom polityki niemieckiej. Odgrywały też niemałą rolę ambicje sfer wojskowych austrjackich, które raz nareszcie chciały światu pokazać, że Austrja umie przeprowadzić zwycięską wojnę. Ambicje te były na rękę sojusznikowi nemieckiemu, bo pociągały za sobą ogromne w owym czasie kredyty na armję austrjacko-węgierską i wzmożoną pracę nad jej udoskonaleniem, co podnosiło potęgę i znaczenie przymierza. Pociągały one wprawdzie za sobą także możliwość niewczesnej, niepożądanej dla Niemiec wojny, dyplomacja wszakże berlińska, przy swoim wpływie na Austrję, miała możność to niebezpieczeństwo uchylać.

Dużą zaś dogodność przedstawiał podział ról między dwoma sojusznikami, przy którym Austrja się awanturowała, wytwarzała zamieszanie, Niemcy zaś, w swej roli rozważnej i powściągliwej, starały się wyciągnąć z położenia korzyści, odpowiadające ich planom, niezawsze przez polityków austrjackich rozumianym.

W polityce bałkańskiej państwu habsburskiemu się nie wiodło. Okazało się, że aneksja Bośni i Hercegowiny, uskuteczniona przy wyprowadzeniu w pole Izwolskiego przez Aerenthala, czyn, z którego dyplomacja austrjacka była tak dumna, nie była wcale posunięciem najszczęśliwszem. Dała ona bodziec do urzeczywistnienia tego, o czem oddawna marzono i co oddawna uważano za chimerę — do stworzenia związku państw bałkańskich, którego nieoczekiwane zwycięstwo nad Turcją przecinało Austrji drogę do Salonik, zamykało jej pole ekspansji na

południe. Zwłaszcza potem, w r. 1913, kiedy Ferdynand bułgarski — były dane, że z poduszczenia Austrji — rzucił się na Serbję i wywołał drugą wojnę bałkańską, w której przeciw Bułgarji wystąpiła Rumunja, kiedy Bułgarja została pokonana, a znaczenie Serbji urosło, polityka austrjacka musiała się przyznać przed sobą do całkowitej klęski. Że zaś przy wzmocnieniu Serbji jednocześnie się wzmocniła pozycja Rosji w Belgradzie; że Serbja, czując w Rosji oparcie, coraz śmielszą przybierała postawę — polityka austrjacka niepowodzenie swe przypisywała przedewszystkiem Rosji i w niej główną widziała przeszkodę.

Jednocześnie z wystąpieniem na widownię związku bałkańskiego, Austrja drugi raz już w krótkim czasie — pierwszy raz po aneksji Bośni i Hercegowiny — zaczęła robić głośne przygotowania do wojny z Rosją.

Najgłośniej pobrzękuje szablą ten, kto nie ma zamiaru dobywać jej z pochwy. Ta hałaśliwość właśnie przygotowań austrjackich budziła podejrzenie, że Austrja wcale się nie zabiera do wojny z Rosją. Może wojskowi mieli na nią ochotę, wiedząc o nieprzygotowaniu Rosji, politykom wszakże najwidoczniej chodziło o zastraszenie współzawodnika w polityce bałkańskiej. Jeżeli tak istotnie było, to ta gra nie była bardzo potrzebna, bo Rosja w owym czasie wcale nie była nastrojona wojowniczo i nie zabierała się do wyjścia poza dyplomatyczne środki działania.

Byliśmy wówczas prawie pewni, że wojny nie będzie, że jeszcze na nią chwila nie przyszła. Rosja wojny nie chciała, wiedziała zaś, że zaczepiwszy Austrję, będzie miała do czynienia i z Niemcami. Sojuszniczka Rosji, Francja, także starała się za wszelką cenę zachować pokój i do wojny zaczepnej nie zachęcała. Austrja zaś, gdyby nawet miała zamiar napaść Rosję, mogła to zrobić tylko za zgodą Niemiec — inaczej byłaby pozosta-

wiona samej sobie, zmuszona do walki na dwóch frontach, rosyjskim i bałkańskim. Niemcy wówczas były przeciwne wszczynaniu wojny.

Widziały one głównego swego wroga w Anglji i do rozprawy z nią się przygotowywały. Słusznie pragnęły uniknąć jednoczesnej wojny z Anglją i Rosją, a co za tem idzie, i z Francją. Dla tych, co jako tako rozumieli tradycyjną linję polityki pruskiej, musiało być jasnem, że Niemcy na wojnę z Rosją nie pójdą, dopóki nie wyczerpią wszystkich środków pokojowego jej ujarzmienia i zaprzężenia do rydwanu swojej polityki.

Wojna między Rosją a Niemcami była w naszem przekonaniu w niedalekiej przyszłości nieunikniona, ale tylko dlatego, żeśmy znali Rosję i byli pewni, iż weźmie w niej górę świadomość, że związek z Niemcami oznacza zależność od nich i zrzeczenie się mocarstwowej roli. Sądziliśmy, że jej wahania w stosunku do Anglji wkrótce znikną i że trójporozumienie stanie się związkiem mocnym, którego żadna dyplomacja nie rozbije; wtedy zaś, kiedy Rosja zdecyduje się stanąć bez wahań w obozie przeciwniemieckim, kiedy Niemcy stracą wszelką nadzieję na opanowanie jej drogą pokojową, wybije godzina wojny.

Tak rozumiejąc politykę niemiecką, można było w r. 1912 mieć prawie pewność, że wojny nie będzie, a nadto można było zdać sobie sprawę z tego, jak się Berlin zapatruje na postępowanie Austrji, jakie z niego dla swej polityki stara się wyciągnąć korzyści.

Otóż, kto śledził wówczas bacznie politykę międzynarodową, ten widział, jak, jednocześnie z austrjackiemi pobrzękiwaniami szablą, z Berlina szła wytężona akcja z celem odciągnięcia Rosji od Anglji, a związania jej z Niemcami. W samej Rosji rozwinięto w tym kierunku ogromną robotę, która szła tak daleko, iż starano się przekonać Rosję, że powinna się wyrzec całkiem polityki

europejskiej, a zwrócić wyłącznie ku Azji; stąd wniosek, że przymierze z Francją i porozumienie z Anglją nie ma żadnej wartości, że trzeba związać się z Niemcami i Austrją, wrócić do tradycji „świętego przymierza"[1] Próby w tym kierunku były ponawiane aż do roku 1914.

Politycy berlińscy i germanofile rosyjscy uważali, że głośne przygotowania Austrji do wojny z Rosją, strasząc Rosję potrzebującą pokoju, wytwarzają nastrój, ułatwiający przekonanie jej, że powinna się zbliżyć do Niemiec, które jedynie mogą jej pokój zagwarantować.

I tu niema chyba potrzeby długo tłómaczyć, jakie znaczenie miał dla polityki niemieckiej „ruch niepodległościowy" w Galicji. Stara metoda pruska: gdy inne środki nie pomagały, trzeba zastosować ten, który zawsze był skuteczny, zawsze wiązał Rosję z Prusami; na widok powstającego znów niebezpieczeństwa polskiego Rosja musi się rzucić w objęcia Niemiec.

Tak pod hasłem „niepodległości Polski" pracowano w Galicji nad przygotowaniem gruntu do odnowienia „świętego przymierza".

W ponurym obrazie rewolucji bolszewickiej w Rosji najbardziej chyba przygnębiający jest widok skazańca, który przed rozstrzelaniem sam sobie grób kopie.

Rolę takiego skazańca przeznaczyła naszemu narodowi polityka pruska. Jako Polak, niczem się nie czułem tak zgnębiony, tak upokorzony, jak tem, że znajdowała ona u nas ręce, chwytające za łopatę i kopiące dół,

---

[1] W listopadzie 1913 r. prasa niemiecka ogłosiła napisany w r. 1912 memorjał tej treści, przypisując jego autorstwo baronowi Rosenowi, członkowi rosyjskiej Rady Państwa i ambasadorowi rosyjskiemu w Japonji przed wybuchem wojny 1904 r. Autor memorjału radzi między innemi Rosji wycofać się z polityki bałkańskiej i nie interesować się Słowianami austrjackimi, bo to tylko „uczyniło pożądliwemi również nasze nadgraniczne narody słowiańskie" (czytaj — Polaków) — to aluzja do naszej akcji słowiańskiej.

w którym Polska miała spocząć. Równie smutnych momentów niema w całej naszej tragedji porozbiorowej.

Spróbujmy tylko na chwilę przedstawić sobie, jakie byłyby losy Polski, gdyby Niemcom przed kilkunastu laty udało się było rozbić potrójne porozumienie, związać Rosję z sobą i z Austrją i odbudować „święte przymierze". Niezawodnie, ta kombinacja nie trwałaby wiecznie, ale mogłaby istnieć dość długo, ażeby to wystarczyło do ostatecznego złamania polskości w zaborze pruskim — w owym właśnie czasie wchodziła w życie ustawa o wywłaszczeniu — do podzielenia Galicji na polską i ukraińską, do poczynienia dalszych spustoszeń w Krajach Zabranych, łącznie już z gubernją chełmską, wreszcie do takiej dezorganizacji naszego życia, naszych sił i naszej myśli narodowej w pozostałych częściach Polski, że nietylko bylibyśmy sprowadzeni raz na zawsze na stanowisko jednego z małych narodów, ale i w tej nawet roli smutniebyśmy się przedstawiali.

Do tego szły Niemcy w chwili, kiedy rozwój sytuacji międzynarodowej otwierał dla naszej sprawy widoki zwycięstwa. Używały Niemcy wszelkich środków, ażeby Rosję zmusić do poddania się ich polityce. Jednym z najbardziej obiecujących było ponowne rzucenie haseł polskiej walki zbrojnej przeciw Rosji, haseł, rozbrzmiewających głośno pod opiekuńczemi skrzydłami monarchji habsburskiej.

Jak przed półwiekiem manifestacje warszawskie, poprzedzające wybuch powstania 63 roku, zastraszyły Rosję, wykopały przepaść między nią a Francją i związały ją z Prusami, co Polsce przyniosło okres najstraszniejszego ucisku i niszczenia cywilizacji narodowej w zaborze pruskim i rosyjskim, a Niemcom dało wolną rękę do zwycięstwa nad Austrją i Francją — tak w r. 1912 ruch „niepodległościowy" w Galicji miał znów zastraszyć Rosję niebezpieczeństwem polskiem, oderwać ją od

państw zachodnich, związać z Niemcami i Austrją, w rezultacie zaś przynieść Polsce okres olbrzymich, niepowetowanych strat narodowych, odbierających jej raz na zawsze widoki zostania wielkim narodem, Austrji dać wolną rękę na Bałkanach, Niemcom zaś umożliwić rozprawę z Anglją, a niezawodnie i z Francją.

Gdyby się to było udało, „ruch niepodległościowy" w Galicji mógłby był się pochwalić, że odegrał jeszcze większą rolę w losach świata, niż powstanie 63 roku. Za tę zaś rolę zapłaciłaby przedewszystkiem Polska całą swoją przyszłością. A udałoby się niezawodnie, gdyby hasła galicyjskie wywołały dostatecznie silne echo w zaborze rosyjskim. Urzędowa Rosja, wroga Polsce i, poza sferami kierowniczemi polityki zagranicznej, przeważnie germanofilska, tylko na to czekała.

Byli ludzie, którzy na widok tego, co się działo wówczas w Galicji, popadali w beznadziejność. Naród, mówili, który do tego stopnia jest pozbawiony mózgu politycznego, tak zdolny do samobójczej roboty, który tak łatwo daje się używać za narzędzie wrogom, dążącym do zniszczenia jego bytu, nie ma przyszłości.

Był to pesymizm nieuzasadniony, wynikający z niezrozumienia warunków, które wytworzyły psychologję owych „niepodległościowców".

To nie była psychologja narodowa polska. Była to psychologja emigracyjna z rozmaitemi, o wiele gorszemi dodatkami.

Przodującą rolę w ruchu odgrywali emigranci socjalistyczni z zaboru rosyjskiego, którzy przebywali do owego czasu za granicami Polski, albo też, jeżeli siedzieli w Galicji, nie umieli wejść w miejscowe społeczeństwo, żyli jak wśród obcych. Rekrutowali sobie zwolenników wśród młodzieży, też głównie z zaboru rosyjskiego, która wyrzucona przez strajk szkolny z kraju, oderwała się od swego środowiska i rozwinęła w sobie psychologję emigracyjną.

Z własnych spostrzeżeń moich z lat studenckich wiem, jak łatwo młodzież nasza, kształcąca się zagranicą, a nawet tylko za kordonem, uczyła się myśleć po emigrancku, traciła poczucie rzeczywistości.

Ludzie, którzy nie znali bliżej społeczeństwa miejscowego w Galicji, zwłaszcza zachodniej, nie zdawali sobie sprawy z tego, że i ono, o ile nie myślało kategorjami austrjackiemi, o ile zwracało się myślą ku Polsce jako całości, ku sprawie niepodległości ojczyzny, także było nauczone przeważnie traktowania sprawy w sposób oderwany od rzeczywistości, raczej literacki, emigracyjny.

Tę dziwną psychologję wyjaśniają zamieszczone w owym czasie w *Przeglądzie Narodowym* (w artykule *Ferment przedwojenny*, listopad 1912) głębokie uwagi mego zmarłego przyjaciela, Zygmunta Balickiego, jednego z ludzi najbardziej zasłużonych w prostowaniu dróg myśli politycznej narodu.

Rodacy nasi w Galicji wschodniej, w zetknięciu z kwestją ruską, nauczyli się o wiele bardziej realnego ujęcia spraw narodowych, a myśl ich, pobudzana trudnemi zagadnieniami ich bytu, zwracała się o wiele więcej ku sprawie polskiej jako całości, nie w sposób oderwany, ale w związku z otaczającą ich rzeczywistością. Duży postęp w pojmowaniu sprawy polskiej odbył się pod wpływem pracy, rozpoczętej w swoim czasie przez *Przegląd Wszechpolski*; niemniej przeto szerokie koła społeczne, ćwiczone w patrjotyzmie obchodowym, traktowały sprawę polską jak jasełka. Wśród tych kół właśnie ruch 1912 roku znalazł bardzo sprzyjające środowisko.

Nie należy nadto zapominać o roli zawodowych literatów, którzy w tym ruchu wzięli niepomiernie liczny udział i umysłowo mu przewodzili. Bez potrzeby podawania w wątpliwość najlepszych intencyj tych ludzi, trzeba zauważyć, że ich ustrój duchowy nie sprzyjał

pojmowaniu sprawy ze stanowiska obowiązku i poczucia odpowiedzialności oraz zbytniemu liczeniu się z realnemi następstwami słów i czynów. „Niepodległościowość” — bo taki nawet piękny wyraz ukuto dla zbogacenia naszego słownika pojęć oderwanych — to dla nich był prąd myśli, tak czy inaczej odpowiadający potrzebom ich ducha. Ibsen, Strindberg, Nietzsche, Bergson, modernizm, socjalizm, Polska — to wszystko było jedna klasa pojęć. Polska „to cosik w chmurach” — jak powiedział wówczas jeden z poetów.

Nikt się tam nie trudził nad poznaniem tla, na którem sprawa polska się rozgrywała, nad przyjrzeniem się bliżej współczesnej sytuacji międzynarodowej. Nawet ci, którzy szeroko się rozpisywali o położeniu międzynarodowem sprawy polskiej, traktowali to położenie w bardzo ogólnych, mniejsza o to czy trafnych linjach, nie liczyli się z nieustannemi w niem zmianami. Przestrzegano ściśle tradycji naszych powstań, których organizatorowie szli naoślep, nie zwracając uwagi na współczesne warunki zewnętrzne.

Ruch „niepodległościowy” miał cichych zrazu sojuszników w politykach galicyjskich, spadkobiercach szkoły krakowskiej.

Ci o sprawie polskiej myśleć już nie umieli i nie rozumieli polityki międzynarodowej, bo widnokrąg ich myśli zamykał się w Wiedniu. Cała ich polityka ześrodkowała się na dwóch celach: pierwszy, główny — to władza w Galicji, drugi — to wpływy w Austrji. Dla nich sprawa polska w razie zwycięskiej wojny Austrji z Rosją przedstawiała się właściwie jako rozszerzenie Galicji, zwiększające rolę Polaków w monarchji habsburskiej, dające im stanowisko może nawet takie, jakie mieli Węgrzy. I tu zgadzała się z przewódcami socjalistycznymi ruchu, którzy przez „niepodległość” w owym momencie rozumieli urządzenie Polski pod berłem habs-

burskiem na podobieństwo Węgier. Dla pozyskania sobie Wiednia do korzystnej dla Polaków kombinacji trzeba było sprzyjać popieranemu przez rząd ruchowi „niepodległościowemu". Była to najlepsza polityka narodowa z punktu widzenia ludzi, których myśl z ram austrjackich już się wydobyć nie była zdolna.

Wskazuję tu tylko na rolę i na psychologję żywiołów, działających w mniej lub więcej dobrej wierze. O innych czynnikach, bardziej podejrzanych lub wyraźnie pracujących „dla króla pruskiego", nie mówię. Takich nigdy nie brak w podobnych okolicznościach, zwłaszcza w kraju, posiadającym sporo obcego żywiołu, gdzie trudno nieraz rozróżnić między Polakiem a człowiekiem obojętnym lub nawet wrogiem Polski.

Ma się rozumieć, ruch „niepodległościowy" nie ograniczał się do Galicji. Rozwinięto w zaborze rosyjskim żywą propagandę, która w pewnych kołach znalazła grunt podatny. Miała ona swoje organy i w prasie warszawskiej, które z konieczną ze względu na władze rosyjskie rezerwą starały się jej służyć. Miała też ludzi na wydatnych w życiu społecznem stanowiskach, którzy jej sprzyjali.

Napotkała tu wszakże na przeszkody w zdrowym rozsądku społeczeństwa i w zorganizowanem przeciwdziałaniu ze strony naszego obozu.

Każdy kraj ma ludzi poczciwych a lekkomyślnych, głupich a ambitnych, niedoświadczonych i nieuków a pewnych siebie, każdy ma swych zbrodniarzy,. każdy wreszcie ma żywioły narodowo niepewne lub wprost obce, gotowe łączyć się z wrogami. Słowem każdy kraj ma ludzi, zdolnych wyrządzać mu szkody, nawet zgubić go, gdyby im na to pozwolono. Chodzi o to tylko, żeby nie pozwolić.

Swojego czasu powiedziałem w *Przeglądzie Wszechpolskim*, że powstanie 63 roku było istotnie klęską

narodową; tylko ci jego świadkowie, którzy po klęsce ferowali wyroki na organizatorów powstania, jako na sprawców klęski, pod jednym względem nie mieli słuszności. Winni byli zarówno ci, którzy zrobili powstanie, jak ci, którzy mu nie przeszkodzili, choć rozumieli krzywdę, gotującą się dla Polski. Odpowiedzialność ponosiło całe społeczeństwo, całe pokolenie.

Jeżeli się ma sumienie i poczucie odpowiedzialności, to nie wolno biernie patrzeć na zgubne poczynania, trzeba przeciw nim walczyć, z równem męstwem, z równem poświęceniem, jak na granicy przeciw obcemu najazdowi.

Kiedy w roku 1905 usiłowaliśmy ratować kraj od rewolucji, kiedy po ulicach Warszawy świstały kule z karabinów rosyjskich i z browningów polskich i żydowskich, zapytałem raz jednego z mych młodszych towarzyszy pracy i walki:

— Od jakiej kuli wolałbyś zginąć — czy z rosyjskiego karabinu, czy z miejscowego browninga?

Odpowiedział mi bez wahania:

— Pewnie, że z browninga. Walczymy przeciw rewolucji: śmierć od kuli rosyjskiej byłaby dziś głupią śmiercią przypadkową; postrzelony zaś z browninga, wiedziałbym, za co ginę...

Otóż to tacy ludzie sprawili, że dziś jest Polska. Bo oni nie dopuścili do tego, żeby sprawa polska była jeszcze raz zgubiona przez samych Polaków. I tylko przy istnieniu takich ludzi możemy zostać napowrót wielkim narodem.

Odbudowanie Polski jest wynikiem współdziałania wielu czynników, przeważnie od nas niezależnych. Od dłuższego już czasu wytwarzała się korzystna dla naszej sprawy konjunktura międzynarodowa. W tym okresie przygotowawczym, a nawet później, w pierwszej połowie wojny, nasza rola głównie polegała na tem, żeby tej konjunktury swojem postępowaniem politycznem nie

popsuć. Jeżeliśmy zaś jej nie popsuli, to dlatego, że byli w Polsce ludzie, którzy czujnie strzegli należytej postawy narodu i bezwzględnie zwalczali wszelkie próby narzucania krajowi innej, któraby byłaby dla sprawy polskiej zgubną.

Na nic się nie przyda najgłębsze rozumienie potrzeb i zadań, jeżeli niema odwagi i energji, umiejącej dobrą myśl obronić i w czyn wcielić. Dlatego to, powtarzam, Polska zawdzięcza swoje odbudowanie szeregowi ludzi z charakterem, z odwagą i poświęceniem, którzy nietylko mieli myśl rozumną, ale umieli przy niej stać mocno w najtrudniejszych chwilach, walczyć o nią konsekwentnie i zapewnić jej przewagę w postępowaniu narodu.

Okres sześcioletni, od aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austrję do wybuchu wojny, był w tej walce okresem najtrudniejszym.

Wszystkie trzy rządy rozbiorcze pracowały nad tem, żeby postawę naszą zmienić: niemiecki przez swoje ciche, ale głęboko sięgające wpływy nietylko w Austrji i w Rosji, ale i w samej Polsce: austrjacki — przez ukazywanie Polakom rąbka nadziei, przez pomaganie ruchowi „niepodległościowemu" w Galicji i propagandę w Królestwie; rosyjski — przez prowokowanie Polaków wzmocnioną polityką przeciwpolską, która jakby wymyślona była na to, żeby społeczeństwo doprowadzić do rozpaczy.

Miałem wówczas poczucie, że my, których przeciwnicy nazywali „ugodowcami", „agentami rządu", „carskimi sługami", jesteśmy najbardziej znienawidzonym przez rządową Rosję obozem w Polsce[1].

---

[1] W owym okresię prasa naszego obozu była najsilniej przez władze prześladowana. Za artykuł historyczny, zamieszczony w *Przeglądzie Narodowym*, redaktor jego, Zygmunt Balicki, i wydawca, Mieczysław Niklewicz, zostali skazani w r. 1909 na rok twierdzy. Ja osobiście stałem się przedmiotem różnorodnych ze strony władz drobnych szykan. Przy przejazdach granicy rzeczy moje poddawano

Rządowa Rosja w ogromnej swej większości i cała administracja rosyjska naszego kraju pragnęła odnowienia związku z Niemcami, z radosną nadzieją patrzyła na idącą z Galicji propagandę ruchu zbrojnego.

Baczne przyglądanie się temu, co się wówczas działo, ogromnie mi pomogło do zrozumienia historji naszych powstań...

W Królestwie w owym okresie zaczęto osaczać nasz obóz z różnych stron. Do dawnych przeciwników przybywali nowi: wielu z tych, którzy dawniej byli mniej lub wiecej wyraźnie po naszej stronie, teraz zwracało się przeciw nam, pomagalo robocie, starającej się nas zniszczyć. Ludzie, którzy poprzednio trzymali się zdaleka od walk politycznych, chroniąc się pod plaszczem bezpartyjności, teraz zaciągali się do naganki. Ci, co dawniej zwalczali nasz „szowinizm" w imię zasad humanitarnych, ogólnoludzkich, dziś szeregowali się pod hasłem obrony czystości polskiego patrjotyzmu, jego świętych tradycyj porozbiorowych. Określenie naszej polityki jako „sprzeniewierzenia się zasadniczym wskazaniom patrjotyzmu" znalazło się nawet w związku z mojem nazwiskiem w *Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej*, w życiorysie jednego z żyjących wówczas działaczy warszawskich, Libickiego. Postanowiono nas pogrzebać nawet w oczach przyszłych pokoleń.

Jedna rzecz była uderzająca: wszystko, co się znajdowało w jakimkolwiek, nawet najluźniejszym związku z żydami, było przeciw nam—ma się rozumieć, w imię patrjotyzmu. Widoczne było, że główny kanał, przez który przenikają wplywy niemieckie do Polski — to nasze żydostwo.

wyjątkowo surowej rewizji, usiłowano zabierać mi rękopisy w celu przesłania władzom warszawskim i t. p. Dochodziło do tego, że raz (w r. 1912) naczelnik komory, mówiąc nawiasem, Polak, w imię przyzwoitości odmówił ponownego otwarcia mych kufrów, którego zażądał szef żandarmów.

Tego związku między naszymi żydami a Niemcami przeciąć nie mogliśmy. Nie mogąc zamknąć kanału od tamtego końca, trzeba było go zamknąć od naszego, odciąć społeczeństwo polskie od wpływów żydowskich. Już od dłuższego czasu, zwłaszcza zaś od roku 1905, żydzi postępowaniem swojem zdobywali sobie pozycję wyraźnych wrogów Polski. Skrajniejsze wśród nich żywioły nie maskowały się pod tym względem wcale, rozzuchwałone naszem upośledzeniem politycznem. Naród, który nie miał swego państwa, nie miał w swych rękach władzy, nie miał widocznej siły, z którąby się należało liczyć — nie mógł mieć żydów po swojej stronie.

Istniał cały szereg powodów, dla których należało zająć jasne względem żydów stanowisko, powodów, leżących w dziedzinie gospodarczej, cywilizacyjno-narodowej, etyczno-społecznej... W owym okresie znalazła się na porządku dziennym kwestja żydowska w samorządzie miejskim, skutkiem wniesienia przez rząd do Dumy projektu ustawy samorządowej. Przed nami stała jeszcze ważniejsza od tego kwestja polityki narodowej polskiej, której wpływy żydowskie groziły zniszczeniem. Zrozumieliśmy, że dłużej zwlekać nie można, postanowiliśmy wypowiedzieć żydom otwartą walkę.

Sposobność do tego dały wybory do czwartej Dumy, do których żydzi, dzięki zmieniającym procedurę wyborczą wyjaśnieniom petersburskiego Senatu, otrzymali w Warszawie większość uprawnionych do głosowania.

Nie miałem wówczas zamiaru brać mandatu poselskiego, gdyż położenie w kraju nakazywało mi pracować na miejscu. Wobec wszakże wyzywającego zachowania się żydów, postawiłem swą kandydaturę, ażeby przeprowadzić wybory pod hasłem walki z żydami. Zacięta walka, która nas, a mnie w szczególności dużo sił kosztowała, zakończyła się wyborem socjalisty, a w od-

powiedzi na to proklamowaniem bojkotu żydów przez społeczeństwo polskie.

Atmosfera natychmiast się oczyściła. Stanowisko nasze w społeczeństwie stało się tak mocne, jak bodaj nigdy przedtem. Położenie żywiołów, związanych z żydami, zrobiło się trudnem; wielu ludziom, którzy do owego czasu ulegali wpływom żydowskim, otworzyły się oczy i bez wahania z żydami zerwali.

Teraz już byliśmy pewni, że polityce naszej nie grozi zagłada: najszerszy kanał wpływów niemieckich na Polskę został wcale skutecznie zatkany. To nam dało większą swobodę działania — paraliżowania roboty austrjacko-polskich „niepodległościowców".

Im hałaśliwiej ci głosili hasła walki zbrojnej przeciw Rosji — zużytkowywane przez żywioły germanofilskie w Rosji w celu zbliżenia jej do Niemiec — tem dalej myśmy szli w podkreślaniu naszej życzliwości dla Rosji, ma się rozumieć, nie rządowej. Widząc zbliżanie się chwili rozstrzygającej, usuwaliśmy ze stosunków polsko-rosyjskich możliwie wszystko, co je zadrażniało. Było to wobec prowokującej polityki rządu bardzo trudne zadanie, najtrudniejsze może, jakie miałem w życiu.

W owym to okresie ułagodził się w pewnej mierze stosunek między nami a Stronnictwem Polityki Realnej, czyli t. zw. „ugodowcami". Nie było to dla nas również bardzo łatwe, wymagało dużego zapomnienia o miłości własnej, gdyż ci, nie rozumiejąc naszych celów, a mając bardzo wysokie mniemanie o wartości swojej polityki, byli przekonani, że lekcje ich zaczynają skutkować i że przechodzimy na ich podwórko.

Niechby sobie byli mieli to przekonanie, byle nam pomagali w naszem trudnem zadaniu. Liczyłem na nich, że jako ludzie z niemałą kulturą i z dużemi stosunkami, przydadzą się do nawiązania stosunków politycznych na Zachodzie, co wobec zbliżających się wypadków było

bardzo pilne. Sam te stosunki nawiązywałem od szeregu lat, ale moja skromna pozycja społeczna i skromniejsze jeszcze środki materjalne nie pozwalały mi zrobić nawet tyle, ile mógłby zrobić jeden człowiek, będący w innych warunkach.

Niestety, zawiodłem się pod tym względem na „realistach". W r. 1913 na wspólnej konferencji z kierownikami „polityki realnej" zaproponowałem im utworzenie razem niewielkiej, poufnej grupy ludzi, któraby zajęła się nawiązaniem stosunków politycznych w sferach rządzących Francji, Anglji, w Watykanie, a także wejście w stosunki z głównemi organami prasy zachodnio-europejskiej. Propozycja ta przyjęta została głucho, przekonałem się, że na żadne w tym względzie współdziałanie liczyć nie można.

Miałem w tem ostatni dowód, że Stronnictwo Polityki Realnej narówni ze stronnictwem krakowskiem, jest wielką przeszkodą do zorganizowania właściwej polityki polskiej. Nazajutrz prawie po tej konferencji zasiadłem do pisania książki o *Upadku myśli konserwatywnej w Polsce.*

Nasze próby wytłómaczenia kierownikom ruchu galicyjskiego, że są na błędnej drodze, spełzły na niczem.

Zdaje się, że w roku 1912 — nie przypominam sobie daty — odbyła się w Krakowie konferencja z nimi, w której z naszej strony wziął udział Zygmunt Balicki. Przedstawił on im przeze mnie napisany memorjał, w którym starałem się ich przekonać, że:

t. zw. orjentacja austrjacka jest fikcją, bo kto idzie z Austrją, ten idzie z jej sojusznikiem, Niemcami, największym i najniebezpieczniejszym wrogiem Polski;

złudzeniem, wynikającem z zupełnego nierozumienia wzajemnego stosunku tych dwóch państw i ich stanowiska w kwestji polskiej, jest nadzieja, że, w razie ich zwycięstwa nad Rosją, Austrji przypadnie główna

rola w rozstrzygnięciu kwestji polskiej: Niemcy na to nigdy nie pozwolą i same powezmą decyzję zgodną ze swemi planami;

najprawdopodobniejszem rozstrzygnięciem w razie tego zwycięstwa będzie podział Królestwa Kongresowego pomiędzy Niemcy i Austrję, a pewniej jeszcze pomiędzy trzy państwa, co będzie jeszcze większem od dotychczasowego rozbiciem narodu, bo zniszczy jedyne znaczniejsze jego skupienie, jakiem jest Królestwo — a zatem będzie klęską narodową.

Jako linję przypuszczalnego podziału wskazałem w tym memorjale linję, mniej więcej odpowiadającą t. zw. *Knesebecker Grenze*, która potem stała się linją demarkacyjną pomiędzy okupacją niemiecką i austrjacką. Ta granica pozostała do końca wojny, pomimo aktu dwóch cesarzy 5 listopada 1916 r., ustanawiającego Królestwo Polskie z nieokreślonemi od wschodu granicami, i nie wiadomo, czy w razie zwycięstwa państw centralnych, nie okazałaby się trwalszą od owego aktu. Pokój brzeski odcinający część Królestwa na Wschodzie do Ukrainy — w ostatecznym wyniku do Rosji — potwierdził moje przypuszczenie co do udziału trzeciego państwa w tym rozbiorze minjaturowej Polski, stworzonej na Kongresie Wiedeńskim.

Przemawialiśmy do tych ludzi, jako do rodaków, do współobywateli przemawialiśmy argumentami, które musiały mieć wagę dla każdego, kto się cokolwiek zastanawiał w swem życiu nad istotą i położeniem kwestji polskiej. Nic to nie pomogło. Albo sprawy polskiej całkiem nie rozumieli, albo nie chcieli rozumieć. Jedno mam tylko tłómaczenie: ludzie ci tak zajęci byli myślą o tem, jak to oni będą rządzili Polską, utworzoną przez nich pod skrzydłami Austrji, że nie mieli czasu zastanawiać się nad tem, jak ta Polska będzie wyglądała.

Tu muszę powiedzieć, że spostrzeżenia moje, ro-

bione w ciągu całego mego życia, a zwłaszcza w ciągu wielkiej wojny i konferencji pokojowej, nauczyły mię, że nic tak nie przeszkadzało ludziom do właściwego rozumienia sprawy polskiej i do należytego w niej postępowania, jak zapatrzenie się w swoją osobistą rolę w przyszłej Polsce, myśl o swojej władzy, o swojem znaczeniu, o swoim wreszcie majątku. Tymczasem, żeby wydobyć z bagna tak pogrążoną sprawę, jak polska, trzeba było całą swoją myśl, całą swą energję jej oddać, a o sobie umieć zapomnieć.

Jeżeli twierdzę z całą stanowczością, że my jedynie, nasz obóz, rozumieliśmy jako tako sprawę naszej ojczyzny, że nasze wysiłki pozwoliły skorzystać z przyjaznych warunków zewnętrznych i doprowadzić do pomyślnego rozwiązania, to nie dlatego, żebym chciał sobie i swoim przypisywać jakiś genjusz wyjątkowy, jakieś niezwykłe jasnowidzenie. Te rzeczy nietrudno było widzieć i rozumieć, tylko trzeba było ku sprawie polskiej zwrócić całkowicie swoją myśl, swoją wolę i siły. Trzeba było myśleć o tem, jaka będzie Polska, a nie o tem, czem my w Polsce będziemy.

Polski się nie buduje ani dla siebie, ani dla swej partji, ani nawet dla swego pokolenia. Ona jest własnością nieskończonego szeregu pokoleń, które ją tworzyły i tworzyć będą, które stanowią naród. Tylko ten w wielkich, przełomowych chwilach znajdzie właściwą drogę, kto ma poczucie odpowiedzialności względem tak pojętego narodu.

„Orjentacja austrjacka", skazana zgóry na wielkie rozczarowania skutkiem nierozumienia roli Niemiec i ich stosunku do kwestji polskiej, występowała z tak wielkim hałasem, że ktoś nieświadomy mógłby ją uznać za górującą w Polsce. Obok niej, łącznie z nią występowały jednostki z orjentacją już wprost niemiecką, budującą przyszłość Polski na związku z narodem, który posta-

nowił bezwzględnie ją zniszczyć. Wszystko to wszakże stanowiło skromną mniejszość w Polsce, a do pewnego stopnia mniejszość w sensie konwencji wersalskiej 1919 r. Naród w swej masie patrzył na Niemcy jako na najniebezpieczniejszego wroga.

Można to było widzieć w roku 1910, w pięćsetną rocznicę bitwy grunwaldzkiej, przy święceniu jej w Krakowie, z okazji odsłonięcia pomnika ofiarowanego miastu przez Ignacego Paderewskiego. Wszystkie zakątki w Polsce się odezwały. Pomimo że politycy galicyjscy starali się tę uroczystość, niemiłą Wiedniowi, do najskromniejszych sprowadzić rozmiarów, społeczeństwo całej naszej dzielnicy austrjackiej silnie zamanifestowało swe stanowisko. Świeża pamięć tej manifestacji była najlepszem zaprzeczeniem twierdzeń, że całe społeczeństwo galicyjskie stoi po stronie państw centralnych. I tam właściwie „orjentacja" była w znacznej mierze sztucznie narzucona.

Czuli to jej twórcy i strzegli jej, jak rośliny cieplarnianej, ma się rozumieć, przy pomocy władz austrjackich.

Kiedy w roku 1913 u Tadeusza Cieńskiego w Pieniakach pod Brodami odbyła się poufna konferencja trójzaborowa, na której rozważaliśmy nasze zadania wobec możliwej wojny, nazajutrz w piśmie socjalistycznem znany publicysta alarmował Austrję, że tam przeciw niej konspirowano. Te alarmy powtarzały się za lada pogłoską, że ktoś z nas przyjechał do Galicji.

Nasz obóz, mając już pewność, że za nim stoi naród w ogromnej swej większości, spokojnie się przygotowywał do coraz wyraźniej zbliżającej się chwili wielkich rozstrzygnięć. W roku 1912 we Lwowie, w r. 1913 w Berlinie, wiosną zaś 1914 w Wiedniu odbyły się wielkie tajne zjazdy trójzaborowe naszej organizacji, poświęcone prawie wyłącznie ocenie położenia międzynarodowego, widoków, otwierających się dla sprawy polskiej,

i ustaleniu linji, po której ma pójść nasze działanie od chwili wybuchu wojny. Ostatni z tych zjazdów, o którym wiadomości, na szczęście fałszywe, przedostały się do prasy wiedeńskiej, powziął uchwałę, że w wojnie już niedalekiej we wszystkich trzech zaborach idziemy stanowczo przeciw Niemcom. Ta forma uchwały była podyktowana ostrożnością ze względu na rodaków naszych w państwie austrjackiem: w wypadku przedostania się uchwały nazewnątrz, gdyby w niej było powiedziane „przeciw Niemcom i Austrji", zrobionoby ich zdrajcami stanu, a oskarżenieby wnieśli pierwsi ich przeciwnicy polityczni w kraju. Bo tam już zaczęto działać bez żadnych skrupułów. Stali przeciw sobie wrogowie, których jakgdyby nic nie łączyło. Austrja za dużo miała swoich ludzi w miejscowem społeczeństwie...

Przywiązanie do niej jej przybranych siłą synów było najsilniejsze w chwili jej zgon poprzedzającej. Kto głębiej wszakże umiał patrzeć w społeczeństwo Galicji, kto rozumiał jego duszę, ten wiedział, że nie jest to prowincja austrjacka, jeno część Polski.

CZĘŚĆ TRZECIA

WOJNA: OKRES PIERWSZY (1914 — 1917)

WALKA O ZWYCIĘSTWO NAD NIEMCAMI

I

WOJNA I SPRAWA POLSKA

Jeżeli wojna 1914—18 roku była dla całego świata nieoczekiwaną, oszałamiającą katastrofą, to z naszego polskiego punktu widzenia stała się ona czemś, przechodzącem granice najśmielszych, najmniej realnych przypuszczeń.

Nikt nie myślał, że w wojnie tej wezmą udział wszystkie wielkie mocarstwa świata, a obok nich cały szereg mniejszych państw i narodów, że będzie trwała z górą cztery lata, i że padnie w niej blisko dziesięć miljonów ofiar... Stąd też nikt nie mógł przewidzieć, że zburzy ona w tak wielkiej mierze ustrój gospodarczy świata i do takiego stopnia zniszczy bogactwo Europy.

Gdy chodzi o Polskę, to komuż u nas mogło przyjść do głowy, że znajdujemy się w przededniu takiej wojny, w której jedno z mocarstw rozbiorczych będzie ubezwładnione, niezdolne do walki, dwa zaś pozostałe będą miały przeciw sobie wszystkie inne wielkie mocarstwa? Kto mógł pomyśleć, że na kongresie pokoju po tej wojnie, wszystkie trzy mocarstwa, które rozebrały Polskę, będą nieobecne, a Polska będzie w nim brała udział?...

Taki cudowny wynik dała wojna, w której z początku żaden z rządów mocarstw wojujących sprawy odbudowania państwa polskiego nie brał pod uwagę, w której wyraz „kwestja polska" przez dłuższy czas nawet nie był wymawiany. Do Polaków zwracali się tylko dowódcy armij, wojujących na ziemi polskiej.

Źródla tego, co się stalo, przedewszystkiem należy szukać w polityce Niemiec, która tak potężną przeciw sobie wywołała koalicję. Często w początku wojny powtarzałem, że gdyby Niemcy miały w dwudziestem stuleciu Bismarcka albo równego mu męża stanu, nigdyby nie doszły do wojny jednocześnie z Anglją i z Rosją, mając jednego niewątpliwego przeciwnika, Francję. Byłyby zapewniły sobie neutralność albo Rosji, albo Anglji, w zależności od tego, co w swej polityce uważałyby za pilniejsze. Dla powstrzymania Rosji od wojny wystarczało hamować zapędy Austrji na Bałkanach, powstrzymać ją już w 1908 r. od aneksji Bośni i Hercegowiny, a przynajmniej od załatwienia tej sprawy tak niby sprytnie, a tak niezdarnie. Bardzo pacyfistycznie usposobionej Anglji mogły Niemcy w wojnę nie wciągnąć, prowadząc politykę oceanową w sposób mniej zaczepny, w mniej gwałtownem tempie powiększając kredyty morskie, mniej strasząc nawet inwazją na wyspę, wreszcie nie prowokując jej w ostatniej chwili pogwalceniem neutralności Belgji. Mądrzejsza polityka, nie ustępując nic z wielkich planów podbojowych, nie robiłaby wszystkiego naraz, rozłożyłaby sobie tę wojnę na dwie: załatwiłaby się najpierw z jednem z wymienionych dwóch państw, a po pewnym czasie z drugiem. Wszystkie nieomal warunki do takiego załatwienia Niemcy posiadały. Gdyby im się było udalo, Polsce pozostałby los drobnego narodku w służbie najpierwszej potęgi świata.

Drugiem wielkiem źródłem tego, co się stało, był potężny ostatniemi czasy rozwój pacyfizmu w Europie, który w Anglji stał się nawet wyznaniem wiary liberalnych kierowników nawy państwowej. Można cały tom złożyć z opinji pacyfistycznych, wypowiadanych przed wojną, przez Asquitha, Lloyd George'a, Haldane'a, z ich mów, uspakajających opinję co do zamiarów Niemiec, przedstawiających je jako naród, miłujący pokój i nie

żywiący żadnych napastniczych zamiarów; wszyscy pamiętamy rozpaczliwą a przegraną ostatecznie walkę Lorda Robertsa z opinją angielską o jego program uzbrojenia Anglji.

W żadnym okresie dziejów nie było tyle, tak gęsto następujących jedna po drugiej wojen, co w okresie rozkwitu pacyfizmu w Europie; zaćmił też on całą historję świata katastrofą wielkiej wojny europejskiej, ilością ofiar na polach bitew, faktów mordowania bezbronnej ludności cywilnej, rabunku mienia i planowego niszczenia owoców pracy ludzkiej, okrucieństwem używanej broni, wreszcie, co nie najmniejsza, sumą wypowiedzianego kłamstwa.

Rzymianie, którzy wcale nie byli najgłupszym narodem, mówili: chcesz mieć pokój — przygotowuj wojnę. Europa od paru dziesiątków lat hałaśliwie przygotowywała pokój powszechny, i doszła do powszechnej wojny, największej, najstraszniejszej, jaką świat widział.

Co najgorsza, iż zdaje się, że nauka wcale nie poskutkowała. Organizacje, które szerzyły propagandę pacyfistyczną, widocznie wcale nie poczuwają się do odpowiedzialności za tę wojnę i dalej w tym samym kierunku pracują.

Tymczasem, odpowiedzialność tu jest bardzo wyraźna, na dwóch zwłaszcza punktach. Popierwsze, nastrój pacyfistyczny u przeciwników, a zwłaszcza w Anglji, był jednym z głównych powodów, dla których Niemcy odważyły się wypowiedzieć wojnę. Powtóre, będące wynikiem akcji pacyfistów niedostateczne przygotowanie Francji i całkowite, gdy mowa o armji lądowej, nieprzygotowanie Anglji sprawiło, że wojna tak długo trwała. Trzeba było we Francji kompletować uzbrojenia, a w Anglji tworzyć dopiero armję, gdy tymczasem na froncie mordowano ludzi po kilka tysięcy dziennie.

Pacyfizm ostatnich czasów ma tę zasługę, że

zapewnil miljonom ludzi w pełni sił pokój wieczny.

To mówię z ogólnoludzkiego punktu widzenia; bo gdy chodzi o Polskę, to ona na tem wszystkiem wygrala. Tylko w tak długiej wojnie sprawa polska, głęboko pogrzebana i zapomniana przez politykę europejską, mogła dojrzeć do całkowitego rozwiązania.

Takiego rozwiązania nikt z nas w początku wojny nie przewidywał. Myśmy byli pewni, że wojna między Rosją a Niemcami jest prędzej czy później nieunikniona; oczekiwaliśmy, że przy istniejących sojuszach będą w nią wciągnięte i niektóre inne państwa; ale takiego jej rozszerzenia się i takiego przebiegu nigdyśmy nie przypuszczali. Nie mieliśmy wątpliwości, że Polska prędzej czy później odzyska niepodległość: ale że rozwiązanie kwestji nie odbędzie się w paru aktach, oddzielonych od siebie mniejszą lub większą przestrzenią czasu, że będzie ona rozstrzygnięta w jednym, wielkim akcie, że państwo polskie powstanie odrazu na obszarze bardzo bliskim tego, któryśmy sobie jako cel postawili — o tem tylko marzyć było można.

Powiedziałem już raz, że w społeczeństwie naszem za wielu jest takich, co w polityce chcieliby tylko zbierać, orać zaś i siać nie chcą. Istotnie, odbudowanie Polski jest to żniwo bez odpowiedniego wysiłku z naszej strony. Ta praca, którąśmy włożyli w orkę i siew, wcale nie upoważniała do nadziei na plon tak wielki. Trzeba, żeby to u nas wiedziano, żeby rozumiano, iż na to, co mamy, dopiero trzeba zarobić.

Muszę się przyznać, że kiedy w połowie lipca 1914 r. było już widoczne, iż wybuch wojny jest kwestją tygodni tylko, nie wywołało to u mnie entuzjazmu. Ta wojna — mówiłem do przyjaciół — przychodzi dla nas o dobrych kilka lat za wcześnie. Zamałośmy zrobili dla przygotowania do niej społeczeństwa, i nie przygotowany jest grunt dla sprawy polskiej zagranicą. Cóż tu można

zdobyć z pokoleniem, tak mało rozumiejącem istotę sprawy polskiej, tak słaby posiadającem zmysł polityczny, tak wyzutem z politycznej energji? Jak można doprowadzić do poważnego rozstrzygnięcia kwestji, która jeszcze nie stoi wcale na porządku dziennym polityki międzynarodowej? Na dodatek, tyle mamy żywiołów bezmózgich a ruchliwych, które zrobią wszystko, co można, żeby popsuć sprawę...

Z pobytu w Londynie i w Paryżu w ostatnich dwóch tygodniach przed wojną odniosłem wrażenie, że i tam opinja publiczna do wojny stojącej za progiem nie jest przygotowana. W Anglji wszyscy byli zajęci sprawą irlandzką, we Francji zaś nad wszystkiem górowała sprawa zabójstwa Calmett'a przez panią Caillaux.

Siedziałem na tarasie Izby Gmin w towarzystwie paru posłów i jednego członka rządu.

— Czyż wy nie widzicie — zapytałem — że na kontynencie lada chwila wybuchnie wielka wojna?

— To jeszcze nie tak prędko, odpowiedziano mi z flegmą angielską, dziwiąc się, że my bierzemy rzecz tak poważnie.

Ale tam istniał aparat państwowy i tam społeczeństwo miało swój rząd, który je podczas wojny prowadził. U nas zaś wszystko polegało na dobrowolnych wysiłkach, a przy niedostatecznej organizacji opinji, pozostawało otwarte pole dla wszelkiej inicjatywy, choćby najmniej powołanej, choćby nic wspólnego nie mającej z dążeniami narodu.

Trzeba jasno sobie zdać sprawę z tego, że poprzedzające wojnę dziesięciolecie, któremu peświęciłem część drugą tej pracy, było okresem walki o samoistność polityki polskiej.

Chcąc zdobyć niepodległość Polski, trzeba było przedtem zdobyć niepodległość polskiej polityki. Trzeba było zorganizować politykę, niezależną od jakichkolwiek

obcych wpływów, zarówno od wpływów tego, czy innego państwa, jak od międzynarodowych. Zresztą, mówiąc nawiasem, wpływy międzynarodowe zazwyczaj także służą interesom jakiegoś jednego narodu, który ma przewagę w danej organizacji międzynarodowej. Najlepszym tego przykładem socjalna demokracja ze swojem hasłem: „Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!" Przewagę nad organizacjami wszystkich krajów miała socjalna demokracja niemiecka i zużytkowywała swój wpływ na rzecz interesów niemieckich, co się najjaskrawiej uwydatniło podczas wojny.

Trzeba było również zabezpieczyć politykę naszą od inwazji interesów partykularnych, któreby ją musiały odprowadzić od głównego celu.

Nasza literatura polityczna w ciągu tego okresu jest pełna odgłosów tej walki. Usiłowaliśmy wyprzeć z naszej polityki i wpływy niemieckie, i austrjackie, i rosyjskie, i żydowskie, i socjalistyczne, i wolnomularskie, zapanować nad interesami i ambicjami grup społecznych i jednostek, osiągnąć to, żeby polityka polska polskiej tylko sprawie służyła i z poczucia polskiego dobra wyłącznie brała natchnienia. Dlategośmy mieli tylu i tak różnorodnych przeciwników. Uważaliśmy, że Polska jest zabiedna, położenie jej zbyt ciężkie, wyzwolenie zbyt trudne, ażebyśmy mieli pracować na kogokolwiek prócz własnego narodu.

Tu trzeba zauważyć, że pojęcie samoistności polityki narodowej dawno się już było w Polsce zatarło. Z postępem dezorganizacji Rzeczypospolitej, przy braku rządu, a co za tem idzie, braku mózgu kierowniczego w państwie, zanikała i polityka państwowa polska. Na długo przed rozbiorami mieliśmy już w Rzeczypospolitej tylko politykę francuską, szwedzką, rakuską, rosyjską, pruską, tylko nie było polityki polskiej. Nie było jej i po rozbiorach, ani w dobie napoleońskiej, ani w powsta-

niach, ani w okresie, rozpoczętym przez wystąpienie szkoły krakowskiej.

Naszym ambitnym celem było stworzenie polityki polskiej, nie naśladującej niewolniczo cudzych wzorów, nie czepiającej się obcego wozu, samoistną twórczością polską idącej naprzód i zmierzającej do polskich tylko celów. I jeżeli z czego jestem dumny, to właśnie z naszego wysiłku myśli i woli w tej dziedzinie.

Z tej pracy zebraliśmy owoce, gdy przyszło do działania. Kiedy wybuchła wojna, nie otrzymywaliśmy od nikogo rozkazów, wskazówek, rad, będących rozkazami — robiliśmy to, co nam nakazywał rozum i sumienie. Przekonałem się podczas wojny, że należeliśmy w tym względzie do wyjątkowo uprzywilejowanych, nietylko w Polsce...

Gdyby chodziło o zaspokojenie ambicyj osobistych, o karjerę jednostek, nie był to przywilej: byliśmy pozbawieni reklamy, protekcji i t. p. Gdy wszakże chodziło o sprawę polską, była to wielka siła. Cóżby nam przyszło z poparcia najpotężniejszych czynników, gdybyśmy jednocześnie z tem poparciem otrzymywali wskazówki, że trzeba złożyć taką lub inną deklarację, że trzeba bądź zrzec się ziem zaboru pruskiego, bądź oświadczyć, że terytorjalny dostęp do Bałtyku jest nam niepotrzebny, bądź wycofać się z Galicji Wschodniej, czy z Wilna...

Ludzie, którym w głowach nie mogło się pomieścić, żeby mogła istnieć samoistna polityka polska, winszowali nam po zwycięstwie, żeśmy postawili na dobrego konia. Myśmy nie stawiali na konie — myśmy sami szli do mety. Do zdecydowania, jaką drogą pójść w tej wojnie, nam wcale nie było potrzebne zastanawianie się nad tem, kto wygra. Wystarczało wiedzieć, po której stronie leży dobro Polski. Gdybyśmy wiedzieli, że państwa sprzymierzone mają minimalne widoki zwycięstwa, z tem większą energją stanęlibyśmy po ich stronie, do tem

większych wysiłków na ich rzecz powoływalibyśmy naród, żeby te szanse choć trochę, w miarę naszych sił zwiększyć. Bo wiedzieliśmy, że zwycięstwo państw centralnych — to grób dla Polski.

Ktoś mię podczas wojny zapytał:

— Czy pan się zastanawiał nad tem, że aljanci mogą przegrać i że pewnie przegrają, i że pan osobiście też za to zapłaci?

— Jeżeli Polska przegra — odrzekłem — to cóż moja osobista przegrana będzie wobec tego znaczyła?... Wolę ze zwyciężonymi cierpieć z powodu klęski, która będzie największą dla Polski klęską, niż ze zwycięzcami być jej grabarzem.

Tak, to nie była kalkulacja, kto wygra — to była walka o przyszłość Polski przeciw potędze, która jej śmierć gotowała.

Nie wiedzieliśmy, co ta wojna da nam bezpośrednio, ale gdyby nawet miała nic nie dać, to powalenie potęgi niemieckiej było celem, dla którego warto było w szeregach jej wrogów stanąć. Kto zadał sobie trud zrozumienia przeszłości Polski i jej położenia w ostatnich czasach, kto pojmował je tak, jak myśmy je pojmowali, kto nie zadawalniał się widokami na karjerę małego narodku w służbie obcej, ten łatwo zrozumie to, co w tej chwili powiedziałem.

Zwycięstwo nad Niemcami, zdruzgotanie ich potęgi — to była pierwsza rzecz, którejśmy od tej wojny oczekiwali. Bo to był pierwszy, najgłówniejszy warunek odbudowania niepodległej Polski.

I pierwsza rzecz, którąśmy bezpośrednio dla siebie postanowili osiągnąć — to oderwanie od państwa niemieckiego ziem polskich.

W oderwaniu ziem polskich od Prus tkwiła dla nas decyzja o przyszłości Polski. Bez odbudowania na razie państwa było ono dla tej przyszłości o wiele ważniejsze,

niż ustanowienie niezawisłego formalnie państewka z pozostawieniem tych ziem w rękach niemieckich. I było ono pilniejsze. Państwo polskie w tej czy innej postaci, n większym lub mniejszym obszarze prędzej czy później musiało się zjawić na nowo. Tymczasem, z oderwaniem ziem zaboru pruskiego kwestja się przedstawiała: teraz albo nigdy. W tej sprawie wybiła już, jak mówią Anglicy, jedenasta godzina. Pozostawienie tych ziem po wojnie w ręku pruskiem byłoby postawieniem nad niemi krzyża. Tego mogli nie rozumieć tylko ci, którzy całkiem nie znali położenia tych ziem przed wojną, którzy nie wiedzieli o sile organizacji niemczyzny. Lekceważyć zaś ich los mogli tylko ci, którzy nie mieli pojęcia o tem, co to jest Polska.

I dziś to powiadam, że jeżeli się odwróciła wielka karta dziejów, to odwróciła się ona przedewszystkiem w Poznaniu, na Pomorzu, na Śląsku. Nic mi nie daje takiego poczucia zwycięstwa, takiej wiary w przyszłość, jak to, że stąpam po tej starej ziemi wielkopolskiej nie jako tolerowany zaledwie przez jej panów przybysz, ale jako jej prawy razem z całym narodem dziedzic i gospodarz.

Skupienie uwagi na ziemiach zaboru pruskiego nie było rzeczą wyłącznie naszego obozu. Od dziesiątków lat społeczeństwo nasze we wszystkich zaborach poświęcało główną uwagę tej dzielnicy. Każdy, kto czuł i myślał po polsku, z biciem serca śledził przebieg tej zaciętej walki, prowadzonej przez naszych rodaków z napierającą na nich niemczyzną. Prasa była pełna spraw zaboru pruskiego, ludzie przy spotkaniu dzielili się przychodzącemi stamtąd wieściami, pod strzechami rodzinnemi szły długie rozmowy o losach tej naszej ziemi. Dzieckiem byłem, gdym patrzył na rozpacz ojca po Metzu i Sedanie, a potem słuchał rozmów między starszymi o *Kulturkampf*ie i o polityce germanizacyjnej. To zajęcie się dzielnicą pruską nie słabło do ostatnich chwil przed

wojną, bo walka ciągle się zaostrzała, zjawiały się coraz nowe ustawy antypolskie, napór niemiecki był coraz silniejszy, obrona coraz zawziętsza. Rozumiano, że gdy w zaborze rosyjskim stoi kwestja mniejszego czy większego ucisku i prześladowania, postępu lub zatrzymania w rozwoju cywilizacyjnym, mniejszej czy większej sumy cierpienia polskiego, — tam, „pod Prusakiem", ziemia usuwa się z pod nóg, tam staje trwożliwe pytanie, czy polskość na tej ziemi długo jeszcze się utrzyma... Każdy świadomy Polak, zasługujący na to miano, rozumiał lub przynajmniej instynktownie czuł, że tam rozgrywają się losy narodu.

I oto w chwili największej grozy i najsilniejszego napięcia, po wprowadzeniu w życie ustawy o wywłaszczeniu, błyska na widnokręgu zorza nadziei: Niemcy mają wojnę, i to wojnę niebylejaką — z Francją, Anglją i Rosją. W zaborze pruskim zapanowuje rozsadzające pierś uczucie, to samo, które ogarnia załogę oblężonej i wściekle atakowanej twierdzy na widok odsieczy. Uczucie to dzieli z nią cały naród, we wszystkich żywiołach naprawdę czujących i myślących po polsku...

Czyż w takiej atmosferze było wielkiem bohaterstwem i wielką zasługą postawienie na czele naszych celów wojennych oderwania ziem zaboru pruskiego?...

Toż to była rzecz taka prosta i taka naturalna. To była pierwsza litera alfabetu politycznego, ma się rozumieć, alfabetu polityki polskiej, polityki samoistnej, wolnej od obcych wpływów.

Wspominam ten zapał, który wokoło nas ogarniał ludzi, tę wiarę w odzyskanie naszych ziem zachodnich, kolebki narodu, i te powtarzane często za Sędzią z *Pana Tadeusza* słowa:

Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze!

Nie łudziłem się, żeby oderwanie ziem polskich od Niemiec miało być automatycznym skutkiem wygranej

wojny, ani żeby to była rzecz łatwa nawet w razie najbardziej decydującego zwycięstwa sprzymierzonych.

Wiedziałem, jak wielkie znaczenie ma posiadanie tych ziem dla celów polityki pruskiej, i nieobca mi była potęga wpływów niemieckich w rozmaitych krajach europejskich, zwłaszcza w Rosji, a nawet i w Anglji. Rozumiałem, że żywioły, reprezentujące te wpływy, przycichną podczas wojny, ale w chwili zawierania pokoju podniosą głowę.

Znając jako tako Anglję, jej historję, jej literaturę polityczną, sposób myślenia jej społeczeństwa, wiedziałem, że jest tam wiele jeszcze tradycyjnej sympatji do Prus, sojusznika w ciągu półtora stulecia, że pojęcia angielskie o Polsce urabiały się w znacznej mierze pod wpływami naszych wrogów, że wreszcie Anglja będzie przywiązywała znaczenie przedewszystkiem do zniszczenia potęgi morskiej Niemiec, do zlikwidowania ich roli poza Europą, że tym celom skłonna będzie podporządkować sprawy kontynentu. Podczas wojny i konferencji pokojowej okazało się, że były jeszcze inne przeszkody dla naszej sprawy w opinji i polityce angielskiej.

W początku wojny w rozmowie z przyjacielem moim, liberalnym Anglikiem, człowiekiem niewątpliwie życzliwym Polsce, powiedziałem, że dążymy do odebrania Niemcom między innemi Prus Zachodnich wraz z ujściem Wisły i Gdańskiem.

— Nigdy! — krzyknął — nigdy się nie zgodzimy na odcięcie Prus Wschodnich od reszty Niemiec. Toż to ojczyzna Kanta, Steina, Hardenberga, to ziemia, z której wychodziło odrodzenie Prus!...

Namiętność, z jaką to mówił, zmusiła mię do głębokiego zastanowienia...

Nie można było również przypuścić, żeby sfery rządzące w Rosji nie rozumiały, iż wyzwolenie ziem zaboru pruskiego to początek odbudowania Polski, i to

Polski niebylejakiej. Było do przewidzenia, a od początku wojny nie brakowało po temu wyraźnych objawów, że będą one dążyły do pozostawienia Poznania w rękach niemieckich.

Z tej strony największe miałem obawy, pomimo że pierwsze moje po wybuchu wojny zetknięcie z rządem rosyjskim w osobie ministra spraw zagranicznych, Sazonowa, nie dało mi do tych obaw powodu.

Kiedym w początku wojny, w powrocie z Zachodu do kraju, przybył przez Szwecję i Finlandję do Petersburga, widziałem się z Sazonowem, który rozmowę ze mną zakończył propozycją, ażebym zasiadł przy mapie z dyrektorem departamentu politycznego i wytknął zachodnią granicę Polski. Tym sposobem, nasza granica zachodnia, ta sama, którą później wykreśliliśmy na mapie Komitetu Narodowego w Paryżu i której broniłem na Konferencji Pokojowej, była znana rosyjskiemu ministerstwu spraw zagranicznych już od wybuchu wojny.

Trzeba tu wszakże przypomnieć, że w Rosji istniała wielka rozbieżność między ministerstwami, w szczególności pomiędzy ministerstwem spraw zagranicznych a resztą rządu. W najważniejszych sprawach p. Sazonow mógł myśleć jedno, a p. Goremykin drugie.

Można było wszakże oczekiwać, że z chwilą kiedy w polityce Rosji nastąpił tak doniosły zwrot, kiedy się zdecydowała ona na wojnę z Niemcami, musi też przyjść głęboka zmiana w poglądach na wiele spraw w szczególności na sprawę polską. Obóz przeciwniemiecki rósł tam szybko w siłę, i dążenie do oderwaia od Prus ziem polskich stało się szczerem dążeniem wielu wpływowych ludzi.

Zredukowanie potęgi Niemiec w Europie, dla odebrania im dotychczasowej przewagi, dla zabezpieczenia się na przyszłość, musiało być postulatem polityki rosyjskiej, i przedewszystkiem francuskiej. Byly też wpływo-

we koła w Anglji, mianowicie w obozie konserwatywnym, które ten postulat uznawały. W jego urzeczywistnieniu, na porządku dziennym pertraktacyj pokojowych po zwycięstwie musiała stanąć na czele kwestja odcięcia od Cesarstwa wszystkich ziem nieniemieckich: Alzacji i Lotaryngji, duńskiego Szlezwiku, wreszcie największych obszarem i liczbą ludności ziem polskich — Poznańskiego, Prus Zachodnich, Górnego Śląska i części lub całych Prus Wschodnich.

W dzisiejszej Europie polityka zewnętrzna nie jest wyłącznie dziełem gabinetów. Pierwszorzędną odgrywa w niej rolę opinja publiczna krajów. Można było mieć pewność, że w tej sprawie nacisk opinji będzie bardzo silny, że będzie ona domagała się, ażeby ofiary poniesione w wojnie były zapłacone pokojem, który zabezpieczy Europę od ciężkiej ostatniemi czasy zmory, od gotowej zawsze do napaści potęgi niemieckiej.

Drugi wielki skutek, jakiego oczekiwaliśmy od zwycięstwa sprzymierzonych nad państwami centralnemi — to likwidacja monarchji austrjacko-węgierskiej, jako anachronizmu, którego dalsze istnienie tylko Niemcom było potrzebne. Dla tego celu postanowiliśmy pracować, nie szczędząc wysiłków, i pracowaliśmy konsekwentnie podczas całej wojny, idąc razem z narodami środkowej i południowo-wschodniej Europy: z Czechami, Serbami i Rumunami. Trzeba było zburzyć ruderę austrjacką, ażeby zrobić miejsce dla nowych państw narodowych, które nie będą tak jak ona ekspozyturą niemiecką. Było to konieczne, jeżeli się myślało o niepodległej naprawdę Polsce, mającej samoistną pozycję międzynarodową.

Z likwidacją Austrji przychodziło wyzwolenie z pod jej rządów Galicji.

Tu budziły pewien niepokój apetyty rosyjskie na wschodnią Galicję. Jednakże nie trzeba zapominać, że były to apetyty sztuczne, obudzone przez propagandę

doktrynerską, nie liczącą się z politycznym stanem rzeczy. Trzeźwiejsi Rosjanie rozumieli dobrze, że za drogo mogłoby kosztować Rosję wprowadzenie do jej organizmu państwowego gniazda wyhodowanego przez Austrję ukrainizmu, a z tem najmniej półtora miljona Polaków, nie nagiętych do instytucyj państwowych rosyjskich. Niezawodnie bliższe przyjrzenie się temu krajowi znacznieby ochłodziło zapał do przygarnięcia tej „ziemi rosyjskiej".

Teraz proszę czytelnika o chwilę skupienia myśli.

Przypuśćmy, że Rosja przetrwała wojnę bez rewolucji, że wyszła z niej zwycięska narówni ze swymi sprzymierzeńcami. Niemcy powalone, Austrja w rozkładzie. Traktat pokoju odcina od Niemiec wymienione wyżej ziemie nieniemieckie, na gruzach zaś Austrji ustanawia mniejsze państwa narodowe. Ziemie zaboru pruskiego odeszły od Niemiec, a Galicja od Austrji.

Przypuśćmy dalej, że Rosja chce trwać przy swej polityce względem Polski i z tym zamiarem wciela do swego państwa ziemie zaboru pruskiego i austrjackiego. Ma się rozumieć, nie może w tych ziemiach odrazu wprowadzić swych instytucyj i swego języka państwowego, którego ludność wcale nie zna, i musi dla nich przyjąć pewien okres przejściowy. Ale w tej Rosji już zaczęła się ewolucja ustroju państwowego w kierunku zachodnio-europejskim, czyniąca ludność państwa uczestniczką rządów...

Już przed wojną Rosja, wobec zmiany swego ustroju państwowego, nie widziała wyjścia w kwestji polskiej. Czy przyłączenie nowych ziem polskich z ludnością, wychowaną już w instytucjach zachodnich, ułatwiłoby jej to wyjście?...

W bardzo krótkim czasie cała polityka rosyjska względem Polski byłaby doprowadzona do absurdu.

Napewno można powiedzieć, że rosyjscy mężowie

stanu po doświadczeniach przeszłości na taką politykę by nie poszli.

Od pierwszej chwili szukanoby wyjścia w takiem czy innem odgrodzeniu Polski od Rosji, a próby w tym kierunku bardzo rychło doprowadziłyby do odkrycia, że jest jedno tylko wyjście — odbudowanie państwa polskiego.

Przypuszczać, że naród polski, zjednoczony politycznie, przy połączeniu wszystkich swoich sił, mając do czynienia z jednem tylko państwem, a nie z trzema, jęczałby w niewoli — mogli tylko ludzie, nie mający żadnej wiary w Polskę, nie rozumiejący ducha czasu, wreszcie całkiem pozbawieni wyobraźni politycznej.

W każdej dziedzinie działalności myśli ludzkiej, zwłaszcza tam, gdzie się coś tworzy, trzeba mieć choć trochę wyobraźni. Polityka wymaga jej o wiele więcej, niż się ludziom zdaje. Bez wyobraźni nie można być nawet dobrym krawcem, a cóż dopiero politykiem.

Ci, co ustanawiają prawa, a nie umieją sobie w przybliżeniu wyobrazić, jak te prawa będą działały, jaki wpływ wywrą na rozwój życia, wyrządzają społeczeństwu większe krzywdy, niż jego świadomi wrogowie. Szukając rozwiązania zagadnień, trzeba zgóry widzieć konkretnie to, co się chce osiągnąć — inaczej można mieć coś całkiem przeciwnego celowi, do którego się dąży.

Brak wyobraźni wielu ludziom u nas przeszkadzał rozumieć sprawę polską. Tem bardziej, że dla wielu polityka była literaturą, i wyraz znaczył więcej, niż rzecz sama.

Kongres wiedeński ustanowił państwo polskie, ba, nawet dwa, bo Królestwo Polskie i Rzeczpospolitą Krakowską. W rezultacie sprawa polska została pogrążona na całe stulecie. Gdyby ten kongres nie był ustanowił państwa, ale zjednoczył wszystkie ziemie polskie w granicach jednego państwa, już dawno mielibyśmy niegodległość. Bo mielibyśmy wszystkie siły nasze sku-

pione, a przeciw sobie tylko jedno mocarstwo, bo jedno jedyne byłoby zainteresowane w naszej niewoli.

Powiedzą mi na to, że Królestwo Kongresowe, choć miało swą konstytucję, swój rząd, swój sejm, swoją armję, nie było niepodległem państwem. Prawda, ale ja pozwolę sobie zapytać: czy Polska, wchodząca w skład monarchji habsburskiej, ze wspólną dla całej monarchji armją, a tylko z częścią siły zbrojnej, „obroną krajową", odrębną — bo do takiej Polski dążyli w chwili wybuchu wojny „niepodległościowcy" w Galicji — miałaby większy stopień niepodległości? Wprawdzie Austrja to nie Rosja, i stosunek sił krajów, pozostających pod jednem berłem, nie byłby na oko tak niekorzystny. Wyobraźmy sobie wszakże, jakby ta solucja konkretnie wyglądała...

Przypuśćmy, że Niemcy nie przeszkodziłyby takiemu rozwiązaniu i że monarchja habsburska zamieniła się na potrójną: Austrja, Węgry, Polska. Austrja, uszczuplona o Galicję, stałaby się bardziej niemiecką, niż była przed wojną, niemiecki charakter jej polityki wzmocniłby się i zaostrzył; Węgry, które swoje panowanie nad Słowianami mogą tylko przy oparciu o Niemców utrzymać, w obawie przed słowiańską Polską związałyby się tem silniej z niemiecką Austrją; wreszcie obie te części składowe monarchji, jak przed wojną, szukałyby oparcia w wielkim sojuszniku, w Cesarstwie Niemieckiem. To znaczy, że mała Polska — bo przecie nie marzono nawet przy stawianiu tego programu o zjednoczeniu wszystkich ziem polskich — weszłaby w system, w którymby miała przeciw sobie Austrję, Węgry i Cesarstwo Niemieckie. Jeżeli wziąć przytem pod uwagę różnicę sił i zdolności organizacyjnych Niemiec i wszystkich innych ludów środkowo-wschodniej Europy, dysproporcja sił byłaby o wiele większa, niż w r. 1815 między Królestwem Polskiem a Cesarstwem Rosyjskiem.

A może Królestwo, ustanowione aktem dwóch cesarzy 5 listopada 1916 r., o ileby się przy zawarciu pokoju utrzymało, byłoby mniej zależne od Niemiec, niż Królestwo Kongresowe w 1815 — 30 r. od Rosji? Tego chyba nikt twierdzić nie będzie. A jeżeli tak, to czy losy jego miały wielkie szanse być lepszemi od tamtego?...

To trzeba było już oddawna zrozumieć, że jakiekolwiek państwo polskie, przez kogokolwiek ustanowione na części tylko obszaru narodowego polskiego, nie może być państwem niepodległem. Jego niepodległość zawsze byłaby fikcją i efemerydą.

Ten, kto naprawdę chciał niepodległej Polski, musiał przedewszystkiem dążyć do jej zjednoczenia.

Niestety, znaczna część pokolenia, które w 1914 r. stanęło wobec wielkiej wojny europejskiej, tak już miała podcięte skrzydła, że nie śmiała myśleć o niepodległej naprawdę Polsce.

Żadne z państw, wstępujących w wojnę, nie ogłosiło skończonego programu żądań, jakie wystawi przy zawieraniu pokoju, po odniesionem zwycięstwie. W żadnem nie widziano przez długi czas po rozpoczęciu wojny, jak daleko żądania te pójdą, i niezawsze nawet, jaki przybiorą kierunek. Bo nikt nie wiedział, jak się wojna rozwinie i czem się zakończy. Cele wojny zarówno w opinji publicznej krajów, jak w umysłach ludzi rządzących, kształtowały się stopniowo, w miarę jej rozwoju.

Nawet w wojnie między dwoma tylko państwami, gdzie się ścierają dwie tylko polityki, nie można ściśle przewidzieć, jak daleko pójdą żądania, bo to zależy od sumy wysiłku, którego wojna będzie wymagała, i od rozmiarów zwycięstwa. A cóż dopiero w wojnie, w której wzięło udział tyle państw, w której istniała sprzeczność interesów i dążeń nietylko między przeciwnikami, ale także pomiędzy sojusznikami, po jednej stronie wojującej.

Dobra polityka zewnętrzna, w wojnie czy w pokoju,

polega na tem, żeby jej kierownicy posiadali jasną świadomość głównych celów, *maximum* dążeń państwa w danym momencie dziejowym, ale żeby je wysuwali i realizowali stopniowo, w miarę, jak się zjawiają sprzyjające po temu warunki. Nie wymaga ona wcale ogłaszania celów, na których realizację czas jeszcze nie przyszedł; przeciwnie, nakazuje często o najważniejszych celach milczeć, ażeby przedwczesne ogłoszenie realizacji ich nie oddaliło.

Jeżeli rządy państw potężnych uważały za konieczne przestrzeganie powyższych prawideł w swej polityce, to cóż dopiero mówić o narodzie bez państwa, którego rola w roku 1914 była mniej niż skromną rolą ludności teatru wojny na jednym z dwóch głównych jej frontów, którego synowie, zaciągnięci przymusowo do trzech armij, szli jak niewolnicy jedni przeciw drugim w bój tragiczny, poniżający bój o cudzą sprawę, który wreszcie miał wrogów swoich dążeń po obu stronach wojujących. Jeżeli od kogo, to od tego właśnie narodu położenie wymagało jak najwyraźniejszej świadomości celów, jak najbardziej obmyślanego planu, jak najściślejszej ostrożności w jego wykonaniu, a jednocześnie śmiałych decyzyj, gdy chwila na odpowiednie posunięcie przyjdzie. Tylko działanie, odpowiadające tym wszystkim warunkom, mogło coś dla Polski w tej wojnie zdobyć — ile, to nie od nas zależało — tylko takie działanie można było nazwać polityką polską.

Jakiż mógł być cel narodu polskiego w chwili wybuchu wojny europejskiej, w którą wciągnięte zostały odrazu wszystkie nieomal potęgi światowe?

Czy mógł być inny, jak odzyskanie należnego mu stanowiska w szeregu narodów świata?...

Tak, ale trzeba było rozumieć, co to znaczy: w jakich warunkach możemy stać się nanowo narodem niezawisłym, mającym swą samoistną pozycję w Europie.

Ta garść najbliższych mi ludzi, z którymi całe życie pracowałem, znalazła sobie odpowiedź na to pytanie już na kilkanaście lat przed wybuchem wojny. W pierwszej części tej pracy podałem krótkie sformułowanie celu, który w naszej świadomości był celem narodu. Wcale dokładnie wykreśliliśmy sobie obszar, na którym państwo polskie musi stanąć, jeżeli ma być naprawdę niepodległem państwem, jeżeli byt jego ma być trwały. Rozumieliśmy, że musi się ono oprzeć z jednej strony o Karpaty, z drugiej o Bałtyk, że musi zawrzeć w swoich granicach przedewszystkiem całość ziem rdzennie polskich. Widzieliśmy, że najtrudniejszym w urzeczywistnieniu tego celu był punkt jego najważniejszy — dotarcie do Bałtyku i wogóle odzyskanie ziem zaboru pruskiego. Jednakże od tego zależało wszystko, cała przyszłość: Polska bez ziem zaboru pruskiego musiała zostać małem państewkiem, bo i na wschodzie musiałaby się odpowiednio cofnąć; Polska bez morza zawsze byłaby niewolnicą potężnego sąsiada.

Rozumieliśmy też, że losy państwa zależą nietylko od tego, jakiem jest ono samo, ale i od tego, jakich ma sąsiadów. Trudno było marzyć o niepodległej Polsce przy ciągłym wzroście nietylko przygniatającej nas, ale grożącej całemu światu potęgi Niemiec, która nadto, uzależniwszy od siebie Austro-Węgry, odgradzała nas nieprzerwanym murem od zachodu. Stąd obalenie potęgi niemieckiej i zburzenie Austrji były w pojęciu naszem pierwszej wagi celami polskiemi.

Cel był olbrzymi. Dla większości ówczesnych polityków w Polsce mniejsze o wiele zamiary wychodziły poza sferę myślenia realnego, były fantazją. Ja muszę powiedzieć, że choć nie uważałem się nigdy za człowieka, pozbawionego poczucia rzeczywistości, nie poczytywałem go nigdy za nieziszczalny. Zawsze było tak w dziejach, że gdy jedno mocarstwo wyrastało na zagrażającą wszyst-

kim innym potęgę, wywoływało koalicje państw zagrożonych, które tę potęgę obalały. Czy to było imperjum Karola V i Filipa II, czy potęga Ludwika XIV, czy wreszcie Napoleona I — zawsze się jednakowo kończyło. Sądziłem, że tak się musi skończyć i z potęgą niemiecką za Wilhelma II. A wtedy najśmielsze nadzieje mogły się spełnić.

W dobie popowstaniowej u nas publicyści szkoły krakowskiej, potępiający powstania, wiele się znęcali nad młodzieńczemi słowami Mickiewicza:

Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił.

Nie to było grzechem organizatorów powstań, że „mierzyli siły na zamiary", ale to, że zamiary ich nie były mądre, a właściwie nawet, że, zapytani o swe zamiary, nie umieliby dać odpowiedzi, bo nie wiedzieli dobrze, do czego dążą. Zasady „mierzenia zamiaru według sił", w istocie słusznej, bardzo łatwo nadużywać dla usprawiedliwienia lenistwa i braku odwagi. Tymczasem wielkie zamiary, wielkie cele, bardzo napozór przerastające siły, bywają przeważnie urzeczywistniane, jeżeli ci, co je sobie stawiają, wiedzą dobrze, do czego idą, i wszystkie swe siły ku jednemu zwrócą celowi. Wtedy siły rosną ponad oczekiwanie.

W roku 1914 koalicja państw przeciw potędze niemieckiej stała się faktem, i wybuchła wielka wojna europejska. Okazało się, że cel, ku któremu oczy nasze były zwrócone, nie był fantazją, że otwiera się droga do jego urzeczywistnienia. W jakiej mierze? Któż to mógł przewidzieć?...

Trzeba było tylko nie tracić celu z oczu, zmierzać ku niemu konsekwentnie, urzeczywistniać to, na co warunki pozwolą, robić wszystko, co nas do celu zbliża, nie robić nic, co nas od niego oddala; osiągnąć stop-

niowo w kierunku ostatecznego celu wszystko, co się da, i nie zamykać sobie drogi do osiągnięcia reszty.

Tak pojęliśmy politykę polską podczas wielkiej wojny. Jedno było pewne — że w razie zwycięstwa koalicji, potęga niemiecka będzie powalona: osiągnięty będzie pierwszy, najgłówniejszy warunek odbudowania Polski. Jeżeli z tem się połączy zlikwidowanie Austrji, jeżeli ziemie zaboru pruskiego i austrjackiego będą oderwane od państw centralnych, jeżeli tym sposobem zjednoczenie ziem polskich stanie się faktem — najważniejsze będzie zrobione. Reszta w porównaniu z tem będzie rzeczą łatwą.

Mówi się często u nas o dwóch równorzędnych „orjentacjach", o dwóch przeciwnych kierunkach polityki polskiej podczas wojny, z których jeden wygrał, bo strona wojująca, z którą poszedł, wygrała. Nie — była tylko jedna polityka polska.

Państwo czy naród w danym momencie dziejowym nie ma dziesięciu polityk do wyboru. Interesy jego i jego położenie wskazują mu, jakie są główne jego w danym okresie cele, których ani na chwilę z oka spuszczać nie wolno, a jakie drugorzędne, które w razie potrzeby można tamtym podporządkować; kto jest jego głównym wrogiem, a z kim należy zawrzeć sojusz: słowem, dyktują mu jedną tylko politykę ogólną, którą w szczegółach można pojmować i przeprowadzać rozmaicie, ale od której zasadnicze odchylenie zawsze jest błędem. To zaś, co się jej przeciwstawia, jest działaniem przeciw interesom narodu. Nigdzie ta prawda nie znajduje tak dobitnego potwierdzenia, jak w sprawie polskiej podczas wielkiej wojny.

Sprawa polska w wojnie, która wybuchła w r. 1914, przedstawiała się tak, jak to przed chwilą wyłuszczyłem, i inaczej przedstawiać się nie mogła. Tylko takie jej pojmowanie mogło być punktem wyjścia do polityki

istotnie polskiej. Działania, wychodzące z innego założenia, albo nie były polityką, albo nie były polityką polską.

Dlatego to w zarysie obecnym mówię właściwie o jednej tylko polityce jako o polityce polskiej. I to nie dlatego tylko, że ona cel zrealizowała, na skutek zwycięstwa koalicji, z którą szła, ale dlatego, że ona ten cel od początku przed oczami miała i szła po jedynej drodze, która do niego prowadziła. Jej wygrana była wygraną Polski; gdyby była przegrała — pokolenie nasze byłoby świadkiem nowej, wielkiej klęski naszego narodu.

O innych działaniach, wychodzących z innych założeń, innemi drogami idących, wypadnie mi tu nieraz mówić, ale tylko o tyle, o ile odgrywały jakąś rolę w stosunku do tej polityki, do polityki polskiej.

II

POŁOŻENIE PAŃSTW WOJUJĄCYCH

Wojna 1914 — 1918 roku nie była jedynie wojną w polu. Jednocześnie z operacjami na frontach rozgrywała się niesłychanie energiczna, pełna inicjatywy, obfitująca w różnorodną broń wojna polityczna, której wyniki mogły być i były często o wiele donioślejsze od zwycięstw odnoszonych przez armje. Rozumienie tej walki politycznej, orjentowanie się w jej przebiegu było warunkiem powodzenia dla wszystkich uczestników wojny, a dla nas więcej, niż dla kogokolwiek.

Pierwszą rzeczą było zdać sobie sprawę z położenia państw wojujących, możliwie znać ich silne i słabe strony polityczne, wiedzieć, jakiemi rozporządzają środkami walki, i jakie im grożą niebezpieczeństwa. Byliśmy w tym względzie upośledzeni przez to, że nie posiadaliśmy środków, jakie każde państwo ma, na zorganizowanie należytego wywiadu politycznego, musieliśmy polegać głównie na dobrowolnej pomocy rodaków lub życzliwych cudzoziemców; z drugiej strony wszakże nasze położenie przed wojną zmusiło nas do bliższego poznania wielu stron wewnętrznego życia trzech państw, posiadających ziemie polskie, co nam pozwalało często lepiej od rządów mocarstw orjentować się w ich położeniu i w ich polityce podczas wojny. I to było główną naszą siłą, bo pozwoliło nam uniknąć wielu błędów i nakazywało czasami innym liczyć się z naszem zdaniem, nietylko gdy chodziło bezpośrednio o sprawę polską.

Żadne z państw wojujących nie było w tak wyjątkowo szczęśliwem położeniu politycznem, jak Niemcy, żadne tak się do tej wojny politycznie nie przygotowało, nie mówiąc o tem, że one jedyne były przygotowane wojskowo.

Sprzymierzeńcy Niemiec — Austro-Węgry, a potem Turcja i Bulgarja, nie mieli w sojuszu stanowiska równorzędnego z niemi, ale byli im podporządkowani i wojskowo, i politycznie. Stąd obóz państw centralnych, posiadając ciągłość terytorjalną, miał także jedność kierownictwa. Stanowiło to ogromną jego wyższość nad przeciwnikami, którzy byli nietylko terytorjalnie oddaleni, ale z których każdy działał samoistnie, niezawsze zgodnie z sojusznikami; o ile zaś osiągano jednolitość działania, wymagało to dużych wysiłków.

Żaden z narodów wojujących nie był tak zwarty nawewnątrz, tak zjednoczony w dążeniu do zwycięstwa, tak solidarny ze swym rządem, jak Niemcy. Nigdzie rząd nie korzystal z tak energicznego, pełnego inicjatywy wspóldzialania wszystkich obozów politycznych. Te obozy, które posiadały wpływy zagranicą, jak socjaliści i katolicy, oddawały je na usługi państwa i pracowały dla zwycięstwa Niemiec.

W Niemczech prawie nie było podczas wojny czynnych pacyfistów, przeciwstawiających się wojnie przez ich państwo prowadzonej; organizacje tajne, mające związki z pacyfistami innych krajów, używały swych stosunków dla wytwarzania opozycji pacyfistycznej u przeciwników i paraliżowania tą droga ich wysiłku. Niepodobna też było wskazać w Niemczech jakichkolwiek kół opinji pozostających pod wpływami obcemi, czego nie można było powiedzieć o żadnem z państw sprzymierzonych, które przeciw nim wojowały.

Żaden naród nie miał takiej licznej emigracji swojej we wszystkich krajach, w szczególności europejskich.

Emigracja ta, w znacznej swej części inteligentna, oddana swemu państwu, oddawna na obczyźnie dla niego pracowała, służyła mu do organizacji sieci wpływów politycznych i szpiegostwa. Na mocy słynnego prawa Delbrücka, pozwalającego po przyjęciu obcego obywatelstwa zachować niemieckie, wielu z tych Niemców zachowało podczas wojny swobodę ruchów w państwach sprzymierzonych, w których byli naturalizowani. To pozwalało Niemcom mieć podczas wojny swych agentów we wszystkich państwach wojujących, agentów, korzystających tam z legalnej sytuacji i rozporządzających nieraz ogromnemi wpływami. Był to przywilej, którego żadne z państw wojujących nie posiadało.

Niemiecka Socjalna Demokracja była sztabem głównym dla socjalistów wszystkich krajów. Była ona dla nich najwyższym autorytetem w rzeczach dogmatów i kierowała w znacznej mierze ich taktyką. Umiała ich nawet uzależniać od siebie materjalnie: takie organy oficjalne partyj socjalistycznych, jak *Avanti* w Rzymie i *Naprzód* w Krakowie, oddawna figurowały jawnie w sprawozdaniach niemieckiej Demokracji Socjalnej, jako pobierające stałą subwencję. Z chwilą wybuchu wojny organizacja ta oddała się na usługi państwa niemieckiego, usługi niezmiernie cenne, zważywszy sieć jej wpływów w Europie.

Niemcy też pracowali oddawna konsekwentnie nad zdobyciem wpływów w Kościele katolickim i mieli bodaj większe, niż jakiekolwiek inne państwo. To im pozwoliło na czas wojny korzystać ze sprzyjającego stanowiska Watykanu.

Jeżeli dodamy do tego rolę i wpływ żydów niemieckich wśród żydostwa całego świata, a w szczególności w Europie wschodniej, — fakt, że żydzi w pierwszej połowie wojny związali swe interesy ze zwycięstwem Niemiec i dla niego pracowali — będziemy mieli pełny

obraz potężnych wpływów, które dawały Niemcom w wojnie politycznej ogromną wyższość nad przeciwnikami.

Sojusznik, a raczej klient Niemiec, Austro-Węgry, znajdowały się natomiast w położeniu wewnętrznem bardzo niebezpiecznem. W różnorodnym składzie narodowym państwa tylko dwa żywioły były pewne, oddane całkowicie sprawie zwycięstwa — Niemcy i Madjarzy. Miała Austrja oddane sobie sfery i wśród innych narodów w państwie, ale na masę ich ludności liczyć nie mogła. Tam spotykała się bądź z obojętnością, która łatwo mogła się zamienić w stosunek wrogi, bądź z wyraźnie wrogiem usposobieniem, z silnemi sympatjami dla przeciwników. Sympatje te, najsilniejsze wśród Czechów, niezawsze były bierne: w miarę postępu wojny wyrażały się one coraz silniej w propagandzie na korzyść sprzymierzonych, w wywiadzie dla nich, w licznych dezercjach z armji, za któremi szło wstępowanie w zbrojne szeregi przeciwników, wreszcie w sabotowaniu machiny państwowej nawewnątrz.

Dlatego to Austrja była tem państwem wojującem, w którem bez porównania więcej było denuncjacyj, sądów doraźnych za zdradę, egzekucyj własnych obywateli, niż we wszystkich innych razem. Był to, nawiasem mówiąc, najlepszy dowód, że państwo to straciło rację bytu.

Państwa zachodnie, mające ustrój polityczny o wiele liberalniejszy od państw centralnych, przeorane głęboko, jak zwłaszcza Anglja, propagandą pacyfistyczną, dalekie były od niemieckiej jednolitości, musiały wojować nazewnątrz i bronić wojny nawewnątrz. Istniała tam duża rozbieżność nietylko między państwami, ale i nawewnątrz nich w poglądach na zadania i cele wojny. Wyrażała się ona często w rozbieżnych działaniach. Nietylko rządy państw niezawsze były w swych działaniach w zgodzie z sojusznikami, ale wewnątrz państw były ugrupowania,

prowadzące swą politykę lub przynajmniej swą intrygę polityczną, niezawsze zgodną z polityką rządu. Można było mieć dla danej sprawy rząd francuski czy angielski, a jednak we Francji lub Anglji napotykało się na poważne przeszkody, na zorganizowaną akcję w kierunku przeciwnym, i to akcję, mającą swych wykonawców na oficjalnych stanowiskach w machinie państwowej. Było widoczne, iż rząd tam, nawet w czasie wojny, nie jest całkowicie rządem, że z jego polityką krzyżuje się polityka wychodząca skądinąd.

I psychologja społeczeństwa była tam inna. Gdy w Niemczech rząd prowadzący wojnę miał cały naród za sobą, gdy mu wystarczyło jedno tylko wielkie w początku oszustwo, mianowicie, wmówienie społeczeństwu, że to przeciwnicy wypowiedzieli wojnę, a potem już wystarczyło, że walka się toczy o przyszłość Niemiec — na Zachodzie trzeba było ciągle powtarzać, że się walczy przeciw militaryzmowi o powszechny pokój, przeciw barbarzyństwu o cywilizację, o sprawiedliwość, o demokrację. I żołnierz, który ginął przeważnie za swoją Francję, czy za swoją Anglję, za ojczyznę, nie słyszał w odezwach tego świętego dla niego słowa, bo względy polityczne nie pozwalały go wymawiać.

Nigdy, jak podczas tej wojny, tak się nie uwydatniła zgubna rola zorganizowanych tajnie sekt politycznych, które, prowadząc akcję polityczną nieodpowiedzialną, pozostającą przeważnie pod kierownictwem ludzi niekompetentnych, ciasnych i powierzchownych, paraliżowały wysiłki swego narodu w walce o całą przyszłość, a później uniemożliwiały mu należyte skorzystanie z owoców zwycięstwa i zbudowanie pokoju na trwałych podstawach.

Żadne może państwo, prowadzące kiedykolwiek wojnę, nie znalazło się w tak dziwnem, w tak potwornem wprost położeniu, jak Rosja w wojnie przeciw Niemcom,

wszczętej po długim okresie zażyłej pomimo różnych nieporozumień przyjaźni. Żeby to położenie, mające dla naszej, polskiej polityki ogromne znaczenie, dobrze zrozumieć, trzeba głębiej sięgnąć w przeszłość.

Założyciel nowej Rosji, Pioir Wielki, organizował ją przy pomocy cudzoziemców, przedewszystkiem Niemców. Od tego już czasu zajął swoje miejsce w państwie typ oficjalnego Niemca rosyjskiego, lojalnego sługi w machinie państwowej, ale duchowo nie przerobionego na Rosjanina. Przeszkadzała temu głęboka różnica psychiczna dwóch ras, oraz sąsiedztwo i zażyłe stosunki z Prusami i innemi państwami niemieckiemi, w których Niemcy rosyjscy nie przestawali widzieć swej duchowej ojczyzny. Wcielenie do państwa rosyjskiego krajów nadbałtyckich dało mu dużą ilość Niemców, którzy szli chętnie do służby państwowej i odznaczali się w niej wielkiemi zaletami. Przewyższali oni Rosjan nietylko umiejetnością, ale i dyscypliną, poczuciem monarchicznem i nawet lojalnością. Skutkiem tego stali się niejako najbardziej uprzywilejowaną częścią ludności państwa. Znana była w całej Rosji anegdota, w której zapytany przez monarchę Rosjanin, jakiej chce nagrody za swe zasługi, odpowiedział prośbą o zaawansowanie go na Niemca.

W czasach po Piotrze Wielkim, gdy tron przeszedł do domu holsztyńsko-gotorpskiego, który utrzymał dla dynastji imię Romanowów, Niemcy rządzili państwem prawie niepodzielnie, pozostawiając rdzennym Rosjanom rolę podrzędną. Za Katarzyny II wybitne osobistości rosyjskie wysuwają się znów na front, nadając państwu charakter narodowy. Ale za tego właśnie panowania nastąpiły rozbiory Polski, które stały się silnym węzłem między Rosją a Prusami. Ten węzeł zacieśnia się następnie w świętem przymierzu i później już trwa nieprzerwanie, pomimo że polityka zewnętrzna obu państw wystawia nieraz przyjaźń na ciężkie próby. Dzięki tym wę-

złom Niemcy rosyjscy znajdowali silne oparcie moralne w Prusiech: zrośli się oni z ideą, że służba dla Rosji nie jest służbą przeciw Niemcom, że przeciwnie, przy silnym związku między dwoma państwami, można doskonale pogodzić patrjotyzm rosyjski z niemieckim. Wymowną ilustracją stanu ich duszy było to, co sam widywałem w domach niemieckich w Kurlandji: na ścianie dwa wiszące obok siebie portrety — cesarza Rosji, cesarza Niemiec, a pod niemi portret Bismarcka...

Przez związki tych Niemców z rodzinami rosyjskiemi wytworzyła się w państwie liczna, odcinająca się od reszty ludności rosyjsko-niemiecka arystokracja urzędnicza. Z tej sfery rekrutowali się głównie ludzie na wyższe stanowiska w administracji i w armji. Przy nieznacznym względnie odsetku Niemców wśród ludności państwa zastanawiającą kwestją było, skąd się ich brało tylu na stanowiskach oficjalnych.[1])

W początku wojny fantastyczne opowiadano historje o faktach zdrady, której mieli się dopuszczać Niemcy w służbie rosyjskiej. Było w nich niezawodnie wiele przesady. Naogół byli to ludzie do ordynarnej zdrady niezdolni. Zresztą, przeważnie odznaczali się swoistym patrjotyzmem państwowym, którego główną podstawą była wierność monarsze.

---

[1] Historyczny rok 1914 zastał w Warszawie najwyższe urzędy obsadzone w sposób następujący: generał-gubernator, z władzą cywilną i wojskową, von Skalon (z rodziny hugonotów francuskich, osiadłych w Szwecji, a potem w Estonji, luteranin, mówiący w rodzinie po niemiecku); jego pomocnicy: do spraw administracyjnych — Essen, do spraw policyjnych — Uthof, do spraw wojskowych — Rausch von Traubenberg; gubernator warszawski — baron von Korff; jego pomocnik — Gresser; prokurator Izby sądowej — Herschelmann. jego pomocnik — Hessen; dyrektor filji Banku Państwa — baron von Tiesenhausen; szef policji (oberpolicmajster warszawski) — Meyer; szef zarządu miejskiego (mianowany przez rząd prezydent miasta) — Müller. Tylko kurator okręgu szkolnego nosił nazwisko rosyjskie.

W r. 1915 w najarystokratyczniejszym klubie petersburskim generał świty cesarskiej powiedział:

— Nasi już podchodzą do Rygi.

— Kto to nasi? — zapytano go.

— Ma się rozumieć, Niemcy.

— Jak pan śmie — zwrócono mu uwagę z oburzeniem — będąc jenerałem rosyjskim, wyrażać się w ten sposób...

— Moi panowie — odpowiedział — jestem uczciwym, wiernym sługą Jego Cesarskiej Mości, ale pozwólcie mi być Niemcem.

Takich jaskrawych przykładów manifestującej się niemieckości niezawodnie nie było w służbie rosyjskiej wiele, niemniej przeto ciekawa była atmosfera, w której były one możliwe.

Dla tej sfery — dla Niemców rosyjskich i związanych z nimi Rosjan — wojna z Niemcami była czemś anormalnem, czemś przeciwnem ustalonemu porządkowi rzeczy. Było to jakieś nieporozumienie, szkodliwe, niebezpieczne, gotujące zgubę im i państwu. Poszli oni na tę wojnę — na którą zresztą patrzyli, jako na wojnę przedewszystkiem z Austrją — bo musieli, bo polityka zewnętrzna państwa, chodząca swojemi, mniej zależnemi od nich drogami, uczyniła ją nieuniknioną, bo cesarz się uparł nie opuszczać jakiejś tam Serbji; ale poszli bez entuzjazmu, z nadzieją, że to się prędko skończy. Spodziewali się, iż fakty w krótkim czasie przekonają Rosję, że wojna z Niemcami jest błędem, że będzie zawarty pokój, po którym Rosja zbliży się z powrotem do Niemiec.

Patrząc na to, co się działo w Rosji w początku wojny, miałem wrażenie, że cały bodaj rząd, z wyjątkiem ministra spraw zagranicznych, patrzy na tę wojnę niechętnie i sympatjami swemi jest raczej po stronie przeciwników, niż sojuszników. Ten rząd, gdyby mógł,

każdej chwili chętnieby zawarł pokój z Niemcami, zostawiając sojuszników ich własnemu losowi. Wiadomo też było, iż w kołach dworskich nie zerwano stosunków z odpowiedniemi kołami w Niemczech, korespondencja w dalszym ciągu trwała, a nawet podobno bywały i spotkania osobiste.

Gdyby to była wojna tylko z Austrją, nastrój sfer rządowych byłby niezawodnie inny. Panowała tam nawet zawziętość na Austrję, która wchodziła w drogę Rosji na Bałkanach; zresztą Austrję dość lekceważono jako siłę. Względem Niemiec natomiast panował wielki respekt, obawiano się ich poważnie, zresztą nie było wyraźnych powodów do konfliktu z niemi. Były zaś nietylko sympatje dla nich w sferach, o których mowa, ale i powody do przyjaźni, do ścisłego związku z Berlinem, powody zrozumiałe dla całej biurokracji. jeden — to utrzymanie zasady monarchicznej, która w Niemczech miała przecie silniejsze oparcie, niż w Anglji lub Francji, drugi — to kwestja polska.

Liczono, że te dwa względy nie pozwolą Rosji długo wytrwać w wojnie przeciw Niemcom, że bardzo rychło zarysuje się niebezpieczeństwo ze strony wewnętrznych wrogów państwa — rewolucjonistów rosyjskich z jednej strony, Polaków z drugiej — które ją zmusi do opuszczenia sojuszników i zawarcia osobnego pokoju. W umowie z sojusznikami nawet było zastrzeżone, że w razie rewolucji u siebie Rosja nie będzie się czuła obowiązaną do kontynuowania wojny.

Objawów tej niechęci sfer rządzących do wojny nie brakowało od samego początku; z postępem zaś wojny i jej zaciąganiem się na czas dłuższy mnożyły się one i stawały coraz wyraźniejsze. Prawdopodobnie ta niechęć zrodziła jeden z najszczerszych, najbardziej prawdomównych komunikatów wojennych, jaki kiedykolwiek ogłoszono. Mianowicie, w samym początku wojny, ko-

munikat o klęsce armji Samsonowa pod Tannenbergiem, komunikat urzędowy, był tak tragicznie zredagowany, jakgdyby chodziło o to, żeby społeczeństwo rosyjskie jak najbardziej przerazić i odebrać mu ducha.

Ten charakter sfer rządzących Rosją był głównem źródłem jej słabości.

Rosja posiadała niewyczerpaną ilość materjału ludzkiego, przedstawiającego wysoką wartość bojową. Praca w ciągu lat kilku, poprzedzających wojnę, nad organizacją armji dała ogromne rezultaty. Świadczyła o tem mobilizacja, która została przeprowadzona wzorowo, świadczył duch i wyćwiczenie armji. Stan uzbrojenia był dobry, intendentura też nie pozostawiała wiele do życzenia. Nie było żadnego porównania z armją, która prowadziła wojnę japońską, a która wykazała tyle braków.

Rosyjska opinja publiczna odniosła się do tej wojny z wielkim zapałem i z wielką gotowością niesienia pomocy państwu w walce. Samorządy ziemskie i miejskie wyłoniły z siebie organizacje, które oddawały wielkie usługi na tylach armji.

Był ogromny zasób sił do wojny, fizycznych i moralnych. Słabość była u góry, w rządzie i w tych sferach niemiecko-rosyjskich, które w Rosji Piotra Wielkiego dostarczały ludzi rządzących państwem.

Właściwie mówiąc, kto znał Rosję i umiał głębiej w nią patrzeć, ten widział, że społeczeństwo rosyjskie, przeciwstawiające się sferom rządzącym, miało dwa cele i dwa źródła zapału do tej wojny. Pierwszym celem było zwycięstwo nad Niemcami, obalenie ich potęgi, wyemancypowanie się z pod jej przewagi, zdobycie wielkiej i trwałej pozycji mocarstwowej dla Rosji; drugim — przełamanie muru wewnętrznego, otaczającego władzę w państwie, który stanowiła niemiecko-rosyjska arystokracja urzędnicza, otwarcie dostępu do tej władzy przedstawicielom społeczeństwa. Dlatego społeczeństwo to

uznało wojnę jako swoją, starało się wziąć w niej udział jak najszerszy, wygrać ją jako naród rosyjski, wykazać swą większą zdolność do prowadzenia państwa w trudnych chwilach od sfer dotychczas rządzących.

Ta postawa społeczeństwa rosyjskiego wciągała Rosję w wojnę o wiele głębiej, niż sobie tego rząd życzył, i utrudniała intrygi skierowane ku jej przerwaniu, ku osobnemu pokojowi z Niemcami.

Wytwarzała ona wszakże w sferach rządowych i dworskich tem większy wstręt do wojny: pochodził on już nietylko z niechęci do walki z Niemcami, ale i z obawy, żeby zwycięstwo Rosji nad nieprzyjacielem nie stało się klęską dla tych, którzy w niej mieli przywilej rządzenia.

I jeżeli Rosja wyszła tak fatalnie z tej wojny, to może głównie dlatego, że ci, co nią rządzili, bali się zwycięstwa.

Nienormalne położenie Rosji w wojnie na tem się nie kończyło.

Państwo, idące na tak wielką wojnę, zdobywające się na tak niezwykły wysiłek, nie może wyjść w razie zwycięstwa z niczem. Musi mieć zysk, któryby okupił poniesione ofiary.

Niewątpliwie, samo powalenie potęgi niemieckiej byłoby dla Rosji olbrzymim zyskiem, gdyż podniosłoby jej mocarstwowe stanowisko, rozwiązałoby jej ręce w polityce zewnętrznej, która coraz więcej się czuła przez Niemcy paraliżowaną. Zysk ten wszakże niedostatecznie byłby zrozumiały dla rosyjskiej opinji publicznej, żeby ją zadowolnić. Nie zadowolniłoby jej również otwarcie cieśnin dla Rosji, uzyskanie wolnego wyjścia na Morze Śródziemne. Rosyjska opinja publiczna została wychowana na zdobyczach terytorjalnych, i najliberalniesi nawet Rosjanie zwycięskiej wojny bez aneksji nowych ziem nie rozumieli. Rząd, któryby po zwycięstwie nie przy-

niósł Rosji terytorjalnych zdobyczy, naraziłby się na bardzo ciężkie oskarżenia.

Tymczasem, przy głębszej analizie położenia, musiało się wykazać, że w wojnie europejskiej, w wojnie na zachodzie, Rosja, czy będzie zwyciężona, czy będzie zwycięska, terytorjalnie nietylko nic nie zyska, ale jest skazana na znaczne straty. Zachodnie ziemie państwa rosyjskiego, zarówno, jak ziemie wschodnie państw centralnych — to była Polska. Należało oczekiwać, że Niemcy i Austrja, w razie zwycięstwa nad Rosją, oderwą od niej mniejszą lub większą część Polski. Zwycięska zaś Rosja, chcąc wyjść ze zdobyczą terytorjalną — nawet gdyby rząd obawiał się tego i tej zdobyczy sobie nie życzył — musiałaby oderwać od Niemiec i Austrji ich ziemie polskie, a tem samem Polskę zjednoczyć. Zjednoczenie zaś Polski prowadziło nieuchronnie, a właściwie nawet niezwłocznie do jej niepodległości, co pociągało za sobą dla Rosji stratę obszaru polskiego, który, najskąpiej pojęty, oznaczał niemałą ilość ziemi.

Wprawdzie, szersze koła w Rosji, niedość realnie myślące o rzeczach politycznych i nie rozumiejące kwestji polskiej, w początku wojny nie zdawały sobie z tego sprawy. Tam istniała jakaś naiwna wiara, że Rosja może wszystko połknąć i wszystko strawić. Nie rozumiano tego, że taki szalony rozrost terytorjalny, jaki się widzi w dziejach Rosji, był możliwy tylko w państwach wschodnich, rządzonych despotycznie, gdzie ludzi jedynie siłą zbrojną trzymano w poddaństwie. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że z chwilą, kiedy dla Rosji stało się koniecznością przekształcenie na państwo prawne, i kiedy już weszła na tę drogę, istnienie w granicach państwa zbyt wielkiego odsetka ludności, mającej swą wybitną indywidualność narodową i swoje wielkie aspiracje narodowe, jest poprostu niemożliwością. Ta umysłowość, która nie zdołała jeszcze przetrawić nowego położenia

państwa, pozwalała żywić naiwną wiarę, że Rosja nietylko będzie zdolna utrzymać swe panowanie nad posiadanemi przed wojną ziemiami polskiemi, ale nawet przyłączyć nowe i dalej Polską władać.

Nie miałem atoli wątpliwości, że w kołach rządzących od początku wojny tej wiary nie podzielano. Poważne dane świadczyły, iż tam oddawna już istnieje świadomość, że Rosja ma za wiele ziemi polskiej, że utrata mniejszej lub większej jej części jest nieuchronna. Rozumiano, że jeżeli się chce stracić jak najmniej, trzeba zredukować jak najbardziej obszar narodowy polski wspólnemi wysiłkami Rosji i Niemiec. Tam zdawano sobie sprawę z tego, że wyzwolenie zaboru pruskiego i austrjackiego i połączenie ich z resztą ziem polskich położyłoby koniec okrawaniu Polski i oznaczałoby odbudowanie państwa polskiego.

Świadomość takiego wyniku zwycięstwa nad Niemcami zaczęła się rozwijać w coraz szerszych kołach w miarę postępu wojny i coraz wyraźniejszego występowania aspiracyj polskich.

Możliwe było zaanektowanie wschodniej Galicji, jako ziemi „rosyjskiej", ale ze względów, o których już wspomniałem, wartość tej zdobyczy wielu Rosjan zaczęło uważać za więcej niż wątpliwą.

O anektowaniu państewek bałkańskich, nawet Bułgarji, która stanęła w obozie przeciwników, nie było mowy; gdyby nawet nie było przeszkód po temu ze strony sojuszników, nie można było zapominać, że to już nie bezimienni Słowianie, jeno ukształtowane narody, z poczuciem swej odrębności i przywiązaniem do niezawisłości. Wcielenie ich do Rosji zwiększałoby tylko niebezpieczeństwo rozsadzenia państwa.

Pozostawało marzenie o Konstantynopolu, którego ziszczenie olśniłoby naród rosyjski. Tu wszakże coraz wyraźniej było widać, że, chcąc mieć Konstantynopol,

nie dość zwycięstwa nad państwami centralnemi i Turcją, ale że bodaj trzeba byłoby przeprowadzić drugą wojnę — z dotychczasowymi sojusznikami.

Nawet tedy w razie zwycięstwa Rosja miała perspektywę nie zdobyczy, ale strat terytorjalnych. Czyż może być bardziej nienormalne położenie w wojnie?...

Trudno zaś było wymagać od Rosjan, żeby łatwo przyznali, iż Rosja zanadto się rozrosła terytorjalnie na zachód, że panowała tam nad ludnością, która nigdy rosyjską stać się nie mogła i nie mogła pogodzić się z istnieniem pod obcemi rządami, że te ziemie można było trzymać siłą — zwłaszcza przy pomocy sąsiada — przy dawnych rządach, ale że z chwilą, kiedy Rosja weszła na drogę ewolucji w kierunku zachodnim, dalsze ich utrzymanie będzie niemożliwe. Trudno wymagać, ażeby jakikolwiek naród łatwo zrozumiał, że jego państwo dla własnego dobra, dla zdobycia normalnych warunków rozwoju, musi zmniejszyć swój obszar, tem bardziej zaś naród, który tak zrósł się w swych dziejach ze zdobyczami terytorjalnemi, z ideą, że ciągle trzeba robić nowe zabory, a niczego, co już zdobyto, nie wolno tracić.

Jednem z największych niebezpieczeństw Rosji w XIX i XX wieku było, że psychologja narodu pchała go w kierunku całkiem przeciwnym temu, czego wymagały istotne interesy narodu i państwa. Paradoksalność położenia Rosji w stosunku do celów wojny była tylko częściowym wyrazem ogólnego, niesłychanie trudnego jej położenia wewnętrznego i zewnętrznego, wytworzonego pod wpływem mnóstwa sprzecznych czynników i wynikającego z jej położenia między Wschodem i Zachodem, między Azją a Europą. Dlatego to naród rosyjski, wybitnie zdolny i żywotny, wykazujący we wszystkich dziedzinach bogatą i samoistną twórczość

umysłową i posiadający niemałe zalety polityczne, gdy przyszła wielka katastrofa dziejowa, znalazł się w największem ze wszystkich niebezpieczeństwie i najtragiczniejszemu uległ losowi.

Powyższe słabe strony położenia przeciwników nie były obce Niemcom, którzy może najpilniej ze wszystkich narodów inne kraje studjowali, najlepiej je znali i posiadali wszędzie najlepszą obsługę informacyjną. Dodawało im to pewności siebie, wiary w zwycięstwo na froncie, a gdy to zaczęło być wątpliwem, nadziei na to, że wyzyskując słabe strony przeciwników i ich w pewnych dziedzinach ignorancję, Niemcy będą mogły nawet w razie niepowodzeń wojennych odnieść zwycięstwo polityczne.

Dlatego to walka polityczna, prowadzona równolegle z wojną na frontach, miała tak wielkie znaczenie.

W tej walce otworzyło się szerokie pole i dla nas. Na skutek przymusowego podziału sił naszego narodu w wojnie, na skutek tego, że synowie naszej ziemi musieli walczyć po obu stronach, i to prawie w równej liczbie (Rosja posiadała znacznie większą liczbę ludności polskiej, niż Niemcy i Austrja razem, ale zato w tych dwóch państwach pobór do wojska był o wiele ściślejszy i zabierał bez porównania większy odsetek ludności) — nasz udział w wojnie nie mógł mieć wpływu na jej losy. Natomiast nasz udział w walce politycznej, jak się to w następstwie okaże, miał znaczenie ogromne, i, w początku zwłaszcza, mógł nawet o losach całej wojny zdecydować.

Trzeba wszakże stwierdzić, że Niemcy, pomimo całej swojej przewagi politycznej nad przeciwnikami, o której tu była mowa, mieli niektóre bardzo słabe strony. Przedewszystkiem, byli oni zawsze lichymi psychologami. Zaślepieni wiarą w doskonałość swej organizacji, w szerokość swych wpływów i w skuteczność swych intryg, przeceniali często słabe strony przeciwników,

niedoceniali tego, co stanowiło ich siłę. Stąd najdokładniej obmyślane ich plany często natrafiały na całkiem niespodziewane przeszkody, najściślejsze ich obliczenia zawodziły.[1]

[1] Za najlepszy przykład lichych zdolności psychologicznych Niemców może służyć sam Wilhelm II. Pod tym względem niesłychanie ciekawa jest jego korespondencja z Mikołajem II, która na skutek niedyskrecji bolszewików ujrzała światło dzienne. Z trudnością wprost mieści się w głowie, jak człowiek, mający od dziecka taką szkołę, jak cesarz Niemiec, mógł uprawiać podobnie wulgarną, płaską dyplomację, mógł okłamywać kogoś w tak ordynarny sposób. Dyplomacja jego tak jest szyta na każdym kroku białemi nićmi, iż nie można się dziwić, że — jak to widać z korespondencji — Mikołaj II coraz mniej mu wierzy, coraz bardziej do niego się zraża i w końcu patrzy na tego „przyjaciela" jako na podstępnego wroga. Korespondencja ta niewątpliwie dużo się przyczyniła do tego, że, usposobiony z początku przyjaźnie dla Niemiec, cesarz rosyjski coraz bardziej się od nich oddalał, coraz ściślej się wiązał z ich przeciwnikami, wreszcie zdecydował się przyjąć wojnę z niemi i w tej wojnie, wbrew wywieranemu nań naciskowi, wytrwać do końca.

III

GŁÓWNE ZADANIA POLITYKI POLSKIEJ W PIERWSZEJ FAZIE WOJNY

Od roku 1914 do 1917 rozgrywała się wojna, w której, pomijając mniejsze państwa, stały przeciw sobie z jednej strony: Niemcy i Austro-Węgry, z drugiej — Rosja, Francja, Anglja, Włochy i Japonja.

W tym okresie, ze względu na położenie geograficzne Polski, na przynależność polityczną głównej części jej ziem, wreszcie na umowę Rosji z jej sprzymierzeńcami, którą zastrzegła sobie, że kwestja polska nie będzie kwestją międzynarodową i że decyzje, dotyczące granic zachodnich Rosji, do niej wyłącznie będą należały — polityka polska formalnie została zredukowana do terenu rosyjskiego.

Polityka taześrodkowała się na początku w Komitecie Narodowym w Warszawie, opartym na porozumieniu naszego obozu ze Stronnictwem Polityki Realnej; w dalszym swym rozwoju, na Zachodzie, oddaliła się od organizacji stronnictw i ujednostajniła całkowicie w grupie, która wytworzyła Komitet Narodowy w Paryżu. Przeważny wpływ na jej rozwój, a później formalne i faktyczne jej kierownictwo należało do mnie. Stąd uważam za potrzebne na wstępie do tego zarysu jej dziejów powiedzieć parę słów osobistych.

Ani z temperamentu, ani z upodobań nie jestem dyplomatą. Może dlatego wydaje mi się, że stosunki między narodami byłyby o wiele zdrowsze i rozwijałyby

się pomyślniej, gdyby w nich więcej było prostoty i szczerości. Mam wrażenie, że w metodach dyplomatycznych za wiele jest przeżytków przeszłości, utrwalonych przez dlugie czasy nalogów, które sprawiają, że zagadnienia z natury swej zawiłe w rękach dyplomacji stają się częstokroć jeszcze zawilszemi: zamiast je pogłębić, sięgnąć do ich jądra, odważnie spojrzeć w oczy istotnym ich trudnościom i szczerze szukać ich usunięcia, gmatwa się je płytkiemi wybiegami. Z drugiej strony, pomimo żeśmy bardzo w najnowszych czasach wydoskonalili frazeologję humanitarną, że na każdym kroku mówimy o solidarności międzynarodowej, w postępowaniu dyplomacji dzisiejszej przebija całkowity brak sklonności do zrozumienia stanowiska strony przeciwnej i sprawiedliwej jego oceny.

Nie bylem nigdy glosicielem pryncypjów liberalno-humanitarnych, nie należałem do żadnej z organizacyj międzynarodowych, założonych dla uszczęśliwienia ludzkości, uważalem wszakże i uważam za konieczne w stosunkach między narodami nietylko przywiązanie do dobra swego narodu i gorliwość w jego obronie, ale także zdolność do zrozumienia stanowiska i dążeń innych narodów, życzliwość dla nich i gotowość do bezinteresownego poparcia tego, co jednym z nich przynosi pożytek, innym zaś nie wyrządza krzywdy. Za warunek dobrej polityki w cywilizowanym świecie uważam szacunek dla indywidualności i aspiracyj narodów, nawet gdy chodzi o wrogów, i sprawiedliwą ocenę ich dążeń i dzialań.

To też polityka moja była zawsze szczera i otwarta — i swoi, i obcy zarzucali mi nawet czasem zbytnią jej otwartość. Do celu wybierałem zawsze drogę najprostszą, o ile nie zagradzaly jej nieprzezwyciężone przeszkody. Widziałem, że nieraz otwartość moja co do motywów i celów naszej polityki przysparza mi chwilowych trud-

ności, jestem wszakże przekonany, że na dłuższą odległość ułatwiała mi zadanie.

Polska wcale nie straciła przez to, że nikt nie miał prawa powiedzieć o polityce polskiej podczas wojny i konferencji pokojowej, iżby była nieuczciwą i krętacką. Tak samo, sprawa polska, zdaniem mojem, tylko zyskała na tem, że polityka, która za nią stała, nie była polityką ciasnego, ubranego w hipokryzję egoizmu i ślepego łakomstwa, że pracując dla swej ojczyzny, starając się zapewnić jej trwałą przyszłość i walcząc o to, co nam się słusznie należało, umieliśmy miarkować swe pragnienia, a jednocześnie współdziałaliśmy w urządzeniu nowej Europy, z celem zapewnienia pomyślnego rozwoju wszystkim narodom i możliwego usunięcia powodów do starć między niemi na przyszłość.

Takie pojmowanie polityki wyraziło się od samego początku wojny i w naszym stosunku do Rosji. Osobiście wiele pracy włożyłem w poznanie i zrozumienie Rosji, uważając to za jeden z pierwszych obowiązków ludzi, chcących kierować polityką polską. Nauczyłem się na stosunek nasz do Rosji patrzeć w perspektywie dziejowej, ze spokojem, w którym myśli politycznej nie zamącają namiętności, wytworzone przez przeszłość i podsycane stale do ostatnich czasów przez politykę rosyjską względem Polski, o ile ją można było nazwać polityką. Umiałem z szacunkiem patrzeć na to, co było w Rosji dobre i wielkie, i szukać przyczyn tego, co było złe, małe, co było zgubne nietylko dla nas, ale i dla niej samej. Zdaniem mojem, było rzeczą niegodną naszego narodu oburzać się jedynie na krzywdy, protestować przeciw nim i albo czekać na zmianę postępowania Rosji, albo też ślepo dążyć do jej zguby, chociażbyśmy sami mieli razem z nią zginąć. Obowiązkiem naszym było mieć swoją względem Rosji politykę, politykę rozumną, zwalczającą w niej to, co dla nas było szkodliwe,

ale umiejącą szczerze i uczciwie poprzeć to, co było z korzyścią dla naszej sprawy.

Z tego stanowiska patrząc, doszedłem do przekonania, że dla Polski zguba Rosji wcale nie jest potrzebna, że przeciwnie, dla nas konieczne jest istnienie Rosji zdrowej, silnej, rozwijającej się pomyślnie na zasadach, wspólnych wszystkim narodom europejskim. Byłem przekonany, że z taką Rosją będziemy mogli żyć w normalnych stosunkach sąsiedzkich, a nawet widziałem wiele powodów, które nakażą i nam i jej stosunek przyjazny.

Katastrofy, która spotkała Rosję, nie przewidywaliśmy, nie liczyliśmy na nią i nie dążyliśmy do niej, należeliśmy do tych, którzy próbowali ją od niej ratować, a gdy przyszła, zbudzila wśród nas szczere i głębokie dla narodu rosyjskiego współczucie.

Najgroźniejszym dla nas faktem, który najzgubniej na losach Polski zaciążył, był związek Rosji z Niemcami, który samą Rosję powoli gubił.

Z chwilą, kiedy ten związek po długim okresie wahań wreszcie się zerwał, gdy wybuchła wojna, zrozumieliśmy, że załamuje się cały dotychczasowy stosunek między Rosją a Polską. Wiedząc, że na wspólnej szali ze zwycięstwem nad Niemcami leżą losy Polski, uznaliśmy za swój względem ojczyzny obowiązek — na czas, w którym ta szala się waży, odłożyć na bok nasze rozrachunki z Rosją, szczerze i uczciwie podać jej rękę i w miarę naszych sił współdziałać z nią do zwycięstwa.

Manifestowana przez nas życzliwość dla narodu rosyjskiego była życzliwością istotną, niekłamaną: pragnęliśmy jego dobra i wierzyliśmy, jak wierzymy i dzisiaj, że prawdziwe dobro Rosji nie stoi na drodze dobru Polski. Stosunek nasz do sfer rządzących w Rosji, których polityka zawsze polegała na związku z Niemcami przeciw Polsce, które i podczas wojny składały dowody, że chcą w tej polityce wytrwać, był wrogi — aleśmy go

nie ukrywali. Współdziałając z Rosją do zwycięstwa, jednocześnie byliśmy w gluchej walce z jej rządem, w walce o tyle widocznej, o ile to podczas wojny jest możliwe. Żadna strona pod tym względem nie miała złudzeń.

Stanowisko to, podyktowane względami głębszemi od interesów chwili, wynikające z sumiennej analizy położenia dwóch narodów, utrzymaliśmy konsekwentnie przez cały czas wojny. Nigdy nasza polityka nie zwracała się przeciw Rosji, żaden jej krok nie zmierzał ku jej krzywdzie. Polityka polska w dalszych fazach wojny — po zajęciu calej Polski przez armję niemiecką i austrjacką, a później po rewolucji i ubezwładnieniu Rosji — nie polegała na żadnym w stosunku do niej zasadniczym zwrocie: była ona dalszym ciągiem, konsekwentnem rozwinięciem tych założeń, z któremiśmy w wojnę wstąpili. To, cośmy zrobili dla Polski, jak będę miał sposobność wykazać, nie było zrobione przeciw Rosji.

Podkreślam to umyślnie, ażeby ludzie u nas nie myśleli, że polityka zbliżenia z Rosją, szukająca oparcia stosunku z nią na wzajemnej życzliwości, byla wywołana tylko potrzebami chwili, i dziś już należy do historji. Niejedno pokolenie przeminie, a ta sprawa ciągle będzie aktualną, żywotną, ciągle będzie miała pierwszorzędne znaczenie dla obu narodów.

W chwili wybuchu wojny i po stronie państw centralnych, i w państwach zachodnich rozumiano, że Rosji w niej przypada rola niemała. Istotnie, w pierwszym roku wojny, wszystko zależało od niej i od Francji. Gdyby nie wysiłek Rosji, nie byłoby zwycięstwa francuskiego nad Marną, i Niemcy prawdopodobnie w ciągu mniej więcej pół roku zakończyliby wojnę zwycięstwem, jak to sobie obiecywali.

Wypowiadając wojnę Rosji i przedsiębiorąc atak na Francję, Niemcy nie były całkiem przygotowane na

to, że Anglja wystąpi. Najlepiej o tem świadczy wściekłość Niemców, ów rozlegający się na całym obszarze Rzeszy chór: *Gott strafe England*, gdy Anglja wypowiedziała wojnę. W Berlinie zrozumiano, że za wielu mają przeciwników, że zwycięstwo się oddala, i polityka niemiecka zaczęła się coraz silniej przywiązywać do myśli osobnego pokoju z Rosją.

Gdyby chodziło tylko o rząd Goremykina, jestem przekonany, że urzeczywistnienie tej myśli nie napotkałoby na nieprzezwyciężone przeszkody. Od pierwszej chwili było widoczne, że rząd przyjął wojnę bez entuzjazmu, że jest z niej niezadowolony, że gotów byłby skorzystać z każdej sposobności, żeby się z niej wycofać. Ale obok rządu była opinja publiczna Rosji, nastrojona wojowniczo, pragnąca zwycięstwa i pełna wiary w nie, był wreszcie cesarz, który, raz przyjąwszy wypowiedzenie wojny, postanowił walczyć do końca i dotrzymać danego sprzymierzeńcom słowa.

Rozumieliśmy, że w tem położeniu rzeczy polityka polska ma przed sobą zadanie ogromnej doniosłości — mianowicie, ułatwić Rosji prowadzenie wojny i umożliwić jej wytrwanie w wojnie.

Wysiłek Rosji, który był istotnie wielki i dla sprawy zwycięstwa nad Niemcami, był konieczny, Polacy mogli w znacznej mierze sparaliżować i na teatrze wojny, rozgrywającej się w ich kraju i na polu walki politycznej, w której zwycięstwem niemieckiem byłby osobny pokój z Rosją.

Gdyby ludność ziem polskich zajęła była postawę wrogą względem wojsk rosyjskich, gdyby zamiast życzliwości i pomocy, jaką im powszechnie okazywała, na każdym kroku utrudniała im działanie, wywarłoby to niezawodnie duży wpływ na przebieg kampanji w pierwszym roku, wpływ bardzo niekorzystny, może fatalny dla sprawy sprzymierzeńców.

Jeszcze większy byłby wpływ polityczny takiej postawy Polaków.

Niezadowolone z wojny, przyjazne Niemcom koła rządzące w Rosji oczekiwały wrogiego wystąpienia Polaków, czegoś w rodzaju powstania przeciw Rosji. Potrzebny im był atut niebezpieczeństwa polskiego do wygrania zarówno w stosunku do Mikołaja II, jak do opinji rosyjskiej.

Wiedziały one, że opinja publiczna w Rosji w gruncie rzeczy, nawet w kołach względnie liberalnych, bardzo nacjonalistyczna, szczególnie jest wrażliwa na niebezpieczeństwo ze strony obcych żywiołów w państwie. Widziały niedawno, jak Stołypin, w walce z rewolucją, zręcznie wyzyskał udział w niej żydów i „obcoplemieńców”, i tym sposobem zwrócił opinję na stronę rządu przeciw rewolucji. Było też pewne, że wrogie wystąpienie Polaków przeciw Rosji odrazu ochłodzi zapał do wojny z Niemcami i stworzy grunt dla powrotu starej myśli porozumienia się z niemi w celu wspólnego załatwienia się z Polską.

I w Berlinie, i w Petersburgu liczono, że Polacy uratują Niemcy od klęski i umożliwią powrót dawnych, dobrych czasów przyjaznego współżycia Rosji z Niemcami, związanych „wspólnem spożywaniem eucharystycznego ciała Polski”. Tu znów licha psychologja niemiecka nie zorjentowała się w położeniu: nie doceniła Polaków, a raczej przeceniła ich głupotę.

Myśmy mieli jasną świadomość, że głównem naszem zadaniem jest od chwili wybuchu wojny możliwie najdalej iść w manifestowaniu naszej z Rosją solidarności przeciw Niemcom. Rozumieliśmy, że solidarność tę trzeba okazać zarówno słowem jak czynem na wszystkich dostępnych dla nas polach działania. Trzeba stwierdzić, że spełnienie tego zadania umożliwił nam zdrowy instynkt narodu, którego szerokie masy poszły bez wahania z nami.

Spełnienie tego zadania było koniecznym warunkiem osiągnięcia pierwszego naszego celu — zniszczenia potęgi niemieckiej. I był to warunek uratowania Polski od największej w dziejach porozbiorowych klęski, od utopienia sprawy polskiej w chwili, kiedy właśnie otwarły się dla niej wielkie widoki. Bo nie trzeba przecie bardzo bogatej wyobraźni, żeby sobie przedstawić skutki, jakieby wynikły dla nas z osobnego pokoju między Rosją a Niemcami. Spełniając to zadanie, służyliśmy Polsce przedewszystkiem, aleśmy jednocześnie wpływali na losy całej wojny.

Ze wszystkiego, co polityka polska zrobiła podczas tej wojny, konsekwentne dotrzymanie przyjaznego Rosji stanowiska, zwłaszcza w pierwszej fazie wojny, było rzeczą najważniejszą. W państwach zachodnich nie rozumiano, i dotychczas ci, co piszą o wojnie, nie rozumieją, jak wielkie dla sprawy sprzymierzeńców znaczenie miała polityka polska w pierwszym roku wojny.

Polityka ta nie była łatwa. Paradoksalność stosunków w państwie rosyjskiem tu się wyraziła ze szczególną jaskrawością. Solidarność naszą z Rosją trzeba było manifestować w głuchej walce z rządem rosyjskim. Rządowi rosyjskiemu i jego władzom w Polsce nasze stanowisko było nie na rękę, przeszkadzało ich utrwalonej oddawna polityce: robiono też wszystko, ażeby Polaków do Rosji zniechęcić, ażeby im uniemożliwić wytrzymanie linji politycznej, którą sobie wytknęli.

W latach poprzedzających wojnę, w których polityka nasza uwydatniła swój kierunek wyraźnie przeciwniemiecki, w których zaczęliśmy wyrażać swą życzliwość dla Rosji, rząd rosyjski, jak to już wyżej wskazałem, wzmocnił wrogi charakter swej polityki względem Polski. W samej chwili wybuchu wojny stała w Rosji na porządku dziennym sprawa języka w projekcie samorządu miejskiego dla Królestwa: wbrew uchwale Dumy, wbrew

wyrażonej jasno woli cesarza[1], większość Rady Państwa, złożona przeważnie z jej członków mianowanych i reprezentująca sferę rządzącą, oparła się uznaniu w najskromniejszej nawet mierze praw języka polskiego.

Trzeba było wiedzieć dobrze, dokąd się idzie, i mieć mocną wiarę w to, że obrana droga jest dla Polski jedyną, ażeby, pomimo tej polityki sfer rządzących Rosją, zdobyć się na wytężoną pracę nad opinją publiczną w Polsce i zorganizować ją w duchu dla Rosji życzliwym. Gdyby ludzie w Rosji, rozumiejący niebezpieczeństwo niemieckie, tak jak myśmy je rozumieli, umieli się byli zdobyć na równie wytrwałą i usilną pracę w swojem społeczeństwie, możeby Rosji w tej wojnie nie spotkał los tak straszny.

Polska sprawiła wielki zawód germanofilom rosyjskim i ich przyjaciołom w Berlinie.

Po wybuchu wojny nietylko deklaracje polityków polskich wyrażały solidarność z Rosją, ale armja rosyjska w Polsce od pierwszej chwili uczuła, że jest w kraju przyjaznym: na każdym kroku okazywano jej sympatję i pomoc. Trzeba przyznać, że aż do chwili wielkiego odwrotu w r. 1915, kiedy armja rosyjska była już w znacznej mierze zdemoralizowana, zachowanie się jej

---

[1] Przebywający na Krymie Mikołaj II przyjął na audjencji ministra skarbu, Kokowcewa, i prezesa Rady Państwa, Akimowa, i oświadczył im, iż życzy sobie, ażeby w Radzie Państwa przeszedł artykuł o prawach języka polskiego w samorządzie. Po powrocie do Petersburga Kokowcew, który był za przyznaniem tych praw, opowiedział rozmowę z cesarzem, licząc, że wywrze to wpływ na członków Rady, których połowa była mianowana przez monarchę. Wtedy kilku z nich zwróciło się do prezesa Rady, również mianowanego, z zapytaniem, czy to prawda. Akimow miał odpowiedzieć:

— Tak jest, prawda, cesarz to powiedział, ale możecie się panowie tem nie krępować.

Świadczy to, jak silną się czuła oligarchja rządząca Rosją i jak uparcie trwała przy swej polityce.

względem ludności kraju było również bardzo życzliwe.

Porównywając trzy armje operujące na ziemiach polskich, trzeba stwierdzić, że najbardziej nieludzkie było zachowanie się armji austrjacko-węgierskiej i w Królestwie, i może bardziej jeszcze w Galicji. Miała ona na swym rachunku niezliczoną ilość egzekucyj, powodowanych lada denuncjacją; ona też najwięcej zniszczyła zabytków przeszłości. Trzeba dodać, że jako jedyna armja katolicka, ze szczególnem upodobaniem burzyła kościoly.

W dalszym ciągu będę miał sposobność wykazać, że po wybuchu wojny rząd rosyjski prowadził bez przerwy swą politykę przeciwpolską i starał się paraliżować to, co inne czynniki w państwie robily dla pozyskania sobie współdziałania Polaków. Chodziło mu najwidoczniej o to, żeby nas zwrócić przeciw Rosji. Gdy mu się robota jego nie udawala, korzystał z każdego materjału, żeby dowieść, iż Polacy przechodzą na stronę przeciwników Rosji.

Ze względu właśnie na tę politykę rządu rosyjskiego i na jej cel aż nadto wyraźny — doprowadzenie do osobnego pokoju Rosji z Niemcami — dużą dla naszej polityki niedogodność stanowily działania polskie po stronie państw centralnych.

IV

DZIAŁANIA POLSKIE PO STRONIE PAŃSTW CENTRALNYCH

Gdybyśmy nawet nie widzieli prowadzonych od paru lat w Galicji przygotowań do wystąpienia przeciw Rosji, naiwnością z naszej strony byłoby oczekiwać, że polityka nasza nie napotka na żadne przeszkody we własnem społeczeństwie.

Niema takiego kraju na świecie, gdzieby polityka najbardziej zbawienna, najwyraźniej odpowiadająca interesowi narodowemu, miała cały naród za sobą. Tem bardziej nie można było tego oczekiwać w Polsce, w narodzie pozbawionym swego państwa, posiadającym tak złą tradycję polityczną, którego działania oddawna już na miano polityki właściwie nie zasługiwały, który wreszcie w znacznej części swych czynnych politycznie żywiołów zatracił był już pojęcie sprawy polskiej jako całości, ześrodkował swą myśl i swe wysiłki na miejscowych sprawach trzech dzielnic.

Tem bardziej nie można było oczekiwać tego w warunkach, w których polityka polska, głosząca solidarność z Rosją przeciw Niemcom, miała przeciw sobie rząd rosyjski i w walce z nim musiała być organizowana.

Przy najlepszym planie zbawienia ojczyzny, mieć pretensję, że są tacy w ojczyźnie, co nas nie rozumieją, czy nie chcą rozumieć, co nam przeszkadzają — jest rzeczą śmieszną. Polityka nie jest tylko sztuką myślenia, ale i działania. Trzeba nietylko się zdobyć na dobrą myśl,

ale umieć ją w płodny czyn wcielić. Ten tylko może w polityce coś zrobić, kto nie boi się zwalczać przeszkód, stających mu na drodze. Smutna i godna politowania jest rola tych, którzy mówią: chciałem dobrze, ale mi nie pozwolili.

Nieprawdą jest, że dla Polski można coś zrobić, ale z Polakami nigdy. Chcąc zrobić coś dla Polski, jak zresztą dla każdego innego kraju, trzeba iść z jednymi rodakami przeciw innym. Tylko trzeba mieć mocną wiarę w swój cel i w prowadzącą do niego drogę, i nie wahać się w walce o tę swoją wiarę. I główna rzecz, trzeba rozumieć swe społeczeństwo, jego duszę, znać jego instynkty, w których podstawie zawsze leży instynkt samozachowawczy narodu. Trzeba mu przez właściwą organizację polityki dać możność wypowiedzenia się.

Jeżeli polityka Polski porozbiorowej była właściwie polityką narodowego samobójstwa, to nie dlatego, żeby nasz naród był pozbawiony instynktu samozachowawczego, tylko dlatego, że był bierny, niezorganizowany, co pozwalało zorganizowanym garstkom, popychanym przeważnie przez wpływy obce, narzucać mu samobójcze akty.

Główna różnica między Polską roku 1914 a Polską roku 1830 lub 63, leży w tem, że w chwili wybuchu wojny europejskiej naród polski był słabo co prawda, ale był politycznie zorganizowany, i że ci, co pracowali nad jego organizacją, co nią kierowali, nie byli zależni od żadnych obcych wpływów. To im pozwoliło być wyrazicielami instynktu samozachowawczego narodu; to pozwoliło temu instynktowi wypowiedzieć się w odpowiedniej myśli politycznej i w zorganizowanem działaniu. Próby samobójcze były, jak i dawniej, tylko społeczeństwo nie dało już sobie samobójstwa narzucić.

To przecie każdy wiedział, że mamy w społeczeństwie znaczną ilość ludzi, którzy w rzeczach politycz-

nych nie umieją myśleć logicznie i działać planowo, którzy tylko reagują odruchami na podrażnienia. To zachowanie się szczególnie było właściwe młodzieży, kobietom mniej lub więcej dotkniętym histerją i tym dość licznym u nas w czasach przedwojennych ludziom, którzy przez całe życie należeli do młodzieży i zwykle niewiele się różnili od histerycznych kobiet. Zgóry można było przewidzieć, że ten rodzaj ludzi pójdzie przeciw Rosji, wobec tego, że polityka rosyjska względem Polski była mistrzynią w sztuce drażnienia.

To także było pewne, że nasza emigracja rewolucyjna z roku 1905 skorzysta z nadarzającej się sposobności walki z „caratem", żeby go wypędzić z kraju, jak on ją przedtem z niego wypędził. Od ludzi, wychowanych na idei rewolucji społecznej i walki z „caratem", jako uznanym od pierwszej połowy XIX wieku, głównym na całą Europę wrogiem rewolucji i ostoją reakcji, nie można było wymagać głębszego zastanawiania się nad zadaniami polityki polskiej. Dla nich sprawa przedstawiała się prosto: my albo „carat", kto przeciw „caratowi", ten nasz. W tem pojęciu swego zadania umacniał ich nadto związek z Socjalną Demokracją niemiecką i z żydami. Żydzi, czemu zresztą nie można się dziwić, przedewszystkiem dążyli do zniszczenia państwa, w którem było ich najwięcej, a które było dla nich najmniej gościnne.

Również było jasne, że ludzie wychowani na naukach szkoły krakowskiej, zwłaszcza w jej nowszej fazie, w każdym z trzech zaborów zajmą stanowisko lojalne względem swego państwa. W zaborze pruskim było ich niewielu; w rosyjskim — ich stanowisko w chwili wybuchu wojny nie przeszkadzało, ale owszem było pożyteczne dla naszej polityki. Natomiast w Galicji, gdzie byli najsilniejsi i najbardziej przedsiębiorczy, a przytem najściślej związani z państwem, gdzie najmniej odczuwali położenie Polski jako całości i jej aspiracje, najmniej

rozumieli sprawę polską, gdzie wreszcie przywykli do niemałej bezwzględności w politycznem działaniu — mieli duże dane do narzucenia swego stanowiska całej dzielnicy i stworzenia poważnej przeszkody dla naszej polityki. Istotnie, w pierwszej chwili po wybuchu wojny, zorganizowali oni, przy pomocy socjalistów, no i, ma się rozumieć, rządu austrjackiego, taki teror w stosunku do miejscowej opinji, że cała właściwie Galicja robiła wrażenie, jakgdyby stanęła pod ich sztandarem. Dopiero w kilka tygodni, gdy dowiedziano się, jakie jest stanowisko Warszawy, gdy wieści o utworzeniu tam „rządu narodowego" okazały się mistyfikacją, zaczęła się reakcja przeciw ich polityce, wychodząca głównie ze Lwowa, która znalazła swój wyraz przedewszystkiem w rozwiązaniu legjonu wschodniego.

Wszystkie te czynniki, prowadzące do działań po stronie państw centralnych, były nam zgóry znane i zrozumiałe. Nie było się czemu dziwić i na co gniewać. Ich wystąpienie było dla nas niedogodne, bo zmuszało nas z jednej strony do walki wewnętrznej, z drugiej — do tem silniejszego manifestowania przyjaźni dla Rosji, żeby zagłuszyć hałaśliwe manifestacje i czynne wystąpienia przeciw niej, wychodzące z Krakowa. Ale to nie była tragedja.

Nie było tragedją powstanie „Naczelnego Komitetu Narodowego" w Krakowie, w którego „naczelną" rolę nikt ani w kraju, ani zagranicą nie wierzył. Nie były nią formacje legjonowe w Galicji, a nawet wymaszerowanie z Krakowa do Kielc legjonu pod dowództwem Piłsudskiego, jako mianowanego wrzekomo przez „rząd narodowy" w Warszawie komendanta polskich sił wojskowych. Nie były nią wreszcie szumne i groźne, zapowiadające bezwzględność dla „zdrajców" odezwy.

Tragedja rozpoczęłaby się dopiero, gdyby rząd narodowy, wypowiadający wojnę Rosji, naprawdę w War-

szawie istniał, gdyby w odpowiedzi na zjawienie się legjonu w granicach Królestwa wybuchło tu powstanie. Gdyby był taki ruch się zjawil i ogarnął kraj, cała nasza polityka znalazłaby rychły koniec. Długobyśmy pewnie wtedy nie czekali na pokój między Rosją a Niemcami, pokój, któryby uregulował wiele spraw, a przedewszystkiem sprawę polską. I to dobrze, na długo...

Odegralibyśmy wtedy niemałą rolę w dziejach Europy. Niemcy, uwolnione od wojny na froncie wschodnim, rzuciłyby wszystkie swe siły na zachód i w krótkim czasie rozbiłyby odosobnioną Francję. Uwolnilibyśmy Europę od długiej wojny, a siebie od kłopotów z własnem państwem.

Gdyby wszakże tak się było stało, uważałbym, że nie mamy prawa składać winy na legjony, na ich dowódców, na polityków krakowskich. Wina byłaby przedewszystkiem nasza. Ludzie, którzy od tak dawna zajmowali się sprawą polską i znali jej położenie, którzy w niej sobie wytknęli wyraźną drogę, a nie umieli tyle zorganizować społeczeństwa, żeby ich jako tako rozumiało i żeby w rozstrzygającej chwili przeciw nim nie poszlo, złożyliby dowód niesłychanego niedołęstwa i ponieśliby straszną odpowiedzialność przed historją. Szkodnicy, świadomi czy nieświadomi, istnieją wszędzie, ale przywiązanie do ojczyzny u narodów zdrowych i silnych polega nie na tem, żeby narzekać na szkodników i płakać nad wyrządzoną przez nich szkodą, jeno na przeciwdziałaniu szkodzie, na kierowaniu postępowaniem narodu tak, żeby była ona niemożliwa.

Byliśmy wszakże spokojni. Na chwilę nawet nie obawialiśmy się, ażeby ruch galicyjski mógł się przenieść na teren Królestwa. Ci zwolennicy, których miał w Królestwie, nie przedstawiali takiej siły.

Emigranci rewolucyjni z zaboru rosyjskiego, którzy tworzyli w Krakowie „komisje tymczasowe" i zgóry

ustanawiali „rządy narodowe" w Warszawie, wyobrażali sobie niezawodnie Królestwo tak mniej więcej, jak je widzieli w roku 1905. Od owego wszakże czasu upłynęło blisko dziesięć lat, będących latami pracy politycznej w nowych warunkach, przy względnej swobodzie prasy, przy istnieniu zorganizowanych stronnictw politycznych, dziesięć lat wytężonej walki o opinję publiczną. Te dziesięć lat zrobiły swoje. Już ludzie nie byli tacy naiwni, tacy w rzeczach politycznych ciemni, już nielatwo im było byle co wmówić. Zaszły też głębokie zmiany w stosunkach i wpływach politycznych. To np., co było w roku 1905 siłą rewolucjonistów, ich związek z żydami, w roku 1914 już bylo słabością: fakt, że ruch galicyjski popierają żydzi, dyskredytowal go w szerokich masach Królestwa i wytwarzał wrogi do niego stosunek.

Z chwilą, kiedy ludność Królestwa zachowała się odpornie wobec wezwań do ruchawki, kiedy zgromadzeni przez dowódcę legjonu w magistracie kieleckim i wezwani do akcesu przedstawiciele miasta odpowiedzieli mu, że stoją na stanowisku deklaracji, zlożonej przez ich posła do Dumy, Jarońskiego, kiedy się okazało, że polityką Polaków w zaborze rosyjskim nie kieruje żaden „rząd narodowy" w Warszawie, jeno Komitet Narodowy (nie „naczelny" coprawda), idący z Rosją i państwami sprzymierzonemi przeciw Niemcom i Austrji — legjony straciły główną swą wartość dla państw centralnych. Ten, który wkroczył do Królestwa, wycofano. Oddano je pod zwierzchnią komendę oficerów austrjackich narodowości polskiej dla zorganizowania na zwykłe jednostki bojowe przy armji austrjackiej. Epopeja „wojsk polskich" rychło się skończyła.

Legjony były robione w celu wywolania powstania przeciw Rosji w Królestwie. Nie wiem, co sobie myśleli, jak to powstanie chcieli zużytkować chytrzy, ale nie odznaczający się dalekowidztwem austrjaccy mężowie

stanu, którym przedstawiano Królestwo, jako kraj ogarnięty szałem nienawiści do Moskali, czekający tylko na wybawicielkę Austrję i gotowy chwycić za broń każdej chwili. Zresztą niebardzo nas interesowało, co myśli Austrja. Wiedzieliśmy, że w kwestji polskiej stanie się to, czego chce Berlin, a nie Wiedeń. Natomiast stanowisko Berlina zawsze usiłowaliśmy jak najlepiej zrozumieć. To było, naszem zdaniem, niemożliwe, ażeby w sprawie tak wielkie mającej dla Prus znaczenie, jak sprawa polska, Austrja robiła krok tak brzemienny w następstwa, jak wywoływanie powstania, bez porozumienia się z Niemcami. Niewątpliwie, Berlin dał na to swą zgodę. A jeżeli dał, to wiedział, co robi. I znów powiem, że była to sprawa dla Berlina zbyt ważna, ażeby w niej coś robił dla celów wyłącznie wojskowych, nie licząc się z następstwami politycznemi. Chodziło tu nietylko o utrudnienie armji rosyjskiej działań na teatrze wojny, ale był cel polityczny. Przy określaniu tego celu nie jest rzeczą najważniejszą wiedzieć, jaki był sposób myślenia Bethmanna-Hollwega, urzędowego kierownika polityki niemieckiej. W państwie tak mocno zorganizowanem, jak Niemcy, a w szczególności Prusy, które niedawno miały takiego mistrza w polityce zewnętrznej, jak Bismarck, polityka w kwestjach, mających dłuższą przeszłość, idzie po linjach oddawna wytkniętych i ustalonych. Ministerstwo spraw zagranicznych już ma w tych kwestjach oddawna przetrawioną i wpojoną w głowy jego ludzi myśl i urobioną w działaniu rutynę, której tylko bardzo niepospolity i mający za sobą wielką siłę minister mógłby się przeciwstawić. Ta myśl polityki pruskiej, którą znaliśmy z przeszłości, ta wypróbowana już metoda działania nakazywała używania kwestji polskiej dla przywołania Rosji do porządku, gdy oddalała się od Prus i przeciw nim się zwracała. Innego motywu politycznego do popierania powstania w Polsce nie

mogło mieć państwo, którego zadaniem, jak to określił Bismarck, było oddalać jak najbardziej ponowne wystąpienie na widownię kwestji polskiej, i które było w walce z całym narodem polskim, jak to stwierdził kanclerz Bülow.

Krótko mówiąc, Berlin patrzył na próbę wywołania powstania w Królestwie jako na sposób zmuszenia Rosji do osobnego pokoju, a pierwszy legjon, wkraczający do Królestwa, był tej polityki nieświadomem narzędziem.

Gdy minęła ta krótka, pierwsza faza akcji polskiej po stronie państw centralnych, faza powstańcza, gdy niepowodzenia armji austrjackiej i zajęcie większej części Galicji przez wojska rosyjskie onieśmieliły krakowskich organizatorów manifestacyj przeciw Rosji, pozostał w pierwszym okresie wojny z tej akcji tylko fakt istnienia legjonów, walczących na froncie po stronie Austrji i Niemiec. Był to fakt bardzo niepomyślny: odbierał on jedność polityce polskiej, dawał wrogom Polski na Zachodzie możność twierdzenia, że Polacy zbyt są podzieleni, ażeby mogli wytworzyć jedno państwo. Germanofile rosyjscy usiłowali z istnienia legjonów zrobić dowód, że Polacy, pomimo wszelkich deklaracyj politycznych, w gruncie rzeczy stoją po stronie wrogów Rosji.

Znalazły się wszakże sposoby odrabiania zła, które z istnienia legjonów wynikało. Trzeba przyznać, że ogromnie nam do tego pomogła opinja publiczna w Rosji, która nie nadużywała tego faktu, przeciwnie, starała się nań zamykać oczy, ażeby nie zamącać atmosfery przyjaznego współdziałania dwóch narodów w walce z Niemcami. Było to zresztą bardzo rozumne ze strony Rosjan, idących do zwycięstwa w tej wojnie, ta bowiem atmosfera solidarności polsko-rosyjskiej nietylko ułatwiła ruchy armji rosyjskiej w Polsce, ale wywierała wpływ na inne narody słowiańskie, których pociągnięcie ku sobie było celem Rosji i których współdziałanie z państwami

sprzymierzonemi miało ogromne znaczenie dla zwycięstwa.

To nam też umożliwiło starania, robione w dowództwie armji rosyjskiej, ażeby wziętych do niewoli legjonistów traktowano, jak regularne wojsko, ażeby tych w szczególności, którzy byli poddanymi rosyjskimi, nie rozstrzeliwano bez pardonu, co Rosja miała formalne prawo robić.

Faktem jest, że istnienie legjonów, jakkolwiek przyczyniło nam wiele kłopotu, nie sparaliżowało od początku naszej akcji, a to najważniejsza.

A teraz parę uwag...

Najwięcej nauczyłem się w polityce stąd, żem zawsze starał się zrozumieć motywy postępowania zarówno zewnętrznych wrogów Polski, jak wewnętrznych przeciwników mojego obozu. Trudno chyba znaleźć człowieka, któryby tyle co ja zadawał sobie pracy nad tem, żeby postawić się w roli przeciwnika i usiłować zdać sobie sprawę z jego sposobu myślenia, nie wyrokując zgóry, że jest głupcem lub łotrem. To osądzenie przeciwnika zgóry, które u nas jest zjawiskiem tak zwykłem, pochodzi głównie z lenistwa myśli. Muszę się pochwalić, że bardzo często zadawałem sobie pytanie, czy czasem w tej lub innej sprawie przeciwnik nie ma słuszności, i sam na tem najlepiej wychodziłem, bo rozumiejąc mniej więcej przeciwników, skuteczniej mogłem z nimi walczyć.

I po wybuchu wojny zastanawiałem się wiele nad źródłami akcji polskiej po stronie Austrji i Niemiec, starałem się wszystko zrozumieć i, o ile można, wyrozumieć. Naogół to nie było trudne. Łatwo było zrozumieć i niepodobna było zbyt surowo sądzić psychologji całego szeregu żywiołów, które się na tę akcję złożyły. Rozumiałem młodzież, zwłaszcza naszą w owym okresie młodzież, studjującą zdala od swego środowiska, myslącą, jak już powiedziałem, po emigrancku; rozumiałem emi-

grantów rewolucyjnych z r. 1905—6, zamkniętych w ciasnem kole swych idei, wychowanych na myśleniu o rewolucji i na pogardzie dla polityki „państw burżuazyjnych", o której skutkiem tego nigdy nie mieli pojęcia; rozumiałem dalej nietrzeźwych literatów, którzy o niczem, a tem bardziej o polityce realnie nie umieli myśleć; rozumiałem lojalistów austrjackich, którzy spełniali swój obowiązek względem państwa, przytem jedynego państwa, w którem Polacy korzystali z jakichś praw i swobód. To wszystko, powiadam, rozumiałem, i zbyt surowo tego nie sądziłem. Było to wytworem naszego smutnego przedwojennego życia, a przeciw temu, co życie przynosi, trudno protestować. Trzeba z tem walczyć, gdy nam na drodze stoi, ale nie można zbyt bezwzględnych wyroków na to wydawać.

Były atoli rzeczy, których nie rozumiałem całkowicie, i które chciałbym lepiej zrozumieć. Chciałbym wiedzieć, skąd pochodziła ta wściekła, wydobywająca pianę na ustach nienawiść do nas, do ludzi, którzy szli inną drogą; skąd te groźby, że jak przyjdą do Warszawy, to nas powywieszają, skąd to publiczne oskarżanie ludzi w Galicji, gdzie zawsze groziła interwencja władz austrjackich... Nie mówię tego, doprawdy, dla rekryminacji: chodzi mi o wyjaśnienie ważnego momentu naszych niedawnych dziejów. Mówię otwarcie — to już nie robiło wrażenia akcji polskiej, ale jakiejś roboty w służbie obcej. Gdyby to były odosobnione wypadki: ludzie mali, marne charaktery, instynkty występne mogą znaleźć się wszędzie. Ale tu było to zbyt powszechne, nadawało, niestety, ton ogólny całej akcji...

Druga rzecz, którą chciałbym lepiej zrozumieć, to polityka ówczesnych kierowników stronnictwa krakowskiego. Zawsze ceniłem inteligencję tych ludzi, niemałą wiedzę i znajomość rzeczy polskich. Nie mogłem więc na nich patrzeć tak, jak na żywioły, o których wyżej

mówiłem, naiwne lub ograniczone w swych pojęciach politycznych, i musiałem od nich wymagać dużego stopnia świadomości tego, co czynią.

Rozumiem, że ludzie tak głęboko tkwiący w polityce austrjackiej, wyrośli przez całe życie na zdobywaniu pozycji w Austrji, pojmowali sprawę polską, jako znaczne rozszerzenie Galicji i zrobienie z niej poważnego składnika monarchji habsburskiej. Ale ci ludzie wiedzieli chyba dobrze, co to jest kwestja polska dla Prus i jaka jest w niej polityka pruska, polityka ustalona, konsekwentna, nie podlegająca żadnym poważniejszym wahaniom. Musieli się również jako tako orjentować w stosunku Austrji do Niemiec i zdawać sobie sprawę z tego, o ile Austrja będzie zdolna w razie zwycięstwa decydować o losach ziem polskich, w jakiej mierze będzie się musiała poddać woli Berlina. Jeżeli nawet mieli jakieś zapewnienia ze strony Wiednia, to powinni byli wiedzieć, jaka jest ich wartość, o ile nie są żyrowane przez Berlin. Powinni byli tyle znać austrjackich mężów stanu, z którymi beczkę soli zjedli, ażeby wiedzieć, że pozują oni na samodzielniejszych od Berlina lub wyobrażają sobie, że są samodzielniejsi, niż to było w istocie.

Gdyby chodziło tylko o zachowanie się w wojnie Galicji, części państwa austrjackiego, to, naturalnie, mogli oni rozmawiać z Wiedniem tylko jako obywatele austrjaccy, to znaczy, że nie mieliby szerokiego pola do pertraktacyj i do żądania jakichś poważniejszych zobowiązań. Ale oni się angażowali w akcję, dążącą do wywołania powstania w Królestwie, występowali wspólnie z tymi, którzy sobie wyraźnie i otwarcie cel ten postawili, ofiarowywali Austrji krew Polaków, nie będących poddanymi austrjackimi. W tej roli mieli prawo i obowiązek rozmawiać z Wiedniem już nie jako obywatele austrjaccy, ale jako polscy sojusznicy, i winni byli mieć z tamtej strony bardzo poważne zobowiązania, to znaczy,

ze strony nietylko Wiednia, ale i Berlina. Przyszłość pokazała, że tych zobowiązań nie było.

Myśmy z początku żadnych zobowiązań ze strony Rosji nie mieli, ale myśmy nie próbowali wywoływać powstania w Galicji, czy w Poznańskiem, nie zachęcaliśmy rodaków z innych zaborów, żeby walczyli po stronie Rosji przeciw Austrji i Niemcom. Wzywaliśmy jedynie ludność dwóch pozostałych zaborów do powstrzymania się od kroków wrogich względem armji rosyjskiej, gdy ta się znajdzie na ich terytorjum. Nie dlatego, żebyśmy nie mieli wiary w swą politykę, ale dlatego, że nie mając żadnych ścisłych zobowiązań ze strony rosyjskiej, uważaliśmy, iż nie mamy do tego prawa. Nie pozwalało nam na to proste poczucie odpowiedzialności.

Otóż tego nie mogłem zrozumieć u ludzi, należących do obozu, który tyle mówił zawsze o poczuciu odpowiedzialności, który wymyślił wyraz *liberum conspiro* i tak surowo potępiał określony przezeń sposób postępowania, obozu, który wyrósł na wydawaniu wyroków na politykę powstańczą... Przecież tu cała ideologja Szujskich, Koźmianów, Tarnowskich została wywrócona do góry nogami.

Pisałem przed wojną o *Upadku myśli konserwatywnej w Polsce*, ale nie przypuszczałem wtedy, że to tak daleko zajdzie.

Jest jeszcze jedna rzecz, której nie mogłem zrozumieć. Było to zachowanie się organów prasy, reprezentującej akcję po stronie Austrji i Niemiec, względem państw zachodnich. Rozumiałem nienawiść do Rosji i napaści na nią; trudniej mi było rozumieć walkę po stronie dwóch państw rozbiorczych przeciw koalicji, w której znajdowała się, co prawda, Rosja, ale której pozostałymi członkami były mocarstwa zachodnie, jedyne, w których Polska mogła szukać oparcia przeciw swoim krzywdzicielom: ale już całkiem nie mogłem zrozumieć pisania

z taką nienawiścią o Francji, Anglji, a potem o Włochach. To już chyba żadną miarą nie da się wytłómaczyć jako stanowisko polskie. Nie wyrażało to ani polskich uczuć w którejkolwiek z dzielnic, ani nie mogło być umotywowane jakąkolwiek polską polityką. I dopóki mi ktoś tego nie wytłómaczy, muszę to uważać za politykę austrjacko-niemiecką, wypowiadającą się w języku polskim.

Przecie przymierze z jakimkolwiek narodem wcale nie obowiązuje do dzielenia wszystkich jego miłości i wszystkich nienawiści. Jeżeli już smutna, nie powiem konieczność, ale smutna polityka doprowadziła kogoś do tego, że pośrednio walczył przeciw narodom, u których zawsześmy szukali sympatji i nieraz ją znajdowali, dla których nasz naród sam zawsze miał przyjaźń i szacunek — to nie powinien był przynajmniej mówić i pisać o nich, jak ten, komu bezpośrednio chodzi o ich zgubę.

Ludzie, którzy podobnie pisali, albo zatracili w tej wojnie polskie stanowisko, albo tak byli uzależnieni od państw centralnych, że musieli ich stanowisko we wszystkiem wyrażać.

V

DEKLARACJA JAROŃSKIEGO, ODEZWA WIELKIEGO KSIĘCIA MIKOŁAJA I WALKA Z RZĄDEM ROSYJSKIM

Jeżeli ktoś myślał, że postawa nasza wobec wojny została zajęta na skutek porozumienia czy układu z jakiemikolwiek czynnikami w Rosji, to był w błędzie.

Wobec polityki polskiej rządu rosyjskiego obóz nasz z tym rządem nie miał żadnych literalnie stosunków. Stosunki z Rosją nieurzędową w ostatnich latach przed wojną osłabły bardzo skutkiem rozkładu akcji słowiańskiej, rozpoczętej w 1908 roku, i skutkiem większego w tym czasie, niż kiedykolwiek, odosobnienia Koła Polskiego w Dumie.

Przedstawicielstwo Królestwa w Dumie, złożone w lecie 1914 roku z ośmiu zaledwie posłów, z szerszej akcji politycznej zrezygnowało, zajęte wyłącznie sprawami bieżącemi, znajdującemi się na porządku dziennym ciał prawodawczych. W chwili wybuchu wojny Duma znajdowała się na wakacjach. Dopiero po wybuchu zwołano ją w pośpiechu, tak, że posłowie z dalszych okręgów nie mieli czasu przyjechać.

Kiedym, wracając do kraju po wypowiedzeniu wojny, wylądował w Finlandji, i dostał gazety petersburskie, przeczytałem deklarację posła Wiktora Jarońskiego, złożoną 8 sierpnia na posiedzeniu Dumy w imieniu naszego przedstawicielstwa.[1] Nigdy w życiu żaden nasz

---

[1] Patrz: Aneks I. T. VI.

krok polityczny tak mię nie ucieszył. Przyjaciel mój, poseł kielecki, powiedział w swej deklaracji to, co należało powiedzieć w owej doniosłej chwili. Wypowiedział dążenie nasze do zjednoczenia ziem polskich, postawił program wojny w sprawie polskiej i postawił go w formie, która wytrącała broń z ręki przeciwnikom wojny, germanofilom rosyjskim, przez silne podkreślenie naszej solidarności z Rosją.

Dopiero po przyjeździe do Petersburga dowiedziałem się, jak powstała ta deklaracja. Posłowie nasi naogól nie zdążyli przybyć do Petersburga na zwołane nagle posiedzenie Dumy. Jaroński, przewidując potrzebę obecności przedstawicieli polskich w stolicy państwa, przybył zawczasu, zanim otrzymał wezwanie. Znalazł się prawie sam i deklarację w imieniu Koła Polskiego złożył na swoją osobistą odpowiedzialność.

To właśnie było siłą naszej polityki. Tak rozumieliśmy się z sobą, tak dobrze wiedzieliśmy, czego chcemy, dokąd idziemy, że jeden człowiek nie zawahał się zrobić doniosłego, wielce odpowiedzialnego kroku, na własną rękę, nie mając najmniejszej wątpliwości, iż spełnia swój obowiązek.

Odpowiedzią na tę deklarację polską, za którą stanął naród, była odezwa Wielkiego Księcia do Polaków, przyjmująca w imieniu Rosji program zjednoczenia ziem polskich.

Odezwa ta również nie powstała na drodze jakiegokolwiek układu z Polakami.

O tem, skąd wyszła inicjatywa do niej, dotychczas nie posiadamy pewnych danych.

W dniu przyjazdu do Petersburga, 12 sierpnia, spotkałem przypadkiem posła Mikołaja Lwowa, głównego przedstawiciela najsympatyczniejszej nam, umiarkowanie liberalnej grupy (partja odrodzenia pokojowego), najszczerszego przyjaciela Polski, jakiego znałem wśród

Rosjan. Był to człowiek cieszący się wielką powagą w świecie rosyjskim, znany ze swej prawości. Surowo krytykował politykę rosyjską i zazwyczaj z goryczą o niej mówił.

Tym razem w oczach jego świecił niezwykły entuzjazm.

— Właśnie nam pan potrzebny — zawołał po gorącem przywitaniu.

Na jego zaproszenie przyszedłem wieczorem na obiad w gabinecie restauracyjnym. Tam, prócz niego, zastałem księcia Grzegorza Trubeckiego z ministerstwa spraw zagranicznych, znanego pisarza politycznego, Piotra Struwego, i prof. Kotlarewskiego z Moskwy, wybitnego członka partji „kadetów". Położyli przede mną bruljon projektowanej odezwy do Polaków. Była to ogłoszona 14 sierpnia odezwa Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, naczelnego wodza armji rosyjskiej. Tylko był w niej wyraz „autonomja", który nazajutrz został zamieniony w Radzie Ministrów na „samorząd".

Po przeczytaniu, na zapytanie, co o tem myślę, odpowiedziałem:

— Odezwa jest pięknie napisana; co do treści zaś rozumiem, że dziś więcej nie możecie powiedzieć. Jest w niej rzecz główna, za którą naród nasz będzie walczył ze wszystkich sił — zjednoczenie ziem polskich.

Nie było wtedy jeszcze wiadomo, kto odezwę podpisze.

Jak się później dowiedziałem, zredagowanie odezwy miał polecone z woli cesarza, zdaje się, ks. Grzegorz Trubeckoj, znany zwolennik neoslawizmu (późniejszy poseł rosyjski w Serbji); ten zaś dobrał sobie do współpracownictwa trzech swoich przyjaciół, którzy byli na obiedzie obecni. Wszyscy czterej, z którymi rozmawiałem, byli współautorami odezwy.

Pisał ją tedy nie rząd właściwie, jeno przedstawiciele opinji rosyjskiej.

Rząd tylko zamienił wyraz „autonomja" na „samorząd"; a gdy jednocześnie z ogłoszeniem odezwy w Petersburgu wysłano do Warszawy ogromny transport gotowych do rozlepienia jej egzemplarzy, odpowiedni departament rządu zrobił swoje: tekst odezwy był wydrukowany wyłącznie w języku rosyjskim, a więc cały transport był dla Polski nieużyteczny.

Przez kilka dni społeczeństwo Królestwa znało odezwę tylko z telegramów w gazetach, pełniący bowiem obowiązki generał-gubernatora, Essen, odmówił urzędowego jej rozplakatowania, i dopiero po trzech dniach zwłoki uczynił to na stanowczy rozkaz z Petersburga. Są to szczegóły, ilustrujące należycie stanowisko w sprawie polskiej rządu i jego władz w Królestwie. Obawiano się widocznie, żeby Polacy nie zachowali się zbyt przyjaźnie względem Rosji.

Wkrótce potem, Zygmunt hr. Wielopolski, członek Rady Państwa, ze Stronnictwa Polityki Realnej, otrzymał audjencję u cesarza. Gdy dziękował za odezwę Wielkiego Księcia, Mikołaj II mu przerwał:

— Jest to odezwa i moja: myśmy to razem zrobili.

Widoczne było, że uważał sobie za punkt honoru wziąć odpowiedzialność za odezwę. Rozrzewnił się przytem i z Wielopolskim się ucałował. Wtedy Wielopolski, chcąc mieć publiczne oświadczenie cesarza, że stoi za odezwą, poprosił Mikołaja II o oficjalne przyjęcie delegacji polskiej, któraby mu za odezwę podziękowała, i, naturalnie, otrzymała w odpowiedzi słowa cesarskie:

— Jakto, są tutaj? chcą przyjść? — zawołał cesarz — ależ ma się rozumieć, że ich przyjmę!

Przyjęcie nigdy nie nastąpiło. Rząd się temu oparł, a później jeden z ministrów powiedział do któregoś z przedstawicieli polskich:

— Chcieliście iść do cesarza: musicie wiedzieć, że do niego droga tylko przez rząd prowadzi.

Minister dworu zawiadomił Wielopolskiego, że cesarz przyjmie Polaków i przemówi do nich, gdy przyjedzie do Warszawy i gdy, na skutek odniesionych zwycięstw, będzie mógł dać przyrzeczenia bardziej określone.

Muszę powiedzieć, iż różniliśmy się ze Stronnictwem Polityki Realnej w tem, że nam nie śpieszyło się z otrzymaniem jakichkolwiek określonych przyrzeczeń.

Główna rzecz była, że Rosja walczy z Niemcami, że jest w sojuszu z dwiema potęgami zachodniemi, co daje widoki zwycięstwa i rozbicia potęgi niemieckiej; że jest w sojuszu z narodami, przodującemi cywilizacyjnie i nie mającemi interesu w zniszczeniu Polski, że wreszcie w swojej sprawie osiągnęliśmy rzecz najważniejszą: w programie wojny znalazło się zjednoczenie ziem polskich, a tem samem wyzwolenie zaboru pruskiego.

Trzeba zaznaczyć, że odezwa Wielkiego Księcia we Francji i Anglji została przyjęta entuzjastycznie.

Od pierwszej chwili obawiałem się, ażeby dyskusja o urządzeniu tej przyszłej zjednoczonej Polski nie poróżniła nas z Rosjanami, nie zepsuła atmosfery solidarności w walce, nie ochłodziła zapału i nie dała atutów potężnym przyjaciołom Niemiec i zwolennikom pokoju w Rosji. Postanowiłem tej dyskusji za wszelką cenę unikać.

Z rozmaitych stron w Rosji wyciągano nas na nią, głównie ze strony obozu liberalnego. Nagabywano nas prywatnie, zapraszano na zebrania dyskusyjne, interpelowano w prasie. Ciągle powtarzało się jedno pytanie: jak sobie wyobrażamy przyszły ustrój Polski? jakie są w tym względzie nasze żądania? Pytanie to zwracano najczęściej do mnie osobiście.

Odpowiadałem zawsze jedno:

— Czyż my mamy czas tem się teraz zajmować? Mamy pobić Niemców — to wielkie i niełatwe zadanie. Mamy zjednoczyć ziemie polskie. Gdy się to stanie,

będziemy mieli czas mówić o ustroju Polski. Na to, żebym mógł o nim mówić, muszę widzieć przedtem zjednoczoną Polskę.

Byłem pewny, że czas pracować będzie dla nas, że ci sami Rosjanie, którzy w początku wojny wielu rzeczy nie mogli zrozumieć, z postępem czasu, przetrawiając w umysłach nowe położenie, będą się stawali dostępniejsi dla nowych pojęć. Im później przyjdzie do dyskusji, tem warunki dla nas będą korzystniejsze. Zresztą, lepiej się kłócić po wojnie, niż podczas wojny, gdy stoimy w obliczu wspólnego wroga, którego trzeba przedewszystkiem zwyciężyć.

Trzeba było niemałego wysiłku, żeby to stanowisko utrzymać. Bo i z naszej strony ludzie niedość widzieli niebezpieczeństwo wdania się w dyskusję.

Jeden z najbliższych mi ludzie wielokrotnie, z naciskiem żądał, żebyśmy wystąpili z programem państwa polskiego w unji osobistej z Rosją.

— Chcesz doprowadzić — mówiłem mu — do poklócenia nas z Rosjanami podczas wojny. Twój program —to dla nich za wiele, a dla nas za mało. Oni myślą o szerszej lub węższej autonomji, a nas może zadowolnić tylko całkowita niepodległość. Pocóż więc teraz dyskutować?...

Zwracano mi często uwagę, że ogół polski jest niezadowolony, że nie wystarczają mu mgliste zapowiedzi odezwy Wielkiego Księcia, że chciałby mieć coś bardziej określonego. To była prawda. Wolałem wszakże znosić niezadowolenie ogółu, niż sprzeniewierzyć się zdrowemu rozsądkowi.

Jestem przekonany, że nie dopuszczając do tej dyskusji, pomimo, że ze strony rosyjskiej dąsano się na nas za to, zrobiłem rzecz bardzo dobrą

Pomimo wszystko, do dyskuji później przyszło, i to z rządem rosyjskim. Warunki wszakże były już całkiem inne, niż w początku wojny.

Na odezwę W. Księcia Warszawa odpowiedziała najpierw krótką odezwą czterech stronnictw warszawskich[1], następnie zaś telegramem do W. Księcia, podpisanym przez kilkudziesięciu ludzi, zajmujących wybitniejsze stanowiska społeczne.

I po odezwie W. Księcia nie wytworzył się żaden stosunek między nami a rządem rosyjskim. Nie prowadziliśmy żadnych układów.

W ciągu tygodnia mego pobytu w Petersburgu po ogłoszeniu odezwy, jedynem mojem zetknięciem z urzędową Rosją była wspomniana już rozmowa z ministrem spraw zagranicznych Sazonowem, której wynikiem było wytknięcie zachodniej granicy Polski, czyli określenie obszaru, który należało od Niemiec oderwać. Obszar ten obejmował polski Śląsk Górny, dwa powiaty Średniego (sycowski i namysłowski), Poznańskie, dwa powiaty pruskiego Pomorza (lemborski i bytowski), Prusy Zachodnie i Wschodnie.

Po moim powrocie do Warszawy przystąpiliśmy do przygotowań ku zorganizowaniu oficjalnego ciała kierowniczego polityki polskiej podczas wojny.

Początek dało ścisłe porozumienie co do wspólnej akcji stronnictw Demokratyczno - Narodowego i Polityki Realnej.

Wydały one 28 sierpnia wspólną odezwę motywowaną, wzywającą Naczelny Komitet Narodowy w Galicji „do natychmiastowego zaprzestania wszelkiej akcji, której program jest nakreślony w jego komunikacie".

Chodziło następnie o pociągnięcie do wspólnej akcji t. zw. stronnictw postępowych. Zależało na tem głównie Stronnictwu Polityki Realnej, które, jak to było widoczne, nie chciało być sam na sam z nami, obawiając się

---

[1] Demokracji Narodowej, Polskiej Partji Postępowej, Polityki Realnej i Polskiego Zjednoczenia Postępowego.

przewagi naszego obozu. Tu wszakże napotkaliśmy na nieprzezwyciężone trudności, przedstawiciele bowiem Zjednoczenia Postępowego oświadczyli kategorycznie, że idą z Anglją i Francją, ale nie z Rosją.

Pertraktacje z temi stronnictwami trwały zbyt długo, robiono bowiem wszelkie możliwe próby dojścia z niemi do porozumienia. Naszemu obozowi, co prawda, nie zależało tak dalece na ich współudziale, gdyż małe mieliśmy zaufanie do ich zmysłu politycznego. W końcu, widząc jałowość wszelkich prób, doprowadziliśmy do zerwania.

Komitet Narodowy w Warszawie został zorganizowany dopiero w listopadzie z przedstawicieli naszego obozu, Polityki Realnej oraz pewnej ilości ludzi stojących poza stronnictwami.

Chciałem zostać prezesem Komitetu, żeby mieć kierownictwo jego akcji w swojem ręku. Napotkałem wszakże na bezwzględny opór przedstawicieli Polityki Realnej. Opór ten był zresztą zrozumiały. Obawiali się, żebym nie poszedł dalej w programie polskim, niż oni to uważali za możliwe, i wiedzieli, że jestem niemile widziany w sferach rządowych, z któremi się bardzo liczyli. Grała też pewną rolę miłość własna: pamiętali mi książkę o *Upadku myśli konserwatywnej w Polsce*.

Nie chcąc robić wielkiej kwestji ze sprawy osób, zgodziliśmy się na obranie prezesem Zygmunta Wielopolskiego, który zresztą na tem stanowisku oddał sprawie niemałe usługi. Dla siebie wymyśliłem stanowisko prezesa wydziału wykonawczego w Komitecie.

Odezwa Komitetu Narodowego ukazała się 25 listopada 1914 roku.[1]

Wkrótce po założeniu Komitetu Narodowego przystąpiliśmy do organizowania legjonów polskich przy armji rosyjskiej.

---

[1] Patrz: Aneks II. T. VI.

Trzeba było szukać wyjścia z karykaturalnego położenia, w jakiem postawilo Polskę istnienie legjonów w szeregach nieprzyjacielskich. Nikomu w świecie niepodobna bylo wytłómaczyć, jak to się dzieje, że Polacy za glównego wroga swej sprawy uważają Niemcy, a biją się dobrowolnie tylko po ich stronie; że jako pierwszy swój cel stawiają zjednoczenie Polski, oderwanie od Niemiec ziem zaboru pruskiego, a walczą z bronią w ręku o to, żeby te ziemie przy Niemcach pozostały, żeby do zjednoczenia swej ojczyzny nie dopuścić.

Koniecznością wobec tego było stworzenie po stronie rosyjskiej wojska ochotniczego, złożonego z Polaków i nazywającego się polskiem, i to stworzenie go na szerszą o wiele skalę, niż legjony po stronie austrjackiej.

Znaczna ilość młodzieży polskiej, porwana zapałem, wstępowała w szeregi armji rosyjskiej. Trzeba było ją zużytkować lepiej, osiągnąć to, żeby mogła walczyć nie bezimiennie, ale jako żołnierz polski.

Było też rzeczą pierwszorzędnej wagi, ażeby po zwycięstwie, gdy przyjdzie do rozstrzygania sprawy polskiej, istnialy już zaczątki wojska polskiego, któreby pozostaly jako armja przyszłego państwa...

Organizowanie legjonu polskiego zaczęto poza nami, z inicjatywy prywatnej, z pozwolenia W. Księcia, w porozumieniu ze sztabem armji południowo-zachodniej. Postanowiliśmy na to rękę położyć i zrobić rzecz, którąby naprawdę była dziełem społeczeństwa polskiego, wykonanem za oficjalną zgodą władz rosyjskich. Kierownictwo tej akcji objął z naszej strony Zygmunt Balicki.

Nie mam tu miejsca na historję tej sprawy. Mam nadzieję, że ktoś ten ważny moment naszego działania szczegółowo opracuje.

Tu tylko wspomnę, że po porozumieniu z władzami wojskowemi werbunek został rozpoczęty, że zapał byl

wielki i że szybki napływ ochotników zapowiadał utworzenie wcale poważnego wojska. Liczono na 200 — 300 tysięcy.

Jednakże rząd rosyjski, widząc niespodziewane dla niego powodzenie tej akcji, przestraszył się, że powstaje wojsko polskie, i wkroczył w sprawę. Nowy generał-gubernator warszawski, ks. Engałyczew, wydał przepisy, które odebrały tworzonym oddziałom charakter odrębnych formacyj polskich. Wobec tego zmuszeni zostaliśmy odstąpić od swego planu. Przestaliśmy zachęcać młodzież, zapał ostygł, i werbunek ustał. Pozostał już uformowany, złożony z paru tysięcy ludzi, t. zw. „legjon puławski", który się odznaczył później pierwszorzędnemi zaletami bojowemi.

W tej sprawie rząd rosyjski zwyciężył.

Wkrótce po ogłoszeniu odezwy W. Księcia Mikołaj II polecił rządowi wypracować wykonanie przyrzeczeń zawartych w odezwie. Rzecz była trzymana przez rząd w tajemnicy i myśmy o niej przez parę miesięcy nic nie wiedzieli. Później zaczęły dochodzić głuche wieści, iż rząd w październiku r. 1914 opracował jakiś program, że przesłał go cesarzowi, a ten W. Księciu do zaopinjowania; że program wrócił do rządu i w listopadzie został opracowany ponownie. Wieści te nas zaalarmowały...

Było rzeczą pewną, że rząd postara się sprowadzić przyrzeczenia odezwy do *minimum*. Trudno zaś było oczekiwać od cesarza lub W. Księcia, żeby zdawali sobie sprawę z tego, co należy zrobić w kwestji polskiej, i, przy najlepszych nawet chęciach, umieli rząd skorygować.

Mikołaja II nigdy nie widziałem, ale słyszałem o nim tyle od ludzi, którzy go znali, iż wiedziałem, że politykiem nie jest i sprawy polskiej nie zna. Z W. Księciem rozmawiałem raz w kwaterze głównej, w Baranowiczach: zrobił na mnie wrażenie wojskowego, który się

nigdy sprawami politycznemi nie zajmował. Należało się więc obawiać, że rząd uzyska ich zgodę na swoje projekty i że ukaże się jakiś manifest cesarski, którym Rosja będzie zaangażowana w kierunku dla nas niepomyślnym, który oburzy społeczeństwo polskie i uniemożliwi nam solidarność z Rosją w wojnie. Nie chodziło tyle o przyszłość, bo dla niej taki akt mógł nie mieć żadnego znaczenia, ile o teraźniejszość. Baliśmy się, żeby rząd nie osiągnął swego celu i nie pokłócił nas z Rosją podczas wojny.

Wreszcie dostaliśmy teksty obu projektów rządowych, z października i z listopada, które obawy nasze w zupełności potwierdziły. W pierwszym projekcie Polska dostawała „autonomję” bardzo podobną do galicyjskiej, to znaczy właściwie szeroki samorząd miejscowy. Gdy W. Książę porobił uwagi, żądające rozszerzenia władzy namiestnika, opracowano drugi projekt, który, jakby na drwiny, zamiast tę wrzekomą autonomję rozszerzyć, jeszcze ją zredukował.

Koniecznością było poinformować cesarza, iż akt podobny będzie jak najfatalniej przyjęty w Polsce. Nie chcieliśmy wszakże występować z żadnym oficjalnym projektem polskim, ze względów, o których wyżej była mowa: w naszym interesie było, żeby kwestja przyszłego ustroju zjednoczonej Polski pozostała otwartą.

Z trudności tej wyszliśmy w ten sposób, żeśmy upoważnili Zygmunta Wielopolskiego, ażeby nie w imieniu Komitetu Narodowego, jeno osobiście, na własną odpowiedzialność wszedł w kontakt z cesarzem i zajął stanowisko przeciwne projektom rządu.

Wielopolski na audjencji prywatnej powiedzial Mikołajowi II, że między tem, co rząd przygotowuje, a tem, czego oczekują Polacy, istnieje wprost przepaść. Wtedy cesarz zażądał od niego memorjału przedstawiającego, jak Polacy wyobrażają sobie realizację przyrzeczeń odezwy.

Tu znów była wielka trudność. Niepodobna było iść w memorjale za daleko, żeby nie zniechęcić Mikołaja II, którego dobra wola była cennym atutem przeciw rządowi. Wielopolski więc złożył memorjał, wyrażający tylko jego pogląd osobisty, za który nikt prócz niego nie odpowiadał. Mając od nas na ten krok cichą aprobatę, przedstawił cesarzowi projekt istotnej autonomji politycznej w najogólniejszych zarysach; wiedzieliśmy, że to wystarczy do zahamowania roboty rządu i odwlecze na długi czas możliwość ukazania się jakiegokolwiek aktu.

Istotnie, cesarz po otrzymaniu memorjału wezwał do siebie prezesa rady ministrów, Goremykina, wskazał na głębokie różnice między poglądami Polaków a poglądami rządu i polecił mu wezwać przedstawicieli polskich na naradę w celu dojścia do porozumienia. Zaproszono nas wtedy w początku czerwca 1915 r. w liczbie siedmiu do Piotrogrodu (ukaz cesarski przemianował niemiecki Petersburg po wybuchu wojny na Pietrograd). Ze strony rządu w naradzie udział wzięli: prezes ministrów — Goremykin, minister spraw wewnętrznych — Maklakow, minister oświaty — hr. Ignatjew, i generał-gubernator warszawski, ks. Engałyczew. Trzymaliśmy się w terminach jak najogólniejszych, wykazywaliśmy konieczność zasadniczej zmiany w stosunku Rosji do Polski, unikając stawiania jakichkolwiek programów konkretnych. Gdy protokół narady został zakomunikowany cesarzowi, postanowił on utworzenie pod prezydencją Goremykina komisji mieszanej polsko-rosyjskiej, dla „opracowania sposobu wykonania obietnic Wielkiego Księcia, zawartych w jego odezwie do Polaków", do której to komisji mianował po sześciu przedstawicieli z każdej strony.

Komisja ta odbyła cały szereg posiedzeń, z których protokóły zostały przez rząd wydrukowane i stanowią ciekawy materjał historyczny.

Od początku istniała w niej niemożliwa do wypełnienia przepaść między naszem stanowiskiem a stanowiskiem jej członków rosyjskich, odpowiednio dobranych z Dumy i Rady Państwa mężów zaufania rządu. Komisja formalnie zakończyła swe prace już po zajęciu Warszawy przez Niemców, dwiema przeciwnemi sobie rezolucjami, polską i rosyjską. Rezultat zatem jej pracy był negatywny, dzięki czemu uratowaliśmy się od niepożądanego manifestu.

O tem, jak rząd usiłował zniechęcić Polaków do zajmowanego przez nich stanowiska wobec wojny i jakie żywił nadzieje, najlepiej świadczyło zagajenie prac komisji przez prezesa ministrów Goremykina. Powiedział on między innemi rzecz następującą (cytuję jego słowa z pamięci):

— W odezwie W. Księcia mamy dwa przyrzeczenia: zjednoczenie ziem polskich i samorząd. Otóż muszę Panom powiedzieć, że te dwie rzeczy są ściśle z sobą związane i wykonanie jednej zależy od osiągnięcia drugiej. Zjednoczenie wszakże ziem polskich znajduje się w ręku Boga. Jeżeli Bóg da, że będzie zjednoczenie, to będzie i samorząd; gdy zjednoczenia nie będzie, to i samorządu nie będzie.

Tak rząd rosyjski pracował w kierunku wręcz przeciwnym cesarzowi, W. Księciu i opinji rosyjskiej. Idąc tedy z Rosją, musieliśmy z nim nieustannie walczyć.

Na dalszych posiedzeniach komisji w zastępstwie Goremykina przewodniczył Krizanowskij, sekretarz państwowy (taki tytuł nosił jeden z członków Rady Ministrów), znany jako wróg Polski. Wtrącił on raz w trakcie dyskusji:

— Tego, o czem panowie mówią, niema przykładu na całym świecie. Czy panowie widzieli, żeby w jakiemkolwiek państwie dany kraj posiadał taki stopień odrębności politycznej?

Odpowiedziałem mu pytaniem:

— A czy pan, panie ministrze, widział gdzie na świecie, żeby naród tak wielki liczbą, z taką przeszłością, jak Polska, i z tak bogatą własną cywilizacją pozostawał pod panowaniem innego narodu?

Z zajęciem ziem polskich przez armje państw centralnych położenie się zmieniło. Niebezpieczeństwo jakiegoś fałszywego kroku Rosji w sprawie polskiej znacznie się zmniejszyło. Natomiast wzrosło znacznie niebezpieczeństwo osobnego pokoju między Rosją a Niemcami. Zbliżała je i sytuacja wojenna Rosji, pobitej przez nieprzyjaciela, i znaczny upadek zapału w społeczeństwie rosyjskiem, zmęczonem już wojną, i wzmocnienie się ogromne wpływów niemieckich, zarówno w rządzie, jak na dworze cesarskim. Znalazły one sobie między innemi oryginalnego, ale nie dającego się lekceważyć agenta w osobie Rasputina.

To niebezpieczeństwo mogło wzrosnąć na skutek zachowania się Polaków w Warszawie, manifestacyj przeciw Rosji, a na rzecz państw centralnych. Dodać trzeba, że w samej Rosji koła t. zw. „niepodległościowe", które myślały o Polsce podległej właściwie Niemcom, nabrały śmiałości, zaczęły głośno manifestować swoje stanowisko. Rząd zaś rosyjski w tej sprawie zachowywał się bardzo liberalnie, nie przeszkadzał im w manifestowaniu ich „niepodległościowości". Widoczne było, że te manifestacje są dla niego raczej pożądane.

Widzieliśmy potrzebę wejścia w działaniu na nowe drogi, bacząc wszakże nieustannie na to, żeby swem postępowaniem nie pomóc do pokoju między Rosją a Niemcami.

VI

PO ZAJĘCIU WARSZAWY PRZEZ NIEMCÓW

Kiedy Niemcy zajęli Warszawę, kiedy potem armja rosyjska szybko się cofnęła i front wschodni stanął na linji, odpowiadającej mniej więcej granicy drugiego rozbioru Polski — cały obszar narodowy polski, całe terytorjum przyszłego państwa, jak je sobie przedstawialiśmy, znalazło się pod okupacją państw centralnych. W krótkim czasie stało się jasnem, że ten front nie ma widoków przesunięcia się z powrotem na zachód, że armja rosyjska nie jest dość silna, ażeby nieprzyjaciela zmusić do cofnięcia się. Uwolnić Polskę od Niemców mogło już tylko wielkie zwycięstwo państw zachodnich. Samo cofanie się armji rosyjskiej odbyło się w taki sposób, jakgdyby nigdy nie miała ona zamiaru do Polski wracać. Nie wiem dotychczas, kto był autorem owego fantastycznego, niedorzecznego pomysłu, ażeby cofając się, zostawiać nieprzyjacielowi kraj niezamieszkany, zmuszać ludność do uchodzenia razem z wojskiem, próbować zamienić w pustkę olbrzymią połać gęsto zaludnionego kraju, posiadającą co najmniej osiem miljonów mieszkańców.

Jeżeli to były reminiscencje taktyki rosyjskiej z czasów napoleońskich, to przecie ludzie, mający cokolwiek sensu w głowie, powinni byli zdawać sobie sprawę z różnicy warunków czasu i miejsca. Można było pozwolić sobie na to w kraju dość pierwotnym, słabo zaludnionym, i mogło to mieć jakiś cel w czasach, kiedy armje zao-

patrywały się w żywność w przeważnej mierze na miejscu, u ludności kraju.

Zgóry też musiało być wiadomem, że z chwilą, kiedy dało się armji rozkaz cofania się w podobny sposób, kończył się ten piękny w dziejach armji rosyjskiej na naszej ziemi okres, kiedy pod wpływem odezwy naczelnego wodza i jego surowych w tym względzie rozporządzeń, szanowała ona mienie ludności, jak żadna inna. Niszczenie mienia i grabież stały się w tym odwrocie regułą.

Odwrót ten miał wyraźne znamiona akcji przeciwpolskiej i niesłychanie ochłodził nasze społeczeństwo do Rosji.

Zastanawiając się nad źródłami tego postępowania, które pod względem wojskowym niczem się nie dawało uzasadnić, trudno było się opędzić myśli, że była to robota polityczna. Te sfery w Rosji, które od początku wojny pracowały nad wykopaniem przepaści między Polską a Rosją i rzuceniem Rosji z powrotem w objęcia Niemiec, zdołały tym razem przemycić akcję na wielką skalę, której skutek zapowiadał się jako niezawodny. Chodziło o to, żeby dokonawszy odwrotu w podobny sposób, ułatwić Niemcom wejście do Polski w roli zbawców i przygotować im jak najlepsze przyjęcie. Potem pozostałby już fakt niezbity, że Polacy przeszli do obozu nieprzyjaciela. Czas zatem już zawrzeć pokój i zabrać się do nich wspólnie z Niemcami.

Robota w tym kierunku od początku wojny była tak konsekwentna, składało się na nią tyle zgodnych z sobą posunięć, to zaś ostatnie tak z poprzedniemi harmonizowało, że trudno je było inaczej tłómaczyć.

Nasuwało się pytanie, dlaczego naczelny wódz, który miał inną linję w stosunku do Polaków, podobny sposób postępowania zaaprobował.

Tu trzeba szukać wyjaśnienia w charakterze Wiel-

kiego Księcia Mikołaja, jako naczelnego wodza. Miał on na tem stanowisku, jak twierdzili pracujący z nim wojskowi, duże zalety i duże wady. Był przywiązany do sprawy zwycięstwa nad Niemcami, miał silną wolę, umiał rozkazywać, utrzymywał bardzo surową dyscyplinę, wreszcie posiadał wykształcenie wojskowe. Jednakże dlatego właśnie, że miał wykształcenie wojskowe, zanadto polegał na swojem zdaniu, zbyt lekceważył zdanie innych, których wykształcenie było o wiele większe i którzy bez porównania głębiej od niego przemyśleli rzeczy wojskowe. Był przytem niemałym fantastą. Powiadają, że upór jego co do sposobu prowadzenia wojny wyrządził wiele szkody.

Ci sami wojskowi twierdzili, że lepiej im było pracować z cesarzem, który wkrótce po odwrocie objął zwierzchnie dowództwo, manifestując tem swoją niezłomną wolę prowadzenia wojny w dalszym ciągu. Ten, nie mając wykształcenia wojskowego, nie znając się w swem przekonaniu na strategji, w rzeczach sposobu prowadzenia wojny oddawał decyzję ludziom kompetentnym.

Otóż takim ludziom, jak W. Książę, bardzo łatwo czasem podsunąć najdziwaczniejszy pomysł, a oni, uznawszy go raz za swój, gotowi są trzymać się go z niedającym się przełamać uporem. Tak niezawodnie było i z owym pomysłem zostawienia nieprzyjacielowi pustego kraju, pomysłem podsuniętym w chwili, kiedy wódz, wytrącony z równowagi wielkiem niepowodzeniem, utracił zdolność panowania nad sobą.

Na tej operacji i armja rosyjska, jako taka, wiele straciła. Odwrót jej wprawdzie nie był derutą, ale byłby się odbył w większym o wiele porządku, gdyby drogi nie były pozapychane ewakuowaną ludnością i gdyby wojsko nie zajmowało się ewakuowaniem na swój sposób mienia ludzkiego.

W myśl prawa społecznego, według którego powo-

dzenie jest najlepszym środkiem zyskiwania przyjaciół, Rosja po odwrocie, zwłaszcza takim, straciła sporo zwolenników w naszym kraju. Ci sami, którzy bardzo wrogo byli nastrojeni przeciw Niemcom i Austrji w chwili, gdy armja rosyjska podchodziła pod Kraków, obecnie, gdy armje państw centralnych zajęły całą Polskę, przedzierzgnęli się nagle w ich mniej lub więcej gorących stronników. Widziało się to nawet u wielu Polaków przebywających w Rosji.

Mieliśmy bardzo wiele podczas tej wojny ludzi, którzy nie myśleli ani na chwilę o wolnej Polsce, tylko o tem, pod którym panem wypadnie służyć i którego łaski sobie zaskarbiać. Takich ludzi nie brak nigdy i nigdzie, jeno narody wychowane w niewoli mają ich wyjątkowo dużą ilość.

Wielu w owej chwili uważało wojnę za skończoną i zwycięstwo państw centralnych za nieodwołalne. Czekali tylko, rychło Niemcy zadadzą *coup de grâce* państwom zachodnim. Widziałem wówczas ludzi, głęboko rozumiejących niebezpieczeństwo niemieckie, którzy potracili głowy i za fakt już uważali nową klęskę Polski.

Jednakże, znając cokolwiek Europę i położenie międzynarodowe, jakie się wytworzyło w ostatnich dziesięcioleciach, widziałem z jednej strony, jak wielkie są środki państw zachodnich, pomimo ich do tej wojny nieprzygotowania, z drugiej rozumiałem, że nie pogodzą się one łatwo ze zwycięstwem Niemiec i z ich zapanowaniem nad współczesnym światem. Miałem silną wiarę w ich upór w obronie swego bytu i swej pozycji w świecie, i byłem przekonany, że przy dość silnym uporze zwycięstwo do nich należy. Wobec zaś wielkiej dojrzałości tych narodów, uporu należało oczekiwać. Tylko było widoczne, że na zwycięstwo, o ile przyjdzie, długo wypadnie czekać i trzeba będzie umieć w należytej postawie wytrwać. Trzeba i nam się zdobyć na upór.

Muszę stwierdzić, że tę wiarę, ten pogląd na państwa zachodnie dzielili ze mną w zupełności moi towarzysze pracy, i żeśmy znaleźli silne podtrzymanie u ogółu polskiego zarówno w Królestwie, jak tem bardziej w zaborze pruskim. W Galicji wówczas Austrja i żydzi galicyjscy załatwiali swe rachunki z Polakami za czas okupacji rosyjskiej. Tysiącami ludzi skazywano i posyłano na szubienicę.

Zmienione położenie wymagało nowych dróg działania, na co zresztą byliśmy przygotowani.

Nie opuszczając terenu rosyjskiego, trzeba było środek ciężkości naszego działania przenieść na Zachód.

Teren rosyjski nie stracił wagi. Pomimo niepowodzeń, Rosja nie przestawała mieć ogromnego znaczenia dla zwycięstwa. I teraz jej wycofanie się z wojny, zawarcie osobnego pokoju z Niemcami osłabiłoby do tego stopnia szanse państw zachodnich, że i one pewnieby musiały pokój zawrzeć. Jeżeli obawa tego, bardzo zresztą możliwego kroku ze strony Rosji była zmorą polityków i wojskowych francuskich, angielskich i włoskich — to cóż dopiero powiedzieć o nas. Tylko dzieci mogły się łudzić, że w osobnym pokoju między Rosją a Niemcami sprawa polska nie będzie na proch starta.

Koniecznością zatem było posterunek w Rosji nietylko utrzymać, ale z tem większym wysiłkiem na nim pracować nad utrzymaniem solidarności polsko-rosyjskiej, nad moralnem podtrzymaniem Rosji w walce przeciw wspólnemu wrogowi.

Jednakże wobec tego, że Polska już cała była w ręku nieprzyjaciela, sprawa polska nabierała szybko charakteru międzynarodowego. Dla państw zachodnich zachowanie się Polski wobec stron wojujących zaczęło mieć teraz większe znaczenie. Przy tak niepewnych widokach zwycięstwa, nie mogło być dla nich obojętnem, czy tak duży kraj, jak Polska, będzie trzymał z niemi, czy z nie-

przyjacielem. To też po ustąpieniu armji rosyjskiej z Polski rządy państw zachodnich starają się o jak najdokładniejsze informacje o tem, co się w Polsce dzieje, i mile witają wszelkie objawy, świadczące o tem, że trwa ona na stanowisku nieprzyjaznem Niemcom.

Wiadomo było dobrze, iż jakieś oświadczenia państw zachodnich na korzyść Polski ogromnieby wzmocniły wśród Polaków nastrój przeciwniemiecki. Na to wszakże nie mogły sobie one pozwolić, wiedząc, jak Rosja o sprawę polską jest zazdrosna, i bojąc się jej separatywnego pokoju. Można śmiało powiedzieć, że gdyby były wtedy zrobiły próbę formalnego przeniesienia sprawy polskiej na teren międzynarodowy, nam samym oddałyby najfatalniejszą usługę.

Ci Polacy, którzy wówczas lżyli Francję i Anglję w pisemkach, wydawanych w Szwajcarji, za ich obojętność dla sprawy polskiej i uleganie Rosji, ci nieodpowiedzialni politycy, od których się roiło podczas wojny, nie mieli najmniejszego pojęcia o istotnem położeniu i o tem, co w interesie samej Polski było wówczas potrzebne. Niestety, mieliśmy wielu ludzi, znajdujących się na tym poziomie umysłowości politycznej, na którym żąda się przedewszystkiem deklaracyj, miłych słów, bez względu na to, jaka w danej chwili jest ich wartość realna.

To właśnie położenie państw sprzymierzonych, ten stosunek państw zachodnich do Rosji sprawiał, że na Zachodzie nie było pola do oficjalnej polityki polskiej. Niemniej przeto, wobec położenia Polski i jej znaczenia dla stron wojujących, ludzie reprezentujący sprawę polską mieli tam coś do roboty. Przedewszystkiem, mieli przed sobą zadanie informatorów o położeniu w Polsce i wogóle w środkowej Europie, mieli obowiązek, nieoficjalnie na razie, postawić sprawę polską w tej wojnie w należytem świetle, przygotować grunt do oficjalnego, gdy chwila na to przyjdzie, jej postawienia i do

jej ostatecznego w razie zwycięstwa rozstrzygnięcia. Praca nasza na Zachodzie prowadzona była na skromną skalę od początku wojny.Ześrodkowała się ona w Szwajcarji.

Wybuch wojny zastał w Szwajcarji lub wyrzucił tam z państw centralnych pewną ilość Polaków, wśród których znaleźli się dwaj, cieszący się największą z pośród naszych rodaków sławą w świecie. Zarówno Sienkiewicz, jak Paderewski, jakkolwiek wielcy artyści, gorąco się interesowali sprawami politycznemi narodu. Obaj głęboko rozumieli niebezpieczeństwo niemieckie dla Polski i stanowisko obu względem Niemiec było dobrze znane. Sienkiewicz dał mu wyraz nietylko w swej twórczości (*Bartek zwycięzca, Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela, Krzyżacy*), ale nawet w akcji politycznej, przeprowadziwszy w całej Europie słynną ankietę przeciw Niemcom po procesie wrzesińskim. Paderewski zamanifestował swe stanowisko przez wzniesienie w Krakowie w r. 1910 pomnika grunwaldzkiego. Dla narodu, tak pozbawionego stosunków międzynarodowych, jak Polska, obaj ci ludzie, dzięki swej pozycji w szerokim świecie, byli niezmiernie cenni.

Sienkiewicza znałem blisko, żyłem z nim w stosunkach przyjacielskich, miałem cześć nietylko dla jego talentu i wysokiej kultury umysłowej, ale i dla jego gorącego patrjotyzmu i tego mocnego polskiego sposobu reagowania na nasze sprawy, jakim się odznaczał. Liczyłem też wiele na rolę, jaką w tej historycznej chwili odegra. Niestety, odmówił on jakiegokolwiek zamanifestowania swego politycznego stanowiska wobec wojny. Nie wiem, jakie były tego przyczyny: niewątpliwie, jedną z najważniejszych był stan jego zdrowia, które szybko po wybuchu wojny podupadło. Stanął na czele komitetu pomocy dla ofiar wojny w Polsce, z siedzibą w Vevey, i w tej pracy wyłącznie się zamknął.

Paderewski rzucił koncerty na czas wojny, ażeby się oddać wyłącznie sprawom polskim — pomocy dla rodaków i akcji politycznej. Na gruncie państw zachodnich starł się z przemożnemi, zamykającemi drogę działaniom polskim wpływami rosyjskiemi, poczem wyjechał do Ameryki, gdzie oddał sprawie polskiej niepospolite usługi.

Narzucała się w Szwajcarji konieczność zorganizowania propagandy polskiej. W tym celu stworzono Polską Agencję Prasową w Lozannie. Do tej pracy znalazł się cały szereg ludzi, z dużemi, jak na stosunki polskie, kwalifikacjami, wśród nich publicyści zawodowi, zajmujący wybitne w naszem życiu stanowiska polityczne, jak Erazm Piltz, jeden z kierowników stronnictwa Polityki Realnej, a później Marjan Seyda, redaktor *Kurjera Poznańskiego* i kierownik naszej organizacji w zaborze pruskim, który stanął na czele Agencji Lozańskiej.

Seyda, reprezentujący gruntowną wiedzę o sprawach zaboru pruskiego, zajmujących naczelne w naszej polityce miejsce, ze swą rutyną i niepospolitą energją, rozwinął ogromną pracę, która w historji naszych wysiłków podczas wojny zajęła niepoślednie miejsce. Nadto, przez jego ręce zaczął napływać z zaboru pruskiego stały zasiłek pieniężny na tę pracę, zbierany drogą składek w całej dzielnicy pruskiej, zasiłek, który przez dłuższy czas był jedyną materjalną podstawą naszej na zachodzie działalności. Tu trzeba zaznaczyć, że społeczeństwo zaboru pruskiego było jedynem pod rządami nieprzyjaciela odłamem narodu, który zbiorowemi siłami łożył podczas wojny na politykę polską. Obok niego przyszli potem z większą jeszcze pomocą rodacy nasi w Ameryce, z pomocą, bez której nasza akcja polityczna musiałaby chyba stanąć z braku środków.

W tej fazie, w którą kwestja polska weszła w drugiej połowie 1915 r., propaganda prasowa, choćby najsprawniejsza, już nie wystarczała: trzeba było zacząć

wchodzić w styczność z czynnikami wpływowemi w państwach sprzymierzonych i z ich rządami. Trzeba było w każdej ze stolic osadzić kogoś, ktoby nieoficjalnie Polskę reprezentował i nad sprawą polską czuwał.

Wobec tego postanowiony został jesienią 1915 r. mój wyjazd na Zachód wraz z Konstantyni hr. Platerem, ze Stronnictwa Polityki Realnej. Mieliśmy zacząć od objazdu: Londyn, Paryż, Rzym, łącznie z Watykanem, Lozanna — dla zorjentowania się wszędzie na miejscu i przygotowania programu dalszego postępowania.

Przed wyjazdem z Rosji, zastanawiając się nad położeniem sprawy aljantów we wschodniej połowie Europy, stwierdziłem ogromny jej upadek. Polegał on nietylko na niepowodzeniach wojennych Rosji, ale także na upadku jej wpływu wśród mniejszych narodów Austro-Węgier i Bałkanów. Ten wielki *prestige*, jaki miała Rosja w początku wojny, ten entuzjazm dla niej, jaki dawał się czuć tam nawet, gdzie się nie mógł głośno wypowiedzieć, gdzieś znikł, a na jego miejsce zjawiła się nieufność i niechęć. Korzystała z tego znakomicie zorganizowana propaganda niemiecka, która robiła coraz większe postępy, grożąc całkowitem pobiciem Rosji w tej sferze, w której do owego czasu miała najsilniejsze wpływy moralne i polityczne.

Było to ogromne niebezpieczeństwo nietylko dla Rosji i dla nas, ale wogóle dla sprawy sprzymierzonych. Niemcy były na drodze do zrealizowania podczas wojny linji Berlin-Bagdad, pracowały wespół z Austrją nad wciągnięciem Bułgarji w wojnę po swojej stronie, co miało im dać połączenie z Turcją i podwojenie tą drogą obszaru zajmowanego przez obóz państw centralnych. W szczególności było to wielkie niebezpieczeństwo dla Anglji, której grozić mogło przecięcie Kanału Sueskiego drogą lądowej akcji wojennej.

W rozmowach z Rosjanami wskazywałem na te

grożne następstwa upadku uroku Rosji wśród narodów środkowej i południowo-wschodniej Europy. Wskazywałem też, że przyczyna tego upadku nie leży wyłącznie w niepowodzeniu wojennem Rosji.

Jeżeli w początku wojny Rosja obudziła taki dla siebie entuzjazm, to nietylko dlatego, że wystawiła olbrzymią armję, że znakomicie przeprowadziła mobilizację, że w krótkim czasie znalazła się na Karpatach, ale także dlatego, że ogłosiła odezwę W. Księcia do Polaków, w którą zagranicą włożono o wiele większą treść, niż miała ona w istocie. Żyjące w pobliżu Rosji mniejsze narody widziały w tem z jej strony wielki akt sprawiedliwości, naprawienie krzywdy dziejowej, wyrządzonej Polakom, i położenie nowych podstaw polityki rosyjskiej, która odtąd będzie się opierała na poszanowaniu niezawisłości narodów słowiańskich i bratniem z niemi współżyciu. Przez kraje słowiańskie, młode i skłonne do młodzieńczych uniesień, przeszedł niby powiew wiosenny.

Wkrótce atoli przyszło rozczarowanie. Rosja okazała się mniejszą, niż myślano, potęgą wojenną, a jednocześnie caly szereg faktów zaświadczył, że rozumienie odezwy W. Księcia przez Rosję dalekie było od tego, co sobie przedstawiała opinja mniejszych narodów słowiańskich. W sposobie rządzenia Królestwem nic się prawie po odezwie nie zmieniło, polityczne działania Rosjan w Galicji nosiły styl przedwojennych czasów, w Piotrogrodzie, w komisji polsko-rosyjskiej, szła walka między Polakami a Rosjanami, którzy usiłowali przyrzeczenia odezwy sprowadzić do drugorzędnych reform. Wreszcie przyszły wieści o wielkim odwrocie armji rosyjskiej, a z niemi echa krzywd, jakich doznała przyjaźnie dla Rosji usposobiona ludność polska.

Zachwiało się tedy nietylko przekonanie o potędze wojennej Rosji, ale i ufność w jej dobrą wiarę.

Nawet najpotężniejsze państwo nie może stać wyłącznie siłą fizyczną, musi się starać o posiadanie uroku moralnego. W dzisiejszych zwłaszcza czasach, kiedy opinja publiczna krajów tak wiele znaczy i tak silny wpływ wywiera na ich politykę, pozycja moralna państwa zagranicą niemniejsze ma znaczenie od jego potęgi materjalnej. Podstawą zaś tej pozycji moralnej jest przedewszystkiem dobra wiara, uczciwe traktowanie swego własnego słowa. Ludzie, którzy postępowaniem swem tę dobrą wiarę własnego państwa podkopują, największą wyrządzają mu krzywdę.

Taką właśnie krzywdę swemu państwu wyrządzili nieprzejednani wrogowie Polaków w Rosji, tem większą, że to poderwanie dobrej wiary Rosji nastąpiło jednocześnie z jej niepowodzeniem wojennem.

Koniecznością było podniesienie autorytetu Rosji, przywrócenie jej wpływu w tej tak ważnej dla sprawy aljantów sferze, jeżeli się nie chciało iść do klęsk dalszych, większych o wiele od dotychczasowych.

Zło trzeba leczyć tam, gdzie tkwi jego przyczyna. Główną przyczyną upadku wpływu rosyjskiego była kwestja polska. Trzeba więc było odzyskiwanie tego wpływu od kwestji polskiej zacząć.

W chwili, kiedy cała Polska była w rękach nieprzyjaciela, Rosja już nie miała sposobności czynami dowieść, że poważnie traktuje sprawę danych w początku wojny przyrzeczeń. Wszelkie półsłówka i niejasne obietnice w owej chwili mogły wywołać tylko wzruszenie ramion, jeżeli nie szyderstwo. Jedna rzecz tylko mogła zrobić wrażenie i mogła być przyjęta poważnie, mianowicie, uroczysty akt ze strony Rosji, uznający niepodległe państwo polskie. Gdyby Rosja taki akt zrobiła i wraz z nim ogłosiła wojnę o wolność wszystkich narodów — skutek byłby olbrzymi.

Na ten właśnie temat zacząłem rozmowy z niektó-

rymi Rosjanami, zdolnymi do spokojnego, logicznego myślenia o kwestji polskiej. Wskazywałem im, że Polska w razie zwycięstwa nad Niemcami siłą rzeczy musi się stać niepodległem państwem, że zatem ogłoszenie tego zawczasu nie będzie ze strony Rosji żadną ofiarą. Tymczasem korzyść polityczna będzie olbrzymia — uczyni się wielki krok ku zwycięstwu.

Niektórzy z nich zgadzali się ze mną. Wyrażali wszakże obawę, że wtedy opinja rosyjska dla wojny ochłodnie, powie sobie: pocóż mamy się bić za Polskę? Sami rozumieli, że mają się za co bić, wiedzieli, że jeżeli Niemcy zwyciężą i ujarzmią całą środkową Europę wraz z Bałkanami, Rosja zejdzie do roli drugorzędnego państwa, wskazywali wszakże, iż szeroka opinja publiczna potrzebuje czegoś grubego, namacalnego, jako celu wojny, że zatem dla niej zrzeczenie się całkowite Polski oznaczałoby zatrzymanie się tam, gdzie armja rosyjska po odwrocie stanęła, i zakończenie wojny.

Było w tem sporo słuszności. Rosja ponosiła konsekwencje wychowania szeregu pokoleń na idei ciągłych zaborów. Skutkiem tego znalazła się w błędnem kole. Kwestja Polska, pojmowana zawsze niedorzecznie, bez perspektywy, bez myśli o przyszłości, teraz mściła się na niej. Zresztą nietylko teraz: mściła się oddawna, tylko Rosjanie tego nie widzieli.

Dla mnie wszakże było rzeczą tak jasną, że dla zwycięstwa nad Niemcami koniecznością stało się śmiałe postawienie kwestji polskiej, proklamowanie niepodległego państwa na obszarze zjednoczonych ziem polskich, iż postanowiłem użyć wszelkich wysiłków, ażeby do tego jak najprędzej doprowadzić. Powziąłem plan działania w tym kierunku w samej Rosji, wpływania na jej czynniki decydujące, nie naszemi wyłącznie środkami, ale przy pomocy państw sprzymierzonych, ich wpływów w Rosji.

Muszę tu położyć nacisk na to, że nie śpieszyło mi się tyle z otrzymaniem odpowiedniej deklaracji dla samej Polski. Tego, że po zwycięstwie nad Niemcami Polska będzie państwem niepodległem, już byłem pewny, i wiedziałem, że deklaracja w tym względzie sprawy nie przyśpieszy. Byłem też pewny, że ta większość opinji polskiej, która za nami stała, podtrzyma nas wytrwale i dalej, choć żadnej deklaracji nie otrzyma. Ta deklaracja przedewszystkiem była potrzebna jako broń w walce politycznej z Niemcami, broń zwiększająca widoki zwycięstwa państw sprzymierzonych, od którego zależała cała przyszłość Polski.

VII

„AKTYWIZM"

Z chwilą, kiedy Niemcy zasiedli w Warszawie i zaczęli kraj urządzać, zjawił się na naszym gruncie nowy termin polityczny: „aktywizm".

Nie narodził się on w Polsce — wcześniej już ukazał się w Belgji. Tam „aktywistami" nazywali się ci obywatele państwa belgijskiego, którzy w czasie, kiedy naród ich był w krwawej walce z najeźdźcą, kiedy armja jego pod wodzą dzielnego króla z uporem się trzymała na ostatnim skrawku ziemi belgijskiej — współdziałali z nieprzyjacielem, gospodarującym w Belgji, jak u siebie. W szczególności, z tego eufonicznego tytułu korzystali ci Flamandowie, którzy pomagali Niemcom urządzać kraj po flamandzku.

Niezawodnie, ten wyraz jest jednym z dowcipnych wynalazków niemieckich, których tak wiele było podczas wojny. Miało to znaczyć: my urządzamy kraj — ci, którzy nam pomagają, są ludźmi czynu, aktywistami; ci, którzy stoją na boku, są ludźmi biernymi, pasywistami. Zawszeć to ładniej brzmi nazywać się człowiekiem czynu. A niekażdy to dostrzeże, że bierny opór może wymagać więcej energji i być rzeczą piękniejszą, niż czynne poddanie się.

Naturalnie, nie można porównywać położenia Belgijczyka pod okupacją niemiecką z położeniem Polaka. Obywatel belgijski miał prawny i moralny obowiązek wierności swemu państwu, które było jego własnem pań-

stwem: współdziałając z nieprzyjacielem, sprzeniewierzał się temu obowiązkowi, zdradzał ojczyznę. Dla myślącego po polsku mieszkańca Królestwa zajęcie kraju przez Niemców było przyjściem jednej okupacji na miejsce drugiej. Można było z każdą współdziałać o tyle, o ile dobro Polski tego wymagało.

Nie miałem nikomu za złe, że brał udział w organizowaniu instytucyj, na które okupanci pozwolili, lub że współdziałał w administracji kraju pod okupacją — jeżeli starał się to robić z korzyścią dla ludności polskiej. Przeciwnie, była to zasługa, zważywszy trudne warunki, w jakich wypadło pracować.

Nie zdaje mi się też, żeby tego rodzaju działalność kwalifikowano u nas jako aktywizm. U nas aktywistami nazywano ludzi, którzy usiłowali Niemcom pomagać do zwycięstwa, dążyli do tego, żeby oni rozstrzygali losy Polski.

Możnaby się spierać o wyraz. Dlaczego „aktywistami" nazywali się ci, co szli z Niemcami, w przeciwieństwie do tych, co szli z państwami sprzymierzonemi? Ale tak samo możnaby zapytać: dlaczego „niepodległościowcami" nazywali się ci, którzy niecałą Polskę chcieli urządzić przy Austrji, w przeciwieństwie do tych, którzy chcieli mieć Polskę całą, zjednoczoną, to znaczy jedyną, jaka mogła być naprawdę niepodległą? To już nieszczęście Polski, że tu się ciągle nadużywa wyrazów...

Działalność „aktywistów" w tym sensie, jak to wyżej powiedziano, była szkodliwa i kryła w sobie wielkie dla Polski niebezpieczeństwa, na które jeszcze nieraz wypadnie mi wskazać. Ażeby sobie wszakże zdać sprawę ze stanu myśli politycznej i etyki obywatelskiej w naszem społeczeństwie — co jest konieczne, jeżeli nie mamy w naszem życiu politycznem iść poomacku — nie można ich wszystkich sprowadzać do jednego mianownika: trzeba ich rozklasyfikować.

Byli przedewszystkiem ludzie, których potęga niemiecka tak zahypnotyzowała, że ani na chwilę nie przypuszczali, żeby Niemcy mogły być przez jakąkolwiek koalicję pobite. Patrzyli na Niemcy ze zbyt bliskiej odległości i przysłaniały im one resztę świata. Dla niektórych zwycięstwo Niemiec stało się pewnem dopiero po ich powodzeniach w 1915 roku. Rozwiązanie sprawy polskiej przez Niemcy uważali za nieubłaganą konieczność, z którą się trzeba pogodzić. Trzeba się więc z Niemcami zbliżyć, pozyskać ich sobie, żeby przy tem rozwiązaniu wyjść możliwie najlepiej. Jedni z nich rozumieli, że to dla Polski los nieświetny, inni w naiwności swej byli przekonani, że robi ona karjerę. Rezygnowali z ziem zaboru pruskiego, bo los tych ziem uważali już dawno za nieodwołalnie przesądzony na korzyść Niemiec. Niektórzy spodziewali się, że Niemcy jakiś kawałek Poznańskiego do Polski przykroją.

Kto znał dobrze Polskę przedwojenną, ten się nie mógł dziwić, że tacy ludzie w Polsce istnieją, i nawet nie mógł ich zbyt surowo sądzić. Ci ludzie potem, przekonawszy się, że byli w błędzie, mogli stać się najpożyteczniejszymi obywatelami państwa polskiego, dalekimi od jakichkolwiek sympatyj niemieckich.

Byli inni, którym znów Rosja świat cały zasłoniła, którzy tak sobie wyolbrzymili niebezpieczeństwo rosyjskie dla Polski, że w Niemcach witali zbawców. Wśród nich wielu żyło więcej nienawiścią do Rosji, niż przywiązaniem do Polski. I tych nie można zbyt surowo sądzić, jakkolwiek trzeba czuwać nad tem, żeby zaślepienie ich, o ile trwa dalej, nie wywierało wpływu na politykę naszego państwa i nie wywoływało szkodliwych jej wykolejeń, żeby nie próbowali szkodzić Polsce w celu zaszkodzenia Rosji.

Byli tacy, którzy pojmowali prawowierność katolicką w ten sposób, że uważali za swój obowiązek w postę-

powaniu politycznem trzymać się bezkrytycznie wskazówek idących z Watykanu. Dyplomacja zaś watykańska, o czem będę jeszcze miał sposobność mówić, zalecała Polakom budowanie swych nadziei na państwach centralnych.

Te typy „aktywizmu", względnie niewinne w pobudkach, jakkolwiek niebezpieczne w możliwych następstwach, nie odgrywały głównej roli, nie kierowały akcją. Kierownictwo należało do ludzi, których pobudki były, niestety, mniej niewinne.

Nie mówię już o tych, których Niemcy w taki czy inny sposób ordynarnie wprost kupili. Tacy są wszędzie, tacy byli we wszystkich krajach podczas wojny; u nas bodaj — mówię o polskich mieszkańcach kraju — nie było ich więcej, niż gdzie indziej.

Wielu było takich, którzy dlatego byli za niemieckiem rozwiązaniem sprawy polskiej, że przy takiem rozwiązaniu oni mieli widoki dostania się w Polsce do władzy. Często sami nie mieli wyraźnej świadomości, że to było momentem decydującym w ich postępowaniu. Trzeba dużego pogłębienia moralnego, niemałej kultury wewnętrznej, żeby umieć swe stanowisko w sprawach publicznych oddzielić od swych ambicyj i interesów osobistych. Ludziom mniej lub więcej surowym, pierwotnym, nigdy się to nie udaje...

Narody niezawisłe i silne są w tem szczęśliwem położeniu, że tam wierna i rozumna służba krajowi zwykle się zgadza z widokami karjery osobistej, i tam człowiek w życiu politycznem zazwyczaj nie staje przed tym ciężkim dylematem: albo ja, albo ojczyzna. W naszem trudnem, nie dającem się z żadnem innem porównać położeniu, ten dylemat zjawiał się bardzo często. I dlatego tak wielu ludzi politycznie się wykolejało, nie umiało w sprawach narodowych znaleźć właściwej drogi, nawet wtedy, gdy ta jasno była przez położenie Polski wytknięta.

Niemałą rolę odegrało przytem zacietrzewienie, zawiść partyjna. Nie należę do tych, których jest tak wielu i u nas, i zagranicą, a którzy uważają, że w Polsce jest o wiele więcej partyjności, niż gdzie indziej. U nas partyjności jest mniej — u nas za wielu ludzi stoi poza partjami, za wiele jest obojętności na to, jaki kierunek w naszem życiu politycznem zwycięży, po jakiej drodze pójdzie kraj w swoim rozwoju. Gdzie indziej ludzi stojących poza partjami jest ilość znikoma, a kierunki przeciwne zwalcza się z większą o wiele, niż u nas namiętnością. W kraju z taką wzorową tradycją polityczną, jak Anglja, widzi się i słyszy w tym względzie rzeczy zdumiewające. W dystyngowanym salonie politycznym w Londynie za czasu rządów Asquith'a, w pierwszej połowie wojny, usłyszałem głośno wypowiedziane zdanie, że najwięcejby się przysłużył Anglji ten, ktoby Asquith'a zamordował. Rektor jednego z uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych powiedział mi, że Wilson jest jednym z największych łotrów na świecie. Ale tam mówi się podobne rzeczy o Asquith'ie lub Wilsonie nie dlatego, żeby się czuło coś do niego osobiście, ale dlatego, że w jego działaniu widzi się wielkie zło dla narodu, mniejsza o to, że ten sąd może być całkiem niesłuszny, lub że temperament sądzącego może zło wyolbrzymiać. U nas w antagonizmach politycznych jest za wiele pierwiastku osobistego, zawiści osobistej, nawet w stosunku do ludzi, których się nigdy nie widziało. Często się ma pretensję osobistą do człowieka za to, że się o nim za wiele słyszy. Kiedyś Sienkiewicz mi powiedział:

— Gdzie indziej szewc zazdrości szewcowi, a malarz malarzowi. U nas szewc zazdrości malarzowi.

Nasze stronnictwa jeszcze dziś są więcej klikami, niż stronnictwami. I często ludziom więcej zależy nietyle na tem, żeby być z kimś, ile żeby być przeciw komuś.

Powiedziałem raz do swych przyjaciół podczas wojny:

— Gdybyśmy tak byli po stronie Niemców, iluż z dzisiejszych aktywistów stanęłoby po stronie państw sprzymierzonych...

Doprawdy, to nie był tylko żart. Na pewno byli tacy ludzie, co sobie życzyli zwycięstwa Niemców, żeby czasem „endecy" nie wygrali, i myśl ta była tak intensywna, że zapomnieli przytem zapytać siebie, jak Polska na tem wyjdzie.

Powiadają, iż główna siła aktywizmu pochodziła stąd, że nasze ugrupowania wolnomularskie przed wojną były uzależnione od wielkich lóż, bądź berlińskiej, bądź budapeszteńskiej. Gdy wybuchła wojna, wszystkie one otrzymały rozkaz działania na korzyść państw centralnych. Ci nieliczni u nas masoni, którzy bezpośrednio należeli do lóż francuskich lub angielskich, stanęli po stronie państw sprzymierzonych, i to czasem w sposób bardzo wątpliwy.

Gdy mowa o organizacji tajnej, o której wie się tylko tyle pewnego, że istnieje i że działa, trudno ocenić, o ile informacje o niej otrzymane są ścisłe. Nie mogą też masoni mieć pretensji, gdy się o nich mówi coś nieścisłego: jest to konsekwencją tajemnicy, jaką swe postępowanie okrywają.

Powyższa informacja ma tę wartość, że objaśnia wiele rzeczy, któreby inaczej pozostały niezrozumiałemi.

Jeżeli zaś tak było w istocie, to czyż może być bardziej namacalny dowód niebezpieczeństwa tajnych organizacyj międzynarodowych, zwłaszcza dla krajów mniejszych, słabszych, w których odłamy tych organizacyj nie są zdolne zająć stanowiska samodzielnego wobec potężnych związków zagranicznych? Dotyczy to zwłaszcza naszego kraju, w którym tak mało jest jeszcze charakterów dojrzałych, indywidualności silnych, w któ-

rym tak niewykształcone jest jeszcze poczucie odpowiedzialności.

Naród staje wobec jednego z największych momentów w swoich dziejach. Ma wybierać drogę, która o całej jego przyszłości, o losach pokoleń postanowi. I w tej chwili organizacja, działająca wśród tego narodu, ukryta w cieniu tajemnicy, otrzymuje rozkazy od obcych, od wrogów nawet...

Tylko czynnikami, niedostępnemi dla bliższego zbadania, można wytłómaczyć dwa z tej wojny fakty, niepojęte dla normalnego umysłu i nie dające się objąć normalnem sumieniem.

Pierwszy: byli ludzie — i niezawodnie organizacje — którym nie wystarczało współdziałanie z Niemcami w kraju i walka w szeregach po ich stronie, ale którzy używali wszelkich wysiłków, żeby naszą pracę po stronie państw sprzymierzonych zniszczyć, żeby zaufanie rządów tych państw do nas podkopać, żeby siłę zbrojną polską, organizowaną po tamtej stronie, rozbić, to znaczy, żeby nawet w razie klęski Niemiec pozostała na placu tylko ta w Polsce polityka, która się z Niemcami związała. Polskaby na tem fatalnie wyszła — to musieli rozumieć, ale oni pozostaliby w Polsce bez współzawodnictwa.

Drugi fakt: kiedy od roku 1917 Rosja została wycofana z wojny, kiedy narzucony jej rząd sowiecki raczej sprzyjał państwom centralnym, kiedy się wytworzyło wymarzone dla Polski ugrupowanie mocarstw w wojnie: po jednej stronie mocarstwa, które zamordowały Polskę, a po drugiej wszystkie inne wielkie mocarstwa świata, które wśród celów wojny postawiły odbudowanie niepodległego państwa polskiego — byli jednak Polacy, którzy stali po stronie morderców Polski przeciw całemu światu i chcieli nawet krwią polską przyczynić się do kupienia im zwycięstwa

Czy Mickiewicz pomyślał, że kiedyś do jego własnych rodaków można będzie zwrócić twarde słowa:

> ...który tak się wdroży
> Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
> Że w końcu gotów kąsać rękę, co ją targa.

Tylko tu uderzenie boleśniejsze, bo obroża nie rodzima, jeno obca.

Jeżeli ktoś myśli, że mi przyjemnie to mówić, myli się bardzo. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł powiedzieć, że mamy Polskę dzięki wielkiemu, wspólnemu wysiłkowi wszystkich Polaków! Bo wtedy wiedziałbym, że wszyscy jednako to dobro cenimy i wszyscy jednako, bez względu na dzielące nas poglądy i przekonania, będziemy go strzegli.

Dziś, gdy Polska jest, taka jaka jest, wbrew wysiłkom części Polaków, obawiam się, że wielu obywateli naszej Rzeczypospolitej jeszcze nie rozumie, cośmy zdobyli, jaką to ma cenę dla przyszłości narodu, jak czujnym trzeba być, żeby z tego nic nie uronić. Chciałbym ich zmusić do wejrzenia w siebie, do zrewidowania całego swego stosunku do ojczyzny.

To męska rzecz zdobyć się na odwagę przyznania się przed sobą samym, że się było na błędnej drodze, na tak błędnej, że ojczyzna mogła strasznie za to zapłacić. I męską rzeczą jest umieć się z błędów otrząsnąć.

VIII

PIERWSZE PRÓBY WPROWADZENIA POSTULATU NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI DO PROGRAMU WOJNY

Wyjeżdżając na Zachód w początku listopada 1915 r., zdawałem sobie jasno sprawę z trudnego położenia, w jakiem się tam znaleźć muszą wszelkie próby rozwinięcia akcji polskiej. Niemniej od polityków państw zachodnich rozumiałem potrzebę postępowania tak, żeby nie było nawet pozorów, iż działamy przeciw Rosji. Z drugiej strony, rozumiałem, że wysunięcie postulatu niepodległości Polski jest sprawą pilną ze względu na samo powodzenie wojny. Trzeba było postępować ostrożnie, ale bez wahań iść prostą drogą do celu.

Muszę stwierdzić, że ogromnie mi ułatwił moją delikatną rolę wysoki takt dyplomacji rosyjskiej. Przedstawiciele Rosji za granicą, w szczególności ambasador w Londynie, hr. Benkendorf, i w Paryżu Izwolskij, z którymi wiele miałem do czynienia, obaj ludzie szerokiego umysłu i dużej kultury, zachowując dyskretną rezerwę w stosunku do mojej akcji, nie usiłowali mię wyciągać na słowa, wywierać na mnie jakiegokolwiek nacisku, w osobistych zaś stosunkach okazywali wielką uprzejmość i nawet uczynność, choć jej nie żądałem. Językiem naszych rozmów był wyłącznie francuski. W nawiasie powiem, iż chciałbym, ażeby nasza dyplomacja stanęła rychło na tym poziomie wyrobienia i miała na swe usługi ludzi tej miary.

Co do rządów i sfer wpływowych w państwach zachodnich, to zgóry można było przewidywać, że najostrożniej względem nas zachowają się we Francji. Ze wszystkich państw Francja najściślej była związana z Rosją, najbliżej czuła zależność swego położenia na froncie od udziału Rosji w wojnie, z drugiej zaś strony, we Francji lepiej, niż gdzie indziej, znano Polaków, więcej miano z nimi do czynienia i wiedziano, w jak nieprzejednany sposób mają zwyczaj stawiać swój stosunek do Rosji. Obawiano się tedy słusznie, żebyśmy nie postawili jej w kłopotliwe położenie. Trzeba stwierdzić, że tę samą mniej więcej ostrożną postawę zachowywały sfery oficjalne we Włoszech. Najdostępniejsi do rozmów o kwestji polskiej byli politycy angielscy. Najmniej bodaj ją znali, korzystali więc chętnie ze sposobności zapoznania się z nią i zorjentowania się, jaką rolę w tej wojnie może ona odegrać, do czego w niej iść należy przy zawieraniu pokoju.

Licząc się z temi warunkami, nie próbowałem nawet w początku wchodzenia w kontakt z rządem francuskim, zostawiłem to sobie na ostatek, a gdy mi Izwolskij zaproponował wprowadzenie mnie w koła rządzące we Francji, podziękowałem mu i oświadczyłem, że będę o to później prosił. Założyłem sobie główną kwaterę w Londynie, nietylko dlatego, że tam miałem najwięcej dawniejszych stosunków w świecie politycznym, ale także, i to przedewszystkiem dlatego, że tam było najwięcej do roboty, że tam grunt w kwestji polskiej był najmniej przygotowany. Liczyłem się również z wielką wśród innych zaletą świata anglosaskiego, że tam można spotkać wielu ludzi, zdolnych naprawdę zająć się jakąś sprawą, zapalić się nawet do niej i wiele dla niej bezinteresownie zrobić. Miałem też przekonanie, które mam i dzisiaj, że szeroka myśl polityczna, głębsze zrozumienie dobra Anglji nakazuje polityce angielskiej poparcie Pol-

ski na całej linji[1]. Muszę stwierdzić, że ten mój pogląd podzielało bardzo wielu ludzi w Anglji, z którymi się zetknąłem, i że przyjęcie, z jakiem się spotykały wówczas nasze aspiracje w świecie angielskim, dalekie było od późniejszej polityki Lloyd George'a.

Zainteresowano się też w Anglji moim poglądem, że najskuteczniejszem w owej chwili posunięciem w walce politycznej z Niemcami byłoby oficjalne umieszczenie niepodległości Polski w programie wojny. Naturalnie, rozumiałem, że musiałaby to zrobić przedewszystkiem Rosja, i od niej to chciałem osiągnąć.

Z najmniej przyjaznem przyjęciem naszych dążeń i naszego stanowiska spotkałem się w miejscu, w którem zdawałoby się, najmniej należało tego oczekiwać, mianowicie w Watykanie. Miałem wrażenie, że Papież Benedykt XV jest bardzo życzliwie dla Polski usposobiony, nie mogłem wszakże poznać bliżej jego stanowiska, bo dyplomacja watykańska postawiła mi za warunek, żebym na audjencji o polityce nie mówił. Natomiast rozmowy z kierownikami polityki watykańskiej aż nadto jasno mi określiły ich stanowisko.

Poruszam przedmiot dla kraju katolickiego bardzo drażliwy, ale zarazem bardzo ważny i wymagający poważnego i ścisłego traktowania. Rozróżniam Kościół i politykę Stolicy Apostolskiej. Kościół dla katolików jest władzą, której w rzeczach wiary są obowiązani bezwzględne posłuszeństwo. Polityka watykańska jest rze-

---

[1] Przyznaję się otwarcie do błędu. Rychło doświadczenia i zastanowienie się nad posunięciami politycznemi W. Brytanji nauczyły mię, że dążenia sfer kierowniczych angielskich były naogół przeciwne temu, com sobie wyobrażał. Błąd mój pochodził z jednostronnego rozumienia celów Anglji w tej wojnie. Nie chodziło jej o osłabienie ogólne Niemiec, tylko o wycofanie ich z polityki światowej oraz pozbycie się rywala i powrót ich na drogę polityki pruskiej. (Przypisek nowy, z r. 1937).

czą ludzką, jak każda rzecz ludzka, nie wolną od błędów i staje w równym rzędzie z polityką wszystkich państw. Najbardziej katolickie państwo ma obowiązek o tyle tylko z nią się łączyć, o ile nie stoi ona w sprzeczności z dobrem państwa i narodu.

Mnie się zdaje, że polityka watykańska popełniła duże podczas wojny błędy, w szczególności w stosunku do Polski.

Stanowisko jej w sprawie polskiej najlepiej określa rozmowa, jaką miałem w styczniu 1916 r. z wysokim dygnitarzem watykańskim, a z której dosłownie przytaczam część mającą znaczenie.

Zostałem zapytany:

— Dlaczego pan idzie z Rosją?

— Bo mi trzeba, żeby Niemcy były pobite.

— Na cóż panu przegrana Niemiec?

— Bo bez niej nie będzie zjednoczonej Polski.

— To pan sądzi, że zjednoczona Polska będzie szczęśliwa pod berłem monarchy rosyjskiego?

— Sądzę, że Polska może pozostawać pod obcemi rządami, dopóki jest podzielona. Gdy będzie zjednoczona, będzie niepodległa. Dążąc do zjednoczenia, dążymy do Polski niepodległej.

Na to usłyszałem wybuch śmiechu.

— Polska niepodległa? Ależ to marzenie, to cel nieziszczalny!...

Nie powiem, żeby moje polskie ucho było tem mile dotknięte. Zapytałem na to:

— Cóżby nam Wasza Eminencja doradzała?

— Wasza przyszłość jest z Austrją.

Temi słowy zalecano mi w Watykanie politykę, która w Polsce korzystała z tytułu „niepodległościowej". Polska niepodległa to marzenie nieziszczalne — przyszłość jest z Austrją. Sądzę, że Stolica Apostolska była dobrze poinformowana o zamiarach Austrji względem

Polski. Pocóż więc politycy krakowscy występowali jako szermierze „niepodległości"? Trzebaby to wyjaśnić, żeby raz nareszcie skończyć z tą „niepodległościową" mistyfikacją.

Polityką niepodległości nie jest ta, która o niej mówi, ani nawet ta, która jej tylko chce, jeno ta, która do niej prowadzi i ma jakiekolwiek widoki doprowadzenia. Jeżeli się popiera w wojnie dwa potężne państwa, to o tyle jedynie wolno to nazywać walką o niepodległość, o ile się ma odpowiednie od tych państw przyrzeczenia lub zobowiązania. Inaczej, oszukuje się swych naiwniejszych rodaków. Polityka nasza nie ogłaszała się w początku wojny za politykę niepodległości, bo nie miała do tego prawa, i nie byłoby w tem zdrowego sensu. Nazywała się skromnie polityką zjednoczenia, do czego miała prawo, bo Rosja postawiła zjednoczenie ziem polskich w programie wojny, a w pozostałych państwach sprzymierzonych to jej oświadczenie gorąco przyjęto.

Pobyt w Londynie, Paryżu, Rzymie i w Szwajcarji utwierdził mię w przekonaniu, że położenie państw sprzymierzonych w wojnie jest złe, że silnej wiary w zwycięstwo niema, że zaczyna się dawać czuć pewna depresja, pewien rozkład ducha. Propaganda niemiecka w krajach neutralnych zrobiła ogromne postępy, a nawet przenikała widocznie do państw sprzymierzonych. Zaczęły się zjawiać pierwsze symptomy „defetyzmu". Niemcy miały wielką pewność siebie, czy też ją udawały.

Ze strony niemieckiej gorliwie pracowano nad tem, żeby sprawę polską mieć wyłącznie w swem ręku, żeby nie dopuścić jej rozwoju w polityce państw sprzymierzonych. Wśród Polaków w Szwajcarji, stojących nieco dalej od naszego obozu, zaczęła się zjawiać dezorjentacja. Państwa centralne wśród nich pracowały, ze strony państw sprzymierzonych nic nie robiono. Stanowisko

Rosji hamowało wszelką z tej strony inicjatywę. Ambasador Izwolskij w Paryżu, z polecenia swego rządu, bacznie czuwał nad tem, żeby kwestja polska nie przenosiła się na teren międzynarodowy.

Nawet moją osobą życzliwie się ze strony niemieckiej zainteresowano. Powiedziano mi przez usta człowieka, mającego bardzo duże w Niemczech stosunki, że, o ilebym chciał wrócić do Warszawy, rząd niemiecki na pewnoby nie stawiał przeszkód. Później dostałem już wyraźną propozycję pojechania do Berlina na rozmowę z kanclerzem, z obietnicą listu żelaznego tam i z powrotem do Szwajcarji, o ilebym chciał wrócić.

O tem, jak gorliwie pracowano nad tem, żeby wszystkich Polaków pozyskać dla niemieckiego rozwiązania kwestji polskiej, świadczy najlepiej fakt następujący.

W grudniu 1915 r. poznalem się w Szwajcarji z Polakiem, pozostającym w austrjackiej służbie dyplomatycznej. Rozmawialiśmy o położeniu i, ma się rozumieć, wypowiedział on zdanie, że wojna jest już dla państw centralnych wygrana i że rozstrzygnięcie kwestji polskiej do nich nieodwołalnie należy. Powiedziałem mu, że ja nie jestem tego tak pewny, ale że gdyby tak było, to Polskę spotkała niesłychana klęska. Wykładając mu, na czemby polegała ta klęska, wskazałem między innemi, że wejście Polski w orbitę niemiecką oznaczałoby ruinę przemysłu polskiego i zabicie wszelkiego rozwoju w tym kierunku.

Wracając po miesiącu z Rzymu, spotkałem w Lozannie tegoż samego człowieka, który mi oświadczył, że treść rozmowy naszej zakomunikował von Rombergowi, posłowi niemieckiemu w Szwajcarji. Ten ze swej strony zaraportował ją do Berlina, i z Berlina przysłano dla mnie telegraficzną notkę w sprawie przyszłości przemysłu polskiego przy rozwiązaniu sprawy polskiej przez Niemcy. Była napisana umiejętnie, nie było w niej ordynarnej

przesady, ale treść jej była wcale optymistyczna. Widziałem, że przy ruchliwości Niemców a bierności państw sprzymierzonych na terenie walki politycznej szala coraz bardziej się będzie przechylała na korzyść Niemiec, i że położenie sprawy polskiej będzie coraz gorsze. Była potrzeba jakiegoś kroku radykalnego.

Przybywszy tedy do Paryża, poprosiłem Izwolskiego o dłuższą rozmowę. Natychmiast mi ją ofiarował.

W dwugodzinnej rozmowie wyłożyłem mu mój pogląd na ogólną sytuację polityczną, na położenie Rosji, wykazałem, że sprzymierzeńcy w walce politycznej idą do przegranej, która grozi pociągnięciem za sobą przegranej w wojnie, i zakończyłem wnioskiem, że, nie zwlekając, trzeba ogłosić deklarację, oficjalnie stawiającą w programie wojny odbudowanie niepodległego państwa polskiego.

Izwolskij słuchał uważnie, nie przerywając mi, kiedym zaś skończył, powiedział krótko:

— Ma pan słuszność, zdanie pańskie podzielam w całości.

— Naturalnie — dodał — mówi pan to do mnie w celu, żeby to doszło do Piotrogrodu?

— Ma się rozumieć — odpowiedziałem.

— Natychmiast zadepeszuję krótkie streszczenie naszej rozmowy. Boję się wszakże, żebym czegoś z pańskich myśli nie przeinaczył, i proszę pana o wyłożenie tego, co mi pan powiedział, w memorjale, który prześlę ministrowi.

Po kilku dniach przyniosłem mu memorjał. Przeczytał go przy mnie i zapytał:

— Czy przy słowach „ustanowienie państwa polskiego" nie byłoby dobrze dodać „w związku dynastycznym z Rosją"?

— Nie — odpowiedziałem — to niepotrzebne.

Uważałem, że tylko pełny akt, bez żadnych za-

strzeżeń, mógł mieć doniosłe znaczenie polityczne. Rozstaliśmy się jak najlepiej i memorjał poszedł do Piotrogrodu. Przyjechawszy wkrótce potem do Londynu, dowiedziałem się od hr. Benkendorfa, że memorjał przeszedł przez jego ręce do ministerstwa, że go czytał i że jego zdaniem zrobiłem krok bardzo poważny, tylko ma on pewne wątpliwości, czy go w Piotrogrodzie należycie zrozumieją.

Ja wątpliwości nie miałem, byłem pewien, że wywoła on tam niezadowolenie. Nie łudziłem się, żeby odniósł bezpośredni skutek, ale uważałem oficjalne i otwarte postawienie sprawy za konieczne, ażeby móc rozpocząć swobodną w niej dyskusję i żeby to nie wyglądało na intrygi poza plecami Rosji.

Kopję memorjału zakomunikowałem rządom państw sprzymierzonych. [1]

W jakiś czas potem hr. Benkendorf zaprosił mię na rozmowę. Zakomunikował mi, iż ma wiadomości z Piotrogrodu, że moje postawienie sprawy polskiej wywołało w sferach rządowych niezadowolenie i że starają się je tam fałszywie komentować; wobec tego dobrze byłoby, żebym pojechał do Piotrogrodu swego stanowiska bronić.

Odpowiedziałem mu, że właśnie jedzie w tym celu hr. Konstanty Plater.

Miałem wrażenie, że ambasador otrzymał instrukcję namówienia mię na powrót do Rosji, i przewidywałem, że gdybym był pojechał, nierychłobym się wydostał z powrotem na Zachód.[2] Tu zaś już otwierała się najważniejsza w sprawie polskiej praca.

---

[1] Patrz: Aneks III. T. VI.

[2] Wyjazd mój z Rosji nastąpił bez porozumienia z rządem. Przewidując, że z tej strony mogę mieć trudności, postarałem się o pozwolenie na paszport z kwatery głównej, od cesarza. Hr. Adam Zamoyski, który był adjutantem przy kwaterze, przedstawił cesarzo-

IX

NA TERENIE MIĘDZYNARODOWYM

Propozycja wniesienia niepodległości Polski do programu wojny stanowi w naszej akcji przejście do nowego okresu.

Mówię — propozycja, bo nie można tego nazwać żądaniem. Żądać można wtedy, kiedy się ma w swem ręku środki zmuszenia strony przeciwnej do spełnienia żądania. Polityka polska tych środków nie miała. Jedynym mogłaby być groźba, że przejdziemy na stronę Niemców. Toby wszakże była groźba popełnienia z naszej strony samobójstwa, a to nawet w miłości, nietylko w polityce, nie skutkuje. Chcąc tedy coś osiągnąć, mogliśmy tylko proponować i wykazywać, że to jest potrzebne, że leży w interesie państw sprzymierzonych.

W danym razie postawienie jasno sprawy odbudowania państwa polskiego było istotnie potrzebne dla celów wojny. Mam też przekonanie, że w państwach zachodnich zaczynano sobie zdawać z tego sprawę. Jednakże rozumiano, że to mogłaby zrobić tylko Rosja, że sprzymierzeni nietylko nie mogą tego zrobić bez niej,

---

wi potrzebę naszego porozumienia się z Polakami na zachodzie, zwłaszcza w Szwajcarji, w celu ujednostajnienia naszej postawy. Cesarz uznał tę potrzebę i jej pilność i polecił wydać mi paszport. Ten paszport hr. Benkendorf w Londynie zaproponował mi zamienić na dyplomatyczny, z czego skorzystałem. Od r. 1917 używałem paszportu dyplomatycznego francuskiego, a w końcu polskiego, wystawionego przez Komitet Narodowy.

ale nawet nie mogą w tym względzie wywierać na nią nacisku w obawie, że toby ją mogło pchnąć w objęcia Niemiec.

Myśmy sobie z tego położenia zdawali całkowicie sprawę, i dlatego swą propozycję zwróciliśmy oficjalnie pod adresem Rosji, nie w nadziei, że będzie natychmiast przyjęta, ale żeby mieć rozwiązane ręce do dalszego działania.

Nawiasem tu wtrącę, że przeciwnicy nasi w Polsce rozpisywali się wiele o uzależnieniu naszej polityki od Rosji. Otóż powiem, że większej trzeba niezależności od Rosji na to, żeby rządowi rosyjskiemu w oczy powiedzieć, iż trzeba uznać niepodległą Polskę, niż żeby krzyczeć o niepodległości i złorzeczyć Moskalom — pod okupacją niemiecką lub po gazetkach wydawanych w Szwajcarji.

Podnoszę to, bo chcę wskazać, że jeżeli polityka nasza mogła się w ciągu wojny konsekwentnie, planowo rozwinąć i doprowadzić do urzeczywistnienia naszych dążeń, to tylko dlatego, że była to polityka polska, niezależna w najmniejszej mierze od jakichkolwiek obcych wpływów. Zbieraliśmy owoce wielu lat pracy myśli i wytężonej walki przeciw obcym wpływom, przeciw kierunkom politycznym, które z obcych natchnień czerpały siłę. Dzięki tej pracy i tej walce byliśmy jedynym w Polsce obozem, który w tej wielkiej, trudnej chwili dziejowej okazał się zdolnym do stanięcia na własnych nogach, do pokierowania sprawą polską dla Polski, a nie dla obcych.

Ta nasza walka przeciw obcym wpływom nie pochodziła z jakiegoś płytkiego szowinizmu, czy z pierwotnej ksenofobji. Myśmy nie przeceniali wartości swego narodu, przeciwnie, walczyliśmy z wszelkiemi w tym kierunku zachciankami; chętnieśmy się uczyli od obcych i wieleśmy się nauczyli. Aleśmy mieli to głębokie przekonanie, że zmagać się z trudnemi, nie spotykanemi

nigdzie zagadnieniami naszego bytu i naszej narodowej sprawy mogą tylko samoistne mózgi polskie, nie bojące się myśleć na własny rachunek, że uczciwie służyć sprawie polskiej mogą tylko niezależne polskie sumienia, nie ujarzmione przez obcych na żadnej drodze.

To też ze wszystkich polityk, jakie wchodziły w grę w tej całej wojnie, żadna nie była bardziej niezależna od naszej: ani jednego kroku nie byliśmy zmuszeni w ciągu wojny zrobić, któryby nie był podyktowany przez nasz rozum i nasze sumienie.

Krok, o którym mowa — wystąpienie z programem niepodległości — był owocem głębokiego namysłu. Zdawaliśmy sobie sprawę z jego stron ujemnych. Nie był on pożądany z punktu widzenia troski, wspólnej państwom zachodnim i wielu Rosjanom, i nam samym — o utrzymanie udziału Rosji w wojnie, o niedopuszczenie do pogodzenia się jej z Niemcami. Ale jedna troska nie może zasłaniać całości położenia. W położeniu zaś, jakie się wytworzyło po zajęciu Polski przez państwa centralne, ręka Rosji, ciążąca nadal na sprawie polskiej i nie dopuszczająca do jej wyniesienia na teren międzynarodowy, przerzucała tę sprawę w dziedzinę wyłącznego wpływu niemieckiego przez to, że paraliżowała w jej zakresie państwa sprzymierzone. Chcąc wyrwać sprawę polską z rąk niemieckich, trzeba ją było wyrwać z rosyjskich.

Memorjał, złożony rządowi rosyjskiemu na ręce Izwolskiego, był początkiem naszej akcji ku umiędzynarodowieniu sprawy polskiej, która to akcja rozwijała się już dalej bez przerwy.

Ten nasz krok zamyka najtrudniejszy, najniewdzięczniejszy okres naszej polityki wojennej, okres wszakże, który dla przyszłych losów sprawy polskiej miał może największe znaczenie. W tym pierwszym okresie, poza jedynym aktem pozytywnym, wysunięciem programu

zjednoczenia ziem polskich w deklaracji Jarońskiego, rola nasza sprowadzała się prawie wyłącznie do utrzymania stanowiska solidarnego z Rosją, do czuwania nad tem, żeby tej solidarności nie zerwać, żeby niczem się nie przyczynić do pogodzenia Rosji z Niemcami. Nigdy nie będzie można ściśle powiedzieć, co ta ciężka i nieraz bardzo przykra praca dała, od czego nas uchroniła. Jeżeli wszakże przyczyniła się ona do tego, że Rosja wytrwała w wojnie, że się z niej nie wycofała przez osobny pokój z państwami centralnemi — to uratowała Polskę[1].

[1] Pomaga mi do uwydatnienia wartości tej polityki prof. Askenazy w swych *Uwagach*, wykazując mozolnie, na podstawie dokumentów, stały nieprzerwany związek Rosji z Niemcami, bezwzględną niechęć rządu rosyjskiego do przeciwstawienia się Niemcom, do oddalenia się od nich. Gdyby nie antagonizm Rosji do Austrji, nigdy byłoby do tej wojny nie doszło. Zamiarem p. Askenazego było wykazać, że nasza polityka solidarności z Rosją była z gruntu błędna, bo myśmy chcieli iść przeciw Niemcom, a Rosja szła przeciw Austrji, ku Niemcom zaś ciążyła. Gdyby p. Askenazy był mniej powierzchowny, toby zrozumiał, że to polityka rządu rosyjskiego była błędna, polegała bowiem na niezrozumieniu stosunku między Austrją a Niemcami i myślała, że można być w konflikcie z Austrją, a w zgodzie z Niemcami. Nasza polityka polegała nie na przenikaniu, co Rosja chce zrobić, jeno na przewidywaniu, co będzie musiała zrobić.

Myśmy nie mieli w ręku dokumentów, które dla pana Askenazego, zresztą także dopiero po wojnie, stały się dostępnemi, ale i bez nich intencje rządu rosyjskiego nie były nam obce. I dlatego takeśmy się obawiali odrębnego pokoju między Rosją a Niemcami. Z tej obawy właśnie pochodziła linja naszej polityki w pierwszym roku wojny.

Żeby się zorjentować w polityce rosyjskiej, trzeba nietylko znać robotę kancelaryj rosyjskich, ale także rozumieć, w jakim kierunku pchał Rosję rozwój jej życia. Kto to rozumiał, ten widział, że się przygotowuje koniec tej Rosji, która stała na związku z Niemcami, Rosji Piotra Wielkiego, zbudowanej na podstawach, które starczyły na dwa stulecia, ale na dłużej już starczyć nie mogły. O tem się nie można było dowiedzieć z aktów kancelaryjnych.

P. Askenazy ma umysł wybitnie kombinacyjny, ale całkiem

W okresie, który teraz się rozpoczyna, sprawa polska w pewnym sensie upraszcza się. Zajęcie całej Polski przez państwa centralne usunęło z porządku dziennego bardzo trudną, grożącą ciągłemi komplikacjami kwestję stosunków polsko-rosyjskich na gruncie polskim. Stosunek między nami a Rosją stał się praktycznie stosunkiem zewnętrznym, o wiele łatwiej dającym się uchronić od tarć niebezpiecznych. Sprawy aktualne między nami

---

pozbawiony wyobraźni, bez której niema mowy ani o twórczości politycznej, ani o rozumieniu historji. Dokumenty historyczne w jego ręku nie ożywiają się: są jak księga Talmudu w ręku komentatora. Nadto patrzy on na politykę, jak na handel. Widzi w niej tylko plany i zamierzenia gabinetów, poszczególnych polityków lub tajnych stowarzyszeń. To też historja jest w jego oczach tylko wypadkową zabiegów, układów, fortelów, intryg i spisków. Jakby nie istniało dla niego to, co stanowi główną treść dziejów ludzkości, mianowicie rozwój i zmaganie się wielkich sił psychiki zbiorowej, sił, które w końcu przechodzą do porządku dziennego nad planami najprzebieglejszych dyplomatów, nad zamierzeniami najpotężniejszych rządów. Rozumieć i w przybliżeniu oceniać te *imponderabilia* — to największa zdolność polityka, śledzić ich rozwój i działanie — to pierwsze zadanie historyka.

Niestety, dla pana Askenazego to rzeczy niedostępne, i dlatego skutek jego mozolnych wysiłków jest względnie nikły, czasami zaś, jak w swoich *Uwagach*, pisze on ubrane w uroczystą formę dziecińśtwa.

Szkoda, że p. Askenazy nie chciał nam podczas wojny powiedzieć, co należy robić. Może bylibyśmy uniknęli tych błędów, które nas doprowadziły do zjednoczonej i niepodległej Polski tak strasznym kosztem, jak rozbiór Austro-Węgier. Ale on podczas wojny starał się tylko być złośliwym względem ludzi, którzy coś robili. Dziś dowiadujemy się od niego, że był po stronie aljantów: szkoda, że wówczas nie można się było tego na żaden sposób dowiedzieć. Należy on do tego żywotnego gatunku ludzi, którzy tak się urządzają, żeby zawsze móc powiedzieć: „nasi zwyciężyli".

Miał on jedną w tej wojnie wyższość nad nami: gdyby ojczyzna polska była w niej przepadła, niezawodnie znalazłby sobie inną. My biedacy mamy tylko tę jedną Polskę, i dlatego musieliśmy ją ratować wszelkiemi sposobami.

a rządem rosyjskim przestały właściwie istnieć. Przyszłość Polski, o ile nie miały o niej decydować Niemcy, stała się już właściwie zależną od państw zachodnich, a nie od Rosji, pomimo, że formalnie Rosja ciągle sobie zastrzegała wyłączną o niej decyzję.

Obawa porozumienia Rosji z Niemcami nie przestawała istnieć, nawet wzrastała, skutkiem tego, że żywioły w Rosji, pracujące w tym kierunku, nabrały śmiałości i coraz wyraźniej występowały, zwłaszcza z chwilą, gdy na czele rządu stanął Stürmer. Gdyby Niemcy mogły były poświęcić Austrję, pokój ich z Rosją dawno byłby już doszedł do skutku. Tylko dla Niemiec opuszczenie Austrji nie byłoby zdradą sojusznika, jeno zrzeczeniem się protektoratu, stanowiącego podstawę do całej ich ekspansji kontynentalnej, zrzeczeniem się planu Berlin-Bagdad.

Państwa zachodnie robiły coraz większe wysiłki, żeby Rosję ściślej z sobą związać, unikały wszystkiego, coby ją mogło zrazić i odepchnąć. Rozumiejąc, że tu o naszą przedewszystkiem skórę chodzi, nietylko staraliśmy się im tego zadania nie utrudniać, ale pomagać im przez zachowanie jak najpoprawniejszych z Rosją stosunków. Wielką zasługą była praca w tym kierunku ludzi, którzy pozostali w Rosji, w szczególności Zygmunta i Władysława Wielopolskich oraz Ignacego Szebeki.

W tym wszakże nowym okresie, gdyśmy się przyjrzeli bliżej położeniu w państwach zachodnich, zjawiła się nowa obawa — o to, czy te właśnie państwa wytrzymają do końca, czy starczy im ducha, tego, co francuzi nazywają *le moral*, czy nie zawrą przedwczesnego pokoju, pozostawiając wojnę nierozegraną. Objawów, budzących te obawy, nie brakowało. Niebezpieczeństwo pochodziło głównie stąd, że Niemcy, zachwiane w swej wierze w wielkie zwycięstwo, zaczynają swą propagandę na rzecz pokoju. Dla nas, których tylko powalenie potęgi

niemieckiej uratować mogło, taki koniec wojny byłby straszną klęską.

Stąd stanęło przed nami nowe zadanie — walka w państwach zachodnich z ideą nierozegranej wojny.

Cóżby nam przyszło z tego, gdyby sprzymierzeńcy, łącznie nawet z Rosją, przyznali nam najuroczyściej wszystko, czegośmy pragnęli, ale gdyby nie wygrali wojny, gdyby Niemcy nie zostały pobite!...

Trzeba było przedewszystkiem pracować dla zwycięstwa sprzymierzonych. Zarówno na to, żeby je mieć, jak żeby być jego uczestnikami.

Później, gdy warunki na to pozwoliły, tworzyliśmy wojsko polskie w Rosji. Niestety praca ta została zniszczona. Następnie zorganizowaliśmy armję polską we Francji — ta wszakże miała znaczenie raczej formalne. Cóż mogły zaważyć na losach wojny dwie dywizje, które przed rozejmem zdołano zaledwie uformować, z których tylko jeden pułk zdążył być na froncie...

Jeżeliśmy się coś mogli przyczynić do zwycięstwa, to naszą pracą polityczną. Poza tem, cośmy robili w Rosji, w okresie, o którym mowa, tę pracę dla sprawy sprzymierzonych rozwinęliśmy zarówno w państwach zachodnich, jak w kraju, pod okupacją. I to, cośmy robili, nie było bez znaczenia.

Na Zachodzie, zwłaszcza w Anglji, mało znano nietylko Polskę, ale całą środkową Europę. Jest to smutną stroną rządów parlamentarnych, że do steru państwa przychodzą ciągle nowi ludzie, ludzie, którzy nie poznali i nie przemyśleli najważniejszych zagadnień polityki, zwłaszcza zewnętrznej, nie wiedzą często najelementarniejszych rzeczy z tej dziedziny. Ludzie, odgrywający wybitną rolę i mający wielki wpływ na wypadki, częstokroć nie zdawali sobie całkiem sprawy z pozycji Niemiec w Europie środkowej i wschodniej, z istoty węzłów łączących Austro-Węgry z Niemcami, nie doceniali potęgi

wpływów niemieckich w Rosji i na Bałkanach. Stąd nie rozumieli, że po pierwszym okresie wojny, który te wpływy na ogromnej przestrzeni zacieśnił i skonsolidował, wojna nierozegrana pozostawiłaby Niemców panami całej wschodniej połowy Europy i dałaby im możność przygotowania w krótkim czasie drugiej wojny, w którejby już zwycięstwo na pewno do nich należało.

Tu nam się przydała nasza znajomość terenu środkowo- i wschodnio-europejskiego i nasze rozumienie polityki niemieckiej. Zużytkowaliśmy ją do energicznej propagandy prowadzonej nie w masach, ale wśród ludzi znaczących, mających wpływ na politykę państw zachodnich i na ich opinję publiczną — wśród członków rządów i parlamentów, wśród fachowych doradców rządów, wreszcie wśród kierowników prasy. Był to okres wytężonej pracy. Mam to przekonanie, żeśmy się przyczynili do wyjaśnienia zagadnień politycznych tej wojny, do utrwalenia poglądu, że wojna zakończona bez decydującego zwycięstwa byłaby klęską, że tylko wielkie zwycięstwo sprzymierzonych mogło ocalić świat od panowania Niemiec.

W kraju, widoczne było, że Niemcy chcą zjednać sobie Polaków, zaprząc ich do służby swej sprawie, zdobyć dowody dla świata, że aspiracjom polskim odpowiada urządzenie Polski przez Niemcy, i nawet dostać obfity, w znacznej mierze niezużytkowany materjał ludzki Królestwa do szeregów, bijących się przeciw sprzymierzonym. Trzeba było te ich usiłowania sparaliżować. Opinja kraju w swej ogromnej większości pozostała wrogą Niemcom, kierujące nią Koło Międzypartyjne w Warszawie wytrwale stawiało opór kusicielstwu, było wszakże skrępowane ogromnie w swej działalności, gdy „aktywiści", korzystający z poparcia okupantów, prowadzili hałaśliwą agitację, operując fałszywemi doniesieniami ze źródeł niemieckich, starając się zahypnotyzować

ogół, wmówić weń, że sprawa sprzymierzonych jest już nieodwołalnie przegrana. W takich warunkach ludzie słabsi się chwieją, trzeba im podtrzymania. Kierownicy Koła Międzypartyjnego musieli mieć naszą pomoc w postaci informacyj z Zachodu, neutralizujących fałszywe wiadomości niemieckie, musieli mieć dowody dla swoich, że my sami wierzymy, że nie ustajemy w walce, że idziemy do zwycięstwa. Komunikacja zaś była niesłychanie trudna i niebezpieczna. Mieliśmy ją wszakże, i to nawet dość częstą, przedewszystkiem dzięki naszym rodakom z Poznańskiego. Znaleźli się tam ludzie, którzy z narażeniem życia jeździli wielokrotnie między Lozanną a Warszawą, tu zapoznawali się z położeniem na Zachodzie i z naszą pracą, wysłuchiwali naszych poglądów na stan rzeczy i naszych wskazówek, jakiceśmy chcieli krajowi przesłać; tam zdawali sprawę z tego, co widzieli i słyszeli, demaskowali kłamstwa niemieckie i swojej wiary innym udzielali. Była to wielka, niezapomniana zasługa takich ludzi, jak mój stary przyjaciel, Władysław Grabski z Kurcewa, jak Zofja Sokolnicka, która przewoziła obszerną korespondencję, w sposób najlepiej zabezpieczony od czujnego oka władz pruskich, bo wyuczając się jej dosłownie napamięć. Ci nie mieli wahań, wiedzieli, że tu los Polski rozstrzyga się ostatecznie, że dziś albo nigdy. Ówczesny prezes Koła Polskiego w Berlinie, Władysław Seyda, zaglądał też do Szwajcarji i naradzał się z nami nad taktyką Polaków w Reichstagu.

Jeszcze to jeden dowód, jak czynny udział brało społeczeństwo zaboru pruskiego w polityce zjednoczenia Polski, polityce, która oderwanie tych ziem od Niemiec za pierwszy cel sobie postawiła. Łatwo zrozumieć tę gorycz, jaką w niem musiała budzić inna polityka, pretendująca do miana polskiej, która się tych ziem zrzekała.

Pamiętam, w owym czasie jeden z ziemian poznań-

skich, który przybył do Szwajcarji, opowiadał mi, że chodził u siebie po polu z miejscowym gospodarzem. Chłop z radością mu pokazywał sczerniałą nać kartoflaną, triumfował, że ziemniaki przepadną. Gdy ziemianin się zdziwił, że on się z tego cieszy, chłop odpowiedział:

— Moje ziemniaki przepadną, ale Szwaby przegrają wojnę.

Tę historję nieraz opowiadałem politykom angielskim, gdy ci, nauczeni przez Niemców i żydów, twierdzili, że ludność Poznańskiego jest już przywiązana do Niemiec i nie chciałaby do Polski należeć. I była ona najlepszym argumentem. Bo gospodarz cieszący się z nieurodzaju — to zjawisko niepospolite.

Poznańskie — to nie była pierwsza lepsza bierna prowincja kresowa, którą można tak lub inaczej rozporządzać, zależnie od widoków politycznych. To była zdrowa, mocna część żywej Polski, najbardziej świadomy w swej masie odłam narodu, mający najmocniej rozwiniętą wolę zbiorową i najzdolniejszy do wcielania zamierzeń w czyny. Ten odłam narodu nie pozwalał, żeby inni decydowali, czy chcą go widzieć w Polsce — on sam o swej przyszłości postanawiał i sam ją tworzył. On nietylko chciał być w państwie polskiem, ale miał coś w tem państwie do powiedzenia. I dlatego, że miał coś do powiedzenia, niechętnie był widziany przez zwyrodniały gatunek Polaków. W dążeniu naszem do wyrwania tej ziemi z rąk niemieckich myśmy byli nietylko przedstawicielami szerokiej myśli polskiej, jedynej, jaka miała prawo polską się nazwać, ale i wykonawcami mocnej woli żywego na tej ziemi narodu polskiego.

Jednocześnie z pracą dla zwycięstwa, dla sprawy sprzymierzeńców — w kraju i zagranicą, zabraliśmy się do budowania Polski w umysłach tych ludzi w państwach sprzymierzonych, których zajmowały sprawy

pokoju po wojnie i do których należało ten pokój przygotowywać.

Trzeba zważyć, że sprawa polska przed wojną w Europie nie istniała, że nikt prawie się Polską nie interesował, że propagandy polskiej żadnej nie było. Jeszcze to jedno wielkie przewinienie szkoły krakowskiej, że ogłosiła ona za rzecz nierozumną i niebezpieczną wszelką pracę dla Polski poza granicami państw, do których ziemie polskie należały. Udało jej się wmówić w szerokie koła naszego ogółu, że od Europy niczego nie mamy się spodziewać i niczego w niej szukać nie mamy. Skutek jej nauk był taki, że od pięćdziesięciu lat zniknęliśmy w Europie: byli już tacy, co nas uważali za naród umarły. A tymczasem Niemcy i Rosja swoją umiejętnie zorganizowaną propagandą urabiały o nas pojęcia takie, jakie im były dogodne. Specjaliści „naukowi", zajmujący się nami, jak Léger we Francji, spadkobierca Mickiewicza na katedrze w *Collège de France*, jak Morfill w Anglji, obniżali pojęcia o nas, gorliwie psuli nam reputację. Dopiero w ostatniem przed wojną kilkunastoleciu zaczęto się na nowo nieco interesować nami, jako czynnikiem przeciwniemieckim, dzięki walce prowadzonej przez Polaków w zaborze pruskim, postawie naszego Koła w rosyjskiej Dumie, wreszcie dzięki neoslawizmowi. Korzystaliśmy z tego na kilka już lat przed wojną, żeby prawdę o Polsce szerzyć i nowe pojęcia o niej urabiać, tak wszakże byliśmy ubodzy w środki, żeśmy wiele zrobić nie mogli.

Normalna historja, i wielkich, i małych nawet kwestyj w polityce międzynarodowej jest taka, że rozstrzygnięcie ich poprzedzają długie okresy przygotowawcze, okresy propagandy i dyskusji. Od postawienia kwestji na porządku dziennym do jej ostatecznego rozstrzygnięcia zwykle wiele lat upływa. Powtarzałem to nieraz w mych dyskusjach na Zachodzie, że głowa ludzka jest jak bu-

telka wina: długo się musi nowe wino w niej odstać, żeby było możliwe do picia. Otóż myśmy musieli postawić i odrazu prawie osiągnąć ostateczne rozstrzygnięcie największej kwestji w Europie, kwestji od lat pięćdziesięciu zdjętej z porządku dziennego, zapomnianej, nieznanej, nie rozumianej, mającej na swej drodze mnóstwo potwornych fałszów, które przez te pięćdziesiąt lat o Polsce rozszerzono. Widzieliśmy, że jeżeli chcemy wygrać, musimy szybko wykonać olbrzymią pracę.

Nie można było iść utartemi w tych rzeczach drogami, tworzyć obfitej literatury o Polsce, organizować towarzystw przyjaciół Polski i t. p. Nie było na to ani środków, ani czasu. Zresztą ktoby tam z ludzi czynnych, żyjących w ogniu wojny, dzieła o Polsce czytał... Robiono trochę tej normalnej propagandy i miało to niezawodnie swoje znaczenie, ale żeby dojść do celu, trzeba było pracować w tempie żywszem, metodą skróconą. Polegała ona na tem, żeśmy szukali ludzi większych i mniejszych, którzy mieli wpływ jakikolwiek, bezpośredni czy pośredni, na przygotowanie warunków przyszłego pokoju, i z każdym z osobna przeprowadzało się obszerną dyskusję o kwestji polskiej w tej wojnie, dyskusję, rozpoczynaną często od najelementarniejszych o Polsce wiadomości. Mój Boże, cośmy się nagadali! Nie chciałbym już drugi raz w życiu takiej roboty robić. I prawdopodobniebym już nie umiał... Bo trzeba było wyjątkowego napięcia nerwów, w poczuciu, że chwili do stracenia niema, ażeby się na parę lat zamienić w niemilknący gramofon. Ja tę robotę prowadziłem głównie w Anglji, z początku sam, później przy niezmiernie cennem współpracownictwie Stanisława Kozickiego, mego długoletniego towarzysza pracy, jednego z tych niewielu, którzy poważnie studjowali położenie międzynarodowe i gruntownie naszą politykę rozumieli, sami będąc jej współtwórcami.

Anglja w owym okresie była gruntem najważniejszym. Losy wojny zależały przedewszystkiem od większego lub mniejszego wysiłku Anglji. Francja bowiem wydobyła z siebie wszystko, co mogła. Należało też oczekiwać, że Anglja zagra pierwsze skrzypce przy zawieraniu pokoju. I stąd należało się obawiać największych przeszkód w sprawie polskiej: tu najmniej znano polskę, tu najwięcej było nagromadzonych względem niej uprzedzeń, tu półtorawiekowy związek z Prusami najbardziej nieprzyjazny dla nas grunt przygotował, tu wreszcie najsilniejsze były wrogie nam wpływy, zamaskowane niemieckie i niebardzo maskujące się żydowskie. A zarazem tu był grunt najwdzięczniejszy do pracy.

Od szeregu lat wzrost potęgi politycznej i gospodarczej Niemiec zmuszał myślących Anglików do przerabiania swych pojęć o ojczyźnie ich dawnego aljanta, Fryderyka Wielkiego. Nie wystarczało zacząć inaczej myśleć o Niemcach — trzeba było zrewidować swe poglądy na cały szereg kwestyj, związanych z pozycją i polityką Niemiec. Jedną z nich przecie, a może najważniejszą, była kwestja polska. Jeżeli też spotkałem się z wielką nieznajomością rzeczy, z fałszywemi pojęciami, z mnóstwem uprzedzeń, to nie mogłem się skarżyć na brak zainteresowania, a co ważniejsza, na brak chęci przekonania się. I to nietylko w świecie politycznym i dziennikarskim. Wybitni uczeni, głośni pisarze, ruchliwi działacze na polu gospodarczem i finansowem znajdowali czas na długie rozmowy o Polsce, o Rosji, o środkowej Europie — o tej części świata najmniej znanej Anglikom z całej kuli ziemskiej. Ogromne rzeczy można było zrobić w Anglji, gdyby się miało do tej pracy więcej ludzi, znających ją samą i rozumiejących dobrze sprawę polską...

Do szerokiej akcji, którąśmy rozpoczęli w państwach sprzymierzonych, mieliśmy na miejscu niesłychanie skromne siły. Jak już powiedziałem, w Anglji pracowałem sam,

a póżniej z przyjacielem moim, Kozickim. W Paryżu zrazu został Konstanty Plater, z którym opuściłem Rosję, następnie zaś przeniósł się tam ze Szwajcarji Erazm Piltz, działacz wytrawny, ale innej szkoly; na wielu też punktach poważnieśmy się różnili, choć staraliśmy się tych różnic nie uwydatniać nazewnątrz. Wkrótce też osiadł tam ordynat Maurycy Zamojski. W Rzymie znakomicie prowadził propagandę przebywający tam już kilka lat przed wojną Maciej Loret. Później przyjechał tam z Rosji Konstanty Skirmunt.

Z pośród Polaków przebywających już przed wojną w krajach zachodnich znaleźliśmy kilku uczciwych i dzielnych współpracowników, naogół wszakże więcej nam przeszkadzali, niż pomagali. Byli między nimi ludzie, którzy wzięli na siebie rolę agentów „aktywizmu" i bądź prowadzili hałaśliwą przeciw nam agitację, bądź intrygowali, wiążąc się nieraz z temi kołami francuskiemi, a zwłaszcza angielskiemi, które były najgorzej dla sprawy polskiej usposobione. Niemniej kłopotu sprawiali nam rozmaici urodzeni kandydaci na dyplomatów, którzy dlatego, że oddawna siedzieli w Paryżu, że mieli sporo stosunków towarzyskich, zawartych w salonach lub klubach przy zielonym stoliku, uważali, że są przeznaczeni do reprezentowania Polski, o której sprawach nie mieli pojęcia. Obrażeni, że się ich nie zużytkowuje, starali się zatruwać powietrze niedorzecznemi plotkami.

Z tem większem uznaniem wspominam tych, którzy nam okazali gorliwą i umiejętną pomoc. Od całej zaś Polski należy się wielka wdzięczność pannie Laurence Alma Tadema, która, nie będąc Polką, caly swój czas, energję, swe szerokie stosunki w Anglji, swą wysoką inteligencję i nawet swe materjalne środki oddała podczas wojny sprawie polskiej, służąc jej gorliwiej, niż ktokolwiek z Polaków, i znosząc nawet napaści ze strony kolonji „aktywistycznej" w Londynie.

Dla zilustrowania trudności, z któremi trzeba było walczyć, wystarczy jeden epizod z owego okresu.

W lutym, o ile sobie przypominam, r. 1916, w chwili, kiedy praca na gruncie angielskim zaczęła się pomyślnie rozwijać, a stosunek ze sferami kierowniczemi polityki angielskiej zaczął się przyjaźnie układać, uczułem naraz w *Foreign Office* chłód dla mnie, przejście na ton suchy i formalny. Nie rozumiałem, skąd to pochodzi, przypuszczałem jakąś intrygę i do czasu jej wykrycia stosunki swoje z kołami urzędowemi zredukowałem.

W kilka tygodni potem, bawiąc na kontynencie, otrzymałem od jednego z życzliwych mi ludzi kopję dwóch poufnych raportów angielskich, które odpowiedni departament *Foreign Office* rozesłał rządom państw sprzymierzonych. Poświęcone były mojej polityce i dowodziły, że staram się nawiązać stosunki z rządem austrjackim. Tak, z rządem austrjackim. Rzecz z temi raportami tak się miała.

Przyjechał z Wiednia do Szwajcarji ks. Witold Czartoryski, z którym mieliśmy poufną naradę w ścisłem gronie.

O tej naradzie ukazał się telegram w krakowskiej *Nowej Reformie*, wymieniający osoby biorące w niej udział. Była w nim fałszywa, jestem przekonany, że zmyślona z zamiarem wiadomość, iż między uczestnikami narady znajdował się p. Władysław Skrzyński, przebywający w Szwajcarji urzędnik austrjackiego ministerstwa spraw zagranicznych. Korespondentem *Nowej Reformy* był jeden z „aktywistów" siedzących w Szwajcarji[1].

Raporty, o których mowa, byly oparte na tym telegramie.

Referentem prasy polskiej w londyńskim *Foreign Office* był naówczas żyd z Galicji, wychowaniec Oxfordu,

---

[1] O ile sobie przypominam, żyd, nazwiskiem Wittenberg.

nazwiskiem Bernstein, który w Anglji nazywał się Louis Namier. Pozostawał on w bliskich stosunkach z naszymi „aktywistami" w Londynie i o polityce polskiej musiał mieć wcale dokładne informacje. Musiał dobrze wiedzieć, kto jestem i jaka jest moja polityka. Jeżeli napisał fałszywy raport, to z całą świadomością popełnionego fałszu.

Zrobił on w swoich dwóch raportach ks. Witołda Czartoryskiego nieomal wysłannikiem rządu austrjackiego i z naszej narady, odbytej rzekomo w obecności austrjackiego urzędnika, zrobił fantastyczną historję o tem, jak ja, zawiedziony na Rosji, wobec jej pobicia przez państwa centralne, staram się dostać w łaski rządu austrjackiego.

Cała rzecz była najwidoczniej ukartowana w jakiemś gronie w celu poderwania zaufania do mnie rządów państw sprzymierzonych.

Raporty, przyjęte w Londynie, były zakomunikowane innym rządom sprzymierzonym. Dzięki temu udało mi się we Francji ich kopje dostać.

Teraz zrozumiałem zmianę tonu względem mnie w urzędowych kołach angielskich.

Był wtedy stałym wiceministrem (*permanent under-secretary*) spraw zagranicznych Sir Arthur Nicolson, którego znałem osobiście jeszcze z czasów, gdy był ambasadorem w Petersburgu. Po powrocie do Londynu udałem się natychmiast do niego.

— Będąc w Petersburgu — rzekłem — miał pan możność obserwować moją działalność polityczną. Swojego czasu zrobił mi pan przyjemność, pisząc do mnie, że przeczytał pan moją książkę o kwestji polskiej[1]. Niech mi pan powie, czy ja wyglądam na człowieka, który może poszukiwać zbliżenia z Austrją?

---

[1] *„La Question polonaise"*, przekład francuski mojej książki *„Niemcy, Rosja i kwestja polska"*.

— Któż to taki nonsens powiedział? — zapytał Sir Arthur.

— Ten nonsens znajduje się w dwóch raportach *Foreign Office'u*, rozesłanych rządom państw sprzymierzonych.

— To niemożliwe!

— Ja te raporty czytałem.

— Nie należy to do mego departamentu, więc mogę nie wiedzieć. Ja tę rzecz natychmiast sprawdzę i wyjaśnię.

Nazajutrz dostałem list od Sir Arthura, stwierdzający, że raporty istnieją rzeczywiście, że wyjaśnił on Greyowi ich fałszywość, i wyrażający żal, że coś podobnego się stało.

Rzecz została naprawiona, stosunki moje z *Foreign Office* stały się jeszcze lepsze, niż przedtem, okazywano mi wielką uprzejmość, zaproponowano przejażdżkę na front angielski nad Sommę, zrobiono mię doktorem honorowym w Cambridge... Nie mogłem wszakże osiągnąć, żeby owego żydka, autora fantastycznych raportów, usunięto za rozmyślne fałsze z zajęcia w *Foreign Office*. Poufnie mi powiedziano, iż ma on takie plecy, że usunąć go nie można. Tylko raporty z prasy polskiej przeszły potem w inne, uczciwe ręce.

Dziwne były na Zachodzie stosunki. Taki mały żydek galicyjski mógł odegrać w sprawie polskiej wcale doniosłą rolę[2]. Podczas konferencji pokojowej był on

---

[2] Miałem w r. 1917 jeszcze raz zajście z *Foreign Office* z jego powodu. Mianowicie wypisywał on anonimowe napaści na Polskę w piśmie *New Europe*. Myśmy wiedzieli, kto jest ich autorem, i został odpowiednio potraktowany, ale już imiennie, w jednem z pism angielskich, w dowcipnym artykule zacnego naszego angielskiego współpracownika, Roberta Usshera. Wtedy od wysokiego urzędnika *Foreign Office* dostałem list z pretensją, że od nas wychodzą napaści na funkcjonarjuszów ministerstwa. Odpowiedziałem, że artykuł

informatorem polskim Philippa Carra, jednego z głównych smutnej pamięci doradców Lloyd George'a.

Wogóle nasi „rodacy wyznania mojżeszowego" starali się nam rzucać kamienie pod nogi na rozmaitych terenach i na rozmaite sposoby. Między innemi p. Szymon Askenazy wydał w Szwajcarji broszurę po polsku, którą jego przyjaciele, „aktywiści" londyńscy, wydrukowali po angielsku, a w której starał się podkopać mój kredyt intelektualny, jak jego przyjaciel Namier starał się podkopać moralny i polityczny.

Jeden z przyjaciół angielskich zwrócił się do mnie:

— Dano mi tu broszurę prof. Askenazego. Czytał pan, co o panu napisał? Ładnie panu pańscy „rodacy" pomagają...

— Pokazywano mi to — odrzekłem. Napisał, że jestem głupcem. Ale ja temu nie uwierzyłem: niczemu nie wierzę, co żydzi piszą.

Najgorzej, że te rzeczy szły na rachunek walk wewnętrznych między Polakami i podtrzymywały na Zachodzie starą teorję, że Polacy tylko się z sobą kłócą, że kłótniami zgubili swoje państwo, i że kłótnie uniemożliwią jego odbudowanie.

Robiłem wszelkie możliwe wysiłki, żeby tę teorję obalić. Dlatego w rozmowach z przedstawicielami rządów państw sprzymierzonych i wogóle z cudzoziemcami pobłażliwie traktowałem wszystko, co Polacy robili podczas wojny. Starałem się wytłómaczyć i legjony, i Radę Stanu, i tem bardziej Radę Regencyjną. Tłómaczyłem jedne rzeczy koniecznościami położenia, inne psychologją

---

jest istotnie przeze mnie inspirowany i że, o ile funkcjonarjusze *Foreign Office* pisują w gazetach, i do tego takie paskudztwa, są dziennikarzami, i będą odpowiednio traktowani. Na to otrzymałem drugi list, z zawiadomieniem, że Namier przyrzekł więcej w gazetach nie pisać.

zrodzoną z prześladowania i ucisku, inne wreszcie brakiem doświadczenia politycznego. Starałem się wykazać, że sprzeczność w działaniach politycznych Polaków jest o wiele mniejsza, niż się to wydaje, że w gruncie rzeczy wszyscy dążą do jednego. Często mię zapytywano, oficjalnie lub prywatnie, o moją opinję o ludziach w Polsce, stojących po stronie przeciwnej: zawsze starałem się dać możliwie najlepszą, wskazując przynajmniej na ich dobre intencje i na trudne położenie, w jakiem się znajdują. Gdy ich napadano, broniłem ich—ma się rozumieć, nie chodziło mi o ich osobistą reputację, jeno o reputację Polski. Czasami nie próbowałem bronić, bo to było niemożliwe i nie miało celu, jak w r. 1917, kiedy od przedstawicieli państw sprzymierzonych w Rosji zaczęły przychodzić aż nadto dokładne raporty o działaniach p. Aleksandra Lednickiego, których autorowie sami jego polskość w wątpliwość podawali.

Robiłem wszystko, co było można, żeby zgłuszyć odgłosy walki wewnętrznej między Polakami. Sam osobiście, będąc człowiekiem bojowym całe życie, od chwili rozpoczęcia naszej akcji na Zachodzie ani słowa polemiki z Polakami nie napisałem, ani jednego artykułu — z wyjątkiem artykułów w prasie obcej o sprawie polskiej — wszelkie napaści na moją osobę puszczałem mimo uszu. Wydawało mi się to wszystko takiem drobnem, takiem marnem wobec wielkiej sprawy, którą mieliśmy na swej odpowiedzialności. O tem, co będzie po wojnie, po odbudowaniu Polski, jaka będzie jej konstytucja, kto nią będzie rządził, nie było czasu myśleć. Teraz chodziło o to, żeby Polska była, żeby miała należyte granice i pomyślne położenie zewnętrzne.

Próbowałem też, o ile nadarzała się do tego sposobność, znaleźć jakiś wspólny grunt z naszymi przeciwnikami, dojść do tego, żeby nas zrozumieli, żeby wiedzieli, do czego dążymy, byśmy przynajmniej we wzajemnem

traktowaniu siebie składali przed obcymi dowody, iż jesteśmy synami jednej ziemi, że przy różnicah poglądów jedna sprawa nas łączy.

Przy poznaniu się z przedstawicielem „aktywistów" w Londynie, powiedziałem mu zgóry, że idąc innemi, niż on drogami, nie będę jednak osobiście przeciw niemu występował, nie będę starał się go w Anglji dyskredytować, uważając, że taka walka między Polakami na obcym gruncie może sprawie polskiej tylko zaszkodzić. Naturalnie, dodałem, że oczekuję od niego tego samego. Niestety, rychło się przekonałem, że mu nie trafiło do przekonania to, com powiedział, że uważał za właściwsze kierować przeciw mnie napaści w pisemkach i intrygi za plecami.

Innemu, spotkanemu w Szwajcarji — choć z przeszłości mało miałem powodów do zbliżania się z nim — wyłożyłem szczerze, do czego dążymy. On się nadął, owinął się togą nieskalanego patrjotyzmu i wygłosił:

— Ja panu nie wierzę!

Trzeba było doprawdy świętej cierpliwości, żeby chcieć rozmawiać z takimi dorosłymi smarkaczami.

Był to jeden z produktów owej t. zw. „Warszawki" z przed czasów wojny japońskiej i kryzysu rosyjskiego, owej niby intelektualnej sfery, która, odcięta od szerszego życia, w cieniu policyjnego dozoru i cenzury rosyjskiej nie dojrzewała, wydawała dzieci, pozujące na uczonych, statystów, wielkich obywateli i t. p. On widział siebie w lustrze w tej godnej pozie: Ja panu nie wierzę!..

On wierzył Prusakom. Później musiał po wagonach łapać odwracających się do niego plecami dyplomatów niemieckich, gdy jechali do Brześcia Litewskiego robić pokój z pozostawieniem za drzwiami polskich sojuszników.

X

KWESTJA POLSKA I PRZEBUDOWA ŚRODKOWEJ EUROPY

Akcja w sprawie polskiej, którąśmy rozpoczęli od końca r. 1915 w państwach zachodnich, miała trzy zadania:

1. dowieść potrzeby odbudowania państwa polskiego, jako państwa niezależnego od sąsiadów, politycznie i gospodarczo, państwa silnego, mającego samodzielne stanowisko w Europie;

2. zdobyć dla tego państwa granice, któreby objęły cały obszar narodowy polski i przy których ta niezależność i ta siła byłyby możliwe;

3. osiągnąć taką przebudowę Europy środkowej, żeby Polska była możliwie najmniej zagrożona nazewnątrz, żeby zbytnie niebezpieczeństwa zewnętrzne nie przeszkodziły jej konsolidacji wewnętrznej i jej pomyślnemu rozwojowi.

Ponieważ własnemi siłami nie byliśmy zdolni zdobyć niepodległości, więc mogliśmy ją mieć tylko przy czyjejś potężnej pomocy; ponieważ zaś nie mieliśmy takich sił, ażeby tę pomoc pozyskać za równej wartości usługę pomagającemu, więc była ona możliwa o tyle tylko, o ile istnienie państwa polskiego okaże się potrzebnem dla kogoś, kto będzie zdolny Polskę odbudować.

Łatwo było zrozumieć, że istnienia niepodległej, silnej Polski nie uzna za potrzebne żadne z państw, które Polskę rozebrały i były ziem polskich posiadacza-

mi. Bo aczkolwiek w położeniu, w jakiem się znajdowało jedno z nich, Rosja, na długo już przed wojną, odbudowanie silnej Polski byłoby dla niego właściwie korzystne, bo, uniezależniając Rosję od Niemiec, podniosłoby jej położenie mocarstwowe i umożliwiłoby jej spełnienie szeregu pierwszorzędnych zadań państwowych — to trudno wymagać od rządu jakiegokolwiek państwa, żeby łatwo taką rzecz uznał. To też główną wartością naszej polityki, idącej z Rosją, było, że dawała nam ona związek z jej sojusznikami, otwierała drogę do Francji, Anglji i Włoch, do państw, które mogły mieć interes w odbudowaniu silnej Polski, ten interes mogły uznać i zrobić go artykułem swojej polityki. Tymczasem ci Polacy, którzy się związali z państwami centralnemi, o ileby dążyli do istotnie niepodległej Polski, zgóry byli skazani na znalezienie się w impasie, zdani na łaskę i niełaskę dwóch mocarstw rozbiorczych, w których najwyraźniejszym interesie było niedopuszczenie za żadną cenę do powstania Polski istotnie samoistnej, od nich niezależnej.

To przecie jest proste.

Równie prostą rzeczą jest, że w położeniu międzynarodowem, jakie się wytworzyło przy końcu XIX i na początku XX stulecia, przy zagrażającem już nietylko Europie, ale całemu światu rozroście zaborczej potęgi niemieckiej, w wojnie, w której głównym celem koalicji mocarstw było powstrzymanie tego rozrostu, zredukowanie tej potęgi — powstanie państwa polskiego o tyle mogło być dla tych mocarstw pożądane, o ile Polska uwydatniała się jako czynnik przeciwniemiecki, mogący się poważnie przyczynić do przywrócenia zniszczonej przez rozrost potęgi niemieckiej równowagi sił w środkowej i wschodniej Europie.

Dlatego to, żeby dowieść potrzeby odbudowania silnej Polski, trzeba było dowieść, że naród polski

w swych dążeniach jest niezależny od Niemiec, że się im przeciwstawia, że chce stworzyć państwo, które nie będzie się znajdowało w orbicie niemieckiej, ale będzie tworzyło tamę przeciw postępom niemczyzny.

To była pierwsza litera alfabetu polityki polskiej podczas wojny. Cóż, kiedy znaleźli się ludzie w Polsce, którzy znali abecadło, ale nie polityczne, zaczęli od Austrji i od „aktywizmu". Ile to trzeba było zużyć energji, żeby przy ich istnieniu i gorliwem manifestowaniu się dowieść jednak, że Polska jest i będzie narodem niezależnym od Niemiec, zdolnym do przeciwstawienia się ich potędze...

Na tem właśnie założeniu oparła się cała konstrukcja programu odbudowania Polski. Istnienie Polski zahamuje rozrost potęgi niemieckiej w Europie środkowej, co uniemożliwi posuwanie się jej w kierunku Bałkanów i Azji mniejszej, z drugiej zaś strony odetnie od wpływów niemieckich Rosję. Innych właściwie ważkich argumentów, poza prawami każdego narodu do niezawisłego bytu, nie było.

Oparcie programu niepodległości na tej podstawie dawało jedyny właściwie punkt wyjścia do żądania dla Polski takich granic, któreby jej istotną niezależność od Niemiec mogły zapewnić, przedewszystkiem zaś dostępu do Bałtyku.

Tylko ludzie ciemni, nie znający Europy przedwojennej, nie umiejący się poważnie zastanawiać, mogli myśleć, że sprawa odzyskania Pomorza dla naszego państwa była prostą i łatwą. Tylko ludzie, nie rozumiejący języka politycznego, mogli w wilsonowskich słowach „wolny dostęp do morza" wyczytać przyznanie nam ziemi leżącej nad Bałtykiem. Ten wyraz „wolny" oznaczał właśnie zagwarantowanie dostępu do morza po cudzem terytorjum...

Nietylko politycy, ale i ludzie nauki, geografowie,

statystycy na Zachodzie, tak się już zrośli byli z pojęciem, iż brzeg Bałtyku aż poza ujście Niemna jest niemiecki i tylko niemieckim być może, że kiedy im zacząłem mówić o naszych żądaniach terytorjalnych na brzegu bałtyckim, przecierali oczy i patrzyli na mnie, jak na człowieka półprzytomnego. I to trwało blisko przez trzy lata. Ludzie niełatwo pozbywają się zakorzenionych pojęć. Jeszcze wiosną r. 1918 dyplomata francuski na wysokiem stanowisku, wiele zajmujący się kwestją polską, powiedział mi:

— Ależ panie, toż to byłby cud, gdyby się stało to, co pan mówi, gdyby terytorjum waszego państwa dosięgło Bałtyku!

— Może to byłby i cud — odrzekłem — ale ten cud musi się stać, jeżeli i my, i wy mamy istnieć, jako niezawisłe narody. Kiedyż mają się dziać cuda, jeżeli nie po najstraszniejszej wojnie, jaką świat widział, po wojnie, w której zwycięstwo będzie okupione tak ciężkiemi ofiarami...

Jeżeliśmy ten skrawek brzegu bałtyckiego dostali, to tylko dzięki temu, że ta wojna trwała tak długo, że mieliśmy czas odpowiednie czynniki w tej sprawie przekonać, a przedewszystkiem rozpowszechnić ścisłe wiadomości o istotnym stanie rzeczy na Pomorzu.

Tę pracę prowadziło właściwie kilku ludzi. Inni byli do niej nieprzygotowani, albo nie mieli odwagi wystawiać się na posądzenie o fantazjowanie w polityce. Przecie dla wielu naszych rodaków najważniejszą rzeczą w polityce było robić wrażenie rozważnych i ostrożnych: jakże tu proponować rzecz, która budzi nietylko zdziwienie, ale nawet drwiny... To też tylko ludzie naszego obozu, którzy od dwóch dziesiątków lat konkretnie widzieli przyszłe państwo polskie, którzy głęboko przemyśleli warunki jego niezawisłości i gruntownie znali obszar narodowy polski w każdej jego części, mieli

dostateczną odwagę i upór, żeby tę walkę o Bałtyk prowadzić na każdym kroku, niczem się nie zrażając.

Pierwszorzędne znaczenie w tej walce o Bałtyk, jak wogóle o wszystkie ziemie zaboru pruskiego, miała obszerna, gruntowna praca Marjana Seydy o zaborze pruskim, której ukazanie się poprzedziły dwie, należące do niej, znakomicie wydane mapy statystyczne — ludności polskiej w zaborze pruskim i dzieci szkolnych w tejże dzielnicy. Mapy te, opracowane na podstawie urzędowego materjału pruskiego, wydane po francusku i angielsku, były najlepszym argumentem w dyskusji. Dla wszystkich były one rewelacją i wszędzie robiły wielkie wrażenie. *Foreign Office* wziął ode mnie pozwolenie na skopjowanie ich na kartkach pocztowych w celach propagandy.

Zagadnienie granic Polski, to straszne zagadnienie przez długi czas jeszcze będzie zmorą naszej myśli politycznej. Źródła najtrudniejszych jego stron tkwią głęboko w wiekach średnich, w okresie podziałów po Krzywoustym, które otwarły wrota niemczyźnie do szybkich podbojów na ziemiach polskich. Zniemczenie Śląska, usadowienie się Zakonu na ziemi pruskiej wbiły niemczyznę w dwóch kierunkach głęboko w Polskę geograficzną, czyniąc zachodnio-północną granicę naszego narodu czemś monstrualnem, nigdzie na świecie nie spotykanem. Powiększył zło fatalny rozwój Rzeczypospolitej w wiekach późniejszych, umożliwiający utworzenie księstewka niemieckiego na ziemiach zsekularyzowanego Zakonu, jego połączenie z Brandenburgją w państwo pruskie, wreszcie zagarnięcie Śląska przez to państwo. Dokończyły dzieła rozbiory i planowa, eksterminacyjna polityka pruska na ziemiach polskich.

Czy istnieje jakieś rozwiązanie tego strasznego zagadnienia? Ilekroć w latach poprzedzających wojnę do tego zagadnienia powracałem — a myślałem o niem nie-

mało w ciągu swego życia — takie się przed memi oczyma piętrzyły nieprzezwyciężone trudności, że o ostatecznem rozcięciu tego węzła nie śmiałem marzyć — odkładałem je do dalszej, nieokreślonej przyszłości. Szczytem moich marzeń na bliższą przyszłość było odzyskanie przy odbudowie Polski przynajmniej ujścia Wisły i tego kawałka brzegu bałtyckiego, który utrzymali w rękach nasi Kaszubi, kraju polskich Mazurów i niezniemczonej, polskiej części Śląska, bez czego zresztą utrzymanie Poznańskiego trudno było sobie wyobrazić.

Kiedy wszakże wojna 1914 r. rozrosła się w wielką wojnę światową, w jedną z największych katastrof w dziejach cywilizowanej ludzkości, stanęło przede mną pytanie: czy w tym wielkim kataklizmie nie będzie możliwe jednorazowe rozwiązanie tego wiekowego zagadnienia granicy niemiecko - polskiej, naprawienie za jednem pociągnięciem wszystkich w tej dziedzinie błędów naszej przeszłości i zostawienie przyszłym pokoleniom spadku całkiem uregulowanego, tak żeby do nich należało już tylko utrzymać to, co posiadły? Wiedziałem, że politycy dzisiejszej Europy nie są ani z ustroju umysłowego, ani z temperamentu skłonni do wielkich, śmiałych rozstrzygnięć, ale widziałem, że pcha ich w tym kierunku sam rozwój wypadków.

Kiedy w rozmowie z Balfourem, niewątpliwie jednym z najgłębszych ludzi wśród polityków ostatnich czasów, powiedziałem, że trzeba walczyć nietylko z Wilhelmem II, ale i z Fryderykiem Wielkim, że jego właśnie dzieło trzeba zniszczyć, i kiedy miałem wrażenie, że myśl angielskiego męża stanu nie jest daleka od mojej, nabrałem wiary, że jesteśmy na drodze do odwrócenia wielkiej karty dziejowej. W tej wierze utwierdziło mnie później jego oświadczenie w Izbie Gmin, że ta wojna musi naprawić dwie wielkie krzywdy dziejowe: jedną, niedawną z r. 1871, wyrządzoną Francji, drugą o wiele

dawniejszą, wyrządzoną Polsce przez Fryderyka Wielkiego.

Tego wielkiego zagadnienia przyszłości Polski na zachodzie nie można było traktować jako miejscowego sporu granicznego między Polską a Niemcami — to była wielka kwestja europejska, ściśle wiążąca się z przebudową całej środkowej Europy. Dlatego to polityka, którą kierowałem, nie zamknęła się w kwestji polskiej wyłącznie, ale od początku konsekwentnie rozwijała program, obejmujący całą środkową Europę, i o ten program wytrwale walczyła. Zdaje mi się, iż mogę z całą słusznością powiedzieć, że program rekonstrukcji Europy, przeprowadzonej traktatami w Wersalu i w Saint-Germain, został w całości najwcześniej przez nas sformułowany i uzasadniony[1].

Na długo przed ostatecznem sformułowaniem, od samego początku naszej akcji, ten program rozwijaliśmy w dyskusjach z kołami politycznemi państw zachodnich i według niego układaliśmy nasz stosunek do innych, mniejszych narodów, które prowadziły równoległą z naszą akcję na Zachodzie.

Od tego, w jakim kierunku będzie przeprowadzona rekonstrukcja polityczna Europy, zależała zarówno sprawa granic naszego państwa, jak jego przyszłe położenie zewnętrzne, jego niezawisłość i bezpieczeństwo.

Działałem podczas wielkiej wojny w skromnej roli przedstawiciela narodu ujarzmionego, który chce się wyzwolić z pod jarzma; nie stała za mną potęga państwowa, któraby mi dawała głos w sprawach międzynarodowych; zadaniem mojem było pozyskanie dla spraw

---

[1] W mojej rozprawie *Problems of Central and Eastern Europe* (Zagadnienia Środkowo i Wschodnio-Europejskie), drukowanej na zasadach manuskryptu w Londynie w lipcu 1917 r. Patrz: Aneks VIII. T. VI.

mego narodu głosu tych, którzy reprezentowali siłę. Z zazdrością patrzyłem na kierowników polityki mocarstw, którzy mogli komunikować innym swą wolę: ja mogłem tylko wyjawiać swe zdanie i starać się, żeby innym trafiło do przekonania.

Powiadam: z zazdrością, nie dlatego, że toby mi sprawiało osobistą satysfakcję, ale dlatego, że w sprawach pokoju po tej wojnie, obchodzących nietylko nasz naród, w sprawie przebudowy Europy miałem swój program, nie zrodzony z fantazji, przemyślany sumiennie, oparty, jak uważałem, na znajomości położenia, program, który chciałbym móc przeprowadzić w całości. Tymczasem ja, w swej skromnej roli przeprowadzić nic nie mogłem: mogłem tylko starać się, żeby inni moją myśl przeprowadzili, o ile im się podoba.

Program ten, obliczony na decydujące zwycięstwo sprzymierzonych, obejmował nietylko odbudowanie Polski, nietylko przebudowę polityczną dorzecza Dunaju, ale w pewnej mierze i przebudowę Niemiec.

Zanim go tu w krótkim zarysie przedstawię, uważam za potrzebne powiedzieć kilka słów o moim i wogóle o naszym, polskim stosunku do narodu niemieckiego.

Pracowałem całe życie przeciw Niemcom, bo chciałem, żeby Polska żyła, polityka zaś niemiecka za cel sobie postawiła jej zgubę. Myliłby się wszakże ten, ktoby sądził, że kieruje mną jakaś ślepa nienawiść do Niemców, lub że niezdolny jestem do sprawiedliwego sądu o wartości narodu niemieckiego i o jego zasługach dla cywilizacji. Umiem też przyznać, że my sami wieleśmy się od Niemców nauczyli. Wiele cech umysłowości i charakteru niemieckiego są przeciwne mojej, polskiej psychice, bliższy mi jest duchowo cały szereg innych narodów, ale mam głęboki szacunek dla indywidualności każdego narodu i daleki jestem od potępienia wszystkiego, co mi jest obce. Przywiązany do własnej ojczyzny, cenię w innych

ich przywiązanie do swojej i nigdy nie mam pretensji do Niemca za to, że jest dobrym Niemcem. Uważam przytem, że wszystkie narody europejskie mają wspólne, wielkie dobro, wspólną cywilizację, która jest podstawą ich bytu, którą wspólnie muszą rozwijać i chronić od rozkładu, że to wielkie zadanie winno rodzić w nich poczucie solidarności i łagodzić nieuniknione pomiędzy niemi antagonizmy. Byłbym też szczęśliwy, gdyby stosunki wzajemne między nami a Niemcami mogły być zdrowemi stosunkami sąsiedzkiemi, opartemi na wzajemnym szacunku i umożliwiającemi współdziałanie tam, gdzie to jest potrzebne.

Niestety, obawiam się, że wiele jeszcze czasu upłynie, zanim do takich stosunków dojdzie. Naród niemiecki został wychowany w idei, że Polska jest przeznaczonym dla niego łupem, powodzenie niedawnych czasów wyrobiło w nim ufność, że ten łup jest pewny, i dziś, gdy się z jego rąk wymknął, uważa to sobie za krzywdę i marzy o ponownem jego zagarnięciu. Obawiam się też, że ta, do głębi niezdrowa psychologja narodu niemieckiego w stosunku do Polski przez długi jeszcze czas będzie źródłem nieubłaganej walki i straty sił zarówno polskich, jak niemieckich, sił, któreby mogły być użyte na wielką pracę cywilizacyjną obu narodów oraz uzdrowienie ich życia.

Ambicja panowania nad światem i chciwość dążąca do wyzyskiwania całego świata dla siebie doprowadziła Niemcy do niebywałej klęski. Doprowadzić musiała, bo wszelkie takie ambicje podobny koniec miały. Cywilizacja europejska wytworzyła wielkie i mniejsze, świadome siebie narody, mające silne poczucie swej godności i swego dobra; i dziś już nie jest możliwe tworzenie imperjum rzymskiego, bo zawsze ten naród, któryby chciał nad innemi zapanować, spotka na swej drodze inne narody, mniej więcej równe mu cywilizacją i rozu-

nem politycznym, które, sprzymierzywszy się, wytworzą przeważającą siłę.

Gdy inne rasy europejskie rozrosły się liczebnie drogą kolonizacji poza Europą, Niemcy rozrastały się w samej Europie i stały się najliczniejszym narodem na naszym kontynencie. Wyjątkowe warunki historyczne, które dały im za sąsiadów rasy młode, znacznie później od nich wchodzące w krąg wpływu cywilizacji rzymskiej, skutkiem czego miały niższą kulturę materjalną i kruchsze wiązania swej budowy politycznej, umożliwiły Niemcom na szeroką skalę podbój i osadnictwo na wschodzie, które podwoiło obszar ich ojczyzny i — jak to z triumfem podnosi kanclerz Bülow w swej *Deutsche Politik* — sowicie ich wynagrodziło za odparcie od zachodu, gdzie starsze od nich cywilizacyjnie rasy szybko pochłonęły najazd germański i germanizmowi w samem jego gnieździe umiały później zagrozić. Z tą rolą kolonizatorów Europy Niemcy przez długi szereg pokoleń się zrośli, wytworzyli sobie odpowiadającą jej ideologję narodową, opartą na pojęciu swej rasy jako *Herrenvolk*'u i, zgodnie z prawem inercji, tę rolę chcieli bez końca kontynuować, pomimo że ewolucja ludów europejskich czyniła ją coraz bardziej anachronizmem. Eksterminacyjna polityka niemiecka na ziemiach polskich do Prus należących, polityka niesłychanie kosztowna materjalnie i moralnie, kłócąca się na każdym kroku z pojęciami współczesnemi, dochodząca często do karykaturalnej śmieszności, była najlepszą ilustracją tej próby kontynuowania roli, którą warunki czasu czyniły coraz bardziej niemożliwą.

To dążenie Niemców do utrzymania się nadal w roli kolonizatorów Europy było głównem źródłem wojny, która stała się tak straszną dla nich, i nietylko dla nich, katastrofą.

Jakiż tedy winien był być główny cel tej wojny ze strony mocarstw przeciw Niemcom sprzymierzonych?

Czego winien był dokonać pokój, przez te mocarstwa podyktowany? Zniszczenia Niemiec?... Nie — byłoby to zniszczenie części cywilizacji europejskiej, która jest wspólnem dobrem całej Europy. Choć Niemcy zaprzysięgli byli zagładę naszej ojczyznie, myśmy nie żywili pragnień, ażeby one były zniszczone. Zresztą, nie jesteśmy dziećmi, ażeby pragnąć rzeczy niemożliwych...

Główny cel tej wojny, który, zdaniem mojem, logicznie się narzucał, był — postawić Niemcy w takiem położeniu, ażeby im, jako narodowi niemieckiemu na ziemi niemieckiej, żadna krzywda się nie działa, ale żeby niemożliwe były nadal wszelkie próby z ich strony kontynuowania roli kolonizatorów Europy, i żeby naród niemiecki jak najrychlej mógł dojść do zrozumienia, że ta rola jest raz na zawsze skończona. Narodom sąsiadującym z Niemcami, których postęp wewnętrzny w zakresie samowiedzy narodowej, zdolności organizacyjnych i kultury materjalnej, doprowadził do tego, że, będąc pozbawionemi środków, jakie daje własne państwo, umiały jednak swemi siłami społecznemi powstrzymywać postępy niemczyzny i nawet odniemczać swe ziemie, pokój ten powinien był zapewnić na trwałych opartą podstawach niezawisłość polityczną i tem położyć koniec wszelkim próbom sztucznego nasadzania niemczyzny na ich ziemiach.

Trzeba było się pogodzić z faktem, że historja zrobiła naród niemiecki liczebnie największym w Europie, ale zmusić ten naród, żeby się uznał za ustalony w swoich granicach, wszedł w normalną kolej rozwojową współczesnych narodów europejskich i przestał tracić swe siły na próby rozszerzania się na naszym kontynencie. Osiągnięcie tego dałoby największe prawdopodobieństwo utrzymania na przyszłość trwałego pokoju w Europie i zabezpieczenia jej od katastrof podobnych do ostatniej wojny.

Gdy odbywa się tak straszne wstrząśnienie, jak ta wojna, i gdy myśl ludzka, przygotowująca pokój, kieruje

się troską, jakby się na przyszłość od podobnych wstrząśnień uchronić, niedość jest przy zawieraniu pokoju rozstrzygnąć kwestje, które całkiem już do rozstrzygnięcia dojrzały, ale trzeba nieco zabiegać naprzód i dołączyć do nich kwestje, które już są bliskie dojrzenia, ażeby uprzedzić wywołanie na ich gruncie stanu zapalnego w bliskiej przyszłości.

Kiedy przyszła konieczność przeprowadzenia głębokich zmian w budowie Europy po wojnie, która tyle kosztowała, trzeba było tę przebudowę tak przeprowadzić, żeby to wystarczyło na możliwie długi okres czasu — nie zostawiać *status quo* w takich kwestjach, które są w ruchu, których rozwój w danym kierunku jest widoczny i co do których łatwo przewidzieć, że pozostawione nietkniętemi mogą stać się za kilka lub kilkanaście lat źródłem nowej wojny.

Jako przykład tego pojmowania zadań twórców pokoju wskażę moją dyskusję z Wilsonem w sprawie Górnego Śląska.

Już po wręczeniu delegacji niemieckiej w Wersalu projektu traktatu prezydent Stanów Zjednoczonych, uległszy Lloyd George'owi, zgodził się na zmianę decyzji w sprawie Górnego Śląska, przyznanego Polsce, i na przeprowadzenie w tej ziemi plebiscytu. Zakomunikował tę nową decyzję mnie i Paderewskiemu na Radzie Najwyższej, motywując ją między innemi tem, iż delegacja niemiecka powołuje się na to, że ludność miejscowa, acz mówiąca po polsku, jest przywiązana do Niemiec, do Polski nie chce należeć i w plebiscycie będzie głosowała za Niemcami.

Odpowiedź moja była treści następującej:

— Nie przeczę, że znaczna część polskiej ludności Górnego Śląska może w plebiscycie głosować za Niemcami... Powiem więcej, gdyby zarządzono tam plebiscyt lat temu kilkadziesiąt, na pewno prawie cała ludność za

Niemcamiby głosowała. Bo wówczas świadomość narodowa polska wśród tej ludności zaledwie zaczynała kiełkować. Ale przez ostatnich lat kilkadziesiąt, pod wpływem postępu oświaty, idzie samorzutny, szybki rozwój tej świadomości. Znajduje się on dziś w pełnym biegu. Jeżeli w dzisiejszem jego stadjum połowa ludności odda jeszcze głosy za Niemcami i jeżeli na skutek tego połowa polskiego Śląska zostanie w granicach państwa niemieckiego, to ten postęp świadomości narodowej przecież się nie zatrzyma, jeno pójdzie dalej. I jutro w tej należącej do Niemiec ziemi synowie będą przeklinali ojców, że głosowali za Niemcami, i ruch polski w tej ziemi stanie się źródłem niepokoju, mogącego wywołać nowe starcia między narodami. Pan, panie prezydencie, chce zapewnić światu trwały pokój: chcąc ten cel osiągnąć, trzeba rozwiązywać nietylko kwestje, które dziś są źródłami wojny, ale i te, które w bardzo bliskiej przyszłości stać się niemi mogą.

Wilson mi na to umiał odpowiedzieć tylko to, że ustanawia się Ligę Narodów, która będzie mogła zmieniać granice między państwami, gdy zajdzie tego potrzeba.

Widzę Ligę Narodów w tej roli, zwłaszcza w stosunku do wielkiego państwa...

Tak wielkie dzieło historyczne, jak przebudowa polityczna Europy, musi mieć myśl przewodnią, wynikającą z ducha czasu, musi być ujęciem w prawno-polityczne normy tego, czego życie faktycznie dokonało, lub co w znacznej mierze przygotowało. Tylko wtedy może to być dzieło trwałe, dzieło pokoju, tylko wtedy może ono zapewnić pomyślny rozwój i względne szczęście ludom, tylko wtedy może im ono wynagrodzić te ofiary i cierpienia, na które je skazała wojna.

Kiedy jeden z fanatyków pacyfizmu powiedział mi podczas konferencji pokojowej, że wojna jest największą zbrodnią, odpowiedziałem mu:

— Gotów jestem to panu przyznać, z dodatkiem, że tę zbrodnię może okupić tylko dobry, mądrze i uczciwie zrobiony pokój. A wy właśnie, apostołowie pacyfizmu, takiemu pokojowi przeszkadzacie.

Od czasu Kongresu Wiedeńskiego, który starał się utrwalić budowę Europy na zasadach legitymistycznych — z wyjątkiem, ma się rozumieć, Polski — wszystkie nieomal zmiany, które w tej budowie następowały, szły w jednym, wyraźnym kierunku, w kierunku przebudowy naszej części świata na zasadach narodowych. To był duch czasu, wynik wielkiego procesu ewolucyjnego, odbywającego się w Europie przez cały wiek dziewiętnasty, procesu, o którym mówiłem na początku tej pracy, robota sił psychiki zbiorowej ludów, tych *imponderabiliów*, które mają zawsze ostatnie słowo w historji. „Racja stanu" wszędzie musiała się cofać przed dążeniami narodowemi, przed narodowym interesem.

Wojna zastała tę przebudowę Europy na zasadach narodowych w połowie drogi, i jej zadaniem było historycznego dzieła dokończyć. To zresztą dość szeroko rozumiano.

Krótko mówiąc, zadaniem pokoju po tej wojnie było: dać byt państwowy narodom, które go nie miały i żyły w walce przeciw obcemu jarzmu; zjednoczyć narody, politycznie podzielone; wreszcie zburzyć ustroje państwowe, oparte na zasadach przestarzałych, nie będące państwami narodowemi.

Nasze dążenia polskie miały za sobą tę wielką siłę, że były w całkowitej zgodzie z duchem czasu, z kierunkiem, w którym szła ewolucja całej Europy. Dlatego odbudowanie Polski musiało stanąć na porządku dziennym kongresu pokojowego po tej wojnie: trudność tylko tkwiła w ustaleniu pojęcia, co to jest Polska, co to jest jej obszar narodowy, do jakich granic ma ona prawo.

Druga wielka kwestja, którą wojna wysuwała na

porządek dzienny—to było zburzenie monarchji austrjacko-węgierskiej, jako przeżytku nieodpowiadającego duchowi czasu, dążeniom i potrzebom ludów.

My, Polacy, byliśmy w tej sprawie bezpośrednio zainteresowani, przedewszystkiem ze względu na to, że część naszej ojczyzny do Austrji należała. Ale nietylko dlatego...

Pragnąc zjednoczenia i niepodległości dla siebie, myśmy szczerze, niezależnie nawet od naszych interesów, pragnęli jej także dla innych, a tem bardziej dla narodów nam bardzo bliskich. W społeczeństwie naszem — mówię o społeczeństwie polskiem, nie o polskich żydach — istniały głębokie sympatje dla dążeń wyzwoleńczych Czechów, dla dążeń Serbów do narodowego zjednoczenia, dla takich samych aspiracyj rumuńskich; w walce też włoskiej irredenty nad Adrjatykiem przeciw Austrji uczucia polskie były po stronie Włochów. Będąc narodem najbardziej ze wszystkich pokrzywdzonym przez obce panowanie i podział ojczyzny, byliśmy wyjątkowo wrażliwi na te same krzywdy, gdy ich doznawały inne narody, i serce nasze było po ich stronie. Byliśmy w dziedzinie polityki może więcej od innych zdolni do uczuć bezinteresownych.

W tym wszakże wypadku naszym sympatjom najściślej odpowiadał nasz interes narodowy.

Austro-Węgry były terenem ekspansji niemieckiej, szerokim mostem, po którym niemczyzna posuwała się na południowy wschód, po którym szła ona na podboje w kierunku Bałkanów, Azji Mniejszej i Zatoki Perskiej. Istnienie monarchji habsburskiej, wiążącej ręce ludom tego obszaru, hamującej naturalny rozwój sił tych ludów, uniemożliwiającej dyktowane przez ich instynkt samozachowawczy zorganizowanie i zwrócenie tych sił przeciw zapędom niemieckim, było warunkiem powodzenia planów berlińskich. Powodzenie zaś tych planów

oznaczało dla nas zamknięcie drogi do niepodległości. Stąd wyzwolenie ludów monarchji naddunajskiej, zjednoczenie podzielonych narodów południowo-wschodniej Europy, a co za tem idzie, zniszczenie państwa austrjacko-węgierskiego było wielkim interesem Polski, warunkiem odbudowania niepodległego państwa polskiego.

Monarchja habsburska, jak już mówiłem, przestała być całkowicie niezawisłem państwem. Od chwili wejścia w sojusz z cesarstwem niemieckiem z państwa sprzymierzonego zamieniła się ona stopniowo na faktyczny protektorat, gdyż bez oparcia się o Berlin panowanie w niej Niemców i Madjarów nie było zdolne się utrzymać. Gdyby więc nawet powstało państwo polskie po tej wojnie, a Austro-Węgry swój byt zachowały, Polska, odgrodzona od Europy nieprzerwanym murem bezpośrednio lub pośrednio niemieckim, państwem niezawisłem staćby się nie mogła. Postulatem naszej niepodległości musiało zatem być: *Austria delenda est.*

I tu jeszcze nie koniec naszych powodów do pragnienia rozbioru Austrji.

W dzisiejszych czasach, kiedy idea dynastyczna straciła wszelką siłę, kiedy państwa przestały być własnością domów panujących, a stały się własnością narodów, monarchja austro-węgierska stała się państwem bez podstawy moralnej, ustrojem wybitnie niezdrowym, w którym odbywała się hodowla najwstrętniejszych mikrobów politycznych.

Państwo jest organizacją przymusu, który sam w sobie jest rzeczą przykrą, budzącą bunt w duszy ludzkiej. Państwo wymaga od swych obywateli ofiar, nieraz bardzo ciężkich, w potrzebie — ofiary życia. Temu przymusowi można chętnie podlegać, te ofiary można z gotowością ponosić, ale w imię czegoś wielkiego. W państwie narodowem to się robi w imię idei narodowej, w imię ojczyzny. W imię czego mogła nakładać przy-

mus, wymagać ofiar Austrja? W imię dynastji habsburskiej? — to się stało już pustą formułą. W imię wspólnego dobra zamieszkujących ją ludów? — kiedy one wspólnego dobra nie uznawały, i dobro jednego było złem drugiego. Służbę państwu sprawowano prawie wyłącznie za pieniądze i zaszczyty, ofiary dla państwa ponoszono ze strachu. W każdem państwie jest pewna ilość ludzi, u których to są jedyne pobudki do służby państwu i do ofiar dla państwa. Ale jeżeli takich ludzi jest za wiele, jeżeli tacy są prawie wszyscy, wtedy państwo jest potworem, szkołą nikczemności. Takiem właśnie państwem była Austrja.

Nie mówię tego czysto teoretycznie i nie sądzę o Austrji na podstawie danych z drugiej ręki. Ja Austrję znałem: mieszkałem w jej granicach, we Lwowie i Krakowie, przez lat osiem. Widziałem tam Austrjaków języka polskiego, obserwowałem ich sposób myślenia i postępowania. Był to gatunek bardziej mi obcy moralnie, niż jacykolwiek cudzoziemcy w Europie. To nie byli ludzie, to były karykatury ludzkie — coś wstrętnego i niesłychanie śmiesznego zarazem. Nigdy człowiek przedtem nie przypuszczał, że podobne okazy mogą istnieć na świecie. I żyłem w Galicji w środowisku ludzi z przeciwnego bieguna, ludzi, którzy chcieli być i byli Polakami. U tych nienawiść do Austrji była często większa, niż u pozostałych Polaków do Rosji lub Niemiec. I była inna: łączyła się z takim wstrętem moralnym, z takiem obrzydzeniem, jakiego nie objawiali Polacy względem Niemiec lub Rosji. Widziałem też ludzi zdolnych, wybitnych, z wyższemi ambicjami, którzy się czuli Polakami, ale którzy, dlatego że wyszli ze szkoły austrjackiej, całą swoją działalność opierali na teorji, że ludźmi rządzić można tylko korupcją albo terorem.

I to jest najsłabszym, najniebezpieczniejszym punktem organizacji naszego młodego państwa, że w ma-

chinie państwowej i w życiu politycznem mamy tak wielu Austrjaków lub ludzi przez Austrję politycznie zdemoralizowanych. Mnie oburza to głupie, wstrętne, niepolskie w swym charakterze i bardzo szkodliwe szczucie w Królestwie, czy w byłym zaborze pruskim na „Galicjan". Galicja nam dała mnóstwo najlepszych Polaków, ludzi, bez których trudno sobie wyobrazić organizację naszego państwa, ludzi nietylko przewyższających innych rodaków wiedzą, fachową znajomością administracji i mechaniki życia politycznego, ale umiejących często lepiej od innych być Polakami nietylko w uczuciach i w słowie, lecz również i w czynie. Większość najtęższych naszych ludzi dzisiaj, to są ludzie z Galicji. Wśród wielu swoich cnót mają oni jedną, która ich wyróżnia: są wytrawniejsi, mniej naiwni, lepiej się znają na łotrostwie i lepiej z niem umieją walczyć. Bo jeżeli gdzie, to w Austrji było piękne pole do studjowania politycznego łotrostwa.

Razem wszakże z Polakami z Galicji weszła w naszą organizację państwową falanga Austrjaków, wśród nich wielu takich, którzy dlatego tylko zostali obywatelami polskimi, że Austrja przestała dawać chleb i karjerę. Oni lepiejby się czuli w Wiedniu, tylko ich tam nie chcą. Ci traktują Polskę jedynie jak pastwisko, tak się czują i tak się zachowują, jak na służbie w obcem państwie. Tylko Polsce gorzej o wiele służą niż Austrji, bo się mniej boją. Jest to żywioł, który już dawno przestał rozumieć, co to jest ojczyzna, bo ojczyzny nie miał: miał Austrję, która dla nikogo ojczyzną nie była. To żywioł moralnie i politycznie bardzo niebezpieczny, i dopóki nie będzie w cień zepchnięty, państwo polskie na pewnych podwalinach nie stoi. A zepchnąć go niełatwo, bo zajął wiele stanowisk i, związany między sobą austrjackością, stara się je dalej opanowywać, a innych wypierać. Kierownicy naszej machiny państwowej winni

baczną uwagę na to zwrócić: lepszy często nieco mniej fachowy urzędnik, który służy Polsce nietylko dlatego, że mu płacą, że go czekają awanse lub że, jak to się czasem zdarza, ma pole do nielegalnych zysków.

Trup austrjacki, który, choć pokrajany, jeszcze się całkiem nie rozłożył, dotychczas zaraża nasze życie polityczne jadem cynizmu, dostarcza nam ludzi, którzy w głębi duszy uważają przywiązanie do ojczyzny, poczucie obowiązku względem niej, poświęcenie dla niej za wyraz naiwności, za przeżytek dawnych, pierwotniejszych czasów. Zrośli z państwem, które ojczyzną nie było, zatracili jej pojęcie, a ponieważ za jego granice nie wyglądali, są przekonani, że głębszy stosunek moralny do ojczyzny nie istnieje nigdzie. Wychowani w austrjackim chlewie, myślą, że cały świat jest chlewem. Trzeba im było być we Francji, w Anglji, we Włoszech podczas wojny, widzieć tę sumę bohaterstwa, poświęcenia, to niezliczone mnóstwo ludzi idących z ochotą na śmierć, byle ojczyzna żyła, ludzi stokroć więcej nowoczesnych od nich, o całe piętra wyższych kulturą. O ileby ich zdolni byli zrozumieć, zrozumieliby, jaką zakałą Europy była Austrja.

Bardzo byłoby rzeczą pożyteczną, gdyby ludzie szerszych pojęć, którzy przyglądali się Austrji w tej ogniowej próbie, jaką była wojna, spisali swe spostrzeżenia i pokazali światu, jak państwo nienarodowe w dzisiejszych czasach taką próbę wytrzymuje i jakich musi używać środków, żeby dłużej w niej wytrwać.

Niejeden tedy mieliśmy powód do tego, żeby dążyć do zniszczenia państwa austrjacko-węgierskiego, do wycięcia tego wrzodu, który tak blisko nas tkwił w ciele Europy, w takim stopniu nasz własny organizm narodowy zakażał; do przebudowy politycznej tego obszaru, na którym tyle sił, pokrewnych nam dążeniami, pozostawało w zaprzęgu niemieckim. I byliśmy tu w tem

szczęśliwem położeniu, że nasze dążenia były zgodne z potrzebami czasu, z postulatami rozwoju dziejowego Europy.

Dawno już zrozumiałem, że niepodległej Polski nie będzie bez rozwalenia przestarzałej budowy państwa austrjacko-węgierskiego. I oddawna w swem działaniu politycznem tym celem się kierowałem.

Walka o byt i o przyszłość naszego narodu to była walka przedewszystkiem z Niemcami. Dziś walczy się z narodami, nie z dynastjami, bo dynastje już nic nie znaczą, albo bardzo niewiele. Państwo, które było dawniej narzędziem dynastji, dziś jest narzędziem narodu. Naród niemiecki, w swem dążeniu do podboju połowy Europy, miał dwa narzędzia: swoje narodowe państwo niemieckie i różnonarodowe państwo austrjacko-węgierskie, którem rządzili austrjaccy Niemcy i Madjarzy, jedni i drudzy zmuszeni w swym interesie do opierania się o narodowe państwo niemieckie i do służenia jego celom.

O zniszczeniu narodowego państwa niemieckiego nie było mowy, i o tem, jak powiedziałem, nie myśleliśmy. Można mu było tylko odebrać to, co nie było niemieckiem. Ale dążąc do zamknięcia Niemców w granicach ich obszaru narodowego, można było i należało zburzyć nienarodowe państwo austrjacko-węgierskie. Nasz tedy stosunek do narodu niemieckiego krótko się formułował w następującym programie względem państw: osłabić państwo niemieckie, zredukować jego posiadanie do ziem niemieckich, a zburzyć państwo austrjacko-węgierskie.

Gdy się coś burzy, trzeba nową budowę na miejscu dawnej stawiać. Przy planowaniu tej nowej budowy politycznej nie można fantazjować, ale trzeba ujmować w formy państwowe to, co ma swój odpowiednik narodowy w życiu. W dzisiejszych czasach państwa sztucznie stworzone, które tego odpowiednika nie mają, nie mogą się ostać.

Trzeba to stwierdzić, że zmienność dziejów tego obszaru, na którym ostatniemi czasy stała dualistyczna monarchja austrjacko-węgierska, wytworzyła niesłychanie zawikłane stosunki rasowo-cywilizacyjne i narodowo-polityczne, w których nie wszystkie kwestje jednakowo dojrzały do rozstrzygnięcia, w których na każdym kroku nasuwały się poważne wątpliwości, jak zdecydować o przyszłości tego lub innego terytorjum.

Wyjście z tych trudności ułatwiały same ludy monarchji habsburskiej, które złączyły swą sprawę ze sprawą państw sprzymierzonych. Antycypowały one, że tak powiem, przyszłość, stwarzały całości, jeszcze dziś nie będące całościami, ale mające poważne widoki na stanie się niemi. Wystąpił w tej wojnie na widownię związek Czechów ze Słowakami, jako naród czesko-słowacki, i związek Serbów, Chorwatów i Słoweńców, jako naród jugo-słowiański. Nie były to formacje całkiem sztuczne, jednostronnie projektowane, bo jakkolwiek nie można powiedzieć, żeby Czesi i Słowacy stanowili dziś jednolitą całość, lub żeby między Serbami, Chorwatami i Słoweńcami nie istniały głębokie różnice cywilizacyjne, a nawet, gdy mowa o Słoweńcach, językowe, i pochodzące stąd polityczne antagonizmy — to jednak sprawa każdego z tych ugrupowań była reprezentowana przez jednolitą, energiczną akcję ludzi pochodzących ze wszystkich wymienionych szczepów. Główny przedstawiciel sprawy czesko-słowackiej, Masaryk, był z pochodzenia Słowakiem, i działali z Czechem Beneszem, jak jeden człowiek. Słowakiem był główny bohater armji czeskiej, wielki istotnie charakter, jenerał Stefanik. Tak samo akcję jugo-słowiańską prowadzili zgodnie Serbowie z różnych części obszaru serbskiego, Chorwaci i Słoweńcy. Widoczne było, że za każdą z tych spraw stoi ścisła organizacja, już przed wojną wytworzona, mająca na swe usługi ludzi z różnych szczepów, występujących jako

jeden naród, i nawet wpływowych, oddanych sprawie cudzoziemców, Anglików i Francuzów. Tacy ludzie, jak prof. Denis w Paryżu, jak słynny badacz cywilizacji przedgreckiej na Krecie, Sir Arthur Evans, jak redaktor polityczny *Times*'a, Wickham Steed, jak publicysta Seaton Watson, służyli jeszcze nawet przed wybuchem wojny sprawom czesko-słowackiej i jugo-słowiańskiej, jak swoim własnym, i ogromnie się przyczynili do ich zwycięstwa.

W interesie Polski wcale nie leżało rozproszkowanie ludów monarchji austrjacko-węgierskiej: im większe całości się tworzyły, tem większe miały one widoki oparcia się w przyszłości wpływom niemieckim, tem więcej zasługiwały na nasze poparcie.

Wobec tego, że ludy monarchji habsburskiej były właściwie odłamami narodów, istniejących poza granicami monarchji, wobec tego, że tylko dwa narody, Węgrzy i Czesi, były zamknięte w całości w granicach monarchji habsburskiej, i że Węgrzy już posiadali swą organizację państwową przy dualizmie, powstała potrzeba utworzenia na gruzach monarchji tylko jednego nowego państwa, mianowicie, państwa czesko-słowackiego. Reszta ziem monarchji odchodziła do Polski, Rumunji, Serbji, Włoch, wreszcie, gdy chodzi o kraje niemieckie, mogła pozostać bądź zmniejszoną Austrją, bądź być przyłączona do Niemiec.

Nad każdym z punktów kwestji tej przebudowy musimy się chwilę zatrzymać.

Ażeby skończyć z kwestją burzenia starej budowy, zacznę od Węgier.

Obszar Królestwa Węgierskiego — ma się rozumieć, bez Chorwacji — można było uważać za obszar narodowy węgierski, ze względu na to, że cywilizacja węgierska pracowała tam od stuleci, że na ziemiach z ludnością słowacką, serbską, rumuńską i ruską Madjarzy przedstawiali żywiol dominujący intelektualnie i gospodarczo, że jakkolwiek na tych ziemiach występowała opozycja

przeciw madjaryzmowi, to jednak nie można było z całą pewnością powiedzieć, że obejmuje ona większość ludności. Przeciw takiemu wszakże stanowisku przemawiał szereg faktów. Madjarzy w swojem królestwie w stosunku do niemadjarskich narodowości stanowili mniejszość, pomimo że wszyscy żydzi stanęli w szeregach madjarskich i gorliwie współdziałali w dziele madjaryzacji[1]. Faktu tego nie dało się ukryć pomimo bezceremonjalnego fałszowania spisu ludności. Obszar etnograficzny madjarski stanowił trzecią część królestwa. Ludność madjarska na swym obszarze etnograficznym nie przewyższała w masie kulturą szczepów niemadjarskich. Wreszcie argument, że szczepy niemadjarskie niezdolne są wytworzyć własnych państw, upadał wobec tego, że chodziło o przyłączenie ich do państw już istniejących, jak Rumunja i Serbja, lub do nowego państwa czeskiego, którego zdolność do życia trudno było kwestjonować wobec dowodów energji politycznej i gospodarczej, jakie złożyli Czesi w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu.

Gdy trzeba wybrać pomiędzy dwoma spornemi stanowiskami, jedynem wyjściem jest wybrać to, które odpowiada naszemu narodowemu dobru.

Myśmy mieli tradycje przyjaznych stosunków z Węgrami; wtedy, kiedy byli uciskani przez Austrję, sympatje nasze były po ich stronie, ojcowie nasi walczyli w powstaniu węgierskiem. Od czasu wszakże, gdy sprawa węgierska zwyciężyła, gdy Węgrzy zorganizowali się państwowo, jako połowa monarchji habsburskiej, gdy z drugiej strony, przy nowym ustroju politycznym, poczuli się oni zagrożonymi przez ruch emancypacyjny wśród Rumunów, Słowaków i Serbów — zrozumieli, że uratować ich może tylko ścisły związek z Niemcami, natural-

[1] Za to swoje współdziałanie z madjaryzmem wystawili potem rachunek w postaci rewolucji bolszewickiej na Węgrzech.

nymi wrogami odrodzenia narodowego ludów doliny Dunaju. Węgrzy byli głównymi twórcami sojuszu monarchji habsburskiej z cesarstwem niemieckiem, na nich się on silniej, niż na Niemcach austrjackich, opierał, i widoczne było, że w położeniu, w jakiem się znajdują, nietylko są, ale muszą być zawsze najpewniejszymi sojusznikami Niemców w Europie. Tem samem musieli być wrogami Polski. Dawali nam oni od czasu do czasu zdawkowe objawy przyjaźni, ale polityka węgierska była w istocie przeciwpolska. Złożyła ona wyraźne tego dowody i w czasie ostatniej wojny.

W tym stanie rzeczy w interesie naszym leżało, żeby Węgry jak najbardziej osłabić, a wzmocnić te narody, na których niezależność od Niemiec można liczyć. Dlatego poparliśmy bez wahania całą siłą program zredukowania Węgier do ich obszaru etnograficznego. Gdy wpływ węgierski w ziemiach od nich oderwanych całkowicie zniknie, gdy będą musieli z konieczności pogodzić się ze swemi nowemi granicami, gdy przestaną żyć myślą o odzyskaniu utraconych obszarów — wtedy możliwe będzie ich przyjazne współżycie z sąsiadami i z nami także, bo wtedy nie będą mieli celu szukania oparcia w Niemczech.

Chciałbym, ażeby z tego dobrze sobie u nas zdawano sprawę, ażeby rozumiano, że wszelkie zjawiające się u nas próby wywołania zbliżenia do Węgier, poparcia ich ambicyj na Słowaczyźnie czy gdzie indziej, nie są niczem innem, jak robotą dla Niemiec, robotą przeciwną najwyraźnieszym interesom naszego narodu.

Stanowisko nasze w kwestji węgierskiej miało niezawodnie pewien wpływ na jej rozstrzygnięcie; jak duży, niepodobna określić. Nie byliśmy zainteresowani w tej kwestji bezpośrednio, nie można było nas posądzić, że kierowani jesteśmy chciwością; kompetencji zaś w tej sprawie, tak nam bliskiej, nie można nam było odmówić.

Były też próby pozyskania nas na rzecz obrony interesów węgierskich. Ludzie na wybitnych stanowiskach w krajach zachodnich przychodzili i starali się wpływać na mnie, byśmy zajęli przyjazną względem Węgrów postawę. Węgrzy mieli silnych przyjaciół na Zachodzie. Na długo już przed wojną zajmowali oni duże stanowisko w masonerji, a byli jednocześnie związani blisko z żydami. Jednakże i Czechosłowacy, i Jugosłowianie mieli także ugrupowania masońskie, które ich popierały z wielką energją. Mieli oni tę wyższość nad protektorami Węgrów, że ich protegowani nie byli zaangażowani w wojnę przeciw sprzymierzonym, że Serbja miała wielkie zasługi i wielkie poniosła ofiary dla ich sprawy, że Czesi również składali wyraźne dowody solidarnej walki przeciw państwom centralnym. Obok tego sprawa czesko-słowacka i jugosłowiańska były sprawami wyrażającemi ducha czasu, odpowiadały przeważającej tendencji umysłów w tej wojnie.

Najdalszemi geograficznie kwestjami na gruncie monarchji habsburskiej były dla nas kwestje jugosłowiańska i włoska nad Adrjatykiem. Sympatyzując gorąco z dążeniami Serbów, Chorwatów i Słoweńców do politycznego zjednoczenia i widząc w tem jeden z głównych zadatków zdrowej i zgodnej z naszemi celami organizacji politycznej Europy południowo-wschodniej, jednocześnie życzyliśmy z całego serca Włochom połączenia z ojczyzną ich ziem pozostałych przy Austrji. Nie byliśmy wielkiem mocarstwem, żeby w tych kwestjach decydować, przy oddaleniu geograficznem od nas nie wymagały one naszego udziału w ich rozstrzyganiu: to nam pozwoliło nie wdawać się w trudne spory między Włochami a Jugosłowianami, w których zresztą byliśmy niekompetentni. Zachowując życzliwość dla obu stron, czekaliśmy, ażeby one między sobą te spory rozstrzygnęły.

Natomiast bliskiemi nam bardzo kwestjami, z jednej

strony granicznemi, z drugiej — ściśle związanemi z przyszłem położeniem zewnętrznem naszego państwa, były kwestje czesko-słowacka i rumuńska. W tych kwestjach mieliśmy wiele do powiedzenia, musieliśmy posiadać wyraźny program i konsekwentnie go bronić.

Kwestja rumuńska nie przedstawiała dla nas żadnych trudności. Mając raz zdecydowane stanowisko w kwestji podziału Węgier, popieraliśmy Rumunów w najważniejszej dla nich sprawie. Jeżeli mieli oni sporne kwestje graniczne, to nie z nami: do Bukowiny pretensji nie mieliśmy. W czasie konferencji pokojowej jeden z dyplomatów rumuńskich powiedział, iż gotów jest ogłosić konkurs z wysoką nagrodą temu, kto wskaże jakąkolwiek poważną kwestję sporną między Polską a Rumunją. Otóż sąsiad, z którym niema poważnych kwestyj spornych, jest sąsiadem bardzo cennym. W interesie narodu leży, żeby taki sąsiad był silny: jest on przeznaczony na sojusznika, a sojusznik-sąsiad przedstawia wielką wartość i politycznie, i wojskowo, i w zakresie współżycia gospodarczego. Przez Rumunję prowadzi droga handlowa do Morza Czarnego, które dla przyszłości gospodarczej naszego kraju ma ogromne znaczenie.

Od początku wojny nie miałem wątpliwości, że naszem zadaniem będzie aspiracje rumuńskie bezwzględnie popierać. Dla jasności muszę otwarcie powiedzieć, że przy całem mojem życzliwem stanowisku względem Rosji, w sprawie Besarabji jestem po stronie Rumunji; to jest jej prowincja, niedawne jej przyłączenie do Rosji było wielką krzywdą Rumunji, a będąc posłem do Dumy, miałem możność przekonać się, jak niezdrowe stosunki rozwinęły się w tej ziemi pod panowaniem rosyjskiem.

Dziś jesteśmy z Rumunją w przymierzu i przyjaźni. Przyjaźń ta mogłaby iść dalej, i moglibyśmy z niej mieć więcej, gdyby polityka państwa polskiego od chwili jego powstania zrozumiała była, że jej zadaniem jest

być dalszym ciągiem polityki naszej, polityki Komitetu Narodowego w Paryżu. Niestety, bywała ona w pierwszych latach w rękach ludzi, którzy tak mało rozumieli położenie Polski, iż zdawało im się, że wszystko rozumieją. Ci mieli ambicję pokazać, że sprawami Polskiemi inaczej i lepiej od nas pokierują. Życie w końcu zmusiło do nawrócenia na właściwą drogę — ale co te dziecinne próby Polskę kosztowały!... W najlepszym razie wiele lat trzeba będzie, żeby zło odrobić. Jeszcze dziś politycy rumuńscy skarżą się, że proponowano im z naszej strony aljans polsko-rumuńsko-węgierski! Czy wobec tego można się dziwić, że wszystko, co się od powstania Polski działo w dolinie Dunaju, działo się tak, jakby Polska wcale nie istniała...

Sprawa czeska była o wiele więcej skomplikowana i przedstawiała dla nas poważne trudności.

Stosunki nasze z tym najbliższym nam plemiennie narodem były już w odległych wiekach bardzo bliskie i od początku treścią ich była rywalizacja. W chwili wystąpienia naszego na widownię dziejową mieli Czesi, jako bliżsi Zachodu, przewagę cywilizacyjną nad nami, byliśmy też ich uczniami, czego ślady pozostały w naszym języku. Myśmy wszakże wyrośli na potężniejsze państwo, rozrośli się w większy naród i większą odegrali rolę dziejową. Przez długi czas walczyliśmy: bywaliśmy my w Pradze, a Czesi w Krakowie, dopóki Czechy nie wsiąkły w Cesarstwo, a my przez unję z Litwą nie staliśmy się wielkiem mocarstwem. Dalsze losy były dla nas nieszczęśliwe, a dla nich fatalne. Myśmy stracili swe państwo, oni zgubili swe oblicze jako naród. I nam, i im zagładę niosła niemczyzna. Poczucie tego sprawiło, że odrodzenie czeskie w XIX w. zaczęło się w atmosferze przyjaźni dla Polski. Ale Polska nie była potęgą i Polska w XIX w. popełniała wielkie błędy, szła do własnej zguby. Oczy Czechów, szukające oparcia przeciw Niem-

czyznie, znalazły je w Rosji. Rząd rosyjski jedną ręką ściskał dłoń pruską, a drugą niósł Czechom i innym pobratymcom ideę słowiańską w postaci panslawizmu, który był ideą zjednoczenia Słowian pod panowaniem rosyjskiem, pod rządami autokratycznemi i w prawosławiu. Dla Czechów, w ich pierwszem stadjum odrodzenia, w którem świadomość słowiańska była silniejsza od czeskiej i w którem czuli potrzebę potężnej opieki słowiańskiej zzewnątrz, i taka idea była dobra. A gdy rządowi rosyjskiemu w jego planach zawadzał naród słowiański z silną indywidualnością, z bogatą własną cywilizacją, gdy narzucił on jako artykuł wiary słowiańskiej — nienawiść do „zlatynizowanej" Polski, Czesi i ten artykuł, co prawda, bez entuzjazmu, przyjęli. I w atmosferze panslawizmu odradzał się w nich prastary duch rywalizacji w stosunku do Polski. Wkrótce przyszły różnice polityczne z Polakami w parlamencie austrjackim, interesy ekonomiczne, dla których Czesi łączyli się z Niemcami austrjackimi w celu wyzyskiwania Galicji, wreszcie walka narodowa polsko-czeska w zachodniej części Księstwa Cieszyńskiego. Ale przyszedł też rozwój świadomości narodowej czeskiej, aspiracje do niezależnego, własnego bytu narodowego, ambicja odegrania roli jako Czesi, a nie jako Słowianie tylko. Wtedy wszechrosyjski panslawizm przestał do nich przemawiać. I wtedy lepiej zaczęli rozumieć Polskę. A że w tej Polsce, pomimo wszystko, były dla nich szczere sympatje, że ta Polska walczyła tak jak oni przeciw niemczyznie, że zrozumieli, iż zagłada Polski byłaby ich zagładą, więc stosunek ich do Polski zaczął się zmieniać, i możliwy stał się neoslawizm oraz przyjacielskie wycieczki Czechów do Warszawy i Polaków do Pragi. Jednakże duch rywalizacji w stosunku do Polski, podsycany sporem narodowym w Cieszyńskiem, pozostał i wystąpił wcale silnie podczas wielkiej wojny.

Nie można powiedzieć, żeby nasze dążenia w tej

wojnie miały za sobą bezwzględne sympatje kierowników polityki czeskiej. Sami dążąc do niepodległości, wcale nie podzielali naszego do niej dążenia w okresie, kiedy dawna Rosja jeszcze istniała: zajmowali raczej stanowisko rosyjskie i planowali swój związek polityczny i gospodarczy z Rosją ponad naszemi głowami. Po rewolucji rosyjskiej, kiedy niepodległości Polski już nie można było kwestjonować, wcale nie popierali naszych dążeń terytorjalnych, pragnęli Polski małej, ściśle etnograficznej, żeby nie przewyższała ich potęgą państwową, i żeby mogli mieć granicę bezpośrednią z Rosją. Stanowisko etnograficzne nie przeszkadzało im dążyć do zabrania etnograficznie polskiego Cieszyna.

Dla ludzi małych, nie umiejących szerzej spojrzeć na położenie Polski, ani dalej sięgnąć okiem w przyszłość, jakiż to niewątpliwy powód do zwalczania Czechów na każdym kroku, do przeszkadzania im w urzeczywistnieniu wszystkich ich planów narodowych.

Sprawa czeska wszakże w naszych oczach to nie była sprawa stosunku polityków czeskich do nas, ani nawet stosunku dzisiejszego pokolenia Czechów do dzisiejszego pokolenia Polaków. Tu się budowało przyszłość na całe pokolenia i trzeba było zważyć, jakie Czechy narodowi polskiemu będą nietylko dziś, ale jutro i pojutrze potrzebne. Nawet mi do głowy nie przychodziło, ażeby, formułując i przeprowadzając nasz program w kwestji czeskiej, w jakiejkolwiek mierze kierować się tem, jakie w naszej sprawie stanowisko zajmują Czesi. Nie mogę powiedzieć, żeby to ich stanowisko mnie nie obchodziło: ono mi pomagało lub przeszkadzało; ale nie wpływało na moje postępowanie w kwestji czeskiej.

Tu nie można było myśleć kategorjami wiedeńskiemi, jakgdyby chodziło o interesy narodowości w Radzie Państwa reprezentowanych: tu się robiło kawał historji, i trzeba było myśleć, że tak powiem, stuleciami.

Ktokolwiek widział mapę językową Europy, musiał zauważyć, że granica niemczyzny od wschodu i południa idzie linją bardzo krętą. W trzech punktach z obszaru niemieckiego wysuwają się w głąb ziem obcych długie macki czy ramiona. Jedno z tych ramion, przerwane co prawda w środku, posuwa się po brzegu bałtyckim w kierunku Królewiec — Kłajpeda; drugie wyciąga się na południowy wschód w kierunku Lignica — Wrocław; trzecie wreszcie odchodzi od zachodniej połowy obszaru niemieckiego na południe w kierunku Wiedeń — Grac. Między pierwszem a drugiem z tych ramion znajduje się połowa obszaru językowego polskiego, między drugiem a trzeciem — cały obszar językowy czeski. Położenie Polski jest pomyślniejsze, gdyż ramiona niemieckie obejmują tylko połowę jej obszaru językowego, a nadto jedno z nich nie jest ciągłe, przecięte jest polskiem Pomorzem. Położenie Czech jest niesłychanie niebezpieczne, tem niebezpieczniejsze, że geograficzna i polityczna ich granica od głównego obszaru niemieckiego, Góry Czeskie, przestała być granicą językową: niemczyzna przelała się przez góry i obsiadła szeroko ich zbocza po stronie czeskiej. Nadto na południu Czechy mają poważnego wroga w Węgrach, które w ostatniej połowie stulecia stały się najwierniejszym sojusznikiem Niemiec.

Dla nas niebezpieczeństwo zalewu niemieckiego, grożące Czechom, nie mogło być nigdy obojętne. Dopóki ramię śląskie niemczyzny, Lignica — Wrocław, ma po drugiej stronie niezniemczony obszar czeski, dopóty siła jego jest względna, i nacisk niemczyzny na nas stąd idący nie może posiadać zbytniego impetu. Dzięki temu w znacznej mierze nasza najdalej na zachód wysunięta ziemia, Poznańskie, oparła się zalewowi niemieckiemu. Inne byłoby nasze położenie, gdyby naród czeski znikł z powierzchni Europy, gdyby jego ziemia stała się niemiecką. Trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć, że odro-

dzenie narodowe Czech umożliwiło odbudowanie Polski w tych granicach na zachodzie, które dziś posiadamy. Dodam, że bez porównania większe znaczenie dla Czech ma istnienie Polski: gdybyśmy się byli nie utrzymali na zachodzie, Czesi nie mogliby istnieć jako naród, staliby się słowiańską wyspą w morzu niemieckiem, jak Serbowie łużyccy.

Rzeczą Czechów jest rozumieć, co znaczy dla nich Polska, ale naszą rzeczą jest rozumieć, co znaczą dla nas Czechy. Jeżeli składają oni dowody, że nie rozumieją swego położenia, to przecie z tego nie może wynikać, żebyśmy my zamykali oczy na swoje. W naszym interesie leży, żeby Czechy istniały, żeby były możliwie silne, byle nie naszym kosztem, żeby wytworzyły jak najpewniejszą zaporę przeciw posuwaniu się niemczyzny na południe. Jesteśmy o wiele większym od nich narodem, mamy o wiele większe widoki jako państwo, i brak szerszej myśli u nas byłby o wiele większym grzechem. Tylko mali Polacy, którzy dotychczas nie rozumieją, co to jest Polska, mogą pchać do nieustannej kłótni z Czechami. Nie mówię o agentach niemieckich, bo ci mają całkiem wyraźne w tym względzie zadanie.

Tak na rzeczy patrząc, uznaliśmy od początku wojny za swój obowiązek polski popierać całą siłą wszystkie aspiracje terytorjalne czeskie, z wyjątkiem do ziem, które są nasze. Pozostawaliśmy w jak najprzyjaźniejszych stosunkach z kierownikami polityki czeskiej, co nie było trudne przy wielkich ich osobistych zaletach, walczyliśmy o żądania czeskie nieomal tak jak o polskie, a solidarność z Czechami, którą na każdym kroku manifestowaliśmy, ogromnie wzmacniała stanowisko i nasze, i Czechów w zachodnim świecie politycznym, któremu ciągle kładziono w uszy, że narody środkowej Europy tylko gryźć się między sobą umieją.

Ziemie czeskie w Austrji to były: Czechy, Morawy

i połowa Śląska austrjackiego, ciągnąca się wzdłuż granicy pruskiej — księstwo Opawskie. Czesi wprawdzie zaliczali do swych ziem cały Śląsk austrjacki, ale druga jego połowa, Księstwo Cieszyńskie — to ziemia polska. Tylko zachodni skrawek Cieszyńskiego ma ludność czeską.

Przeciw naporowi niemczyzny od północy te ziemie stanowiły mur zbyt cienki — trzeba go było pogrubić przez włączenie do państwa czeskiego Słowacczyzny. Jeżeliśmy postanowili do tego dążyć, popierać program czesko-słowacki, to nietylko dlatego, że to był program Czechów, ale także i to przedewszystkiem dlatego, żeśmy go uważali za zbawienny. Gdyby Czesi o tem nie myśleli, sambym ich do tego namawiał.

Są u nas ludzie, którzy powiadają, że przecież Słowacy są równie bliscy językowo nam jak Czechom, że są nawet bliżsi, i że z chwilą, gdy rozbiór Węgier został postanowiony, my moglibyśmy aspirować do Słowacczyzny. Ludzie ci zapominają o wielu rzeczach, a przedewszystkiem o istnieniu Karpat. Gdyby Słowacy siedzieli na północ od Karpat, od tysiąca lat jużby nie byli Słowakami, jeno częścią narodu polskiego. Ale że siedzieli poza geograficzną granicą Polski, więc historja ich związała z Czechami i Węgrami. Słowacczyzna może należeć albo do Węgier, albo do Czech. Do Węgier dlatego, że Słowacy przez wieki pozostawali pod ich panowaniem, do Czech — że są szczepem im blisko pokrewnym, że już w bardzo dawnych czasach łączyły ich z Czechami węzły polityczne i cywilizacyjne, że w ostatniej dobie w swej walce przeciw madjaryzmowi znajdowali w Czechach oparcie moralne i kulturalne, że wreszcie znaczna część Słowaków do tego połączenia z Czechami dążyła i dla niego pracowała.

Gdyby nawet Słowacy chcieli należeć do Polski, i gdyby nam Słowacczyznę ofiarowano, to nie wiem, czyby nam się ten dar opłacił, czy warto byłoby dla

niego tracić granicę karpacką, jedyną dobrą granicę lądową, jaką posiadamy.

Prawda, że dziś istnieje na Słowacczyznie dość silna opozycja przeciw Czechom, jest to wszakże raczej opozycja przeciw metodom czeskim: Czesi niezawsze postępują taktownie i nie mają miękkiej ręki. Niepodobna przecie każdej opozycji brać za dowód, że dany kraj nie powinien do państwa należeć. Zresztą znaczna część tej opozycji — to opozycja madjarska pod maską słowacką. Nawiasem mówiąc, bardzo należy nam być ostrożnymi wobec wezwań z tamtej strony o poparcie, jeżeli nie chcemy robić roboty dla Węgrów i dla Niemców. Interes narodowy nakazuje nam traktować Słowacczyznę jako nieoddzielną część państwa czesko-słowackiego, a że zależy nam na tem, żeby to państwo było silne, nie bawić się w robienie mu wewnętrznych trudności.

Bardzo bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy byli mogli cały program czeski bez zastrzeżeń popierać. Nie mogliśmy wszakże oddawać Czechom Cieszyna, ziemi polskiej. Przy całej tedy solidarności z nimi we wszystkich ich pozostałych żądaniach terytorjalnych — pomijam tu niewiele znaczące, drobne sprostowania granicy w Tatrach — na punkcie kwestji cieszyńskiej trwała między nami od początku do końca zacięta walka. O warunkach tej walki i o jej przebiegu będzie mowa później.

Po określeniu naszego stanowiska w kwestjach: węgierskiej, austrjacko-włoskiej, jugosłowiańskiej, czesko-słowackiej i rumuńskiej pozostawała jeszcze kwestja przyszłości niemieckich ziem Austrji. Pozornie daleka od nas, miała ona pierwszorzędne dla nas znaczenie, i gdyby była należycie rozstrzygnięta, dziejowa donioslość wyników tej wojny byłaby nietylko dla Polski, ale dla całej Europy wielekroć większa.

Wychodząc z założenia, że dla zbudowania pokoju możliwie trwałego należy rozstrzygnąć wszystkie kwestje

dojrzałe do rozstrzygnięcia i nawet te, które choć niecałkiem jeszcze dojrzały, są na drodze do rychłego dojrzenia w określonym zupełnie kierunku — należało w programie wojny umieścić połączenie niemieckich krajów Austrji z państwem niemieckiem. Byłoby to konsekwentne, uczciwe przeprowadzenie jednolitego programu, zrobienia dla Niemiec tego, co zrobiono dla Włoch, Serbji i Rumunji. Rozumiem, że takiej polityki zasadniczej można nie uznawać, takiej konsekwencji można nie zachowywać względem zwyciężonego, o ile ważne względy praktyczne tego wymagają, o ileby to miało pociągnąć za sobą niebezpieczeństwo dla zwycięzców.

Byłem wszakże i jestem tego zdania, że takie rozstrzygnięcie byłoby dobrodziejstwem z jednej strony dla pomienionych krajów niemiecko-austrjackich i dla narodu niemieckiego wogóle, z drugiej — dla samych zwycięzców. Cała Europa zyskałaby na tem: jej przyszły rozwój pokojowy byłby o wiele pewniejszy.

Nie jest to w zwyczaju powiększać terytorjum państwa zwyciężonego. Z chwilą wszakże, kiedy się urządza Europę na zasadach narodowych, nie można tworzyć państewka austrjackiego, bo narodu austrjackiego niema. Kiedy się dąży do zamknięcia Niemiec w granicach ich obszaru narodowego, trzeba temi granicami objąć cały obszar narodowy niemiecki. Tylko trzeba było przytem konsekwentnie przeprowadzić zasadę, że obszar narodowy musi posiadać jedność terytorjalną, musi być jednym, ciągłym obszarem, że nie można zaliczać do niego izolowanych grup, wysp danej narodowości, otoczonych ziemiami obcemi. Oddzielając Siedmiogród od Węgier, jako terytorjum rumuńskie, nie można przecie było uznać za część obszaru węgierskiego kraiku Seklerów, i ta, wcale silna liczebnie wyspa madjarska, otoczona dookoła ludnością rumuńską, pozostać musiała w obszarze ru-

muńskim. Otóż taką wyspę stanowi izolowana grupa ludności niemieckiej w Prusiech Wschodnich. Słuszność nakazywała przyznać Niemcom ziemie austrjackie, stanowiące dalszy ciąg obszaru narodowego niemieckiego, a natomiast oddzielić od nich z całą surowością, bez przeprowadzenia komedyj plebiscytowych, to wszystko, co do obszaru niemieckiego nie należy, a więc: Alzację i Lotaryngję, cały duński Szlezwik, wszystkie ziemie polskie, wreszcie izolowane terytorjum z ludnością niemiecką w Prusiech Wschodnich. Królewcowi z przyległościami, a nie Gdańskowi należał się los wolnego miasta. Tym sposobem zwyciężone Niemcy zyskałyby w ziemiach austrjackich niewiele mniej ludności, niżby utraciły gdzie indziej, a terytorjalnie byłyby większe, niż przed wojną.

Byłaby to solucja, zgodna z zasadami ogólnemi, które głoszono podczas tej wojny i które odpowiadały duchowi czasu, kierunkowi ewolucji narodów europejskich w ostatniem stuleciu. Przyjrzyjmy się teraz, jakby wyglądała ona w skutkach.

Przedewszystkiem Niemcy zyskałyby terytorjum więcej jednolite, więcej zaokrąglone, niż miały przed wojną i niż mają dzisiaj. Posiadanie przez nich wyspy niemieckiej w Prusiech Wschodnich, ze znaczną nadto ilością ludności polskiej w granicach tej prowincji pozostawionej, musi być stałem źródłem niepokoju, jakby zachętą dla nich do polityki agresywnej na Wschodzie. Nie można było wymyślić nic bardziej groźnego dla przyszłego pokoju.

Ziemie, stanowiące dziś Respublikę austrjacką, prędzej czy później staną się częścią państwa niemieckiego. Temu żadna siła nie przeszkodzi, bo to jest koniecznością życia. Zaraz też po wojnie ludność ich objawiła wyraźne w tym kierunku dążenie, i gdyby nie przeszkody ze strony państw sprzymierzonych, rzecz doszłaby

do skutku. I tu więc pozostało źródło przyszłego niepokoju.

To pewna, że oddzielenie Prus Wschodnich nie byłoby chętnie widziane w Niemczech, ale łatwiejby je było przeprowadzić, dając jednocześnie Niemcom Austrję Dolną i Górną, Tyrol, Styrję, część Karyntji.

Państwo niemieckie posunęłoby się w swej zachodniej części na południe, a cofnęłoby się definitywnie na wschodzie; przybyłoby w niem przeszło siedm miljonów Niemców południowo-zachodnich, katolików, a ubyłoby, oprócz ludności niemieckiej na zachodzie i w Szlezwiku, kilkanaście setek tysięcy Niemców wschodnich, Prusaków, protestantów. Byłaby to duża zmiana w budowie państwa niemieckiego, pociągająca za sobą zmianę w jego charakterze. Środek ciężkości Niemiec przeniósłby się w kierunku południowo-zachodnim. Tem państwem nie rządziłyby Prusy. Przypuszczam nawet, że Berlin niedługoby się utrzymał w roli stolicy Niemiec.

Tak pojmowałem zadania pokoju w stosunku do narodu i państwa niemieckiego i ten punkt programu przebudowy Europy uważałem za najdonioślejszy dla przyszłości naszej części świata.

Ażeby wszakże ten punkt programu zrealizować, trzeba było przedewszystkiem, by go przyjęła Francja, mocarstwo najbliżej zainteresowane we wszystkiem, co dotyczyło Niemiec. Tymczasem we Francji właśnie najmniej znalazłem dla niego zrozumienia.

Próbowałem go dyskutować z całym szeregiem ludzi, polityków, pisarzy politycznych, uczonych, wszędzie atoli napotykałem od pierwszej chwili na tak bezwzględny opór, że dyskusja stawała się niemożliwą. Próby dyskusji robiły się dla mnie niebezpieczne, bo wyglądałem w nich na germanofila.

Na jednem śniadaniu politycznem w gronie wyłącznie francuskiem spór w tej sprawie pomiędzy mną

a głośnym politykiem i historykiem w jednej osobie tak się zaognił, że obecni żartem zapytywali, kiedy talerze zaczną latać w powietrzu.

Chcąc w tej sprawie zrobić coś we Francji, trzeba ją było wszcząć na długo przed wojną, w atmosferze spokojniejszej, i dać czas ludziom rzecz przemyśleć

Jakkolwiek od paru dziesiątków lat żywo się we Francji interesowano sprawami środkowej Europy, jakkolwiek cały szereg młodszych pisarzy te sprawy studjował i stworzył o nich wcale obfitą literaturę, to jednak Francja weszła w wojnę zanim pozbyła się pojęć w tej dziedzinie przestarzałych.

Pogląd na Austrję, jako na rywalkę Prus, wiara w partykularyzm państewek Rzeszy i w możność przeciwstawienia ich Prusom, były niewiele słabsze, niż lat temu pięćdziesiąt lub sto. Zwłaszcza w starszem pokoleniu polityków i pisarzy politycznych panowały one prawie niepodzielnie. Najlepsi Francuzi mieli najbardziej błędne w tym zakresie pojęcia.

Potwierdzała się jeszcze raz prawda, że mało jest rzeczy tak konserwatywnych, jak polityka zewnętrzna narodu.

Gdyby nie energiczna akcja ludzi, należących głównie do tego pokolenia, które rozpoczęło studja nad środkową Europą, ludzi, którzy poparli dążenia Polaków, Czechów, Serbów i Rumunów do zjednoczenia i niepodległości, nigdyby we Francji nie zwyciężyła myśl rozbioru Austro-Węgier. Starsza dyplomacja, operująca pojęciami ubiegłej doby, myślała o możliwości uratowania monarchji habsburskiej drogą osobnego pokoju ze sprzymierzonymi, silny też wpływ na przyjazne względem Austro-Węgier zamiary wywierały sfery katolickie, odbierające natchnienia z Watykanu, oraz kilka potężnych banków zaangażowanych w Budapeszcie i Wiedniu. Zastanawiano się poważnie nad możliwością przebudowania starej monarchji.

Jeden z profesorów Sorbony zaprosił mię na dyskusję w gronie siedmiu jego kolegów w przedmiocie reorganizacji Austrji na zasadach federalistycznych. Pamiętam, z jakim trudem przychodziło mi przekonywanie ich, że podobna myśl jest chimerą, że jedyne rozwiązanie kwestji — to rozbiór Austro-Węgier. Wskazywałem, że federacje narodów udają się tylko na papierze: albo kończą się panowaniem jednego narodu nad innemi, albo się rozpadają. W szczególności w czasach dzisiejszych, w czasach silnej świadomości narodowej i poczucia interesu narodowego w masach jest w Europie miejsce tylko na państwa narodowe. Dwa wysuwane przykłady, Szwajcarji i Stanów Zjednoczonych, nic nie mówią w kwestji austrjackiej. Szwajcarja leży w Europie zachodniej, gdzie panuje pojęcie narodowości państwowe, a nie językowe. Głównym węzłem, łączącym ją w całość, są jej instytucje chłopsko-demokratyczne, odpowiadające potrzebom tego specyficznego terenu alpejskiego i możliwe w małem państwie, któremi to instytucjami odcina się ona silnie od sąsiadów. Pomimo to i w Szwajcarji istnieją dążności odśrodkowe: w tej wojnie francuska Szwajcarja stanęła w swej opinji po stronie sprzymierzonych, a niemiecka po stronie państw centralnych. Co do Stanów Zjednoczonych, to nie są one przecie federacją narodów. We wszystkich stanach mamy tę samą rasę, a raczej tę samą mieszaninę ras. W monarchji zaś habsburskiej widzimy cały szereg odrębnych narodów, przeważnie posiadających ośrodki swego życia narodowego nazewnątrz państwa, narodów prowadzących z sobą ostrą walkę i mało naogół uzdolnionych do kompromisu.

Nie jest trudno wytłómaczyć to uparte trzymanie się we Francji przestarzałych pojęć o środkowej Europie, niechęć zrozumienia, że Austrja przestała już być rywalką, a została wasalką Prus, że partykularyzm w państewkach

Rzeszy istnieje wprawdzie jeszcze, ale już przestał być siłą, że górują tam dążności ogólnoniemieckie, reprezentowane przez najpotężniejsze dziś warstwy społeczne, że te dążności ogólnoniemieckie już zaczynają brać górę i w niemieckiej Austrji.

Francuzi są najklasyczniejszym narodem zachodnioeuropejskim, z utrwalonem pojęciem narodowości czysto państwowem. Gdzie jak gdzie, ale we Francji nie może być mowy o separatyzmie grup językowyeh. Żadna agitacja Bretonowi czy Baskowi francuskiemu nie wytłómaczy, że jest czem innem, jak Francuzem. Trudno Francuzowi zrozumieć solidarność polityczną ludzi, opierającą się wyraźnie na tem, że mówią wspólnym językiem. To mu wygląda, jakgdyby ktoś proponował Paryżanom solidarność z Walonami belgijskimi i Szwajcarami francuskiego języka przeciw Prowansalom.

Niechętnie się również wierzy w rzeczy dla nas niepomyślne, niepożądane. Niedość, że brak przyrostu ludności we Francji szybko zmienia na jej niekorzyść stosunek liczebny Niemców do Francuzów, a tu jeszcze żądają, żeby uznać wszystkich mówiących po niemiecku mieszkańców środkowej Europy za jeden naród niemiecki, za całość polityczną, żeby nietylko pogodzić się z faktem, iż Bawarowie, Wirtemberczycy i t. d. stanowią jeden naród z Prusakami, ale powiększyć jeszcze ten naród o siedem miljonów Austrjaków...

Jest to istotnie dla Francji wielkie niebezpieczeństwo. Ale od niebezpieczeństwa nie można się bronić przez jego negowanie, przez nieuznawanie faktów, przez protestowanie przeciw temu, co konieczność życiowa narzuca — jeno przez patrzenie prawdzie w oczy, przez uznanie rzeczy nieuniknionych i przez zastosowanie środków obrony do nowego położenia.

Złudzeniem jest, że zjednoczenie Niemiec to dzieło Hohenzollernów i Bismarcka, które, jak było zrobione

przez jednych polityków, może być przez innych odrobione.

Zjednoczenie Niemiec to dzieło *imponderabiliów*. Było ono koniecznością dziejową, jak zjednoczenie Włoch, jak prędzej czy później zjednoczenie Serbów i Rumunów. Dziełem Hohenzollernów i Bismarcka było w części to, że Niemcy zostały zjednoczone przez Prusy, że nowe Cesarstwo Niemieckie zostało stworzone w takich, a nie innych granicach, że mniejsze państwa Rzeszy wzięte zostały pod kuratelę pruską. To, zdaje mi się, nie było koniecznością dziejową, i to może byłoby do odrobienia.

Pozwalam sobie twierdzić, że wielkie niebezpieczeństwo dla Europy, a w szczególności dla narodów sąsiadujących z Niemcami powstało nietyle z faktu zjednoczenia Niemiec, ile z faktu, że tego zjednoczenia dokonały Prusy i że one nad Niemcami zapanowały. Tu tkwiło główne nieszczęście, zdaje się, że i dla samych Niemiec, jak należałoby sądzić z wyników ostatniej wojny.

W mojem przekonaniu głównem zadaniem zwycięzców było obalić panowanie Prus nad Niemcami. To zaś można było zrobić tylko przez przyłączenie do Niemiec ziem austrjackich i przez należytą jednocześnie amputację Prus na wschodzie.

Położone byłyby przez to podwaliny pod nowy rozwój Niemiec, na nowych zasadach. Państwo niemieckie byłoby wielkie, byłoby organizacją wielkiego narodu, ale byłoby państwem innem, i sam ten naród w niem byłby nieco inny. Byłaby to o wiele więcej, niż jest dzisiaj, zachodnia Europa.

Nie trzeba zamykać oczu na fakt, że społeczeństwo pruskie zostało sklejone głównie ze zgermanizowanych szczepów słowiańskich, a jak w Prusiech Wschodnich, i litewskich. Szczepy te cywilizacyjnie pozostały daleko w tyle poza tymi Słowianami, którzy, jak Czesi i Polacy,

zorganizowali się w państwa i stworzyli swe narodowe cywilizacje. Tamci, najbardziej zacofani ze wszystkich Słowian, otrzymali naogół dość późno kulturę niemiecką, kulturę obcą, której nie rozumieli: przyjęli jej stronę zewnętrzną, materjalną, wdrożono ich w jej dyscyplinę, ale moralnie pozostali surowi: na pierwotnym gruncie ich dusz germańska brutalność wyrosła do najwyższej potęgi. Ta ich surowość, połączona z dyscypliną, dała naród feldfeblów: umiał on zawojować Niemcy, wymusztrować je, zrobić z nich groźną potęgę i umiał je wykoleić, doprowadzić do niebywałej katastrofy. Surowa energja pruska zrobiła karjerę Niemiec i równie surowa pruska naiwność tę karjerę zmarnowała. Dowodów tej naiwności nie trzeba szukać daleko: dość czytać wspomnienia Ludendorffów, Tirpitzów i in.

Naród niemiecki, któryby miał mniej żywiołu pruskiego, a więcej południowo-niemieckiego, byłby o wiele więcej zrównoważony, więcej skłonny do budowania swej przyszłości na pracy i twórczości cywilizacyjnej, niż na podbojach, na rozrastaniu się cudzym kosztem. Ten naród o wiele łatwiej uznałby się za ustalony w swoich granicach. Tem bardziej, że nie pozostawionoby mu dwóch wielkich powodów do niezadowolenia ze swoich granic. Pierwszy z tych powodów to pozostawienie krajów austrjackich poza granicami państwa niemieckiego. Ciążenie do Niemiec w tych krajach na pewno się będzie coraz bardziej rozwijało, a równolegle będą się wzmagały w Niemczech aspiracje do ich przyłączenia. Drugi powód to pozostawienie Prus Wschodnich w rękach niemieckich. Dopóki Niemcy posiadają Prusy Wschodnie, dopóty będą niezadowolone, że nie posiadają więcej. I nie będzie im chodziło tylko o tak nazywany bez sensu „korytarz" — bo nie jest przecież żadnym korytarzem Pomorze, rdzenna prowincja polska, prawowita część obszaru polskiego. Pomorze polskie nie jest dla

Niemiec wystarczającym łącznikiem z Prusami Wschodniemi, i nigdy Niemcy tego łącznika za wystarczający nie uważały. Taki wąski pas terytorjum niemieckiego, daleko ciągnący się na wschód wzdłuż morskiego brzegu, zawsze może być przerwany. Miała słuszność polityka niemiecka, która rozumiała, że posiadanie Prus Wschodnich będzie dopiero wtedy naprawdę zapewnione, kiedy przynajmniej połowa dorzecza Wisły do Niemiec będzie należała, kiedy Polska będzie nieodwołalnie zniszczona. To też pozostawienie Prus Wschodnich w rękach niemieckich jest jakby zachętą dla nich, żeby dążyli do zniszczenia Polski. I łatwiej byłoby Niemcom opłakać utratę Prus Wschodnich, ile że na otarcie łez dostaliby niemiecką Austrję, niż stale godzić się z myślą, że mają posiadać daleko na wschodzie Prusy Wschodnie, ale nic więcej.

Twórcy pokoju, należycie rozumiejący swe zadanie, taki winni byli dać pokój Niemcom. Umożliwiliby na przyszłość pokojowy rozwój narodu niemieckiego, stworzyliby dzieło wielkie, dobroczynne dla całej Europy.

Takie rozstrzygnięcie kwestji granic państwa niemieckiego miałoby ogromne znaczenie nietylko dla dalszej przyszłości, ale także i dla okresu bezpośrednio powojennego.

Przecież co jest najniebezpieczniejsze i dla Europy, i dla Niemiec samych, to właśnie fakt, że myśl polityczna dzisiejszych Niemiec w ogromnej części społeczeństwa jest dalszym ciągiem tej myśli, która panowała przed wojną i do wojny doprowadziła, myśli przedewszystkiem pruskiej. Gdyby Prusy były poważnie okrojone, a w skład Niemiec wszedł tak duży kraj południowo-niemiecki jak Austrja, byłaby to tak poważna zmiana, że utrzymanie ciągłości życia państwowego i myśli politycznej byłoby możliwe w o wiele mniejszej mierze: byłaby to rewolucja, kto wie, czy nie donioślejsza o wiele

w skutkach od przewrotu, który pozbawił Hohenzollernów tronu. A to pewna, że w skutkach o wiele trwalsza.

Czy przebudowa państwa niemieckiego w tym sensie była możliwa po tej wojnie? Jestem głęboko przekonany, że była, nawet przy takiem niedociągnięciu zwycięstwa, jakieśmy mieli dzięki Wilsonowi, a właściwie dzięki tym, którzy na Wilsona wpływ mieli. Nie chcę powiedzieć, że to było możliwe przy wysunięciu sprawy dopiero w ostatniej chwili, na konferencji pokojowej, w tych warunkach, w jakich się ona odbywała. Ale byłoby inaczej, gdyby rzecz była przygotowana zawczasu, gdyby program był sformułowany i przedyskutowany między sprzymierzonymi podczas wojny, gdyby to rozstrzygnięcie przyszło na konferencję tak gotowe, jak rozstrzygnięcie wielu innych kwestyj. Na to wszakże trzeba było, żeby do tego dążyła z całą stanowczością Francja, mocarstwo najbliżej zainteresowane w kwestjach dotyczących przyszłości Niemiec. Dążenia wszakże Francji były całkiem inne.

Z moim programem w tej kwestji zostałem pobity przy pierwszych próbach rozpoczęcia kampanji. Gdybym był znał teren zachodnio-europejski przynajmniej tak, jak go znałem później, po kilku latach cennego doświadczenia, możebym się tak szybko pobić nie dał, może byłbym działał śmielej, i możeby mi się udało zdobyć dla tego programu potężne poparcie zarówno we Francji, jak w innych państwach sprzymierzonych... Rzeczy niemożliwych jest o wiele mniej, niż nam się zdaje: trzeba tylko mocno chcieć, wytrwale zdążać do celu i całą energję oddać na jego osiągnięcie.

Myślę, że we Francji wielu ludzi dziś rozumie, że kwestja niemiecka została źle rozstrzygnięta. I myślę, iż poza nami niejeden naród w Europie będzie miał powód do żałowania, że jej nie rozstrzygnięto inaczej.

Wyrażony w krótkich słowach polski program przebudowy środkowej Europy obejmował:

1) rozbiór Austro-Węgier; pozostawienie niezawisłego państwa węgierskiego po zredukowaniu go do granic madjarskiego obszaru etnograficznego; ustanowienie państwa czesko-słowackiego; przyłączenie pozostałych ziem monarchji habsburskiej do Polski, Rumunji, Serbji, przekształconej na zjednoczone państwo serbsko-chorwacko-słoweńskie, do Włoch, wreszcie do Niemiec;

2) powiększenie terytorjum państwa niemieckiego o ziemie niemieckie Austrji, a natomiast odłączenie od niego Alzacji i Lotaryngji do Francji, całego duńskiego Szlezwiku do Danji; wreszcie na wschodzie, polskiego Śląska Górnego, Poznańskiego, Prus Zachodnich i Wschodnich oraz paru powiatów Pomorza niemieckiego, przedewszystkiem lemborskiego i bytowskiego, w których znajduje się ludność kaszubska;

3) odbudowanie państwa Polskiego na obszarze zjednoczonych ziem polskich, a więc posiadającego ziemie odłączone od Rosji, których granicy wschodniej narazie nie określaliśmy, od Austrji — Galicję i Księstwo Cieszyńskie; wreszcie od Prus — wszystkie ziemie leżące poza granicą wschodnią Niemiec, z wyjątkiem niemieckiej części Prus Wschodnich, zorganizowanej jako Rzeczpospolita Królewiecka, złączona związkiem celnym z Polską, po odcięciu od Prus Wschodnich katolicko-polskiej Warmji, kraju Mazurów, wreszcie posiadających ludność litewską obu brzegów Niemna w dolnym jego biegu (Kłajpeda i Tylża).

Program ten w części dotyczącej Austro-Węgier pokrywał się naogół z programem Czechosłowaków (tu pozostawał spór o Cieszyn i niechętne stanowisko Czechów w sprawie wschodniej Galicji), Jugosłowian, Włoch i Rumunji. Narody te były bliżej od nas zainteresowane w jego realizacji, i główny ciężar jego przeprowadzenia nie na nas spoczywał.

Natomiast, w części swej dotyczącej Niemiec mógł

on tylko być programem naszym i wielkich mocarstw sprzymierzonych, zainteresowanych w przyszłości Niemiec, wśród których pierwsze miejsce zajmowała Francja. We Francji też przedewszystkiem znaleźliśmy sojusznika do jego przeprowadzenia, niestety, w tych granicach tylko, w których to odpowiadało francuskiemu pojmowaniu rzeczy. I to, cośmy z tego programu urzeczywistnili, zawdzięczamy przedewszystkiem Francji.

Uprzedzając dalszy rozwój i dalsze losy naszej akcji, zgóry muszę powiedzieć, że nie mamy powodów do triumfowania. Zwycięstwem byłoby naprawdę, gdybyśmy byli cały nasz program przeprowadzili. Bylibyśmy zrobili wielką rzecz i dla Polski, i dla Europy.

Nie chcę wcale utrzymywać, że urządzenie Środkowej Europy według naszego programu nie miało stron ujemnych. W polityce niema solucyj doskonałych.

Posunięcie granicy Niemiec w ich zachodniej części względnie daleko na południe przedstawiało duże niedogodności dla ich sąsiadów, między innymi i dla nas nawet. Nasza komunikacja lądowa z Europą zachodnią, a przedewszystkiem z Francją, nie mogłaby ominąć terytorjum niemieckiego. Jestem wszakże przekonany, że to rozszerzenie się państwa niemieckiego w powyższym kierunku w bliższej lub dalszej przyszłości nastąpić musi, że dzisiejszy stan rzeczy to prowizorjum, dla którego nie warto było psuć planu trwałego urządzenia środkowej Europy, któreby mogło na długi czas wystarczyć.

Istnienie małej republiki niemieckiej na brzegu bałtyckim, między ujściami Wisły i Niemna, nie byłoby także pozbawione pewnych komplikacyj. Rozwój życia wszakże, zwłaszcza gospodarczego, prowadziłby niewątpliwie do usunięcia trudności, Królewiec bowiem wraz z otaczającym go kraikiem, należąc do obszaru geograficznego polskiego, musi prędzej czy później związać się ekonomicznie z Polską, wejść w nasz system gospodarczy.

Stopniowo stosunki stawałyby się coraz normalniejszemi, podczas gdy należenie Prus Wschodnich do Niemiec z konieczności wytwarza stan patologiczny.

Tam, gdzie historja tyle pracowała nad wytworzeniem niezdrowego stanu rzeczy, niepodobna odrazu wszystkiego uzdrowić. Ale trzeba tworzyć takie ustroje, w których sama natura, samo życie działać będzie uzdrawiająco, wzmacniać ustanowiony porządek, a nie takie, które trzeba sztucznie podtrzymywać. Już doświadczenie tych kilku lat powojennych wykazało, że Austrja obecna jest ustrojem, który tylko przy sztucznem podtrzymaniu istnieć może. To samo doświadczenie uczy, że zachowanie Prus Wschodnich jako części państwa niemieckiego zrobiło z nich dla Niemców teren poczynań więcej może, niż cokolwiek innego w Europie, zagrażających przyszłemu pokojowi. Ta mała wysepka niemiecka umożliwia kształtowanie w bardzo niebezpiecznej dla pokoju postaci stosunku Niemiec nietylko do Polski, ale także do Rosji i do Litwy. Nie wiem też, kiedy będziemy oglądali czasy, w których w życiu tej prowincji zapanują równowaga, spokój i normalne stosunki gospodarcze. Niemcy jej na to nie pozwolą.

Jedną z głównych przeszkód do urzeczywistnienia w całej pełni naszego programu była niewiara w Polskę, w jej żywotność, w jej zdolność do wzięcia na siebie odpowiedzialności za położenie rzeczy na wschód od Niemiec.

Tymczasem Polska wykazała wielką żywotność. Pomimo, że była postawiona w niesłychanie ciężkie położenie zewnętrzne, że przez długi czas nie miała uznanych przez mocarstwa granic, że musiała wytrzymywać nacisk bolszewicki na Europę, własnemi piersiami ją zasłaniać, że stosunki jej z Niemcami komplikowały się przy pomocy mocarstw i Ligi Narodów, zamiast się upraszczać, że wreszcie była przez cały czas przedmiotem

kampanji oszczerczej ze strony żydów i tajnych organizacyj międzynarodowych; pomimo, że położenie wewnętrzne nie było łatwe w kraju, złożonym z ziem, które przed wojną były wciągnięte w rozmaite systemy gospodarcze i podlegały różnym prawom, że w chwili swego odrodzenia państwo otoczone było ze wszech stron krajami zrewolucjonizowanemi i że atmosfera rewolucyjna w znacznej mierze samej Polsce się udzieliła, że położenie polityczne przed wojną uniemożliwiało jej wychowanie ludzi do rządzenia, że jest rządzona zatem przez ludzi niedoświadczonych, że wreszcie w swym organizmie państwowym ma za wiele niezdrowego spadku po Austrji — pomimo to wszystko ta Polska żyje, porządek w niej jaki taki jest, ludzie, choć narzekają, z głodu nie umierają, i w całym szeregu dziedzin życia widać szybki postęp, pochód ku lepszej przyszłości. Niewątpliwie, są w naszem życiu państwowem wielkie trudności i wielkie niebezpieczeństwa, ale któreż państwo na świecie ich nie ma?... A to pewna, że żadne państwo nie istniało przez ostatnie lat sześć w tak trudnych warunkach, od niego niezależnych.

Świadczy to wszystko o olbrzymiej żywotności narodu i dowodzi, że odbudowane jego państwo zdolne było wziąć na siebie o wiele większą odpowiedzialność za położenie w tej naszej części Europy, niż je o to posądzano. Wiara właśnie w tę żywotność narodu podyktowała nam tak szeroki program przebudowy. Jeżeliśmy tej wiary nie spotkali u cudzoziemców, nie możemy mieć do nich pretensji, wobec tego, że jej nie było u mnóstwa naszych rodaków. Tylko tą niewiarą w naród możemy wytłómaczyć sobie wszystkie plany tworzenia Polski okrojonej, czy to w łonie monarchji habsburskiej, czy to pod kuratelą niemiecką. To jest najlepsze dla twórców tych planów tłómaczenie. Wszelkie inne byłoby o wiele gorsze.

Gdyby nam się było udało urzeczywistnić w całości cały nasz program, o ileż mocniej Polska byłaby odbudowana. Opierałaby się o Bałtyk nie tak jak dzisiaj, wąskim skrawkiem wybrzeża, posiadałaby ujście dwóch swoich wielkich rzek, Wisły i Niemna, miałaby w całej pełni warunki potęgi politycznej i nieskrępowanego rozwoju gospodarczego. Przy tych warunkach i naród rozwinąłby szybko w sobie o wiele szerszą myśl, o wiele większą swej myśli powagę, znalazłby szerokie i zdrowe ujście dla swej energji. Wtedy można byłoby powiedzieć, żeśmy naprawili gruntownie błędy przeszłości w zakresie naszych granic, żeśmy stworzyli dla przyszłych pokoleń trwałe ramy, w których będą mogły rozwinąć wielką, twórczą pracę.

Niestety, losy nam tego wielkiego szczęścia odmówiły. Samiśmy przedewszystkiem temu winni. Jestem pewien, że gdyby naród cały w swych myślących żywiołach miał tak wielkie aspiracje, gdyby sobie był ten cel postawił, dobrze go rozumiał, zawczasu walkę o jego osiągnięcie przygotował, a w chwili decydującej całą swą energję ku niemu zwrócił — dziś nasz program byłby rzeczywistością.

Na to wszakże trzeba było, żeby wielka wojna europejska zastała była w Polsce inne pokolenie, pokolenie z szerszą o wiele piersią i z dalej sięgającym wzrokiem. Trzeba było, żeby ludzie, kierujący polityką polską w tej wojnie, nie byli zmuszeni ciągnąć za sobą narodu, ale raczej żeby byli przezeń pchani. Przecież i to nawet, co Polska zdobyła, tak niedawno jeszcze było uważane za fantazję...

Trzeba się uderzyć w piersi i przyznać przed sobą, że na wielką chwilę, która w dziejach przyszła, okazaliśmy się zamali. Co prawda, nie my jedni...

XI

KWESTJA POLSKA W WALCE POLITYCZNEJ MOCARSTW W ROKU 1916

W Petersburgu panowalo przekonanie, że kwestja polska pozostanie w tej wojnie rosyjską kwestją wewnętrzną, że nietylko żadne z mocarstw nie będzie miało prawa zabrać głosu w sprawie przyszłości ziem zaboru rosyjskiego, ale Rosji pozostawioną będzie wyłączna decyzja nawet o losach ziem polskich, należących do Prus i Austrji. W Berlinie kreślono plany, co do przyszłości ziem polskich, należących do Rosji, nie wątpiąc przytem, że kwestja ziem zaboru pruskiego, jako ziem nieodwołalnie niemieckich, nie może być podniesiona i pozostanie kwestją wewnętrzną Prus. Nawet w Wiedniu uważano, że nie można kwestjonować należenia Galicji do Austrji, a kwestja polska przedstawiala się politykom austrjackim tylko jako pytanie, o ile tę Galicję należy i można będzie powiększyć o ziemie polskie, oderwane od Rosji. We wszystkich trzech państwach rozbiorczych myślano, że uda się nie dopuścić do tego, ażeby kwestja polska w tej wojnie stała się kwestją międzynarodową, ażeby ktokolwiek poza niemi o przyszłości Polski postanawiał.

Jakim sposobem wytrawni, doświadczeni politycy mogli żywić podobne złudzenia w wojnie, rozgrywającej się w znacznej mierze na terenie polskim, w której państwa ziemie polskie posiadające walczyły przeciw sobie?... Łatwo było usunąć kwestję polską z widowni między-

narodowej i narzucić Europie milczenie w niej w ciągu pięćdziesięciolecia, poprzedzającego wojnę, gdy w tym względzie istniała kooperacja wszystkich trzech państw rozbiorczych. Z wybuchem wszakże wojny kooperacja się skończyła, i wrogowie Polski zmuszeni zostali do wygrywania przeciw sobie kwestji, którą przedtem wspólnemi usiłowaniami starali się chować jak najgłębiej. To wygrywanie zaczęło się od pierwszych chwil wojny, i niedorzecznością było przypuszczać, że nie doprowadzi ono do umiędzynarodowienia sprawy polskiej. W polityce wszakże żadnym niedorzecznościom nie należy się dziwić.

Zgóry należało przewidzieć, że przesunięcie frontu między Rosją a państwami centralnemi, czy to na zachód, czy na wschód, czy zajęcie ziem zaborów pruskiego i austrjackiego przez armję rosyjską, czy odwrotnie, zajęcie zaboru rosyjskiego przez armje państw centralnych — automatycznie zrobi kwestję polską wielką kwestją międzynarodową.

Istotnie też, po zwycięstwach państw centralnych nad Rosją, z chwilą, kiedy cały obszar narodowy polski znalazł się w ich rękach — kwestja polska staje się odrazu głównym przedmiotem gry politycznej między mocarstwami. Jest ona już *de facto* międzynarodową, choć formalnie za taką nie została jeszcze uznana. Pracują nad wyniesieniem jej na widownię międzynarodową wszyscy, i ci, co tego chcą, i ci, co nie chcą.

Pracuje przedewszystkiem polityka niemiecka. Dążąc od początku wojny do osobnego pokoju z Rosją, któryby kwestję polską na długo pogrzebał, a jednocześnie był wielkim krokiem naprzód w ujarzmieniu Rosji, Niemcy widzą, że najlepszą do tego pokoju drogą jest zastraszyć Rosję niebezpieczeństwem polskiem. Po zajęciu tedy Królestwa, dają zachętę polskości, zapowiadają, że nie oddadzą już ziem polskich z powrotem Rosji, otwierają

uniwersytet polski w Warszawie i t. d. Wiedzą wszakże, że to do zastraszenia Rosji nie wystarczy: wśród najbardziej nacjonalistycznie usposobionych Rosjan było wielu takich, którzy chętnieby się pozbyli Królestwa jako kraju, na którego zruszczenie nie było nadziei i który zawszeby przeszkadzał Rosji być państwem narodowem.

W r. 1915, w kilka tygodni, po wycofaniu się wojsk rosyjskich z Polski, mieliśmy konferencję z rosyjskim ministrem spraw wewnętrznych, księciem Szczerbatowem, który nie należał do biurokracji i którego mianowanie było uważane za ustępstwo dla społeczeństwa rosyjskiego. W konferencji tej, prócz mnie, brali udział Zygmunt Wielopolski i Eustachy Dobiecki.

— Kwestja polsko-rosyjska w Królestwie — mówił Szczerbatow — to, proszę panów, nie jest kwestja. Tubyśmy się bardzo łatwo porozumieli. Właściwa kwestja polsko-rosyjska, dla nas ogromnej wagi, to kraj północno i południowo-zachodni (Litwa i Ruś). Tu leży cała trudność porozumienia...

Wiedzieli to i Niemcy i rozumieli, że chcąc Rosjan naprawdę zastraszyć, trzeba kwestję polską podnieść na Litwie.

To też zaraz po zajęciu Litwy, w początku września 1915 r., generał hr. Pfeil wydaje odezwę, w której nazywa Wilno „perłą sławnego Królestwa Polskiego"; w następstwie, spisy statystyczne niemieckie wykazują, że znaczna część t. zw. Litwy posiada większość ludności polskiej, a autorzy niemieccy rozpisują się o projekcie polskiego *Nationalitaetenstaat*'u, oznaczającego oderwanie od Rosji ziem litewsko-ruskich. Można było myśleć, że Niemcy chcą tworzyć jakieś wielkie państwo polskie, z granicami daleko na wschód posuniętemi. Późniejsza ich polityka pokazała, że o tem wcale nie myśleli. Był to bluff, który miał popchnąć wszystkich Polaków przeciw Rosji, potężnie zastraszyć opinię rosyjską i ochło-

dzić jej zapał do wojny z Niemcami. Spodziewano się, że pokłócona z Polakami, w obawie utracenia Krajów Zabranych, nie będzie ona przeszkadzała rządowi w zawarciu z Niemcami osobnego pokoju.

Rzecz nie była źle pomyślana. Kto znał dobrze Rosję, wiedział, że całe społeczeństwo rosyjskie, od żywiołów reakcyjnych aż do najskrajniejszych radykałów, wychowane na fałszywych statystykach rządowych, uważa Kraje Zabrane za ziemię rdzennie rosyjską i nie dopuszcza myśli ich utraty. Na tym terenie bardzo łatwo było wszcząć zaciekłą walkę między Polakami a Rosją, walkę, któraby w świadomości Rosjan zajęła pierwsze miejsce i przyslониła im wszystkie inne zagadnienia bytu państwowego Rosji.

I myśmy sobie zdawali sprawę z tego oddawna. Z chwilą też, kiedyśmy zaczęli widzieć możliwość starcia między Rosją a Niemcami, kiedyśmy na tej możliwości zaczęli budować swe plany, kiedyśmy postanowili dojść do wytworzenia solidarności polsko-rosyjskiej przeciw Niemcom — zrozumieliśmy, że chcąc ten cel osiągnąć, trzeba przedewszystkiem uspokoić obawy rosyjskie co do Krajów Zabranych. Nie marzyliśmy o powrocie Polski do granic z 1772 r., widzieliśmy całą tego niemożliwość i mogliśmy szczerze Rosjanom powiedzieć, że do większej części tych ziem Polska pretensji mieć nie będzie. Niebezpiecznem wszakże było mówić o jakiejkolwiek ich części, nawet o tej, która niewątpliwie należy do obszaru narodowego polskiego. Wypadki szły szybko i nie było czasu na wychowywanie nanowo myśli rosyjskiej i w tej sprawie. Dlatego, o ileśmy mogli, omijaliśmy w dyskusjach polsko-rosyjskich sprawę Krajów Zabranych, gdy zaś ominąć nie było można, mówiąc o Polsce na Wschodzie, zatrzymywaliśmy się na granicy etnograficznej.

To nam pozwoliło utrzymać solidarność polsko-ro-

syjską i nie stworzyć dla Niemiec warunków do osobnego pokoju z Rosją nawet wtedy, gdy spróbowały one wygrywać kwestję polską na Litwie.

I tym razem Niemcom się nie udało. Jedynym pozytywnym skutkiem ich akcji było wywołanie nastroju germanofilskiego wśród znacznej części surowego politycznie ziemiaństwa naszego w Krajach Zabranych. Nastrój ten narazie żadnego wpływu na wypadki nie wywarł, ale później, po rewolucji rosyjskiej, wyrządził sprawie polskiej ogromne szkody. Wyzyskali go tacy działacze, jak Lednicki, dla paraliżowania polityki niepodległości i prób zorganizowania poważnej siły zbrojnej polskiej na Wschodzie.

W początku roku 1916 na czele rządu rosyjskiego stanął Stürmer, zajadły wróg Polski i niewątpliwy germanofil, dążący do pokoju z Niemcami. Szukał on tylko sposobności i szukał jej także w kwestji polskiej.

Gdy londyński *Foreign Office* zakomunikował rządom sprzymierzonym raporty żydka galicyjskiego o mojem wrzekomem zbliżaniu się do Austrji, Stürmer skwapliwie chwycil tę okazję i w marcu 1916 r. rozeslał po całej Rosji, do gubernatorów, dowódców armji i t. p., w pięciu tysiącach egzemplarzy, okólnik, oparty na tych raportach i wykazujący, że działacze polscy zagranicą przechylają się na stronę państw centralnych. Stürmer musiał wiedzieć, że raporty są fałszywe: miał on swoje informacje o polityce polskiej i nie potrzebował ich czerpać ze źródel angielskich. Zresztą, w chwili wydania okólnika, już znajdował się w jego rękach przesłany przez Izwolskiego mój memorjał, podyktowany troską o zwycięstwo państw sprzymierzonych. Cóż mogło być celem takiego okólnika, jak nie wywołanie w Rosji nastroju przeciwpolskiego i ułatwienie sobie wejścia w pertraktacje pokojowe z Niemcami?...

W pierwszej połowie 1916 r. polityka Stürmera by-

ła krępowana wewnątrz samego rządu przez obecność Sazonowa na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Sazonow dążył do zwycięstwa, był człowiekiem uczciwym, dochowującym wiary aljantom, cieszył się też sporem zaufaniem opinji publicznej w Rosji. W swej przeszłości był przeciwnikiem polityki skrajnie przeciwpolskiej, jak zresztą i jego poprzednik, Izwolskij. Podczas wojny widział, że trzeba w kwestji polskiej coś zrobić, że inaczej wymknie się ona z rąk rosyjskich. Nie był wszakże zdolny pojąć szerzej tej kwestji. Przeceniał bardzo potęgę rosyjską i solidność podstaw, na których się opierała, był też przekonany, że Polska nie może żyć inaczej, jak pod skrzydłami opiekuńczemi Rosji. Jako *maximum* karjery dla Polski, widział szeroką autonomję w państwie rosyjskiem.

Pogląd Sazonowa na sprawę Polską godził się z tezą, że sprawa ta musi pozostać sprawą wewnętrzną Rosji. Stąd jego wielkie niezadowolenie z mojego stanowiska, zajętego w rozmowie z Izwolskim w końcu lutego 1916 r. i w następnie złożonym memorjale.

W kilkanaście dni po wysłaniu depeszy o rozmowie ze mną Izwolskij otrzymał od Sazonowa poufną instrukcję, w której między innemi powiedziano:

„Wszelkie propozycje, dotyczące przyszłych rozgraniczeń w Europie Środkowej, są przedwczesne, a wogóle trzeba pamiętać, że jesteśmy gotowi pozostawić Francji i Anglji całkowitą swobodę określenia zachodnich granic Niemiec, licząc, że ze swej strony sprzymierzeńcy pozostawią nam taką samą swobodę w naszem rozgraniczeniu z Niemcami i Austrją. W szczególności konieczną jest rzeczą kłaść nacisk na wyłączenie kwestji polskiej z przedmiotów dyskusji międzynarodowej i na przeszkodzenie wszelkim próbom postawienia przyszłości Polski pod gwarancją i kontrolą mocarstw".

Z żadnym z Polaków w Piotrogrodzie Sazonow ani słowa nie wymienił o moim memorjale. Natomiast ambasador francuski, Paléologue, niezawodnie na życze-

nie Sazonowa, poruszył ten przedmiot w rozmowie z Konstantym Platerem, gdy ten opuszczał Piotrogród, w powrocie na Zachód (w kwietniu 1916 r.). Ambasador mówił o niezadowoleniu z mego stanowiska w rosyjskich sferach rządowych i dawał do zrozumienia, że idziemy za daleko.

P. Palėologue wszakże był już w tyle za wypadkami i za sytuacją, jaka się w sprawie polskiej wytworzyła na Zachodzie. Rozmowa z Platerem, o której zaraportował swemu rządowi, wywołała na Quai d'Orsay wielkie niezadowolenie z ambasadora. Wzięto mu bardzo za złe, że się dał użyć Sazonowowi do misji, która nie przystała przedstawicielowi Francji.

Niemcy w swem dążeniu do osobnego pokoju z Rosją, nietylko usiłowali pokłócić Polaków z Rosjanami, ale także starali się wywołać na gruncie sprawy polskiej nieporozumienia między Rosją a jej zachodnimi sprzymierzeńcami.

Żadna sprawa nie postawiła państw zachodnich, Francji, Anglji i Włoch, w tak trudnej i delikatnej sytuacji, jak sprawa polska.

Wstępując w wojnę, państwa te wypisały na swych sztandarach hasło wolności ludów, które dawało im siłę moralną w całym świecie, pozyskiwało dla nich opinję krajów neutralnych, wzmacniało ducha ich własnych społeczeństw i wytwarzało trudności wewnątrz państw centralnych, w szczególności w państwie Habsburgów, z tylu ludów złożonem. Trudno było wszakże głosić hasło wolności ludów, a milczeć o Polsce, która była najjaskrawszym przykładem pogwałcenia tej wolności. Tymczasem Rosja żądała bezwzględnie milczenia w tej sprawie, i była obawa, że jeżeli żądaniu jej zadość się nie stanie, gotowa jest opuścić sprzymierzeńców i zawrzeć pokój z państwami centralnemi.

Szerszy świat z tego położenia niecałkiem zdawał

sobie sprawę, niezawsze je też rozumiano w społeczeństwach angielskiem, francuskiem i włoskiem.

Już w grudniu 1915 r. w parlamencie włoskim poseł Montresor z towarzyszami wystąpili z wnioskiem, będącym dowodem szczerych sympatyj, jakie żywiono we Włoszech dla Polski, wyrażającym życzenie, „ażeby szlachetny naród polski... który jest przeznaczony w przyszłości do odgrywania wielkiej roli w pokojowej równowadze, odzyskał jedność w państwie wolnem i niepodległem".

Niezawodnie nazajutrz *Consulta* miala wizytę ambasadora rosyjskiego z przedstawieniem, że uchwalenie podobnego wniosku jest niedopuszczalne. To też wniosek dlugo leżał, aż został na prośbę rządu cofnięty przez wnioskodawców. W Polsce gniewano się na to i niecierpliwiono, ale właściwie należało tylko współczuć rządowi włoskiemu w jego trudnem położeniu. Gdyby on i inni sprzymierzeńcy zachodni nie krępowali się stanowiskiem rządu rosyjskiego, gdyby się z nim poróżnili na gruncie kwestji polskiej, gdyby wynikiem tego był osobny pokój między Rosją a Niemcami, Polska sama najdrożejby za to zapłaciła.

W interesie państw zachodnich leżało jak najgłośniej podnieść i jak najmocniej postawić kwestję polską — był to wielki atut przeciw Niemcom. Ale było to w ich interesie — dodamy, i w interesie Polski — o tyle tylko, o ileby za to nie zaplacili utratą wschodniego sojusznika. Dlatego też przedstawiciele rządów państw zachodnich, o ile dotykali sprawy polskiej, robili to bardzo ostrożnie i nieśmiało.

Wyzyskując ich trudne położenie, Niemcy ich w sprawie polskiej prowokowali.

W połowie listopada 1915 roku Bonar Law, odpowiadając w Izbie Gmin w imieniu rządu na pacyfistyczne wystąpienie jednego z posłów, zapytał: „czy którykolwiek

z członków Izby przypuszcza, że Niemcy, o ile nie będą pobite, zwrócą Alzację Francji lub zwrócą Polskę narodowości, do której ona należy?".

Znamienne tu jest użycie wyrazu *nationality* (narodowość), zamiast *nation* (naród), któryby tu był bardziej na miejscu. Wyraz wszakże *nation* w języku angielskim jest używany nietylko w znaczeniu „naród", ale i w znaczeniu „państwo". Zwrócenie Polski państwu, do którego ona należy, byłoby zrozumiane jako zwrócenie Rosji; mówca zaś najwidoczniej nie chciał być tak zrozumiany. Przy użyciu wyrazu *nationality* można było rozumieć tylko narodowość polską.

Bethmann-Hollweg wszakże udał, że nie rozumie, i w trzy tygodnie potem, polemizując w Reichstagu z ministrem angielskim, powiedział: „nie jest całkiem jasne, czy według jego poglądu Polska ze swej narodowości należy do Rosji". Kanclerz niemiecki prowokował rząd angielski do wypowiedzenia się wyraźniejszego, któreby wywołało protesty ze strony rosyjskiej. Cel aż nadto wyraźny — pokłócenie aljantów z Rosją na sprawie polskiej.

Tak, od początku wojny, a zwłaszcza od końca roku 1915, odbywał się na terenie międzynarodowym wielki szantaż, którego przedmiotem była sprawa polska, a którego ofiarami były Francja, Anglja i Włochy. Niestety, pomagali do niego Polacy, często nawet tacy, którzy się uważali za sojuszników państw zachodnich. A przecie celem tego szantażu było, między innemi, zgubienie Polski.

Państwa zachodnie usiłują się przed tym szantażem bronić, ale mają ręce związane przez Rosję.

Tymczasem Niemcy występują jako zbawcy ujarzmionych ludów i dalej straszą Rosję, zapowiadając (Bethmann-Hollweg w Reichstagu w kwietniu 1916 r.), że „nie oddadzą z powrotem Rosji ludów od Bałtyku aż

do błot wołyńskich — Polaków, Litwinów, Bałtów i Łotyszów"...

Jednocześnie doprowadzają zbyt rozgorączkowanych temi deklaracjami „aktywistów" polskich do rozumu. Beseler, przyjmując organizatorów obchodu Trzeciego Maja, wykłada im w kunsztownej formie niemieckiej, że Polska tak zanadto samodzielną nie będzie. Po profesorsku daje im lekcje o obowiązkach ludów, które będą wzięte w opiekę przez Niemcy: *„Die Völker verstehen müssen sich an die Völker oder Staatengesellschaft anzugliedern, der sie sich anschliessen und mit der sie zusammenarbeiten wollen"*. Wymowne, acz nie dające się ściśle przetłómaczyć wyrażenie *„sich angliedern"*: zająć swoje miejsce i umieć wykonywać swoją funkcję w układzie przez Niemcy stworzonym i przez nie prowadzonym.

Przygotowanie Rosji do osobnego pokoju idzie naprzód. Sazonow, w początku lipca 1916 r., dostaje dymisję (której powodem miał być memorjał jego, żądający wyraźnego wypowiedzenia się w sprawie polskiej, w sensie szerokiej autonomji). Jego następca na stanowisku ministra spraw zagranicznych, Stürmer, wygłasza w Dumie charakterystyczną deklarację: wojna do szczęśliwego końca, poza tem, niczem się nie należy zajmować, nawet kwestją słowiańską (czytaj: polską). Do oddziaływania na Mikołaja II, upierającego się przy prowadzeniu wojny, czującego zresztą, że wojna podtrzymuje jego pozycję w społeczeństwie rosyjskiem, wynaleziono dziwną, jak na wiek dwudziesty, figurę Rasputina, którego wpływ staje się zatrważająco silnym.

Niemcy wszakże dmuchali w żar przysypany popiołem, w mylnem przekonaniu, że gdy płomień wybuchnie, będą go mogli regulować tak, jak im to będzie dogadzało. Prowadząc swą grę polską, nie przypuszczali, że pracują dla nas, nie dla siebie. Nic nam tak nie

ułatwiło naszego zadania na Zachodzie, jak właśnie ta polityka niemiecka.

Na terenie zachodnim, na którym już oddawna przestano rozumieć kwestję polską, jak to już powiedziałem, musieliśmy uczyć jej na nowo, że tak powiem, od abecadła. Spotykaliśmy wielu ludzi, przyjaźnie zapatrujących się na dążenia Polaków do wolności, którzy często więcej nam przeszkadzali, niż pomagali. Bo byli to często sekciarze, doktrynerzy, traktujący sprawę polską powierzchownie i szablonowo. Nie znali oni Polski, ani położenia w Europie środkowej, umysły zaś ich były niedostępne dla realnych koncepcyj politycznych. Dla nich kwestja polska nie była niczem innem, jak częścią jednej ogólnej kwestji małych narodów, którym należy się dobrodziejstwo wolności. Nie przychodziło im nawet do głowy, że przy takiem pojmowaniu rzeczy rozwiązanie kwestji polskiej było wprost niemożliwe.

— Dziwna rzecz — mówił jeden z profesorów w Anglji — że ze wszystkich kwestyj małych narodów w tej wojnie kwestja polska jest najmniej rozumiana i najniechętniej poruszana.

Odpowiedziałem mu na to:

— Przyczyna, panie profesorze, jest bardzo prosta. Polska to nie jest mały narodek, jeno wielki naród. I kwestja polska, to nie jest kwestja wolności jednego z małych narodków, ale wielka kwestja polityki międzynarodowej: od sposobu jej rozwiązania zależy w znacznej mierze przyszłość całej Europy. Gdy się chce wielką kwestję traktować jako jedną z kwestyj małych, nie można sobie z nią dać rady, i naturalnym wynikiem jest zniechęcenie.

Profesor mię nie zrozumiał. Rozmawialiśmy w rezydencji wiejskiej Chestertona. Ten świetny pisarz, chodzący własnemi drogami, jak najdalej stojący od masońskiego doktrynerstwa, odrazu mi przyklasnął. O ile

łatwiej ludzie uczyliby się nowych rzeczy, gdyby nie zakucie myśli w kajdany sekciarskie...

Niemcy — którzy nas na swój sposób usiłowali sprowadzić do poziomu małego narodku — zrobiwszy kwestję polską przedmiotem wielkiego szantażu, ogromnie nam pomogli do wykazania jej znaczenia w Europie. Przy tej ich mimowolnej pomocy, zmusiliśmy ludzi na Zachodzie do myślenia o naszej sprawie nieco inaczej, niż o sprawie jednego z małych narodów, które po wojnie będą obdarzone wolnością. Zaczęto rozumieć, że jest to kwestja jak najbardziej aktualna, od początku wojny grająca w niej ogromną rolę, mogąca na same losy wojny wywrzeć wpływ niemały, może nawet decydujący. Pomagało to do zrozumienia, że i po wojnie Polsce przypadnie odrębna, niepoślednia rola w położeniu międzynarodowem.

Pokłócenie aljantów z Rosją na kwestji polskiej nie udało się. Nie udawało się również pokłócenie Rosjan z Polakami. Zmiany w rządzie rosyjskim odbywały się w duchu korzystnym dla Niemiec: zawarcie osobnego pokoju z Niemcami coraz wyraźniej było celem tego rządu. Opinja wszakże rosyjska, mająca swój oficjalny wyraz w Dumie, z całą siłą stała za wojną, manifestowała swe wrogie stanowisko względem Niemiec. Przepaść pomiędzy nią a rządem coraz bardziej się pogłębiała. Póki była zgoda z Polakami, można było mieć prawie pewność, że nie zmieni ona swego stanowiska względem Niemiec. Historja zaś Rosji uczyła, że o ile opinja ta miała niewielki wpływ na politykę wewnętrzną państwa, polityka zagraniczna Rosji nigdy nie śmiała wyraźnie się jej przeciwstawiać, zawsze starała się być w zgodzie z opinją publiczną. Znając tę właściwość polityki rosyjskiej, przywiązywaliśmy tak wielkie znaczenie do stanu opinji publicznej w Rosji i takich używaliśmy wysilków, ażeby nie osłabić poczucia solidarności polsko-rosyjskiej w tej wojnie.

Nie można też powiedzieć, żeby się Niemcom bardzo powodziło i w samej Polsce.

W Królestwie większość opinji, która od początku stała za naszą polityką i odpornie się zachowywała względem wszelkich kuszeń austrjackich i niemieckich, wytrwale zachowywała swe stanowisko. Natomiast w kołach, które poddały się pod wpływ „aktywistów", które zrazu, po „wyzwoleniu z pod Moskala" ogarnął był bezkrytyczny zapał, zaczęło się zjawiać rozczarowanie i zniechęcenie. Przybrało ono szerokie rozmiary, zwłaszcza w lecie i na jesieni 1916 r., gdy Niemcy, w swej polityce, dążącej do osobnego pokoju z Rosją, przeszli względem niej od metody zastraszania do kokieterji, a tem samem przerwali kokietowanie Polaków. Nowych obietnic już nie słyszano, o wykonaniu poprzednio danych nikt nie mówił...

To rozczarowanie i zniechęcenie miało swoje odbicie i w legjonie polskim, walczącym po stronie państw centralnych. Znajdował się on na froncie rosyjskim, w odcinku słynnego ze swych pism pruskiego generała Bernhardiego.

Tragedja legjonu w owym czasie doszła do swego *apogeum*. Z chwilą, kiedy po wybuchu wojny zawiódł pokładane w nim nadzieje i nie wywołał powstania w Królestwie, przestał on być Niemcom potrzebny, był raczej zawadą. W wypadku dojścia do skutku pokoju osobnego z Rosją, nie wiedzianoby, co z nim zrobić, zwłaszcza, że Rosja nie domagałaby się prawdopodobnie wydania w jej ręce walczących w nim poddanych rosyjskich. W razie ustanowienia jakiegoś państewka polskiego pod kuratelą niemiecką, trzebaby zorganizować armję tego państewka; dla Niemiec wszakże wcale nie było pożądanem, żeby zaczątkiem armji był legjon powstańców, bo nie powstańczy duch byłby im w takiej armji potrzebny. Najprostszem rozwiązaniem tej kłopotliwej

kwestji było przeznaczyć legjon na wybicie. Tak też zrobiono. W lipcu 1916 r. pułki legjonowe nie liczyły już więcej jak po 300—400 ludzi. Nieszczęśliwi legjoniści wreszcie zorjentowali się, że są skazańcami. Zaczęło się szemranie, groźba buntu, wreszcie doszło do ostrego starcia między organizatorem i dowódcą legjonu Piłsudskim a dowódcą odcinka, Bernhardim. W rezultacie Piłsudski, nie mogąc opuścić służby z całym legjonem, podał się do dymisji osobiście. W pozostającym na froncie legjonie utworzyła się rada pułkowników legjonowych, która wystąpiła do „Naczelnego Komitetu Narodowego" w Krakowie z memorjałem, w którym oświadczyła, że legjon chce być uważany tylko za wojsko polskie, bijące się za wolność Polski, że powinien mieć dowództwo polskie, odpowiedzialne przed współobywatelami i przed swym własnym rządem.

Wobec tego stanu niezadowolenia w legjonie, władze austrjackie zdecydowały się na ustępstwo: Legjon został przemianowany na „korpus pomocniczy polski" przy armji austrjackiej, obdarzono go sztandarami z Orłem Białym i Matką Boską[1], wreszcie wycofano go z frontu dla skompletowania. Piłsudskiemu dano urlop, a potem dymisję.

Przy tem wszystkiem ujawniły się w owym czasie silne tarcia w sprawie polskiej między rządem austrjackim a niemieckim. Krótkowidzący mężowie stanu austrjaccy ciągle jeszcze łudzili się, że ich program rozszerzenia Galicji ma widoki urzeczywistnienia. Dopiero latem 1916 r. dowiedzieli się, że Prusacy kwestję polską uważają

---

[1] Znamienna jest ta wspólna naszym rewolucjonistom, Niemcom i Austrjakom skłonność do eksploatowania w polityce Matki Boskiej Częstochowskiej. Socjaliści w 1905 r. nosili w Królestwie sztandary czerwone z Matką Boską, Niemcy od początku wojny ogłaszali ją za swoją aljantkę, wreszcie znalazła się na sztandarach legjonowych.

za swoją wyłącznie domenę i że z planami austrjackiemi nie myślą się wcale liczyć. Berlin postanowił używać tej kwestji na własną rękę, jako przedmiotu gry z Rosją, decyzje też co do przyszłości ziem polskich sobie wyłącznie rezerwował. Dla polityków wiedeńskich był to bolesny zawód, połączony z upokorzeniem: jeszcze raz się przekonali, jak trudno wmawiać w siebie, że ich sojusz z Niemcami jest sojuszem równego z równym. Przy tej sposobności „Naczelny Komitet Narodowy" w Krakowie, który oparł swe nadzieje na wierze w Austrję, w jej samodzielność i w jej wiełką rolę w sprawie polskiej, nareszcie dowiedział się, że to wszystko była fikcja i że on sam, ze swym szumnym tytułem, ze swą „naczelnością" nic nie znaczy.

Awanse Niemiec względem Rosji nie odniosły skutku. Mocne stanowisko opinji rosyjskiej i wysiłki państw zachodnich wystarczyły do sparaliżowania intryg rządu petersburskiego i rosyjskich sfer dworskich. Stosunki Rosji z aljantami nawet się poprawiły. Przyczyniła się do tego znacznie wizyta delegacji ciał prawodawczych rosyjskich, Dumy i Rady państwa, w Londynie, Paryżu i Rzymie.

W delegacji tej brali udział i Polacy z Zygmuntem Wielopolskim na czele. Wielopolski ze swej trudnej roli wyszedł znakomicie. Nie znikł w gronie swych kolegów rosyjskich, wszędzie wysunął się na front, jako przedstawiciel Polski, i uczynił to z wielkim taktem, dzięki czemu nie doprowadził do zadrażnienia stosunków z Rosjanami. Jego przemówienia w Paryżu i Rzymie były aktami politycznemi wysokiego poziomu i stanowiły poważny krok naprzód w naszej akcji.

W owym czasie Niemcy zdobyli sobie nowego agenta w Rosji, w osobie członka Dumy, Protopopowa, który przewodniczył swoim kolegom w delegacji do państw zachodnich. Po powrocie delegacji do Rosji

zaczęły chodzić głuche wieści o jego konszachtach z Niemcami w Sztokholmie, co, naturalnie, silnie osłabilo dodatni wpływ pobytu delegacji na Zachodzie. Jego intrygi, prowadzone bez żadnej wątpliwości w porozumieniu z głową rządu, Stürmerem, nie osiągnęły bezpośredniego skutku; pomimo wszakże, iż był to człowiek mały, sądzone mu było odegranie roli dużej, fatalnej w ostatnich chwilach okresu petersburskiego dziejów Rosji.

Pod wpływem nowego zawodu w nadziejach na Rosję nastąpił nagły zwrot w polityce berlińskiej. Zdecydowano się na krok radykalny w kierunku użycia Polaków przeciw Rosji, na stworzenie państwa polskiego i armji polskiej.

Austrja musiała ustąpić i zgodzić się na ustanowienie na ziemiach, będących pod okupacją nietylko niemiecką, ale i austrjacką, państewka polskiego, pod faktyczną władzą niemiecką. Zostawiono jej pozory równorzędnego z Niemcami współdziałania w tym akcie, rzecz cała wszakże była robiona przez Berlin i miała pozostać w jego rękach.

Krok był śmiały, bo sprzeczny z uznanemi zasadami prawa międzynarodowego, które nie pozwalały ani na jednostronne ustalanie nowego porządku politycznego, ani na pobór rekruta na ziemiach, w ciągu wojny okupowanych. Nie pierwszy to raz Niemcy dowodziły, że się temi zasadami niewiele krępują. Ma się rozumieć, nie do Polaków należało stać na straży tych zasad: układ międzynarodowy, którego one strzegły, był nam nienawistny, bo nie uznawał naszych praw narodowych i uświęcał ich pogwałcenie. Nas nie zapraszano na konferencje haskie, na których te zasady starano się kodyfikować. Niemcy wszakże tam były i brały udział w zobowiązaniach międzynarodowych...

Dla częściowego ratowania pozorów postanowiono

ten krok zrobić na prośbę Polaków. W tym celu generalny gubernator Warszawy, von Beseler, wezwał do siebie kilku przedstawicieli obozu „aktywistycznego", zakomunikował im o zamiarach rządu niemieckiego i zaproponował, ażeby pojechali jako delegacja z przedstawieniem odpowiednich życzeń polskich. Tak powstała delegacja polska do Berlina i Wiednia, która powiozła z sobą memorjał z życzeniami polskiemi, przejrzany przedtem i aprobowany przez kanclerza Niemiec. Tworzyli ją pp. Brudziński, Chmielewski, Dickstein, Dzierzbicki, Łempicki, Franciszek Radziwiłł i Adam Ronikier.

Delegacja udała się najpierw do Berlina, gdzie została przyjęta uroczyście przez kanclerza. Bethmann-Hollweg w mowie swej oświadczył, że życzenia Polaków spotykają się z zamierzeniami rządów państw centralnych, które zdecydowały „ustanowić państwo polskie, pod władzą Króla, z armją polską, mocno związane (*im festen Anschluss*) z państwami centralnemi, mianowicie także pod względem wojskowym". W następstwie została ona przyjęta w podobny sposób w Wiedniu przez austrjacko-węgierskiego ministra spraw zagranicznych, Burjana.

W niecały tydzień po tych przyjęciach nastąpił znany akt 5 listopada 1916 r. W tym dniu generalni gubernatorowie: warszawski (okupacja niemiecka) i lubelski (okupacja austrjacka) ogłosili jednobrzmiący manifest o ustanowieniu z woli dwóch cesarzy na ziemiach polskich odebranych Rosji „samoistnego państwa z dziedziczną monarchją i ustrojem konstytucyjnym". Określenie granic nowego państwa pozostawiono przyszłości. Manifest wskazywał, że nowe Królestwo znajdzie gwarancję swego rozwoju w związku (*Anschluss*) z obu państwami sprzymierzonemi. Wyrażał też nadzieję, że w armji polskiej odżyją sławne czyny wojenne polskie dawnych czasów.

Jednocześnie z tym aktem ogłoszony został z datą 4 listopada reskrypt cesarza Franciszka Józefa do prezesa ministrów austrjackich, Körbera, o postanowieniu rozszerzenia autonomji Galicji.

Tak, z ramienia państw centralnych, zostało ustanowione państwo polskie na ziemiach zaboru rosyjskiego, bez określenia jego granic wschodnich. Na zachodzie poza jego granicami pozostały ziemie zaboru pruskiego, jako ziemie nieodwołalnie niemieckie, i Galicja z widokami na rozszerzoną autonomję w państwie austrjackiem. Większość opinji polskiej, zarówno jak opinja państw sprzymierzonych, jako główny cel tego aktu wskazała chęć pociągnięcia do szeregów państw centralnych, pod postacią armji polskiej, niezużytkowanego materjału ludzkiego w zaborze rosyjskim. Austrjacki sztab generalny oceniał ten materjał w samem Królestwie na miljon ludzi. Była w tem przesada; gdyby wszakże przeprowadzono w Królestwie pobór tak ścisły, jak w państwach centralnych, dałby on niezawodnie w owym czasie cyfrę od 500 do 700 tysięcy.

Zdobycie tego rekruta do walki z państwami sprzymierzonemi nie było celem jedynym. Chodziło o stworzenie faktu dokonanego, uprzedzającego inne rozwiązania kwestji polskiej, na wypadek, gdyby losy wojny wyrwały decyzję w tej sprawie z rąk niemieckich. To zaś zaczęto już w Niemczech poważnie przewidywać... Niemcy liczyli, że w razie nawet przegranej na froncie uda im się osiągnąć zwycięstwo polityczne, urzeczywistnić swój główny cel — niepodzielne zapanowanie w Europie Środkowej. Nowe Królestwo Polskie pozostałoby jako jedna z części składowych niemieckiego systemu Europy Środkowej *(Mitteleuropa)* i nie miałoby żadnych widoków wyłamania się z pod władzy niemieckiej.

Zawieszenie decyzji co do wschodnich granic Królestwa nie zrywało mostów w stosunku do Rosji, pozo-

stawiało jej drogę do przesunięcia tych granic jak najdalej na zachód przez osobny pokój z państwami centralnemi. A do tego pokoju nawet popierająca wojnę opinja rosyjska mogła się skłonić na widok siedemsettysięcznej armji polskiej, gotującej się do maszerowania na Rosję razem z Niemcami i Austrjakami.

Dobrze byłoby wiedzieć, czy akt 5 listopada był zrobiony w porozumieniu ze Stürmerem i innymi germanofilami rosyjskimi...

Jeżeli akt 5 listopada był niejako nagłym zwrotem w polityce niemieckiej, nie znaczy to wcale, żeby to był krok nieobmyślany. Wiele danych przemawiało za tem, że posunięcie to na długo przed wykonaniem było przygotowane. Beseler musiał już o tym planie wiedzieć, kiedy pouczał organizatorów obchodu Trzeciego Maja, jak Polska będzie musiała się *„angliedern"* do układu niemieckiej Europy Środkowej. Tylko nadzieja na pokój z Rosją odwlekała wykonanie.

W przekonaniu właśnie, że Niemcy podobny krok przygotowują, na parę miesięcy już przed 5 listopada ostrzegaliśmy państwa sprzymierzone, że Niemcy, korzystając z ich bierności w sprawie polskiej, ubiegną je i zdobędą sobie tytuł dobrodziejów Polski. Ostrzeżenia nasze przyjmowano dość sceptycznie, a nawet byli tacy, którzy mówili, że to jest szantaż ze strony polskiej. Nie rozumiano, że nam chodziło nietyle o zdobycie jakiegoś zobowiązania sprzymierzonych względem Polski, ile o to, żeby nie byli oni pobici w walce politycznej przez Niemcy. Dla przyszłości Polski ważniejsze było zwycięstwo sprzymierzonych, niż ich deklaracje w sprawie polskiej.

Akt 5 listopada spadł na państwa sprzymierzone trochę jak piorun z jasnego nieba. Wywołał też zarówno w ich opinji, jak w rządach niemałe poruszenie. Tylko rząd rosyjski się nie poruszał: zachowywał on taki spokój,

jakgdyby nic nadzwyczajnego się nie stało, jakgdyby zgóry wiedział, że to się stanie.

Tymczasem, 9 listopada ogłoszona została odezwa gubernatorów generalnych okupacyj niemieckiej i austrjackiej, wzywająca ludność Królestwa Polskiego do zaciągania się w szeregi armji polskiej, odezwa, która uwydatniła główny cel aktu.

I tym razem wszakże Niemcy się przeliczyli. Akt 5 listopada przyjęty został dobrze tylko przez zdecydowanych „aktywistów". Nikogo w Polsce dla sprawy niemieckiej nie zjednał. Przeważająca w kraju opinja przyjęła go jako nowe uświęcenie podziałów Polski. Werbunek do armji polskiej zawiódł, bo nikt nie uważał jej za polską. Rozumiano, że Niemcy chcą pod firmą polską zwiększyć szeregi swej armji do walki ze sprzymierzonymi. Do tego jeszcze przybyło oburzenie wśród najlojalniejszych Polaków austrjackich, których cała polityka poszła *ad acta*.

Nie pomogło głośne otrębywanie przez „aktywistów" zdobytej „niepodległości", triumfowanie, że mamy nareszcie własne państwo...

Natomiast akt 5 listopada oddał nam duże usługi w stosunku do państw zachodnich. Więcej, niż cokolwiek, przyczynił się on do pouczenia polityków europejskich o międzynarodowem znaczeniu sprawy polskiej. Był też silnym bodźcem dla nich do zajęcia się nią w sposób poważniejszy. Wzmocnił on bardzo nasze stanowisko na Zachodzie: przekonano się, że mieliśmy słuszność, gdyśmy ostrzegali państwa zachodnie, i zrozumiano, że zachowanie się Polski względem Niemiec zależy w znacznej mierze od naszej postawy, od naszych wskazówek dawanych krajowi. Po raz pierwszy poczuliśmy, że w państwach zachodnich jesteśmy nietylko informatorami, ale przedstawicielami jakiejś siły, z którą się liczą. Wiedziano, że nie możemy nic dać sprzymierzonym od Polski,

ale patrzono na nas jako na tych, którzy mogą powstrzymać Polskę od dania żołnierza Niemcom.

Tak Niemcy, cokolwiek robili dla wygrania sprawy polskiej podczas tej wojny, chybiali celu, i zamiast robić dla siebie, robili dla nas. *Sic vos non vobis.*

Muszę tu zauważyć, że nie wszędzie w państwach sprzymierzonych byli radzi z naszego odpornego stanowiska wobec aktu 5 listopada. Nietylko miałem wrażenie, że rząd petersburski byłby rad z ogólnopolskiego akcesu do nowego Królestwa, ale i w pewnych kołach na Zachodzie jakby zachęcano nas do takiego akcesu, dawano nam do zrozumienia, że nie wziętoby nam wcale za złe, gdybyśmy teraz zmienili politykę i poszli z tymi, którzy nam dali nasze państwo. Widoczne było, że te koła chętnieby widziały podobnie skromne rozwiązanie sprawy polskiej i że skorzystałyby z niego dla skrócenia wojny.

Nadzieje na tę zmianę naszego stanowiska rozwiała nasza deklaracja lozańska z 11 listopada, podpisana przez dwudziestu Polaków, działających w zachodnich państwach sprzymierzonych i w Szwajcarji. Wyszła ona z założenia, że „Polska jest jedna i niepodzielna", stwierdziła, że aspiracje nasze mogą być zaspokojone tylko w zjednoczonej Polsce, że państwa centralne, ustanawiając nowe Królestwo na ziemiach jednego zaboru, potwierdzają rozbiory Polski, tworzą państewko bezsilne, mogące być tylko ich narzędziem, że nie zaciągając żadnych określonych zobowiązań co do praw przyszłego Królestwa, kładą tylko nacisk na jego zależność od nich, wreszcie, żądają, ażeby im Polska dostarczyła wojska do walki za sprawę, która nie jest polską. Akt ich zatem — przeciwny zresztą zasadom prawa ludów — gotuje dla Polski jedynie klęskę[1].

---

[1] Patrz: Aneks IV. T. VI.

Powstała kwestja, jak aljanci na ten krok państw centralnych powinni reagować.

Wobec stanu rzeczy w Rosji, przy charakterze rządu petersburskiego, szukającego tylko sposobności do zdradzenia sprzymierzonych, nie mogło być mowy o jakiejkolwiek deklaracji z ich strony w sensie propozycji mego memorjału, złożonego Izwolskiemu, o proklamowaniu z ich strony niepodległego państwa polskiego. Żądanie tego w owej chwili prowadziłoby do niezawodnego rozłamu między państwami zachodniemi a Rosją. Próbowaliśmy wobec tego osiągnąć jedynie deklarację wszystkich państw sprzymierzonych, że nie złożą broni, dopóki nie zjednoczą ziem polskich. W treści deklaracji nie byłoby właściwie nic nowego w porównaniu z odezwą Wielkiego księcia Mikołaja i oświadczeniami rządu rosyjskiego, ale mielibyśmy zobowiązanie co do najważniejszego punktu sprawy polskiej od wszystkich sprzymierzonych, a przez to i formalne uznanie międzynarodowego charakteru sprawy polskiej.

Postanowiliśmy propozycję w tym względzie znów skierować przedewszystkiem do Rosji.

W tym celu Konstanty Plater umówił się z Izwolskim, że będziemy u niego obaj 7 listopada.

Rozmowa była znamienna.

Izwolskij, który musiał ponieść nieprzyjemne dla siebie konsekwencje rozmowy ze mną w lutym, był widocznie zdenerwowany.

Na wstępie zapytał, czy nie mam nic przeciw temu, ażeby przy rozmowie był obecny radca ambasady, p. Sewastopulo. Gdy nacisnął dzwonek, wszedł nie służący, ale sam Sewastopulo, który widocznie już czekał. Izwolskij rozpoczął rozmowę niezgrabnem zapytaniem:

— *Eh bien, M. Dmowski, vous rentrez en Pologne?*

Odpowiedziałem mu, że nie zamierzam wracać, ale

że chcę go zapytać, co aljanci myślą zrobić wobec aktu dwóch cesarzy.

Spostrzegł się, że wziął ton niewłaściwy, i zmienił go natychmiast. Zapytał, co, zdaniem mojem, należałoby zrobić.

Uważałem, że już czas przestać wyrażać zdania osobiste, i zacząłem mówić, czego żądają Polacy. Izwolskij poprosił o dokładne zdefinjowanie, w jakim charakterze mówimy i w czyjem imieniu.

Rozmowa stała się oficjalną. Oświadczyłem, że gotowi jesteśmy uniemożliwić zrekrutowanie armji w Królestwie, ale chcemy, ażeby aljanci zawarli z sobą i ogłosili konwencję, mocą której zobowiązują się nie zakończyć wojny bez zjednoczenia ziem polskich. Powołałem się przytem na analogiczną konwencję londyńską co do Belgji.

Izwolskij zapytał, czy konwencja miałaby dotykać także i ustroju przyszłej Polski. Odpowiedziałem mu, że wtedy należałoby iść dalej od Niemców w zapowiedziach co do tego ustroju; ponieważ zaś to przy istniejących stosunkach w Rosji jest niemożliwe, konwencja winna się ograniczyć tylko do kwestji terytorjalnej. Izwolskij powiedział, że takie wyjście z sytuacji mogłoby Rosji dogadzać, i zapytał Sewastopula, czy, jego zdaniem, Francja i Anglja nie miałyby przeszkód konstytucyjnych, czy mogłyby zawrzeć podobną konwencję bez parlamentów. Ten wskazał, że przecież i konwencja londyńska była bez parlamentów zawarta.

Na tem rzecz stanęła. Izwolskij oświadczył, że natychmiast telegrafuje do swego rządu. Przy sposobności poinformował nas, że ambasador francuski w Piotrogrodzie już dostał instrukcje, by się porozumiał z rządem rosyjskim co do formy protestu przeciw aktowi 5 listopada.

Rząd rosyjski załatwił sprawę prosto. Jego przedstawiciele dyplomatyczni w państwach sprzymierzonych

i neutralnych wręczyli rządom dnia 15 listopada krótką notę, protestującą przeciw pogwałceniu konwencyj międzynarodowych, uroczyście zaprzysiężonych przez Niemcy i Austro-Węgry, kończąc oświadczeniem, że prowincje Królestwa Polskiego nie przestają stanowić integralnej części Cesarstwa Rosyjskiego, a ich mieszkańcy związani są przysięgą na wierność, złożoną cesarzowi. Tego samego dnia ukazał się w Piotrogrodzie komunikat urzędowy, zawierający protest przeciw pogwałceniu prawa międzynarodowego, przeciw pobieraniu rekruta w Królestwie, i deklarację, że zamiarem Rosji jest utworzenie Polski całej, złożonej ze wszystkich ziem polskich, i danie jej po zakończeniu wojny „prawa swobodnego budowania swego życia narodowego, kulturalnego i gospodarczego, na zasadach autonomji, pod berłem monarchów rosyjskich i przy zachowaniu jedności państwowej".

Rząd rosyjski robił wszystko, żeby ułatwić Niemcom przeprowadzenie ich planu.

Istnienie w Rosji rządu, który był wrogiem państw z Rosją w wojnie sprzymierzonych, wrogiem Polski, względem której Rosja deklarowała życzliwe zamiary, a przyjacielem Niemiec, z któremi Rosja była w wojnie — wytworzyło w kwestji polskiej sytuację niesłychaną, nader niebezpieczną i dla Polski, i dla państw zachodnich, i dla samej Rosji.

Staliśmy przed dylematem: albo zachowania się biernego wobec stanowiska rządu rosyjskiego, który na ustanowienie państwa polskiego przez Niemcy odpowiadał, że ma zamiar kiedyś dać Polsce możność rozwoju „narodowego, kulturalnego i gospodarczego" w jedności państwowej z Rosją: albo bezwzględnego wystąpienia przeciw jego stanowisku i starania się o takież wystąpienie państw zachodnich.

W pierwszym wypadku groziło niebezpieczeństwo, że opinja Polska, zachowująca się odpornie wobec poli-

tyki państw centralnych, zrażona deklaracjami rządu rosyjskiego, nie wytrzyma zajętej postawy, uzna utworzone przez Niemcy Królestwo za swoje państwo, poprze rekrutację, co wywoła przewrót w stosunku opinji publicznej w Rosji do Polaków i do wojny, i da w rezultacie osobny pokój między Rosją a Niemcami.

W drugim wypadku ryzykowało się, że nadwrażliwa na punkcie swej godności narodowej opinja rosyjska uzna, że Polacy i państwa zachodnie robią zamach na prawa Rosji i jej godność, że w obronie praw i honoru Rosji połączy się z rządem, i że znów wynikiem tego będzie pokój rosyjsko-niemiecki.

Nie mogąc wybrać żadnej z tych dwóch wyraźnych dróg, z których każda prowadziła do klęski sprzymierzonych i do naszej zguby — trzeba było pójść po linji pośredniej, mniej wyraźnej, mniej zdecydowanej: zrobić wszystko, ażeby sprawa polska zajęła należyte miejsce w polityce państw zachodnich, osiągnąć wystąpienia ich rządów, świadczące o tem, że postanowiły ją wziąć w swoje ręce, ale w formie nie przeciągać struny, żeby nie wywołać reakcji w Rosji.

Po tej trudnej, prowadzącej nad przepaściami ścieżce, udało się pójść dość pomyślnie. Z jednej strony nastąpiły względnie korzystne dla Polski oświadczenia rządów państw zachodnich, z drugiej — deklaracje polskie w Petersburgu zrobione zostały w atmosferze solidarności z opinją rosyjską, coraz bardziej wrogo występującą przeciw rządowi Stürmera.

Ustanowienie państwa polskiego i groźba pobrania polskiego rekruta przez Niemcy wywołały najsilniejsze poruszenie we Francji, które znalazło swój wyraz zarówno w prasie, jak w zachowaniu się kół parlamentarnych.

Pomimo faktu, że akt 5 listopada poprzedziła jazda delegacji polskiej do Berlina i Wiednia, nikt nie czynił Polaków współuczestnikami aktu, nie dał się słyszeć ani

jeden wyrzut w naszym kierunku. Prasa jednogłośnie zamanifestowała swe sympatje dla Polski. W owej to chwili rozległ się w prasie francuskiej głos, który miał w rozwoju sprawy polskiej przełomowe znaczenie. *Temps* przyniósł szereg artykułów, których autorem był jego długoletni kierownik polityczny, André Tardieu, późniejszy wysoki komisarz Francji w Stanach Zjednoczonych i jeden z pięciu delegatów francuskich na konferencję pokojową. Zetknąwszy się na krótko przedtem z tym pierwszorzędnym znawcą położenia międzynarodowego, napotkałem na umysł otwarty, bez uprzedzeń, łatwo wprowadzający nowe momenty w całokształt swych pojęć o sytuacji, na człowieka, który oddawna już śledził zdaleka rozwój kwestji polskiej. Jego artykuły, zarówno ze względu na ich treść, jak i na autorytet pisarza, były aktem politycznym wielkiej doniosłości. Postawiły one sprawę polską na Zachodzie, jako wielką sprawę europejską.

Izwolskij wówczas telegrafował do Petersburga, że jest bezsilny, że o dalszem narzucaniu milczenia prasie francuskiej w kwestji polskiej niema już mowy.

W komisji spraw zagranicznych Izby Deputowanych sprawa polska zajęła na pewien czas pierwsze miejsce, stała się przedmiotem wyczerpującej dyskusji. Przewodniczącym komisji był Leygues, późniejszy minister marynarki w gabinecie Clemenceau, najpierwszy bodaj z polityków francuskich starszego pokolenia, w którym znaleźliśmy człowieka żywo interesującego się sprawą polską i uznającego jej wielkie znaczenie. Należy stwierdzić, że zasługa zainteresowania sprawą polską i zapoznania z nią kół parlamentarnych we Francji należała przedewszystkiem do dwóch ludzi, którzy nam okazali wielką przyjaźń i pomoc na gruncie francuskim, w zrozumieniu wspólności interesów Polski i Francji. Byli to Etienne Fournol i Henri Moysset; obaj znali nasz kraj,

obaj byli w Polsce na kilka lat przed wojną w celu studjów politycznych, obaj zwracali już dawniej uwagę opinji francuskiej na Polskę, w przeczuciu roli, jaka kwestji polskiej miała przypaść. Moysset był autorem najpoważniejszego w obcych piśmiennictwach studjum o stosunkach w zaborze pruskim.

Komisja spraw zagranicznych zawotowała porządek dzienny, kładący nacisk na międzynarodowe znaczenie sprawy polskiej, na konieczność zjednoczenia Polski, której podział akt 5 listopada utrwalał, na niebezpieczeństwo organizacji niemieckiej Europy Środkowej, której nowe Królestwo miało być składnikiem. Wysłała ona delegację do prezesa Rady Ministrów, Brianda, w celu pobudzenia rządu do szybkiego działania.

W chwili, gdy telegramy przyniosły słynny komunikat urzędowy rosyjski, będący odpowiedzią na akt 5 listopada, Asquith znajdował się w Paryżu na konferencji z Briandem. Obaj premjerzy wysłali natychmiast (16 listopada) do Stürmera depeszę, która między innemi zawierała ustęp:

„Cieszymy się szczerze ze szlachetnej inicjatywy powziętej przez rząd J. C. M. monarchy rosyjskiego na rzecz ludu, z którym nas łączą stare sympatje i którego odnowiona jedność stanowić będzie pierwszorzędny składnik przyszłej równowagi europejskiej.

Kilka momentów dotyczących tej depeszy zasługuje na uwagę.

Była ona reakcją nie na akt 5 listopada, jeno na komunikat urzędowy rosyjski, ogłoszony w przeddzień konferencji 15 t. m.

Ułożenie tej depeszy przedstawiało ogromne trudności dla premjerów: tekst jej, jak nas poinformowano, został ustalony po zniszczeniu całego mnóstwa bruljonów.

Depesza zaczyna się od wzmianki, że premjerowie zapoznali się z komunikatem z prasy, stwierdza tedy, że został ogłoszony bez porozumienia z nimi.

Formalnie, dla zachowania pozorów solidaryzuje się ona ze stanowiskiem Rosji, ale mówi o Polsce, jako o „pierwszorzędnym składniku przyszłej równowagi europejskiej", przyznaje jej tedy rolę, którą może odgrywać tylko niezawisłe państwo.

Autorom depeszy tak zależało na natychmiastowem zneutralizowaniu wrażenia, jakie musiał wywrzeć komunikat rządu Stürmera o zapewnieniu Polsce „swobodnego rozwoju narodowego, kulturalnego i gospodarczego w jedności państwowej z Rosją", iż wysłali ją nazajutrz po ogłoszeniu komunikatu, nie czekając na przyłączenie się do niej Włoch.

Włoski premjer, Boselli, wysłał nazajutrz depeszę do Stürmera, którą przyłączył się do odezwy dwóch swoich kolegów.

Po raz pierwszy, w bardzo łagodnej, co prawda, formie, zachodni sprzymierzeńcy skorygowali oficjalnie Rosję w sprawie polskiej i zajęli stanowisko względnie samodzielne. Depesza ich inaczejby wyglądała, gdyby byli mogli w niej wypowiedzieć całe swoje oburzenie na Stürmera, którego gra była dla nich jasną.

Polityka polska, jak już powiedziałem, zdobyła wówczas na Zachodzie mocny grunt pod nogami. W owym też czasie przybył jej nowy pierwiastek siły w Polakach amerykańskich, którzy zadeklarowali swoją z nią solidarność i którzy w następstwie odegrali w rozwoju sprawy polskiej ogromną rolę. 26 listopada Wydział narodowy w Chicago, reprezentujący wielkie organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych, wysłał do Asquitha, Brianda i Bosellego energiczny protest przeciw aktowi 5 listopada i przeciw tworzeniu armji polskiej przez Niemcy.

Tymczasem Niemcy wzmacniali akt 5 listopada przez utworzenie w nowem Królestwie Rady Stanu i przez pozwolenie legjonowi na wmaszerowanie uroczyste do

Warszawy, a jednocześnie osłabiali jego efekt z konieczności przez dyskusję w Sejmie pruskim nad rezolucją Heydebranda, żądającą zapewnienia państwu niemieckiemu w nowem Królestwie Polskiem „skutecznych i trwałych gwarancyj militarnych, gospodarczych i ogólno-politycznych", robiącą zastrzeżenia co do jakichkolwiek zmian w położeniu „mówiących po polsku Prusaków", i ostrzegającą, że Sejm pruski nie pozwoli na zmiany w Marchjach wschodnich, któreby w czemkolwiek naruszyly niemiecki charakter tych ziem, nierozerwalnie z Niemcami związanych. Ani deklaracja posła Styczyńskiego, wniesiona w imieniu Koła Polskiego przeciw tej rezolucji, ani z drugiej strony mowa pruskiego ministra spraw wewnętrznych, Loebela, która uspokajała wnioskodawców i była wypowiedziana w stylu Bismarcków, i Bülowów, ani wreszcie uchwalenie rezolucji znaczną większością głosów, nie harmonizowały z głoszoną w Warszawie przyjaźnią polsko-niemiecką.

Niebawem nastąpił nowy, dla Niemiec niepomyślny zwrot w Rosji. Walka Dumy i Rady Państwa przeciw Stürmerowi doprowadziła do jego dymisji. Mianowanie Trepowa prezesem rady ministrów oznaczało niezłomną decyzję wytrwania w wojnie do końca.

Gra polityczna Niemiec w kwestji polskiej w ciągu r. 1916 miała wielkie znaczenie dla rozwoju naszej sprawy w wojnie europejskiej. Dlatego to, w tym ogólnym zarysie, zatrzymałem się na pewnych jej momentach, bez czego trudno byłoby należycie ją zrozumieć. Bilans tej gry w końcu roku 1916 był dla Niemiec smutny. Pokoju z Rosją nie osiągnięto, przeciwnie, przewagę w polityce rosyjskiej wziął program prowadzenia wojny aż do zwycięstwa. Widoki na zjednanie sobie większości w Polsce i na otrzymanie z Polski rekruta upadły. Natomiast sprawa polska na terenie międzynarodowym zdobyła już sobie mocne stanowisko. W sferach politycznych za-

chodniej Europy już się krystalizowała myśl, że jeżeli ta wojna ma być naprawdę wygraną i zabezpieczyć Europę od przewagi niemieckiej, jednym z głównych jej celów musi być odbudowanie zjednoczonej Polski, a więc i oderwanie od Niemiec ziem zaboru pruskiego.

Niemcy niezawodnie ten bilans zrobiły. I niezawodnie pod wpływem tego około połowy grudnia 1916 r. wystąpiły z propozycją wszczęcia ogólnych negocjacyj pokojowych.

Propozycja spotkała się z odmową. Między innemi bardzo kategoryczną odpowiedź dał Mikołaj II w swym rozkazie dziennym do armji z dnia 25 grudnia 1916 r. Powiedziano tam między innemi:

„Czas na to (zawarcie pokoju) jeszcze nie nadszedł. Wróg jeszcze nie wypędzony z ziem przez niego zagarniętych. Jeszcze nie zapewnione osiągnięcie przez Rosję zadań stworzonych przez wojnę — opanowanie Konstantynopola i cieśnin, równie jak stworzenie wolnej Polski ze wszystkich jej ziem obecnie rozdzielonych".

XII

ORĘDZIE WILSONA

Kroki pokojowe Niemiec dały sposobność Stanom Zjednoczonym do interwencji politycznej w wojnie, która wysunęła na widownię osobę prezydenta Wilsona.

Stany Zjednoczone miały pozycję wyjątkową. Były jedynem z wielkich mocarstw świata nie biorącem udziału w tej wojnie, nie poniosły żadnych ofiar, ale przeciwnie, wyciągały wielkie zyski, jako dostawcy państw wojujących. To im dało ogromną przewagę gospodarczą i finansową nad wszystkiemi mocarstwami

Bierne przyglądanie się wypadkom w dalszym ciągu było dla nich narazie korzystne, ale kryło w sobie poważne niebezpieczeństwa na przyszłość, i to nietylko polityczne. Interwencja, przy ich przewadze, przedewszystkiem finansowej, dawała im widoki na odegranie roli pierwszorzędnej, na dyktowanie do pewnego stopnia swej woli całemu światu.

Trzeba sobie zdać sprawę przedewszystkiem z tego, co ta interwencja, narazie polityczna tylko, wnosiła do polityki wojennej.

Niezależnie od indywidualnych właściwości prezydenta Wilsona, wdanie się Ameryki w sprawy wojny europejskiej wprowadzało do polityki wojennej większą prostolinijność, mniejszą zdolność do intryg, do subtelnych wybiegów, skłonność do regulowania spraw według ogólnych zasad. W parze z tem szło mniejsze doświadczenie polityczne, spora powierzchowność w pojmowaniu

spraw europejskich, skłonność do łatwego upraszczania rzeczy trudnych i zawiłych, oraz upodobanie w operowaniu oderwanemi zasadami tam, gdzie wchodzą w grę realne interesy.

Dla polityki Stanów w sprawach europejskich niemałe znaczenie miał fakt, że naród amerykański jeszcze nie zakończył swego formowania się, że ogromna część Amerykanów jeszcze nie zdołała zerwać węzłów moralnych, łączących ich z krajami europejskiemi, z których sami oni lub ich ojcowie przyszli. Wojna europejska to uczucie przywiązania do starej ojczyzny pobudziła i wzmocniła. W stosunku do wojny europejskiej weszły w grę w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych obok dążeń i interesów amerykańskich aspiracje i interesy niemieckie, polskie, czeskie, włoskie i t. d.

W Ameryce, gdzie zasada wyborcza odgrywa znacznie większą jeszcze rolę, niż w państwach europejskich, polityk nie zapomina i nie może na chwilę zapomnieć o swoich wyborcach. Liczy się on nietylko z ich stanowiskiem w sprawach amerykańskich, ale także z ich sympatjami i pragnieniami europejskiemi.

Dlatego to, wobec interwencji amerykańskiej, ogromne dla naszej sprawy znaczenie miało istnienie trzech z górą miljonów Polaków w Stanach Zjednoczonych, którzy, skupieni w pewnych okręgach, przedstawiali jako wyborcy niemałą siłę. Obliczenie np. głosów po drugim wyborze Wilsona na prezydenta Stanów wykazało, że nie byłby on wybrany, gdyby odpadło kilka stanów środkowych, w których głosy polskie decydowały.

Prawda, że Niemcy w Stanach Zjednoczonych przedstawiają bez porównania większą siłę, niż Polacy, jednakże w samem staroamerykańskiem społeczeństwie tak silne były sympatje dla sprawy sprzymierzonych i wrogie względem państw centralnych stanowisko — zresztą

Ameryka miała swoje ważne porachunki z Niemcami na terenie polityki światowej wogóle i na terenie obu Ameryk w szczególności — że z czysto amerykańskiem stanowiskiem popieranie Niemców trudno się godziło.

Natomiast, wielkie dla naszej sprawy niebezpieczeństwo przedstawiała liczba i wpływ żydów w Ameryce. Z tem niebezpieczeństwem mieliśmy w następstwie sposobność bliżej się zapoznać.

Dodać trzeba, że stronnictwo demokratyczne, z którego ramienia prezydentem był Wilson, silniej opierało się na nowych, niecałkiem zamerykanizowanych żywiołach, niż współzawodniczące z niem stronnictwo republikańskie. W polityce też zewnętrznej republikanie silniej wysuwali interes amerykański, gdy demokraci więcej operowali ogólnemi, oderwanemi zasadami.

Sam Wilson był klasycznym przedstawicielem politycznego liberalizmu, z silnem dążeniem do regulowania stosunków na podstawie sprawiedliwości dla wszystkich, z wiarą w możność urządzenia świata na nowych zasadach, przy którem można będzie wykonywać sprawiedliwość między narodami.

Dość powszechna była opinja, że występując w końcu roku 1916 do stron wojujących z notą, proponującą przedstawienie warunków, na których mógłby być zawarty pokój, chciał on istotnie poprzeć inicjatywę niemiecką i doprowadzić do zakończenia wojny. To wszakże jest faktem, iż zależało mu na tem, jak świadczą późniejsze jego wynurzenia, żeby go uważano za niewątpliwego od samego początku przyjaciela sprawy sprzymierzonych. Do mnie samego jesienią 1918 r. powiedział w Waszyngtonie:

— Wiele mi czasu było potrzeba na przygotowanie opinji amerykańskiej do wystąpienia w tej wojnie.

Interwencja też jego nie nosiła charakteru nacisku na sprzymierzonych. Nie doprowadziła ona do żadnego

wyniku, ale Wilson, raz wziąwszy udział w sprawach wojny, już z nich nie wyszedł.

Dla Niemiec, które, zdaje się, poważnie liczyły na jego poparcie w próbach osiągnięcia pokoju, był to nowy zawód.

Gdy chodzi o naszą sprawę, to ustanowienie Królestwa Polskiego aktem 5 listopada miało dla tych prób pokojowych wielkie w rachubach niemieckich znaczenie. Niemcy liczyły, że gdyby wówczas doszło do pokoju, ustanowienie tego Królestwa będzie w nim uznane, jako rozstrzygnięcie kwestji polskiej, że skompletowana tym sposobem budowa Europy Środkowej pod ich władzą ocaleje; że zatem, poniósłszy przy zawarciu pokoju straty na innych punktach, wygrają na najważniejszym, na którym się oprze cała ich przyszła karjera i panowanie nad światem. Mieli nadzieję, że wyjdą z wykończoną konstrukcją *„Mitteleuropa"* i „Berlin—Bagdad".

Wkrótce ze strony Wilsona spotkał ich nowy zawód. Dzień 22 stycznia 1917 roku przyniósł słynne jego orędzie do Senatu Stanów Zjednoczonych, w którem prezydent wypowiedział się, jak on sam rozumie pokój, i w którem po raz pierwszy zostało jasno postawione rozwiązanie sprawy polskiej.

„Mężowie stanu wszędzie są zgodnego zdania, że winna powstać Polska zjednoczona, niepodległa i samoistna (*Statesmen everywhere are agreed that there should be a united, independent and autonomous Poland)*".

Te słowa są niejako podsumowaniem postępów, jakie sprawa polska zrobiła na Zachodzie w ciągu roku 1916, i Wilson sam to stwierdza, głosząc, że mężowie stanu wszędzie są na tym punkcie zgodnego zdania. Jeżeli on, a nie inni, to zdanie tak jasno wypowiedział, to przedewszystkiem dlatego, że nie będąc sprzymierzeńcem Rosji, miał w tym względzie całkowitą swobodę.

To, że Wilson tak poważne miejsce przeznaczył

Polsce w swem orędziu, zawdzięczaliśmy nietylko temu, że sprawa polska wówczas tyle już dojrzała na terenie międzynarodowym, ale także pracy naszych rodaków amerykańskich, przedewszystkiem zaś Paderewskiego, który wiele się do tego przyczynił organizowaniem Polaków w Ameryce dla poparcia polityki polskiej i swym wpływem osobistym u prezydenta i jego otoczenia.

Dwa wyrazy w tem oświadczeniu Wilsona o Polsce były dla Niemców ciosem: przedewszystkiem wyraz „zjednoczona", który godził w cały ich program polski; a następnie w związku z nim wyraz „wszędzie", gdy mowa o zgodnem zdaniu polityków, świadczący o tem, że Wilson ignoruje polityków państw centralnych, że liczy się tylko ze zdaniem, panującem w krajach sprzymierzonych.

To też urzędowe agencje niemieckie w doniesieniu o orędziu Wilsona, wyraz „zjednoczona" zeskamotowały. Nie przeszkodziło to, że Warszawa natychmiast się dowiedziała o treści oświadczenia. Wywołało ono niesłychany entuzjazm, manifestacje na cześć Ameryki i telegramy dziękczynne do prezydenta. Wilson w jednej chwili stał się najpopularniejszym w Polsce człowiekiem.

Opinja polska w oświadczeniu Wilsona widziała inicjatywę w sprawie polskiej, narzucenie w pewnej mierze państwom sprzymierzonym zjednoczonej i niepodległej Polski jako celu wojny. Trzeba stwierdzić, że nie była to ani inicjatywa, ani narzucenie, tylko wypowiedzenie tego, czego przedstawiciele rządów państw zachodnio-europejskich wypowiedzieć nie mogli, skrępowani swą polityką wojenną w stosunku do Rosji.

Jako takie, oświadczenie to miało ogromne znaczenie. Postawiło ono jasno sprawę polską wobec całego świata, a społeczeństwu polskiemu pod okupacją dodało wiary i siły wytrwania.

XIII

REWOLUCJA ROSYJSKA

Walka wewnętrzna w Rosji między obozami rosyjskim a niemieckim zaostrzała się coraz bardziej. W ostatnich dniach roku 1916 zamordowano w Petersburgu Rasputina, co było nowym ciosem dla polityki niemieckiej. Trudno było wszakże przypuszczać, że kryzys ten doprowadzi do rewolucji i do detronizacji cesarza.

Na kilka tygodni przed wybuchem rewolucji pewien cudzoziemiec, biorący żywy udział w sprawach rosyjskich, powiedział mi, że rewolucja jest pewna i że wkrótce wybuchnie. Nie wierzyłem temu. O ile moje wiadomości sięgały, organizacje rewolucyjne w Rosji nie przedstawiały wielkiej siły, co zresztą było prawdą; nadto nie sądziłem, żeby rewolucja była możliwa podczas wojny, w państwie mającem tylu ludzi pod bronią.

Usłyszałem wszakże na to, że armja jest zrewolucjonizowana i że ona właśnie zrobi rewolucję. I to mi się wydało przesadą. Wiedziałem o propagandzie rewolucyjnej w armji, ale nie przypisywałem jej takich rozmiarów, żeby mogła doprowadzić do powszechnego buntu. Powiedziałem też, że gdyby tak było, byłby to właściwie koniec Rosji.

Cudzoziemiec ów był wielkim przyjacielem Rosji, a jednocześnie zwolennikiem rewolucji. Był on mocno przekonany, że rewolucja ją zbawi. Widział po niej Rosję, jako państwo konstytucyjne, liberalne, w którem młode siły i wielkie zdolności narodu rosyjskiego nareszcie

się wypowiedzą i stworzą najświetniejszy okres w dziejach państwa. Miał też pewność, że rewolucja poprowadzi Rosję do świetnego zwycięstwa w wojnie.

Było wielu takich ludzi, którzy mieli złudzenie, że armja może zrobić rewolucję i pozostać armją. Nie rozumieli tej prostej rzeczy, że zbuntowany żołnierz oznacza koniec dyscypliny, a tam gdzie się kończy dyscyplina, kończy się armja.

Rewolucja przyszła, ale głównem jej źródłem nie było właściwie zrewolucjonizowanie armji.

Mój sceptyzm co do możliwości wybuchu rewolucji pochodził stąd, że nie wziąłem pod uwagę jednego czynnika rewolucyjnego — rządu rosyjskiego.

Już w polityce Stürmera były pewne rysy, wskazujące na to, że rząd dąży do zaostrzenia walki wewnętrznej, jakgdyby mu chodziło o wywołanie buntu.

Trzeba tu przypomnieć, że w układzie Rosji ze sprzymierzeńcami, w którym wszystkie mocarstwa zobowiązywały się solidarnie doprowadzić wojnę do końca i nie traktować osobno z nieprzyjacielem, znajdowało się zastrzeżenie ze strony rosyjskiej, że rewolucja wewnątrz Rosji upoważniłaby ją do osobnego pokoju.

Wynikał stąd dla partji germanofilskiej — gdy ją zawiodła kwestja polska, jako powód do osobnego pokoju z Niemcami — bardzo prosty program: wywołać wybuch rewolucyjny, skorzystać z niego i zawrzeć pokój z Niemcami, a przy tłumieniu wybuchu zmiażdżyć przeciwników wewnętrznych i zapewnić sobie władzę na długi okres.

Stürmer nie miał czasu wykonać tego programu — zbyt wcześnie dostał dymisję. Po jego upadku wszakże wpływy niemieckie, tym razem, zdaje się, głównie idące przez Rasputina, osiągnęły to, że sprawy wewnętrzne pozostały w ręku człowieka nowego, którego Niemcy widocznie dobrze umieli sobie zjednać, członka Dumy,

Protopopowa. Dziwne zachowanie się tego małego człowieka świadczyło, że jest on obarczony jakąś niezwykłą misją. Nikt nie przypuszczał, że jest to przyszły twórca rewolucji rosyjskiej.

Do misji wszakże bardzo trudnej, wymagającej niebyle kogo, wybrano człowieka mało inteligentnego, niezdarnego, przytem, zdaje się, bez koniecznej w takich rzeczach odwagi. Umiał on rewolucję wywołać, ale nie miał sposobów na pokierowanie nią zgodnie z widokami obozu germanofilskiego. W pierwszych dniach wypuścił władzę z ręki, i ta wlazła sama w ręce przedstawicielstwu rosyjskiemu, bez wysiłku z jego strony.

Tego, że rewolucja nie była przygotowana z dołu, najlepszym dowodem łagodny jej przebieg. Była to właściwie nie rewolucja, jeno abdykacja rządu, za którą poszła abdykacja opuszczonego przez wszystkich monarchy. Rewolucja z dołu zaczęła się organizować dopiero potem, i, jak świadczą wypadki, niemało na to potrzebowała czasu.

Bez przelewu krwi prawie, w ciągu tygodnia, między 8 a 16 marca 1917 roku, przestał istnieć rząd monarchiczny i monarcha, i stanął rząd prowizoryczny, wbrew swemu zamiarowi republikański.

Gdy po paru dniach — w ciągu których komunikacja z Piotrogrodem była przerwana i tylko głuche wieści dochodziły o tem, że dzieje się tam coś niezwykłego, przyszły nareszcie dokładne wiadomości o przewrocie — na Zachodzie zapanował nieopisany entuzjazm. Wtedy dopiero się widziało, jaką zmorą dla państw zachodnich był ten rząd rosyjski, który każdej chwili groził osobnym pokojem z nieprzyjacielem...

Niezawodnie, wytrawniejsi mężowie stanu znaleźli się wobec nowej troski, zadawali sobie z niepokojem pytanie, co ten nowy rząd rosyjski zdolny będzie zrobić i jak długo się utrzyma. Opinja publiczna wszakże wi-

działa tylko bezpowrotny upadek germanofilstwa w Rosji, zwycięstwo żywiołów solidarnych z państwami zachodniemi, obalenie reakcji, triumf zasad europejskich, liberalizmu, tolerancji i t. d., zachwycała się tą bezkrwawą rewolucją, tą idyllą nowego porządku, w którym rząd wychodzący z woli narodu nie ma potrzeby używać przymusu, a dobry naród rosyjski wszystko robi z własnej woli. Bezkrytyczny entuzjazm prasy wszystkich odcieni dosięgnął ostatnich niemal granic, miało się też wrażenie, że rządy nietylko go nie hamują, ale jeszcze podsycają.

Uderzające to było w Anglji. Zdziwiony tem, zapytywałem urzędowych Anglików, czy chcą mieć rewolucję u siebie...

Rozumiałem, że trzeba okazać nowemu rządowi rosyjskiemu życzliwość. Ale przy niedoświadczeniu stanowiących go ludzi zdałyby mu się także przyjazne a trzeźwe rady. Ta sielanka, w której nowy rząd rosyjski rządził bez przymusu, była bardzo niepokojąca.

We Francji entuzjazm był mniejszy, niż w Anglji. Ale i tam, przybywszy wkrótce do Paryża i znalazłszy się w gronie francuskiem, usłyszałem od jednego z wybitnych polityków:

— No, teraz nareszcie będziemy mieli w Rosji pewnego sojusznika!

— Czy na długo? — zapytałem.

— Co pan chce powiedzieć?

— Tylko to, że istnienie armji rosyjskiej obliczam na parę miesięcy, jeżeli nie na tygodnie. W tym czasie dyscyplina stopnieje i armja się rozleci. Nie radzę za wiele na nią liczyć.

— Wy, Polacy, jesteście niepoprawni — odpowiedział mi Francuz.

Nawet mądrzy ludzie czasem nie lubią, gdy się im psuje złudzenia.

Tymczasem Rosja szybko się zaczęła toczyć po równi pochyłej ku piekłu, w którem się po kilku miesiącach znalazła. Pomagaly jej w tem Niemcy, którym pilno było doprowadzić ją do całkowitego ubezwładnienia i tą drogą osiągnąć nareszcie pokój na Wschodzie. Przez pewien czas pracował dla nich, nie wiem, z jakich pobudek, Kierenskij, później zastąpili go przysłani przez Niemców w zaplombowanych wagonach Lenin i towarzysze.

Rząd tymczasowy uważał za możliwe istnieć obok drugiego rządu, „Sowietu delegatów robotniczych i żołnierskich", który w krótkim czasie zdobył większą od niego władzę; żeby zaś przyśpieszyć swój koniec, sprowadzał gorliwie z całego świata emigrantów rewolucji rosyjskiej, ludzi nieraz najlepszych chęci, ale naogół nierealnych, doktrynerów, fanatyków, zdolnych uniemożliwić ustalenie jakiegokolwiek porządku. Obok nich jechali masami i tacy, którzy mieli w planie porządek ustalony, ale daleki od pojęć Rządu Tymczasowego — porządek bolszewicki.

Okazało się, że autor słynnego memorjału, Durnowo, który dowodził, że Rosja nie może sobie pozwolić na wojnę z Niemcami, miał słuszność. Jego przepowiednia, że taka wojna będzie jej zgubą, sprawdziła się. Gdyby to była inna wojna, chociażby najcięższa i najdłużej trwająca, ale nie z Niemcami, nie towarzyszyłaby jej prawdopodobnie rewolucja i nie zakończyłaby się dla Rosji taką tragedją.

Wojna z Japonią 1904 r. wybuchła w chwili, kiedy napięcie rewolucyjne w Rosji było bardzo duże, jednak wybuchu podczas wojny nie było, przyszedł on dopiero po zawarciu pokoju, po przegranej wojnie. I rząd sobie z nim poradził. Od tego czasu Rosja weszła na drogę ewolucji konstytucyjnej, która zaczęła zaspakajać aspiracje umiarkowańsze, a działające pod ziemią siły rewolucyjne

wydobywała na światło dzienne i tem samem ostrze ich broni stępiała. Państwo miało widoki przekształcenia się w duchu zachodnio-europejskim na drodze ewolucyjnej, z niewielkiemi może wstrząśnieniami. W chwili, kiedy wstępowało ono w wielką wojnę europejską, masy były dalekie od nastroju rewolucyjnego, napięcie patrjotyzmu było wysokie, opinja publiczna zbliżyła się do monarchy — nic nie zapowiadało wybuchu walki wewnętrznej. Walka wewnętrzna podczas wojny nie wyszła z dołu: rozwinęła się ona u góry — między sferami rządzącemi a przedstawicielstwem narodu. Rozwinęła się na tle stosunku do wojny i do nieprzyjaciela. Walczyły przyjazne wrogowi sfery rządzące ze szczerze chcącem prowadzić wojnę przedstawicielstwem narodowem. Takie monstrualne zjawisko mogło wystąpić w Rosji tylko podczas wojny z Niemcami, dzięki temu, że ten sąsiad miał wewnątrz Rosji tak mocne stanowisko. Ten bezprzykładny w dziejach fakt tak głęboko zakorzenionych i szeroko rozgałęzionych wpływów sąsiada, nie w jakiemś małem państewku, ale w wielkiem, potężnem mocarstwie, sprawił, że wojna z tym sąsiadem doprowadziła do niebywalej katastrofy.

Zdawałoby się, iż wniosek stąd jest prosty, i niezawodnie są Rosjanie, którzy go wyprowadzają: że Rosja nie powinna była wdawać się w wojnę z Niemcami, że gdyby była tej wojny uniknęła, ocaliłaby swe państwo i jego potęgę.

Warto się nad tym wnioskiem zatrzymać i bliżej słuszność jego ocenić.

Przedewszystkiem należałoby postawić pytanie: czy Rosja mogła uniknąć wojny z Niemcami?

Kierownikom polityki rosyjskiej można było stawiać rozmaite zarzuty, ale naogół nie można im było odmówić inteligencji. Nie mogli oni być ślepi na to, co się działo w sferze najbliższych interesów Rosji i musieli zda-

wać sobie sprawę z tego, dokąd zmierzała szybkiemi krokami polityka niemiecka. Musieli widzieć, że plan niemieckiej Europy Środkowej i ekspansji niemieckiej w kierunku Konstantynopola i Bagdadu — to nie jest jakaś fantazja zawieszona w powietrzu, ale rzecz całkiem realna i w znacznej mierze już zrealizowana. Nie mogło się ukryć przed ich oczami, że Austrja już weszła bezpowrotnie w orbitę niemiecką, że zaczęła już być czemś w rodzaju niemieckiego protektoratu i że starcie rosyjskich interesów na Bałkanach z austrjackiemi było właściwem starciem z Niemcami. Nie przyznawać tego mogli tylko ludzie w Rosji tak uzależnieni od Niemiec, że im przyznawać tego nie było wolno.

Chcąc za wszelką cenę uniknąć wojny z Niemcami, Rosja musiałaby biernie patrzeć na postępy budowy powiększonych Niemiec w Europie Środkowej i południowo-wschodniej oraz w Azji Zachodniej, na rozwój potęgi degradującej ją do roli państwa drugorzędnego i zmierzającej do zamienienia jej samej na rodzaj swojej kolonji.

W takiem położeniu wojny absolutnie uniknąć nie można, tylko im później się ją przyjmuje, tem większa jest pewność klęski.

Dziś, gdy się patrzy wstecz na wypadki, trudno się obronić myśli, że katastrofa Rosji była nieunikniona. Pozostaje tylko zagadnienie, skąd pochodziła ta straszna, nieubłagana konieczność.

Zagadnienie to stanowi niesłychanie bogaty temat dla historyków, którzyby umieli *sine ira et studio* zanalizować położenie Rosji okresu petersburskiego i wykryć w niem te momenty, które nieuchronnie prowadziły do fatalnego rozwiązania. Jest to rzecz bardzo pilna: bez tego myśl polityczna rosyjska, a w pewnej mierze także i polska, nie znajdzie swej drogi.

Póki to się nie stanie, niech mi wolno będzie, choć

nie jestem historykiem, przy tym przedmiocie na chwilę się zatrzymać i pewne strony tej wielkiej kwestji wskazać.

O niebezpieczeństwach tkwiących w ustroju i charakterze państwa rosyjskiego pisałem już przed kilkunastu laty[1]. Dziś, kiedy pesymizm mój znalazł potwierdzenie w faktach, i kiedy, nie będąc członkiem Dumy rosyjskiej, jeno obywatelem państwa polskiego, mam pełną swobodę wypowiedzenia swych myśli, pozwolę sobie nieco uzupełnić moje, ogłoszone wówczas poglądy.

Rosja, rozszerzywszy się w XVIII stuleciu na zachód, w swem dążeniu do Bałtyku, wcieliła do swego organizmu państwowego kraje nadbałtyckie, obce jej rasowo, a cywilizacyjnie znacznie wyżej od niej stojące. Kraje te posiadały silną szlachtę i mieszczaństwo niemieckie. Przeniesienie stolicy państwa nad Bałtyk i zwrócenie ku temu morzu ambicyj rosyjskich dało ludności tych prowincyj ogromne znaczenie w państwie, tem większe ze względu na jej przewagę cywilizacyjną. Wzmacniał to znaczenie jeszcze fakt, że jednocześnie zapanowała w Rosji dynastja niemiecka.

Szlachta krajów nadbałtyckich Rosji, nietylko jako rasa, ale także jako formacja historyczna, nie różniła się właściwie niczem od znacznej części szlachty pruskiej. I jedna, i druga powstała z zakonów niemieckich, które osiadły na brzegach Bałtyku w celach podboju. Przedstawiała ona żywioł energiczny, przedsiębiorczy, z charakterem kondotjerskim, który znalazł dla siebie pole, z chwilą, kiedy się dostał do wielkiego, obcego państwa. Poszedł on na podbój Rosji z tą samą energją, z jaką jego ojcowie podbijali i ujarzmiali szczepy fińskie i litewskie. Jednocześnie zachował on tradycyjny związek ze szlachtą pruską, z którą się moralnie utożsamiał.

Asymilowanie tego żywiołu przez Rosję szło trudno

[1] *Niemcy, Rosja i kwestja polska.* Rozdział: *Przyszłość Rosji.*

ze względu zarówno na jego wyższość cywilizacyjną, jak na moralne oparcie, które znajdował w Prusiech. Posuwało się ono nieco, ale jednocześnie odbywał się i proces przeciwny, mianowicie, asymilowanie Rosjan wyższych sfer przez Niemców w stolicy, na obcym gruncie zbudowanej i obcym przepojonej duchem.

Ostatecznie mogło się to było skończyć zupełnem pochłonięciem owych nadbałtyckich Niemców przez olbrzymią Rosję, gdyby nie rozbiory Polski.

Rosja zaczęła od zagarnięcia części ziem Rzeczypospolitej daleko na wschód wysuniętych. Było to naturalnem skorzystaniem ze słabości sąsiada, powiększeniem i zaokrągleniem swych posiadłości, dalszym ciągiem tego, czego przedtem dokonał pokój andruszowski. Przyłączono wszakże ziemie od państwa, wyżej stojącego cywilizacyjnie, posiadającego ustrój polityczny biegunowo przeciwny ustrojowi rosyjskiemu, ziemie różniące się od Rosji mową, wiarą, duchem i typem życia. Wchłonięcie tych ziem w organizm rosyjski było trudnem zadaniem...

Nie zdawano sobie wówczas sprawy z tej trudności — w drugim i trzecim rozbiorze Polski Rosja zagarnęła kraj olbrzymi, mogący sam w sobie stanowić niepoślednie państwo. I to jeszcze nie wystarczyło...

Po krótkim okresie istnienia złączonego z Rosją na Kongresie Wiedeńskim Królestwa Polskiego, i ten wielki kraj, serce Polski, wcielono do państwa rosyjskiego i zaczęto traktować jako ziemię rosyjską.

To niesłychane w dziejach nowoczesnych przywłaszczenie skłonny do złudzeń naród rosyjski uważał za swoje dzieło, był z niego dumny i był nawet przez jakiś czas pewny, że dzieła tego dokończy i na grobie Polski dalszy ciąg Rosji zbuduje. Za mało pamiętał o tem, że to jest wspólne dzieło Prus i Rosji i że w tem dziele Prusy, acz posiadające względnie małą cząstkę Polski, mają nad Rosją przewagę.

Rosja nie doceniała Prus, bo nie zdawała sobie sprawy z wyjątkowego charakteru tego państwa w porównaniu z całą Europą.

Prusy były państwem, które całe powstało z podboju obcych ziem i ich kolonizacji. Było to społeczeństwo nowe, z względnie nieskomplikowanemi stosunkami społecznemi, co dawało wielką swobodę domowi Hohenzollernów w polityce zewnętrznej. To też nie było państwa w Europie, któreby swą politykę zewnętrzną prowadziło z tak daleko sięgającym w przyszłość planem. Rozglądając się w dziejach rozrostu Prus, ma się wrażenie, że tam plany były kreślone na wiele pokoleń naprzód.

Rosja wcale nie zdawała sobie sprawy z tego, że Prusy jej panowanie nad Wisłą uważają tylko za czasową dzierżawę i czekają cierpliwie, kiedy na nie przyjdzie kolej zadecydować o losach Polski. Ta czasowa dzierżawa była dla Prus dogodna.

Pisałem niegdyś, iż głównym kłopotem państw rozbiorczych w kwestji polskiej jest, że każde z nich ma za mało ziemi polskiej, a za wiele polskiej ludności. Prusy nawet na tym skrawku Polski, który pozostał w ich posiadaniu po Kongresie Wiedeńskim, miały za wiele Polaków i kwestja polska wewnątrz ich państwa przedstawiała niemałą trudność. Rozumiały zaś, że dla zabezpieczenia swego wybrzeża bałtyckiego, sięgającego poza ujście Niemna, muszą posiąść znacznie więcej ziemi polskiej. Śpieszyły się też z tępieniem polskości u siebie, nie śpiesząc się z posuwaniem granicy; tymczasem Rosja robiła dla nich robotę, osłabiając polskość na ziemiach, które Prusy uważały za przyszłą swoją własność.

Główny ciężar, wynikający z wcielenia żywego i żywotnego narodu polskiego do swego państwa, spadał na Rosję. Z tym ciężarem radzić sobie sama ona nie mogła, choć zdawało jej się, że sobie radzi. Dla utrzy-

mania w rękach Polski musiała zrobić dwie rzeczy. Popierwsze, musiała nazewnątrz związać się ściśle z Prusami, żeby móc zawsze liczyć na ich pomoc przeciw Polakom; ten związek, w którym ona, jako główna posiadaczka ziem polskich, więcej potrzebowała Prus, niż Prusy jej, coraz bardziej ją od Prus, a później od Cesarstwa Niemieckiego uzależniał. Powtóre, nawewnątrz państwa, niezdolna dławić Polski siłami wyłącznie rosyjskiemi, musiała się uciec do pomocy nadbałtyckich Niemców, którzy jej chętnie w tej robocie służyli, zdobywając przytem przodujace stanowisko w państwie i przywileje dla siebie na miejscu, w swych prowincjach. Aż do panowania Aleksandra III, za którego nacjonalizm rosyjski podniósł głowę, w czasie, kiedy Polska jęczała pod niebywałym uciskiem, Kurlandja, Inflanty i Estonja były krajami rządzonemi przez Niemców po niemiecku, a uniwersytet dorpacki, pozostający w ścisłym związku z uniwersytetami Niemiec, był twierdzą nauki i ideologji niemieckiej w Rosji. Tak silne mieli stanowisko Niemcy nadbałtyccy w Rosji i za tak naturalną rzecz uważano ich związek z Prusami, że za Mikołaja I, na skutek zabiegów baronów kurlandzkich, odcięto od Żmudzi jej skrawek wybrzeża morskiego z Połągą i przyłączono go do Kurlandji, ażeby dać Niemcom nadbałtyckim granicę z Prusami i bezpośrednią z niemi komunikację.

Niema wątpliwości, że gdyby nie pomoc Niemców nadbałtyckich, Rosja nie zaszłaby tak daleko w swej smutnej robocie na ziemiach polskich; gdyby zaś nie potrzeba dławienia Polski, Niemcy nadbałtyccy nigdyby nie zdobyli tak silnego stanowiska w Rosji.

Tak, Rosja, ażeby utrzymać w swych rękach ziemie polskie i zdobyć pozory, że je robi rosyjskiemi, musiała się oddać w podwójną niewolę niemiecką: nazewnątrz w niewolę Prus, nawewnątrz w niewolę swych własnych Niemców.

W poczuciu tej niewoli tacy politycy, jak Durnowo, pisali, że Rosja nigdy sobie na wojnę z Niemcami nie może pozwolić, że taka wojna będzie jej zgubą. Jeżeli się okazało, że mieli słuszność, to znaczy, że Rosja straszną cenę zapłaciła za rozbiór Polski, za swą ambieję wcielenia ziem wielkiego narodu do swego państwa.

Rosja panowała nad Polakami, ale Niemcy panowali nad Rosją. Swego znaczenia, swego wpływu w Rosji używali nietylko do tego, żeby paraliżować jej wysiłki, ilekroć chciała coś przeciw Prusom przedsięwziąć, żeby podtrzymywać i rozwijać jej wrogą względem Polaków politykę, ale także, żeby hamować jej ewolucję polityczną, utrzymywać przy życiu przeżyty już autokratyzm. To ostatnie robili dla dwóch względów: popierwsze, wiedzieli, że tylko pod osłoną autokratyzmu mogą rządzić Rosją, i bali się narodu rosyjskiego; powtóre, autokratyzm u wschodniego sąsiada był potrzebny Hohenzollernom i junkrom pruskim, bo ułatwiał im rządy osobiste i kastowe w Prusiech. Hamując zaś ewolucję polityczną Rosji, Niemcy ją prowadzili prostą drogą do rewolucji. I w końcu podarowali jej rewolucję, jakiej jeszcze świat nie widział.

Jestem przekonany, że Rosjanie, którzy mieli dość spokoju myśli, ażeby rozważyć wypadki ostatnich czasów i wszechstronnie je ocenić, widzą już, że rozbiór Polski z punktu widzenia interesów Rosji nie da się obronić, że stał się on źródłem jej nieszczęścia.

Ten straszny przewrót, którego Rosja mogła była uniknąć, gdyby nie siła wpływów niemieckich, przyniósł koniec petersburskiego okresu dziejów Rosji.

Nowy okres rozpocznie się z chwilą napewno niedaleką, kiedy miną tymczasowe rządy rewolucyjne, nie odpowiadające warunkom ani czasu, ani miejsca. W tym nowym okresie będziemy już mieli do czynienia z Rosją,

rządzoną przez Rosjan, a nie przez Niemców i nie przez żydów.

Myśmy mieli walki sąsiedzkie i z Rusią Kijowską, i z Carstwem Moskiewskiem, walki, w których los sprzyjał bądź nam, bądź naszym sąsiadom. Byłoby rzeczą nietrzeźwą oczekiwać, że w przyszłości między nami a Rosją zapanuje idylla. Sprzeczne interesy i nieporozumienia zawsze będą. Ale to także jest pewne, że główne, istotne interesy Rosji nie leżą na granicy polskiej, tak jak główne zadania Polski nie prowadzą jej przeciw Rosji. Są zaś wielkie sprawy, dla których potrzebne jest współdziałanie obu narodów.

I dlatego wierzę w lepszą przyszłość naszych z Rosją stosunków. Trzeba tylko, żeby ludzie po obu stronach odzwyczaili się od myślenia pojęciami z czasów, które już bezpowrotnie minęły.

XIV

SPRAWA POLSKA PO REWOLUCJI ROSYJSKIEJ

Rewolucja w Rosji usunęła za jednym zamachem od władzy rosyjsko-niemiecką sferę rządzącą. Nowoutworzony rząd tymczasowy składał się z przedstawicieli narodu, z liberalnych Rosjan.

Intrygi berlińsko-petersburskie zostały przecięte. O jakichkolwiek zakulisowych próbach doprowadzenia do osobnego pokoju nie było już mowy. Natomiast powstała nowa troska: o ile nowy rząd będzie umiał rządzić i prowadzić wojnę? o ile propaganda rewolucyjna, prowadzona od dłuższego czasu, oraz nastrój wywołany przez przewrót, przez abdykację cesarza, pozwoli utrzymać ład w państwie i dyscyplinę w armji?

W naszych kołach, z małemi wyjątkami, panował pod tym względem duży pesymizm; ja osobiście byłem pewien, że to wszystko będzie miało rychły i bardzo smutny koniec. Bałem się, żeby to nie przyśpieszyło końca wojny, nie przyniosło, jak mówili Francuzi, „białego pokoju *(une paix blanche)*". Stąd nie należałem do entuzjastów rewolucji.

Ministrem spraw zagranicznych w nowym rządzie został Miliukow, człowiek inteligentny i wykształcony, ale mający dziwnie nieszczęśliwą rękę we wszystkiem, co robił. Jego pojęcia polityczne były szczególną mieszaniną skrajnego rewolucjonizmu z ideologją rządową carskiej Rosji. W kwestji polskiej jego stanowisko było stanowiskiem działacza rządowego ubiegłej doby, tylko

liberalnie zabarwionem. Godził się na autonomję Królestwa Polskiego, ale pojmował ją tak, że liberalna Rosja podyktuje autonomicznej Polsce, jak się ma rządzić.

Wiedziałem, że nie rząd tymczasowy będzie rozstrzygał kwestję polską, ale obawiałem się, że przez usta Miliukowa ten rząd zrobi w sprawie polskiej jakąś deklarację, która nam większą szkodę wyrządzi, niż najmniej pomyślne deklaracje dawnego rządu. Jak mówiłem wówczas, Miliukow nawet był zdolny ogłosić całemu światu, że o przyszłości Polski postanowi po wojnie Duma czy Konstytuanta rosyjska. Można sobie wyobrazić, jakiby to efekt wywołało w całej Polsce i jakby to na rękę było Niemcom.

W celu uprzedzenia podobnie fałszywego kroku ze strony nowego rządu rosyjskiego udałem się 25 marca do Balfoura, stojącego u steru spraw zagranicznych w angielskim gabinecie koalicyjnym. Wyłożyłem mu swoje obawy i przedstawiłem niebezpieczeństwa, jakiemiby groził błąd w kwestji polskiej nowego rządu rosyjskiego. Wskazałem, że opinja publiczna polska nie wybaczy rządowi, złożonemu z przedstawicieli narodu rosyjskiego, tego, z czem musiała czasowo się godzić ze strony dawnego, carskiego rządu. Niebezpieczeństwu tego rodzaju zapobiegłaby i wywarłaby zbawienny wpływ na umysły w Polsce wspólna z Rosją deklaracja rządów państw sprzymierzonych, że „Polska będzie zjednoczona i odbudowana jako państwo niepodległe, w warunkach, które pozwolą jej przyczynić się wespół z innemi narodami do utrzymania równowagi europejskiej". Powiedziałem, że ze strony ludzi w rodzaju Miliukowa rządy sprzymierzone napotkają w tym względzie na opór, ale inne żywioły, zwłaszcza radykalniejsze, mające silny wpływ na Rząd Tymczasowy, poprą ten krok niezawodnie.

Jako warunki osiągnięcia celu wskazałem przedsięwzięcie natychmiastowych kroków w Piotrogrodzie

przez dyplomatycznych przedstawicieli mocarstw sprzymierzonych, nie traktowanie z przedstawicielami dyplomatycznymi Rosji zagranicą, którzyby się nie czuli upoważnionymi do tak poważnej zmiany w stanowisku Rosji; wreszcie szybkość i moc w działaniu, w rozumieniu, że losy wojny mogą zależeć od natychmiastowej decyzji. Balfour, którego ta sprawa bardzo zainteresowała, odpowiedział mi, że podziela moje obawy i że jego zdaniem należy coś stanowczego przedsięwziąć. Zostawiłem mu krótkie *pro memoria* w tej sprawie[1].

Zamiarem moim było zrobić analogiczny krok u rządu francuskiego, a także i włoskiego, o ileby czas na to pozwolił. W tym celu francuski przekład złożonego Balfourowi *pro memoria* niezwłocznie wysłałem Erazmowi Piltzowi do Paryża z propozycją udania się w tej sprawie na Quai d'Orsay. Ten wszakże nasz kolega, który wyróżniał się z pośród nas optymizmem co do nowego porządku rzeczy w Rosji, nie podzielił mego zdania, odpisał mi, że nie uważa podobnego kroku za właściwy i widzi w nim pewne niebezpieczeństwa.

O dalszych losach tej mojej inicjatywy miałem już tylko wiadomości poufne, przez przyjaciół angielskich. Według nich tegoż samego dnia, w którym z nim rozmawiałem, Balfour przedstawił sprawę z odpowiednim wnioskiem na posiedzeniu gabinetu wojennego, na skutek czego nocą wysłana została instrukcja do ambasadora w Piotrogrodzie. W odpowiedzi na nią miało przyjść doniesienie ambasadora Buchanana, że Miliukow się nie zgadza, podając trzy powody: że to sprawa zbyt skomplikowana, ażeby ją tak szybko decydować, że uznana przez mocarstwa niepodległa Polska może stanąć po stronie Niemiec przeciw Rosji, że wreszcie ta Polska może wystąpić z pretensjami do ziem rdzennie rosyjskich.

[1] Patrz: Aneks V. T. VI.

Na to miało wyjść polecenie do ambasadora, żeby nie ustępował w żądaniu.

29 marca ukazał się znany manifest Rządu Tymczasowego do Polaków, zapowiadający im niepodległą Polskę, złożoną ze wszystkich ziem posiadających większość polską — złączoną z Rosją wolnym związkiem wojskowym.

Poprzedziło ten manifest ogłoszone 28 marca oświadczenie sowietu delegatów robotniczych i żołnierskich w Piotrogrodzie, przyznające Polsce prawo do zupełnej niepodległości, oraz memorjał wskazujący konieczność aktu ze strony rządu rosyjskiego, proklamującego niepodległość Polski i zapowiadającego jej zjednoczenie, który to memorjał złożyła prezesowi rządu, ks. Lwowowi, deputacja polska, przyjęta przez niego tegoż dnia 29 marca.

Manifest Rządu Tymczasowego nie był tem, co chciałem osiągnąć przez mój krok w Londynie. Był jednostronną deklaracją rządu rosyjskiego, gdy mnie chodziło o deklarację wszystkich państw sprzymierzonych. Taka deklaracja miałaby i treść inną, i znaczenie jej byłoby o wiele większe.

W każdym razie miał on wielkie znaczenie, zwłaszcza dla polityki bieżącej w owym czasie. Usuwał niebezpieczeństwo jakiejś innej deklaracji, nam zaś otwierał drogę do zorganizowania oficjalnej reprezentacji polskiej w państwach sprzymierzonych, działającej, z ramienia niezawisłej już w zasadzie Polski.

Niebawem wszystkie trzy rządy państw zachodnich w odezwach do rządu rosyjskiego zamanifestowały swą solidarność z nim w uznaniu niepodległości Polski.

Mieliśmy tedy formalne uznanie zasady niepodległości Polski przez wszystkie państwa sprzymierzone, mieliśmy ponowioną zapowiedź jej zjednoczenia. Ogólne wszakże położenie polityczne przedstawialo się tak, że

w owym właśnie momencie czuliśmy się dalej od swego celu, niż poprzednio.

Poprowadzona wówczas przez Niemcy bezwzględna walka podwodna przeciw statkom handlowym dawała się czuć silnie sprzymierzonym, a zmiana w Rosji nie zapowiadała bardzo skutecznej z jej strony pomocy w wojnie lądowej. W powietrzu wisiał pokój, pokój fatalny dla przyszłości Polski.

Jednocześnie z manifestem rosyjskim o niepodległości Polski przyszły deklaracje Bethmanna Hollwega i Czernina o ich gotowości traktowania z przeciwnikami.

Atoli dzień 6 kwietnia 1917 r. przyniósł fakt, który więcej nam dał wiary w zwycięstwo naszej sprawy, niż wszelkie deklaracje na rzecz Polski. Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom.

Moment ten oznaczał z punktu widzenia polskiego koniec jednej wojny, a początek drugiej. Kończyła się wojna między państwami rozbiorczemi — Rosja bowiem skutkiem rozkładu swej armji bardzo prędko przestała być stroną wojującą — a zaczynała się wojna wszystkich wielkich mocarstw świata przeciw państwom rozbiorczym.

Kończyły się trudności pierwszej wojny, wypływające z polityki solidarności z jednem z mocarstw rozbiorczych, z trudnego dyplomatyzowania wobec nieszczerego stanowiska jego rządu. Zaczynały się trudności nowe, innej całkiem natury.

Mocarstwa sprzymierzone miały już względną swobodę polityki w sprawie polskiej. Nie pozostawiały one już wątpliwości, że ich zwycięstwo przyniesie odbudowanie państwa polskiego.

Gdyby wszakże nawet to zwycięstwo było pewne, to jeszcze najważniejsza dla nas sprawa, sprawa granic Polski, pozostawała otwartą. W tej właśnie sprawie nowe występowały trudności do przezwyciężenia.

Po rewolucji rosyjskiej i po wejściu Ameryki w woj-

nę duch liberalnego doktrynerstwa nabrał siły i zaczął brać górę nad realizmem politycznym. Żadnemu z narodów w tej wojnie zainteresowanych to doktrynerstwo nie groziło takiemi, jak nam, niebezpieczeństwami.

Dać Polsce właściwe granice, uczynić ją zdolną do życia w jej trudnem położeniu geograficznem, przy jej bardzo nieprawidłowym obszarze etnograficznym, mogła tylko myśl polityczna, oceniająca realnie położenie międzynarodowe i nie kierująca się zanadto płytkiemi doktrynami. Walka właśnie z doktrynerstwem, czy to szczerem, czy tylko służącem za płaszczyk dla wrogich nam interesów, staje się jednem z głównych zadań polityki polskiej w tej, że ją tak nazwę, drugiej wojnie.

KONIEC TOMU PIĄTEGO